

Józef Hen

Nikt nie woła

Tom

Całość w tomach

Polski Związek Niewidomych
Zakład Wydawnictw i Nagrań
Warszawa 1991

Tłoczono w nakładzie 10 egz.
pismem punktowym dla niewidomych
w Drukarni PZN,
Warszawa, ul. Konwiktorska 9
Pap. kart. 140 g kl. III-Ba1
Całość nakładu 50 egz.

Przedruk z "Wydawnictwa
Literackiego",
Kraków 1990

Pisał R. Duń
Korekty dokonały
K. Kopińska
i D. Jagiełło
Od redakcji

Józef Hen ukończył tę
powieść w 1957 roku. Usiłował
ją wydać trzykrotnie: w 1957,
w 1968 i 1983. Ukazuje się

jednak dopiero teraz, kiedy znikają tematy tabu. Jednym z nich był los Polaków w Związku Radzieckim w czasie II wojny światowej. Książka oparta została na autentycznych doświadczeniach autora, co w pełni potwierdza powściągliwa narracja. Wymowa opisanych realiów jest wystarczająco dramatyczna, by wstrząsnąć czytelnikiem. Powieść ukazuje zmagania młodego, wrażliwego chłopca z głodem, zimnem, bezdomnością i samotnością w tłumie innych podobnych nieszczęśników rzuconych na bezkresne obszary azjatyckiej części Zsrr. "Nikt nie woła" jest także opowieścią o wielkiej potrzebie miłości, o

spełnianiu się pierwszego silnego uczucia w nieludzkim pejzażu. W oparciu o ten wątek Kazimierz Kutz nakręcił w 1960 r. jeden ze swych najciekawszych filmów pod tym samym tytułem, zmuszony był jednak akcję przenieść na Ziemię Zachodnie.

Część I

Boso

Rozdział I

1

- Napluję im wszystkim w twarz.

Siedzieli nad brzegiem rzeki. Rzeka jak rzeka - nie różniła się specjalnie od podwarszawskiego Świdra, chociaż płynęła w Azji

Środkowej, a dookoła stały
lepianki, kwitły morwy, uriuk
i licho wie co jeszcze.

Tamten nie podnosząc głowy
zapytał:

- KOMu?

- Im - odpowiedział

Bogdan. - Wszystkim, co tak
pięKnie gadają.

Oglądał swoje bose stopy,
wychudłe łydki, przetarte
wojskowe bryczesy. Nie czuł
wcale zimna, mimo że był jeszcze
ranek, i wiedział, że nie będzie
czuł gorąca, chociaż słońce już
wzeszło i wkrótce zacznie nieźle
grzać. Nie czuł nawet głodu,
mimo że wczoraj nie miał nic w
gębie - nieprawda, cały dzień
żuł znaleZiony kawałek makucha -
a od wielu dni nie dojadał. Czuł
tylko jedno: że ma już wszyst-
kiego dość.

- Do cholery. Do cholery -
powtarzał.

Rzucił do wody kamyk.

Obserwował jego ciężki lot,
widział, jak prasnął w wodę,
jak wzbudził malutką fontannę
kropel i opadł na dno. Zrobiło
się cicho, tylko szuwały
leciutko zaskrzeczały.

Tamten odezwał się:

- Po co ci te głupie
ruchy? Masz za dużo sił?

Bogdan nie odpowiedział.

Nie lubił tamtego. Ale to nie
miało znaczenia. Zawsze musi
być jakiś "tamten". Bez tego
drugiego nic się nie odbywa -

żadna wędrówka, głód,
cierpienie. Obżera cię,
wyzyskuje - ale musi przy
tobie być. Przedtem tkwił przy
nim jeden, teraz inny.
Zmieniają się, ale tego prawie
się nie zauważa, wszyscy służą
do tego samego, dzieli się z
nimi menażkę, koc i wszy. Tym
razem tamten miał na imię
Henryk, był przysadzisty, miał

szerokie, płaskie kości
policzkowe, grube wargi, czoło
niskie, zarośnięte ciemnymi
wełnistymi włosami. Kruszył w
dłoniach suchy liść uriuku,
robił to długo, skrupulatnie.

- Nie masz kawałka
papieru? - spytał.

- Nie.

- Wyrwij z notesu.

Bożek spojrział na niego z
nienawiścią i nie
odpowiedział.

- Wyrwij z notesu -
powtórzył tamten. On też
nienawidził, słyhać to było w
jego głosie. - Wyrwij te swoje
przekłete gryzmoły. Palić mi
się chce.

Bogdan zajrzał do notesu.
"4 IV 1942. Jangi_Jul.
Komendant placu por.
Worotyński kazał nam iść
precz. Groził, że przepędzi
karabinem. W restauracji
milicjant i jakaś tęga kobieta
jedli bliny. Przyglądałem się
psim wzrokiem. Ona nie
zauważyła, on odwrócił się
plecami. Potem on nie
wytrzymał i oderwał dla mnie
kawałek blina". Bogdan schował
notes do kieszeni.

- Nie wyrwę - powiedział.

- Dlaczego?

- Bo to ważne.

- Ważne! - Henryk

zarechotał. - Ty wiesz co
ważne... Niestety z tobą.

Zerwał się z ziemi, żwawo
wydostał się na nasyp biegnący
wzdłuż rzeki. Zastąpił drogę
Uzbekowi, który tamtędy
przechodził. Był to starzec w

białej czałmie na głowie (znak
patnika - przypomniał sobie
Bogdan), w chałacie
przewiązanym szarfą, jego bosa
stopy pokryte były zaschląm
błotem. Kiwnąwszy głową zdjął
z ramienia szeroki żelazny

kietmeń i pogrzebał w szarfie.
Oderwał dla Henryka kawałek
gazety, wykrzesał ogień z
zapalniczki swojej roboty.
Obaj przycisnęli potem dłonie
z szacunkiem do piersi. Henryk
zaciągnawszy się dymem powlókł
się w dół rzeki i usiadł obok
Bogdana.

Bożek przyglądał się
żółtej wodzie. - Ma gliniaste
dno - pomyślał. - Ścieka do
niej muł z aryków. A jednak
była inna niż podwarszawski
Świder. Srebrna ławica,
przypomniał sobie. Samolot
sunął w jasnym niebie. Ja
chciałem, żeby to był junkers.
Tak, chciałem, aby się
wreszcie zaczęło. No to masz,
masz ją, tę swoją walkę dobra
ze złem i wszystko, co ci się
kłębiło w szesnastoletnim
łębku. Teraz w nim nic się nie
kłębi, nie ma się do czego
odwołać. Nawet karabinu mi
pożalowali - i ci, i tamci -
śmieszne. Zdechnę tutaj,
tysiące kilometrów od
Warszawy. Przegrałem wojnę.
Znowu mu się chciało rzucać
kamieniami. Tamten powiedział,
że trzeba się wystrzegać
zbędnych ruchów. Ma rację.
Tamci zawsze mają rację.

Henryk ssał zawzięcie
skręta. Położył się na wznak,
przymknął oczy. ZUpełnie jakby
się urodził, żeby być włóczęgą
- pomyślał Bogdan. - Nawet nie
ma ambicji, żeby z tego wyjść.
Może być poza nawiasem. Byle
mu dano żreć. Za to ja...
Przeklęte ja! Nie wiedział, co
z nim począć, z tym swoim
natrętnym, idiotycznym ja.

- Grzeje - odezwał się
Henryk. - Opalę się trochę...

Co robimy? Postanowiłeś coś?

- Napluć im w twarz.

Henryk westchnął.

- To już słyszałem. Ale jeść?... Trzeba przecież coś zjeść?

- Nie jestem głodny.

- Mówił prawdę: nie czuł głodu.

- A ja zjadłbym sobie kawał mięcha - rozmarzył się Henryk.

- Zamknij się.

- Kawał duszonego mięsa z sosem. Myślisz, że musi być kosherne? Może być wieprzowina, niech skonam. MOże być schaboszczak smażony na maśle. Żeby tłuszcz ciekł z pyska.

Bogdan wstał.

- Jeżeli się nie zamkniesz, zaraz sobie pójdę.

Henryk podniósł się także.

- Nie wygłupiaj się, Bożek - poprosił. - Nic takiego nie chciałem powiedzieć.

To było umówione: o żarciu się nie gada, żarcia się nie wspomina. Bogdan wielkodusznie przystał:

- No dobrze, ale pamiętaj...

Nie potrafili się ze sobą rozstać. Byli skazani na siebie, wiedzieli o tym dobrze. Dokoła nie było nikogo bliskiego.

- Chodźmy - powiedział Bogdan.

Obejmował przewodnictwo. Już nieraz tak się zdarzało: nagle jeden z nich obejmował przewodnictwo i ten drugi całkowicie mu się podporządkowywał. Nie umawiali się nigdy, układało się to jakoś samo. Teraz Bogdan był górą, bo przed chwilą groził rozstaniem.

Twardą, szarą od kurzu ścieżką, podreptali do miasta. Było obce. Obce białe ściany, obce pączkujące drzewa, obce i wrogie słońce. Grzało coraz

mocniej.

- Mógłbym sprzedać fufajkę
- powiedział Henryk ściągając
z siebie waciak.

- To sprzedaj.

- A ty mógłbyś sprzedać
szynel.

- Nie. Noce są zimne.

Szynel jest zarazem
kołdrą, szaleństwem byłoby się
go pozbywać.

- Nie chce ci się jeść? -
zdumiewał się Henryk.

- Nie.

Stali przed restauracją.
Nie docierał stamtąd żaden
zapach. Można było tylko napić
się żółtej herbaty albo zjeść
wodnistej zupki. Wyszło dwóch
facetów w butach z cholewami.
Mieli czerwone, rozparzone
twarze, pewnie pili gorącą
herbatę. Wszedł chudy chłopak,
obdarty jak Bogdan, pod pachą
ściskał bochenek chleba, który
machinalnie obszcypywał.

Bożek powiedział:

- Nie jestem głodny, ale
to nie ma nic do rzeczy. Nawet
mi się to nie podoba, że nie
jestem głodny. Nie chciałbym
wyciągnąć tu kopyt. Chciałbym
jeszcze napluć im wszystkim w
twarz.

- KOMu?

- Im. Wszystkim, którzy
tak pięknie gadają.

2

Sprzedził zielony woreczek
na rzeczy za piętnaście rubli.
Nic w nim już nie chował prócz
trzewików, z których został
tylko wierzch i kawałek pięty.
KUpili sobie trochę chleba;
podzielili się nim
skrupulatnie. MOim chlebem.
Gdyby się ode mnie odczepił,
miałbym to wszystko dla
siebie. Ale nie było sposobu
na tamtego. Nie odczepi się,
dopóki Bożek będzie miał na
sobie szynel. A zresztą bez
tamtego jeszcze ciężiej.

Kręcili się między straganami, na których skapo leżały rodzynki, sery, suszone owoce. Czasami udawało się coś z tego skosztować. "Po ile?" "Dwadzieścia funt". "Dobre?" Kosztowało się powoli, bez pośpiechu. Potem chwila zastanowienia. Nie, rachmat, dziękuję, niedobre, ker~ak em~as, nie trzeba. To dziwne, że Uzbegy na to pozwalali, że ich nie pędzili. Tacy cwaniacy - przecież mogli się domyślić, że Bogdan i Henryk nie mają ani kopiejki. Ale i kupcom niełatwo było o klienta, oni też woleli się łudzić, gra była potrzebna obu stronom.

Henryk męczył się bez papierosa.

- Pójdę coś upolować - powiedział.

Bożek usiadł pod grubym pniem morwy. Chodzenie męczyło go, kolana miał wiotkie - ciągnęło w dół, bliżej ziemi. Trzewiki przewiązane przerzucił przez ramię. Chciał coś zapisać w notesie ("Sprzedałem plecak. JUż teraz nie mam nic do sprzedania. Nie wiem, co robić dalej"), kiedy ujrzał przed sobą bose, szare od brudu stopy, a nad nimi płócienne spodnie z prostokątnymi łatami na kolanach.

- Bożek - usłyszał ochrypły głos.

Podniósł leniwie głowę. Ten przed nim miał twarz rumianą i uśmiechniętą. Tak, też był bosy, portki gorsze niż u Bożka, ale za to gęba pyzata, rumiana. Mogłoby się wydawać, że jest spuchnięty, gdyby nie te śmiejące się oczka.

- Nie poznajesz? - spytał tamten. - Myćko.

Bożek przyglądał się

twardej, ostrzyżonej do skóry
czaszce. Nie mógł sobie
przypomnieć.

- Myćko - powtórzył
pyzaty. - Pracowaliśmy razem
na szosie. Za Złoczowem.

Teraz Bożek przypomniał
sobie. Dźwignął się i wsunął
palce w łapsko tamtego.

- No to serwus.

- Serwus.

Za Myćkiem stało kilku
oberwańców. Wszyscy byli bosi,
ale niektórzy mieli na głowie
karakułowe kubanki z
czerwonymi krzyżami pośrodku.
Jeden, uśmiechnięty, miał całą
twarz pokrytą krwistymi
pryszczami - dobrze mu się
powodzi - pomyślał Bożek. -
Ten z odwiniętą i rozciętą
wargą, to pewnie Kazach,
tamten z odstającymi uszami to
może Żyd, Żyd z Odessy,
zdecydował Bożek przyglądając
się, jak długouchy porusza
zabawnie jedną stroną twarzy.
Z tyłu trzymał się byczek z
obandażowaną głową. Wszyscy,
prócz pryszczatego,
przyglądali się Bożkowi
ponuro, bez uśmiechu, ale
przychylnie.

Myćko położył mu ciężką
dłoń na plecach.

- Chłopcy - mówił - to je
Bohdan. Taj znajete, Bohdan...

Potwierdzili niezgodnym
pomrukiem, że wiedzą. Myćko
klepnął się w czoło.

- Zapomniałem, psiakrew,
twojego nazwiska.

- Bergen - przypomniał
Bogdan.

- No, no! Wyglądasz jak
śmierć... Chłopcy, to jest
artysta. Ty, zasuń jakiś
wiersz.

- Coś ty?

- Przecież mówiłeś mi
wiersze, ta ni? No, wal!

Bogdan wymamrotał:
- Jakie znowu wiersze...
Usiłował sobie coś
przypomnieć ze swojego
repertuaru, ale nie potrafił.
Dziura. Tekst uciekł. Pewnie
go nigdy nie było. Wszystko

wymyślone. Ciepły,
jasnoniebieski sen, który roił
się nędzaczowi. Był nędzaczem
od urodzenia, zawsze myśli
jego krążyły tylko wokół
chleba, zawsze miał ponurą
gębę, a w duszy nienawiść.

- Artysta! - wykrzyknął
Myćko. - Jak to szło? "nam
strzelać nie tego_śmego..."
Kurwa, nie pamiętam!

Jak lekko wyskoczyło mu to
z ust! Ja wciąż jeszcze męczę
się, kiedy mam kłać.

- Wyglądasz, jakbyś już
miał trzydziestkę na karku -
powiedział Myćko.

- Za to tyś się upasł.

- Nie powodzi mi się źle -
chwalił się Myćko. - Chłopcy
mogą powiedzieć.

- A co robisz?

- Biorę.

- Bierzesz? - Bożek nie
zrozumiał.

- Capcarap. Byle prędko.

- A oni?

- MOi ludzie.

Powiedział to z dumą.

Przywódca, to się czuło.

- Wiesz, ile mam
zaoszczędzone? - chwalił się
Myćko. - Sześćset rubli. -
Poklepał się po brzuchu. - Tu
je mam, w pasie, cała
harmonia. Ja nie przepadnę. A
ty co? Bierzesz?

Bożek pomyślał, zanim
odpowiedział:

- Jeszcze nie.

- Wyglądasz jak śmierć.

- Trochę się zniszczyłem -
przyznał Bożek. - Czternaście
dni jazdy jakby nie było.

Wszystko na to poszło. Dobrze, że we dwóch, jest tu ze mną kolega z wojska. Mieliśmy wstąpić do Andersa, ale nie chcą nas przyjąć. Mówią: "Idźcie do bolszewików". Rosjanie mówią: "Idźcie do Polaków". Dokumentów nie mamy, tego się najbardziej czepiają. Papierków.

- Ja mam w dupie Polaków i

Rosjan - chełpił się Myćko. - Biorę u wszystkich. U mnie różnicy nie ma: każdy dobry. U mnie jest internacjonał! Bumażki ne treba, usi riwni. Rób to samo!

- Chyba nie potrafię.

- Potrafisz. Każdy głupi potrafi. Wezmę cię do siebie, znaj przyjaciela. Ze mną nie przepadniesz.

- A co z milicją?

- Co oni nam poradzą? Jak złapia, to dają w mordę, a potem puszczają. Co mają z nami robić - karmić? Już ze trzy razy oberwałem. No to co? Jakoś żyję. Nie szklanka - nie stłucze się. Niedługo kupię sobie buty z cholewkami!... To jak ty?

- Nie jestem sam. Mam partnera.

- Do czorta z koleżką - powiedział Myćko. - Nie znam go. Ciebie znam, to co innego. - Podrapał się w wystrzyżoną czaszkę. - Ale jak to twój partner, to weźmiemy i jego.

Będzie zęb za zęb - pomyślał Bożek. - Bardzo dobrze. Jak społeczeństwo mnie, tak ja społeczeństwu. Moralność! Etyka! Gwizdać. Wymyślili to syci. Najpierw się nakradli, a potem wymyślili, że nie wolno. Już wiem, już ich rozgryzłem. Etyka. Moralność. Zdechnę z tym w jakimś aryku.

Tamtych pięciu
przypatrywało mu się uważnie,
czekali z napięciem jego
decyzji, która dotyczyła także
ich.

- Dziękuję ci, Myćko -
powiedział Bożek. - Jesteś
dobry chłop.

- Łapa?

- Nie.

- Jak "nie"?

Przecież miał powiedzieć
"tak"! Na pewno chciał
powiedzieć "Tak"!

- Nie mogę z tobą pracować

- tłumaczył Bożek jakając się.
- Ja... mam inne plany. Muszę
się zgłosić do komendy.

Tamten był wyraźnie
dotknięty.

- Jak chcesz. - Potem
westchnął: - Ja wiem, tobie to
nie odpowiada. Ty jesteś
artysta. Ale artysta też coś
musi opchnąć, tak czy
nie? Wyglądasz na trzy dychy z
kawałkiem...

Ten z odwiniętą wargą,
śniady i skośnooki, powiedział
łamanym rosyjskim językiem:

- MOżem drug nakormić, a?

Myćko rozpromienił się.

- Aha! Do roboty,
łachudry!

Rozbiegli się między
straganami. Szef i Bogdan
usiedli w cieniu drzewa. Myćko
poradził Bożkowi spanie w
wagonach na bocznicę, tam
chronią się w nocy wszyscy
włóczędzy. Tylko należy
zachowywać się cicho, obcych
nie lubią, można oberwać
nożem. Potem siedzieli
milcząc. Nie czekali długo.
Sypnęły się im na kolana
placki, pierożki, rodzynki,
suszony uriuk.

- Lekka robota - pochwalił
Bogdan.

Zazdrość go piekła. Nigdy

się na coś takiego nie
zdobędzie! Przeszłość jednak
istniała: cały ten balast
wychowania, ideałów, mrzonek,
marzeń, subtelności, tęsknot.

- Jedz, jedz - zachęcał go
Myćko.

Jadł z trudem. Tamci
otoczyli go i patrzyli mu na
usta, zadowoleni ze swego
wyczynu. Sycili dusze własną
uczynnością i dobrocią.

Schował placki do
kieszeni.

- Dla koleżki.

Wstał. Ścisnął im
wszystkim ręce. Najdłużej temu
z obandażowaną głową: dostało
mu się widać solidnie.

Myćko znów przemówił:

- Ty, bracie, nie dawaj
się - mówił. - Ty jesteś
artysta. Masz prawo żyć.

- Wszyscy mamy prawo. Całą
kupę praw. No, złam kark.

- Ni puchu, ni pierza -
odwzajemnił się Myćko.

- Wiesz co? - powiedział
nagle Bogdan. - Powinieneś się
umyć.

- Po co? Tak ciepłej.

- Mylisz się: pory musza
oddychać.

- Coś ty... Nie breszysz?

- Słowo. Umyj się.

Zobaczysz, przyjemniej ci
będzie.

Myćko roześmiał się
dobrodusznie:

- Ech, artysta, artysta.

Odwrócił się i szerokim
gestem ramienia objął Uzbeka z
odwiniętą wargą. Odchodząc
śmiał się wciąż, inni też
wydawali z siebie jakieś
dźwięki, które można było
przyjąć za śmiech.

papierosem w zębach, z oczyma zaszły mi mgłą. Oddychał szybko.

- Jadłeś - powiedział Bogdan. Brzmiało to jak oskarżenie. Wskazującym palcem dotknął piersi Henryka. - Jadłeś czy nie?

- Tak.

- Wszystko zjadłeś?

- Wszystko - przyznał z pokorą Henryk. - Dwa pierożki.

Powinienem go wyrzucić w mordę - myślał Bogdan. Objada mnie, miałbym masę pieniędzy jeszcze, gdyby nie on, fufajkę, bluzę, kilo kaszy, wszystko sprzedałem, a kiedy on sam ma piąta, od razu wydaje na siebie.

- Kupiłeś tytoń - oskarżał dalej Bogdan.

- Nie, dostałem od niego

na kilka skrętów.

- Od kogo?

- Jakiś gość z Polski.

Miał dwie walizki. Prosił, żeby mu je ponieść. Szedł za mną krok w krok, łobuz, oka ze mnie nie spuszczał. Gdybyśmy mieli dziesiątą część tego, co było w tych walizkach, moglibyśmy się nie martwić. Mało płuc z siebie nie wyplułem. Potem zjadłem dwa pierożki. Zupełnie ich nie czuję. Rozjatrzyły mnie tylko.

Bogdan wyjął z kieszeni placek.

- Masz.

Tamten spytał:

- Cały dla mnie?

- Cały - powiedział

Bogdan. - Spotkałem znajomego Ukraińca. Ma bandę. Ściągają ze straganów. Mówi, że zaoszczędził sześćset rubli i kupi sobie buty. Policzki jak dynia.

Henryk w milczeniu dojadł placek.

- Pytał, czy nie chcemy u niego pracować - dodał Bogdan.

Henryk wytarł usta. Wciąż jeszcze się nie odzywał.

- Powiedziałem, że nie - ciągnął Bogdan. - Nie wiem dlaczego. Bo przecież nie ze strachu. Nie wiem. Kiedyś wrócimy do Warszawy, trzeba będzie ludziom się pokazać. Jednym słowem - nie.

Henryk:

- Ty, Bożek, nikomu w twarz nie naplujesz. Zapamiętaj sobie, co ci powiedziałem. Zapisz to sobie w swoim notesie, bo to ważniejsze od wszystkiego, co tam ładujesz. Zginiesz marnie. - Westchnął i dodał: - I ja z tobą.

Postanowili udać się rannym pociągiem do Taszkientu. Najważniejsze to tak się urządzać, żeby dostawać osiemset gramów chleba dziennie. Zgłoszą się

do komendy garnizonu. Trzeba to będzie zrobić mądrze, żeby uniknąć oskarżenia o dezercję, bo przecież po to, żeby przyspieszyć dotarcie do armii Andersa, musieli nawiać z batalionu pracy przy Armii Czerwonej, kluczyli tak znad Wołgi, ze Stalingradu, aż teraz czeka ich niesławny powrót do jakiegoś innego batalionu pracy (oby tylko się udało), a przy najmniejszej nieostrożności - sąd polowy.

Wszystko jedno. Mieli już dosyć samodzielności. Do diabła ze swobodą! tęsknili do pobudki, do porannego apelu, do czujnego oka szefa. Niech zjawi się rozkazodawca, niech musztruje i wrzeszczy - i niech trzy razy dziennie prowadzi do kuchni.

- Tego nam żałować nie

będa - upierał się Bożek. -
Łopaty i ośmiuset gramów
chleba tu nie żałują.

Wieczorem zrobili tak, jak
radził Myćko: wkradli się do
wagonów stojących na bocznym
torze. Wewnątrz było czarno i
cuchnęło. Bractwo wypuszczało
gazy głośno i z oczywistą
satysfakcją. Ułożyli się na
waleta na górnej półce.
Wszystko robili w milczeniu,
słyszeli tylko własne, pełne
napięcia oddechy. Przez chwilę
wiercili się na twardej półce,
zanim zamarli w bezruchu.
Napłynął sen, marzenie o
butach, kaszy i czystej,
wydezynfekowanej koszuli.
Korowód kwiatów, słodycz
konfitur i gęstego snu. Pomruk
i wybuch bomby. Ktoś krzyczał.
Coś błysnęło w mroku, musiał
to być nóż. Potem rozległy się
dwa suche uderzenia pięści.
Bogdan wstrzymał oddech. Czuł
na udzie kurczowo zaciśnięte
palce wystraszonego Henryka.
Milczeć. Jeśli spostrzeżę, że
jest tu jakiś obcy, wykończą
go natychmiast.

Krzyk ustał. Z dołu
donosiło się czyjeś
pochlipywanie. Na sąsiedniej
półce ktoś zgrzytał zębami
przez sen. Bogdan leżał z
otwartymi oczyma. Zaraz
zaśnie. Sen jest tym
rzeczywistym rozdziałem życia.
Freud byłby z nami bezradny -
pomyślał. Żadnych stłumień
nienawiści do ojca, pociągu do
matki - gówno! We śnie nie ma
wojny, jest Warszawa,
mieszkanie na trzecim piętrze
i służąca Celina, która
jeszcze nie odeszła do Mańka.
Z ilu jaj jajecznic? Z
trzech, czterech, pięciu. Jak
to żrą - mruczy Celina - jakby
trzy lata chleba nie widziały.

Wszystko, co przeżywa na jawie, jest straszliwym nieporozumieniem, a może spiskiem Opatrzności. Tak, to Opatrzność przeprowadza go przez różne próby i cierpienia, żeby pogłębił swoją sztukę, żeby potrafił odróżnić dobro od zła, wielkie od małego, prawdę od nieprawdy. Napluje im wszystkim w twarz - wszystkim tym gadułom, pięknoduchom, kurwiarzom. Podobno Hitler lubi się powoływać na Opatrzność. Wobec tego niech będzie przeklęta Opatrzność, która ma takiego oblubieńca. Ale kiedyś wszystko się odwróci! Skończy się idiotyczna gra w nędzę. Przyjdzie ktoś, w czyjej mocy będzie rzecz: "Dosyć tego. Dość się nacierpiałeś, Bogdanie Bergen. Myślisz, że myśmy tego nie widzieli? Widzieliśmy. Chcieliśmy zobaczyć, jak sobie z tym dasz radę. Zuch z ciebie! A teraz zaczynamy prawdziwe życie".

Przymknął oczy. Wciągnął zsuwający się z półki płaszcz. Zapadał w ciepło jak w głęboki rodzinny fotel.

Głos, który go obudził, nie był krzykiem. Raczej

rozbrzmiewał jak natrętny szept, ale za to tuż nad uchem. Bożek usiadł gwałtownie na półce. Wołają go. Ktoś po niego przyszedł - ale kto. To nie był szept. Za oknem wagonu wołano po polsku, wołała kobieta:

- Czy są tu jacyś Polacy?

Odczekała i po chwili znowu:

- Czy są tu jacyś Polacy?

Kobieta! Polka! Przyszła po nas, chodźmy, to jasnowłosa dziewczyna o czystych oczach, wzywa nas. Znow poczuł na

swoim udzie zaciśnięte palce
Henryka. Te palce ostrzegały:
milcz, milcz. Bogdan szepnął:

- Heniek, to po nas.

- Tsss...

- Mówię ci: to po nas. Od
Andersiaków. Nie mogą
pozwolić, żeby Polacy spali
razem z szumowinami.

Cicho.

- Czy są tu jacyś Polacy?

- wołała kobieta za oknem.

- Jebi twoją mat'! -
zaklął rozbudzony włóczęga.

- Henryk, to po nas -
powtarzał Bożek. - Nocna akcja.
Weźmą nas do namiotów.

- Zwariował.

- Do namiotów, przekonasz
się.

- Czy są tu jacyś Polacy?

- upierała się Polka za oknem.

- Och, zareznać babę! -
zawołał ktoś z dołu.

- Ja idę - zdecydował
nagle Bożek.

- Nie ruszaj się -
ostrzegał Henryk. - Oberwiesz
majchrem.

- Idę! - krzyknął Bożek -
idziemy!

W wagonie zakotłowało.

- Polaki! Szpiony!

Ktoś zaświecił zapalkę.
Bogdan dostrzegł różową,
żylastą rękę uzbrojoną w nóż.
Skoczył w dół wprost na tę
rękę, po drodze zawadził nogą
o czyjeś plecy. W milczeniu,

waląc po niewidocznych
czaszkach, przebijał się przez
wąski korytarzyk do przodu.

Nareszcie drzwi. Świeże,
chłodne powietrze chlusnęło mu
w twarz. Raczej stoczył się,
niż zeskoczył na żwir.

- RATujcie! - krzyczała
Polka.

Henryk był już obok.
Pobiegli w kierunku
zduszonego głosu kobiety. Nie

było jej widać, trzej
obszarpańcy zwałili się na nią
sapiąc i młóćąc pięściami.
Rzucił się ku nim krzycząc:
"Józek! Antek! Z tyłu! Lej!"
Tamci zerwali się do obrony.
Podczas gdy rozglądali się
dokoła, usiłując odróżnić w
ciemności kogoś poza Bożkiem i
Henrykiem, kobieta pełzła na
czworakach w stronę nasypu.
Wdrapała się na niego i
stanęła wyprostowana, ciemna i
płaska na szarym tle nieba jak
strzelecka makieta.
Napastnikom nie chciało się za
nią biec, zasapali się w
szamotaniu, wracali leniwie do
wagonu.

- Ani piersi, ani tyłka -
odezwał się jeden z nich
lekceważąco.

- Kwaśne winogrona, co? -
zadrwił Bogdan.

- A ty jak milicjant: sam
nie ugryzę i drugiemu nie dam.

- Weźmy się za nią razem -
zapropozował inny. - Dostanie
się i tobie. - Kiedy Bogdan
nie odpowiedział, tamten
splunął: - Żal ci dziury?

Spoliczkował mnie -
pomyślał Bożek. - Ktoś już tak
mówił o dziewczynach -
przypominał sobie - ktoś w
szkole mówił tak, bo nie
chciał się przyznać, że
czołgał się przed nimi na
klęczkach, ukrywał swój
podziw, to było abstrakcyjne
gadanie, nieszkodliwy
ślinotok. Wszystko wtedy było
piękne, myślał, wszystko

romantyczne, nawet dziwki na
Nowolipiu i różowe firanki w
oknach burdelu.

Kobieta czekała na nich za
usypiskiem żużlu. Miała na
sobie podartą spódnicę, męska
bluzę, a na niej żakiet z
worka. Była młoda, szczupła,

jeden policzek miała przybrudzony, włosy krótko obcięte, czy też nie odrosły jeszcze po tyfusie. W ciemności można było dostrzec, jak lśnią w popłochu jej oczy.

- Dziękuję panom za pomoc - powiedziała drewnianym głosem. W górnej szczęce brakowało jej dwóch zębów z prawej strony.

- Miała pani niezłą przygodę - zauważył Bożek.

- Och, nie pierwszy raz. Mężczyźni są na mnie cięci.

Wydało mu się, że dosłyszał w jej głosie przechwałkę. Powiedział:

- To rzezimieszki.

- Tak - przyznała. - Im tylko "daj", a potem jeszcze oberwiesz po mordzie.

Bogdan szurnął nogą po żuźlu. Zachrypiało miękko, intymnie.

- Dokąd nas pani zaprowadzi? - spytał.

- Czy ja wiem? Gdzie pies ma dom.

- To pani nie jest z Armii?

- Pan widzi przecież.

Spojrzał na kurtkę z worka i potwierdził:

- Widzę.

Henryk sapał. Jego grube wargi były teraz baredziej opuchnięte niż zawsze. Zapiał swoim zwykłym trochę wysokim głosem:

- To po co pani wołała Polaków, co? Wiedziała pani przecież, że to się źle skończy.

- Nie mam gdzie spać - tłumaczyła. - I bałam się. Sama to się zawsze boję.

Postanowiłam poszukać kogoś z ojczyzny, z naszej wspólnej ojczyzny.

Kiedy drugi raz powtórzyła

słowo "ojczyzna", dostała uderzenie w twarz. Uderzył Henryk. Spojrzała na niego - bardziej zdumiona niż zalękniona. Ale na tym się nie skończyło. Henryk uderzył ją jeszcze dwa razy i za każdym razem wydobywał mu się z płuc poświst, jakby drzewo rąbał. Potem pchnął ją w pierś, aż usiadła na usypisku. Wciąż spoglądała na niego w zdumieniu. Nie płakała.

- Czego mnie bijesz? - spytała. - Przecież byłam sama. Bałam się.

Henryk powoli schodził z hałdy. Usiadł u podnóża i zaczął szukać nerwowo po kieszeniach. Potem przypomniał sobie, że nie ma nic do palenia i przerwał szukanie. Siedział odwrócony do nich plecami.

Bogdan przysunął się do kobiety. Przez chwilę milczał. Chciał jej powiedzieć: "Ty ścierko. Ty zła, lekkomyślna dziwko". Słowa nie przechodziły mu przez usta. To była kobieta - kobieta z Polski. Pani usiądzie, całuję rączki, panie mają pierwszeństwo, panie są takie delikatne, przy paniach nie można. Jak ona powiedziała? "Nasza wspólna ojczyzna".

- Myśleliśmy, że pani jest z komendy placu - powiedział głucho.

- To nie moja wina.

- Myśleliśmy, że przysłano panią po nas.

Tym razem nie odezwała się.

- Myśleliśmy, że nas wzywają. Że pójdziemy do namiotów i wszystko się skończy. Kiedyś to się musi przecież skończyć. Myśleliśmy, że to już.

- Pan mi nigdy nie
wybaczy - zrozumiała nagle.

- Sobie nie wybaczę!

Zeszła z nasypu, dotknęła
pleców Henryka.

- Ty, rozchmurz się. Jak
się nazywasz?

- Heniek.

- Możesz mi mówić Stasia.

- Poglądziła go po włosach. -
Nie mam do ciebie żalu. Ty
jesteś lepszy od tamtego. On
jest kawał sukinsyna.
Pamiętliwy. Takich to ja nie
lubię.

Henryk wziął ją za rękę.

- Chodźmy.

Poszli nad rzekę, w to
samo miejsce, gdzie Bożek i
Henryk leżeli dziś rano.
Kobieta opowiadała o sobie. Z
tajgi przyjechała do
Taszkientu. Chciała wstąpić do
wojska, ale zachorowała na
tyfus. Teraz już za późno,
nie przyjmują, kontyngent
wyczerpany. Nie ma znajomości.
Nie jest aż taka ładna, żeby
dostać u swoich posadę przez
łóżko. Są już takie, co
zdażyły się elegancko ubrać i
nawet mają biżuterię. Brylanty
znowu modne, czy panowie o tym
wiedzą? W Iranie najlepiej idą
brylanty i złoto, rubli lepiej
się pozbyć w Środkowej Azji.
Te dziwki stworzyły tu sobie
małą Krynicę, małe Zakopane.
Grają w brydża, piją whisky,
jadają wytwornie. Oficerom
bardziej podobają się takie
wytworne. Przez sentyment i
patriotyzm, przypominają im
warszawskie lokale, a poza tym
lepiej pachną i nie mają wszy.

Leżeli na rozpostartym
szynelu Bogdana. Przykryli się
jej kurtką i waciakiem
Henryka. Dziewczyna gładziła
Henryka po czuprynie.

- Nie bij mnie więcej -
szepnęła.

Nachyliła się i pocałowała
go w czoło. Potem przytuliła
się do niego z westchnieniem.

- Chodźcie do mnie -
powiedziała. - Co sobie mamy
żałować.

Henryk objął ją i nakrył
jej usta swoimi mięsistymi
wargami.

Bogdan powoli schodził ku
rzece. Przepływała ciemna i
gęsta jak smoła. Stał
słuchając bełkotu nurtu i
zachwyconego rzężenia tamtych
dwojga.

Usiłował sobie wyobrazić,
co Henryk czuje. Kiedyś i on
tego zazna. Mam kamienną
wyobraźnię. Jak z lodu. Coś
musiało się we mnie zmienić.
Zdaje się, że byłem kiedyś
gorącym, spragnionym miłości
chłopakiem. Zdaje się...

- Bożek - usłyszał jej
niski głos.

Wzywała! Szedł do niej
pusty i obojętny. Czekala na
niego z podwiniętą do brzucha
spódnica i rozpiętą bluza. W
ciemności połyskiwały jej
chude, białe uda. Wyciągnęła
do niego ręce.

Henryk leżał obok
oddychając ciężko, z oczyma
utkwionymi w granatowoszare
niebo, na którym zaczęły się
pojawiać spoza chmur gwiazdy.

- Bożek - powtórzyła
miętko.

Usiadł obok niej i spytał:

- No i jak?

- Fajnie - odpowiedziała i
zaśmiała się.

- To dobrze - powiedział
Bożek. - To klawo.

- On jest majster. Ruskie
tak nie potrafią.

- Zaraz świta - mruknął
Bożek.

- E, jeszcze trochę czasu
jest.

- Spać ci się nie chce? -
spytał.

Henryk uniósł głowę i
zaraz znowu ją opuścił.

- Chce mi się - przyznała.

- Nie czuję nóg.
- To śpij.

Dziewczyna opuściła spódnicę i zaczęła zapinać guziki bluzy. Potem przytuliła się do Henryka.

- Dobranoc - mruknęła.

Bogdan siedział objawszy rękami kolana. W górze błyszczały gwiazdy. Tam jest północ, a tam, na lewo od Polarnej - Warszawa. Od kilku lat zawsze patrząc w gwiazdy odszukiwał kierunek na Warszawę. Mogłem mieć kobietę - pomyślał - miękkie aksamitne ciało - nogi, brzuch, pośladki i tamto, czego jeszcze nie znam - i zrezygnowałem. Nie żałowałem tego i to wydało mi się najgorsze. Ciągłe z czegoś rezygnuje. Idiota.

- Czy myślisz, że miłość jest wymysłem? - odezwał się.

Nie chciało jej się odpowiadać.

- Kiedyś ludzie przecież się kochali - mówił. - Ja sam też, jestem pewny. Znałem kilka cudownych dziewczyn. I jeszcze poznam. Jedną - ale za to jaką! Myślisz, że to niemożliwe?

Milczała.

Powiedział:

- Aha, nie odpowiadasz, zatkało cię!

Usłyszał jej równy oddech. Spała przytuliwszy policzek do brudnej kufajki z lekka pochrapującego Henryka.

Rozdział II

1

Pociąg wlokł się całą noc z odległego o sto kilometrów Taszkientu. Czołgał się po nieokrzepłym jeszcze nasypie jak ślimak. Byłoby to

beznadziejne, gdyby nie kartka
papieru w kieszeni:
skierowanie z komendy
taszkienckiej do batalionu
pracy w okolicy Angrenu. Kiedy
o świcie zeszli odrętwiali z

pociągu, zobaczyli gliniasta
pustynię pokrytą szronem. Po
lewej stronie toru znajdowała
się kolonia szarych namiotów.
Wychodzili z nich mężczyźni i
oddawali mocz patrząc gdzieś
przed siebie, najczęściej w
stronę tych dwóch nowych.
Potem skurczeni biegli do
aryku myć się. Niektórzy bez
mycia szli od razu do magazynu
fasować chleb. Nie wyglądali
lepiej niż Henryk i Bożek.

Bogdan omotał nogi
ciemnymi onucami, założył
swoje dziurawe trzewiki i
przewiązał je sznurkiem. Chyba
tak wygląda lepiej niż na
bosaka. Henryk polazł do ludzi
zasięgnąć języka i przyjrzeć
się, jak wygląda tutejszy
chleb. Wrócił podniecony.
Ruszał nerwowo wargami i oczy
mu latały bardziej niż
zazwyczaj.

- Biały chleb! -
wykrzyknął. - Bardzo lekki.
Osiemdziesiąt deka to taka
porcja - rozstawił szeroko
ręce. - Zdaje się, żeśmy
dobrze trafili.

- Żeby nas tylko przyjęli.
- Nie bój się, przyjmą.
Łopaty i porcji chleba ci nie
pożałują. Sam mówiłeś.
- Gdyby nas mieli odesłać,
to nie wiem, co zrobimy.
- Nie odeślą, dadzą chleb.
Szkoda, żeś nie widział: takie
białe bochny. Powiedzieli, że
będzie z nami gadał major
Borysow, naczelnik. Mówią, że
to fajny gość. Gębę ma, mówią,
niewyparzoną jak Iwan ze wsi.
Powiem mu, że jestem

kucharzem.

- Ty?

- Dlaczego nie? Chcę pracować w kuchni i mieć pełny brzuch. Nie lubię łopaty.

- Ale przecież nie jesteś kucharzem.

- No to co, że nie jestem? Powiem mu, że skończyłem szkołę kulinarną w Mariupolu.

Pracowałem tam w fabryce konserw, trochę to podobne, nie? Kotletów mielonych tu się nie robi, pierogów też nie. Ty w razie czego poświadczysz, pamiętaj. Niech no tylko dostanę się do kuchni, to i ty sobie podjesz. Podtuczymy się trochę i pryśniemy.

Znowu pcha mnie w jakieś awantury - pomyślał Bożek. Znowu ciągnie go na tułaczkę.

- Pryśniemy, Bożek. Żeby tylko wystarać się dla ciebie o jakieś buty. Pojedziemy do Ałma Aty. Stasia mówiła, że jedzie tam się urządzić i żebym do niej przyjechał. Nie myśl, że to taka pierwsza lepsza.

- Ja nie chcę pryskać.

- Dlaczego nie? Co cię tu trzyma? Łopata?

- Chleb. Osiemset gramów chleba.

- Będiesz go miał. Nie myślisz chyba do końca życia machać łopata? Nie nadajesz się do tego.

- Nadaję się. Do wszystkiego się nadaję. Jak wrócę do Polski, to mogę być kopaczem. Nawet do końca życia!

Henryk śmiał się ironicznie.

- Mogę robić cokolwiek - upierał się Bożek. Wszystko, co robił Maniek, pomyślał, ten od Celiny - nie, nie wszystko, bo on umiał jeszcze

szantażować. Cokolwiek, z czego da się wyżyć. Dużo nie chcę. - Zastanawiał się, czego mu potrzeba do spokojnego życia. Wyliczał: - Pokoik, kilo chleba, kawałek mięsa, trochę cukru, książka, raz na tydzień kino i żeby było ciepło.

- A kobieta?

- Mówiłem, ale wyście spali. Będzie. Ale taka, żeby na dobre i na złe.

Henryk nachylił się nad

nim, poruszył grubymi wargami.

- Widzisz, ja już mam taką dziewczynę. Ty myślisz, że to dziwka, bo chciała ci dać. Ale ja ci mówię, że to świetna dziewczyna. Przyrzekliśmy sobie spotkać się w Ałma Acie. Jak myślisz?

- Nie wiem. Najpierw chcę się najeść tego białego chleba. Potem zobaczymy.

Zaprowadzono ich do Borysowa. Był to wysoki, szerokoplecy mężczyzna w mundurze majora, szpakowaty, o grubym nosie i z workami pod żółtymi oczyma. Kiedy mówił, policzki przecinały mu głębokie bruzdy. Przyjął ich przed namiotem, do którego prowadziły drewniane stopnie z poręczami, tworzące coś w rodzaju ganku.

Major obejrzał ich krytycznie, westchnął z wyraźną niechęcią i wyciągnął rękę:

- Skierowanie?

Henryk podał mu papiererek. Major przebiegł go wzrokiem i zwinął w trąbkę.

- Razem jesteście?

- Razem.

- No to jazda z powrotem - oddał skierowanie Henrykowi.

- Co?

- Słyszycie dobrze:

wracajcie do Taszkientu. Nie potrzebuję was.

Nie dostaniemy chleba! - zrozumiał Bogdan.

- Jechaliśmy tu całą noc - powiedział drżącym głosem. - Skierowała nas tu komenda.

- No i co z tego, że skierowała? Potrzebuję robotników, a nie obdartusów. Mówiłem im sto razy, że tu nie przytułek dla bosych.

Chłopcy milczeli.

- Gadaliście już pewnie z ludźmi? - spytał major. - Tak? Wieszali na mnie psy, prawda?

- Nie - zaprzeczył Henryk.

- Przeciwnie.

- Mówili, że jestem fajny chłop, tak?

- Właśnie.

- Stale te same brednie! - zachnął się Borysow. - Nie jestem fajny chłop. Nie ma tu fajnych chłopów, ja ci to mówię! Co umiesz? - spytał Bożka.

- Umiem pracować.

Borysow zaśmiał się prawie bezgłośnie, wypuścił tylko kilkakrotnie nosem powietrze.

- "Pracować". Ty! Gadaj to swojej babci! Ja ci powiem, co ty umiesz. Ty po łacinie czytasz, prawda? Czytałeś rzymskich poetów w oryginale. Może się mylę?

- Nie, pan się nie myli.

Borysow zwrócił się do Henryka:

- Ty możesz zostać. A ty - do Bożka - zabieraj się! Jedź do Taszkientu i powiedz, żeby ci dali buty. Ja tu butów nie mam.

Bożek spojrział na swoje nogi. Miał rację, major przeklęty. Na przemarzniętej glinie nie można pracować w szmatach. Szepnął:

- Jechaliśmy całą noc.

- I pewnie jesteście głodni? Nie dam chleba! Nie mam. Nie jesteście u mnie zaprowiantowani. Nie okradnę swoich ludzi dla dwóch nieznanomych oberwańców z Polski. - Znow zwrócił się do Henryka: - Mówiłem: ty możesz zostać.

Henryk bąknął:

- Jeśli zostaniemy, to obaj.

- Coś powiedział?

- Pan słyszał.

- Słyszałem. - Major wzruszył ramionami. - No, to zabierajcie się do diabła. Obaj!

Miał wściekłą minę.

- No? - ponaglał. - Odmeldować się!

Bożek nie ruszył się z

miejsca. Major opuścił wzrok, przypatrywał się ziemistym onucom, wyzierającym z otwartych trzewików Bożka.

- Ja ci z góry mogę powiedzieć, co ty mi zaśpiewasz, jeśli zostaniesz - podjął spokojniejszym tonem. - Nie jesteś u mnie pierwszy, miałem już takich cwaniaków na kopy. Popracujesz trzy dni w tych szmatkach, a potem powiesz, że nie możesz iść do roboty, bo jesteś bosy. Czyja prawda? Twoja! Będziesz sobie siedział w namiocie i fasował chleb. Mam tu już takich.

- Buty można naprawić - zauważył Bożek ostrożnie.

- Naprawić? Czym? - major przyłożył dłoń do rozporaka. Tym?

Trzej mężczyźni stali milcząc. To już był koniec. Żadnego ratunku. Nie dostaną kawałka chleba. Trzeba będzie zdechnąć z głodu. Ale zdechnąć można różnie: można z godnością, z fasonem. Grało

się przecież kiedyś, grało
różne role, Myćko to
przedwczoraj przypomniał.
Zagrajmy raz jeszcze. Zagrajmy
pustogłowego młodzieńca,
ubranego jak z igły, z
kieszenia pełną forsy. Nie
potrzeba mi twojego chleba,
twojej łopaty, twojego
zakichanego namiotu. Ptak
niebieski jestem i muszę
uważać, żeby nie poplamzić
żółtych rękawiczek. Żeby nie
pobrudzić gliną lakierków. Nie
będę stał na baczość. Stanę
swobodnie, leniwie,
przechylony na bok (gra się
całym ciałem, pamiętaj), jedna
ręka wsparta na biodrze, usta
ironicznie uśmiechnięte.

Monolog:

- To świetnie. Znakomicie
się składa. Jednak z was fajny
chłop, towarzyszu majorze. Ale
ty, Heniek, jesteś pechowiec.
Żal mi cię, stary. Będziesz

musiał tyrać na tej cholernej
pustyni. Mówiłem ci, że uda mi
się jakoś od łopaty wymigać.
Cześć, wracam do Taszkientu.
Powiem im tam, że major
Borysow ma komendę gdzieś. Dla
niego rozkazy to lipa. Bo dla
mnie rozkazy to też lipa.
Dosyć mam tego "baczość
padnij". Zacznę życie wolnego
człowieka. Coś tak na mnie
oczy wytrzeszczył? - spytał
zdumionego Henryka.

Dobrze, choroba, być tak
czyściutko ubranym i mieć tyle
forsy w kieszeni. Durnie niech
śnią swój sen o łopacie.
Poświntuszę sobie dziś wieczór
nielicho. Ale najpierw zjem
kolację. KIlo chleba i cukier.

Borysow słuchał skupiony
monologu Bożka. Nie uśmiechał
się, nie wykazywał zdziwienia.

- Daj skierowanie -
powiedział nagle.

Schował je do kieszeni.

- Zostańcie. Zrobi się ciepło, podeschnie, to buty nie będą miały znaczenia. Tylko uważaj! Nie jesteś pierwszy ani jedyny, znam się na wszystkich waszych kawałach. ZInatulin!

Przyskoczył chudy, niski Tatar. Brzydka twarz wykrzywiła się czymś, co miało być skwapliwym uśmiechem. Dwa wystające żółte zęby poruszały się słuźbiście.

- Rozkaz, towarzyszu majorze.

- Bierz ich do swojego namiotu, Zinatulin. Daj im się nazreć, a od jutra - do roboty.

Zinatulin wysunął zębiska. Małe, podłużne oczka prześwidrowały ich groźnie.

- U mnie popracujecie jak lalusie!

- A ty umiesz coś? - spytał Borysow Henryka.

- Coś umiem, ale nie ma o czym gadać.

- Też jakaś łacina?

- Nie, gotowanie. Znam się na tym jak spec. Ukończyłem szkołę kulinarną w Mariupolu.

- Łże, skurwysyn! - zaopiniował ZInatulin i roześmiał się.

Borysow potarł wierzchem dłoni usta.

- Pójdiesz na kuchnię! Idź, łajdaku, na kuchnię. Jeśliś już raz w tamtą stronę spojrział, to przy łopacie się nie utrzymasz. KUcharz mówił mi, że chce pomocnika. Kulinarz zatracony! No, to świetnie, będziesz rąbał drzewo i mył kotły. Kulinarz! Dziś wieczorem dla wszystkich omlety i befsztyki z garniturem. Potem kompot i po dziwce na czterech.

- Na sześciu, towarzyszu
majorze - rechotał Zinatulin.
- Bydlę! - zwymyślał go
major. - Weź tego zdechlaka i
urządź go. Nie pomiataj nim,
mordo zakazana, bo to dobry
chłopak, zna łacinę. A teraz
won! Idę się golić. Muszę
nareszcie popatrzeć na jakąś
przyzwoitą twarz.

2

Ludzie już wychodzili do
pracy, kiedy Zinatulin
przyprowadził Bożka do
namiotu. Chociaż kurczyli się
z zimna, nie mieli zbyt
smętnych min. Uderzała raczej
ironia, czy nawet pogarda, z
jaką traktowali się nawzajem.
Wciąż sobie prawili drobne
złośliwości. Zinatulin
zagadał szybko jak kwoka:

- Mamy nowego, panowie
arystokraci. Zna łacinę i umie
fabrykować bańki mydlane. Jak
cię zwali? Bogdan? Jak zwali,
tak zwali, byle do pieca nie
wsadzali. To są twoi
koleżkowie, same łajdaki,
złodziejaszki i wrogowie
władzy radzieckiej. Będziesz
się między nimi czuł jak w

domu. Tylko uważaj, żeby ci
nie gwizdnęli twoich pięknych
butów. No, bohaterowie, do
roboty!

Został sam w mrocznym
namiocie z dyżurnym. Był to
czterdziestoletni ponurak,
jasnowłosy Rosjanin, o
twardych rysach twarzy i
zimnym wejrzeniu. Siedział na
łóżku i starannie oglądał szwy
swetra. Odłożył go i
uśmiechnął się z wyższością:

- Nie ma. Nie ma i nie
będzie. A ty masz?
- Teraz nie.
- Dezynfekowałeś ubranie?

- Tak.
- A koszulę prałeś?
- Dziś wypiorę.
- Nie pierz - uprzedził go dyżurny. - Do brudnej i wydezynfekowanej koszuli wszy nie poleżą. Na czystą od razu się rzuca. W nocy śpij nago. Dwanaście lat obijam się po więzieniach i obozach - i jeszcze mnie ta metoda nie zawiodła. Bez pudła!
Wstał z łóżka i wyciągnął do Bożka rękę.
- Poznajmy się, bracie. Nazywam się Łaboresznych.
- Bergen.
- Z polskich?
Bogdan skinął głową.
- Europa, bracie!
Wyglądasz jak jagniątko, uważaj, żeby cię nie zarżnęli i nie zjedli. Zinatulinowi nie wierz: tutaj łajdaków nie ma. Prócz niego, oczywiście. Wazeliniarz, donosiciel, złodziej, rwacz.
- A ty czym się zasłużyłeś?
- Podpaliłem śpichlerz kołchozowy. Zabrali mi konia, Krasotkę, do kolektywnego żłobu, nie wytrzymało moje serce, podłożyłem ogień. Ech, jak płonęło! Było na co popatrzeć. Dostałem karę śmierci. Zamieniono na dożywocie. Rok temu wypuścili

- wojna... Mam szczęście: gdyby nie wisiał na mnie wyrok, poszedłbym pod ołowiany deszcz. Jeść tam dają do syta, ale ja wolę mniej i z daleka od tego. Nerwy!...
Rozejrzał się po namiocie.
- Łobuzy, nie pościelili sobie. Hahn - (Łaboresznych wymawiał "Gagen") - specjalnie wszystko rozrzuca, żeby dyżurnemu nie zabrakło roboty. A po co mi robić? Od roboty

koń zdycha. Lepiej rozmyślać.

- O Krasotce?

- Czemu nie? Bez bata szła. Cmokniesz tylko - i w galop.

- Warto się tak rozczulać nad koniem? - obruszył się Bożek.

- A nad kim? Nad Zinatulinem?

Bożek nie odpowiedział. Łaboresznych poprowadził go w głąb namiotu.

- To będzie twoje łóżko, obok Uszera. On też z waszych, będzie ci rażniej.

Było to żelazne łóżko z prawdziwym materacem. Bożek siadł na nim, popróbował czy miękkie, i powiedział:

- Rozkosz.

- Tak mówisz?

- Komfort. Koców nie dają?

- Pierzynę i poduszki pod sufit - kpił Łaboresznych.

- Kto to jest ten Uszer?

- Osobistość legendarna.

Mamy go od kilku dni na liście, ale jeszcze się nie zjawił. Jak przyjedzie bez zaświadczenia, pójdzie pod sąd.

Bożek patrzył przez chwilę na puste łóżko. Dobrze, że go nie ma. Miał po uszy przyjaciół, kompanów, towarzyszy podróży. Chociaż jeden dzień otoczyć się samotnością, być panem siebie.

- Pójdę do magazynu po chleb - powiedział.

Przed wyjściem zdjął z nóg

wierzchy obuwia. Słońce wzbilo się wysoko, szron roztajał, glina zaczęła mięknąć, ale ciągnący od niej chłód wciąż jeszcze kłuł stopy.

Przestępując z nogi na nogę, Bożek przyglądał się jak Uzbek magazynier odkrawa mu porcję chleba. Zwilżył językiem

wargi. Co za pieczywo - białe,
pulchne, świetnie wypieczone.
Podając mu chleb magazynier
zapytał:

- A co Uszer? Jest?

Bożek oderwał skórkę od
chleba i zaczął ją żuć.

- Uszer? - Szybko rozważał
wszystkie za i przeciw. -
Przyjechał. Dziś rano.

- Powiedz mu: idź po
chleb. Za godzinę zamykam.

- Poszedł do roboty -
powiedział Bożek. Ale mogę dla
niego wziąć.

- Bierz.

Uzbek zajrzał do listy,
poślinił kopiowy ołówek i
odfajkował jeszcze jedno
nazwisko.

Potem Bożek leżał na łóżku
przyjemnie ociężały. W brzuchu
miał więcej niż kilogram
dobrze wypieczonego chleba. W
tej chwili niewiele już więcej
potrzebował. Był syty. Oszukał
Uzbeka, Uszera, anonimowe
państwo - i od razu się
najadł. O to przede wszystkim
trzeba zadbać, o pełny brzuch.
Żadnych skrupułów, żadnej
idiotycznej dobroci. Każde
odstępstwo od tego będzie
zwykłą słabością. Nikt się
nade mną nie ulitował - myślał
- wówczas, w Jangi_Julu, kiedy
zdychałem z głodu. Nie będę
jagnięciem z niewinnymi
oczyrna. Nie będę złodziejem,
bo nie potrafię. Ale będę
konsekwentnym egoistą. Zamknę
się we własnych potrzebach jak
w skorupie.

Przyjemnie było leżeć z
pełnym brzuchem, mieć w
ręczniku duży kawał chleba na

zapas i nie potrzebować go z
nikim dzielić. Nikt nie będzie
mu liczył kromek i kęsów.
Dobrze jest być bez tamtego.
Nareszcie się, do cholery,

odczepił. Leżę, rozmyślam
sobie - i nikt mi nie powie:
"Czego leżysz? - czego
rozmyślasz? - odsuń się -
przesuń się - idź - wróć".

- Bożek - usłyszał.

W namiocie stał Henryk.
Ruszał zuchwami jak koń. Na
szerokich policzkach miał
rumieńce - musiał się ogrzać
przy kuchni, nażarł się pewnie
też.

- Jak ci leci? - spytał
Henryk.

Bożek dźwignął się z
trudem z łóżka. "Dawniej
miałbym obowiązek powiedzieć,
że mam chleb. Teraz nie".
Zapytał:

- Najadłeś się?

- Niczego sobie. Jutro
wykombinuję ci miskę kartofli.

Nie powiem mu - przyrzekł
sobie Bożek.

- Nasz szef nazywa się
N~urnberg. Był oficerem Armii
Czerwonej. Jeszcze w Odessie
brał udział w walkach.

- Szkopów tu jest niemało.

- Ma ładną parę butów, ten
pan N~urnberg. Czterdziesty
drugi numer. W sam raz dla
ciebie.

I tak mu nie powiem. Chcę
mieć wszystko dla siebie.

- Mówię ci, co za facet! -
ciągnął Henryk. - Czuje się,
że to niemiecki nacjonalista.
Na pewno tak jest. Tutaj to
nie ma znaczenia, tutaj wszyscy
są równi. Ale to na pewno
nacjonalista, antysemita,
hitlerowiec. Jak pryśniemy, to
gwizdnę mu te buty.

- Pogadamy o tym -
powiedział leniwie Bożek.

Położył się na materacu i
przymknął oczy.

- Spać mi się chce.

Myślał: Idź już, idź do

diabła. Nie chcę wiać. Nie

będę się włóczył o suchym
pysku, kiedy tu dają
codziennie osiemset gramów
chleba. Dziękuję za buty. Za
wszystko dziękuję. Idź stąd,
bo chcę się zabrać do swojego
kawałka chleba.

Usłyszał szorstki głos
Łaboresznych:

- Daj chłopakowi pospać.
Może mu się mama z cyckiem
przyśni. Ja jestem stary
chłop, dwanaście lat się
włóczę po więzieniach i
obozach, a też lubię
rozmyślać. Po co się rozpychać
łokciami? Po co się pchać do
żłobu? Przygód ci się
zachciało? Bez draki w
zabijaki? Bierz przykład ze
mnie: spokój, bracie,
najważniejszy! Najlepiej być
dyżurnym. Pozamiata się i
można szyć, bić wszy,
wspominać. Miałem chałupę,
babę, konia. Wszystko
pamiętam, każdy sprzęt, każda
grudę ziemi przy zagrodzie.
Kolor wody w stawie. Uprząż
Krasotki tak widzę, że tylko
dotknąć. Popatrz na niego,
zamknął oczy, wspomina. To ty
idź, bracie, idź już stąd,
jeszcze co zwędzisz, a potem
będzie na dyżurnego. Nie pętaj
się po cudzych salonach.

Henryk wyszedł. Bożek
otworzył oczy. Zeskoczył z
łóżka, wyjął z woreczka chleb.
Nie był głodny, ale nie mógł
oprzeć się pokusie odrywania
kawałeczka po kawałeczku.
Lepsze niż mięso. Lepsze niż
czekolada. Lepsze niż
pocałunek dziewczyny.

Łaboresznych podszedł i
wyrwał mu chleb z ręki.
Roześmiał się:

- Nie buj się, nie zabiorę
ci.

I poradził poważnie:

- Schowaj.

- Bo co?

- Bo się rozchorujesz.

Powoli, bratku, z tym.

- Wiem, ale...

- Ale trzeba nad tobą dyżurnego.

U wejścia do namiotu stanęła mała, bosonoga Uzbeczka w podartej szerokiej sukience i wypłowiałej chustce na głowie. Na pewno nie miała jeszcze dziesięciu lat. W jej jasnobrązowej twarzy lśniły czarne, pokorne oczy. Stała z główką przechyloną na bok i dłonią wyciągniętą po jałmużnę.

Bożek pośpiesznie przykrył swój chleb ręcznikiem.

- Non - poprosiła dziewczynka. Głos miała chrapliwy.

- Ciekawe, co tam na froncie - odezwał się znudzony Łaboresznych.

- Przywożą tu jakieś gazety? - Bożek starał się podjąć rozmowę.

- Mają w jednym namiocie zrobić świetlicę. Ale naczałstwo chyba gazety dostaje.

- Non - dobiegło spoza namiotu.

- Z zimową ofensywą chyba koniec.

- Kwiecień, jaka tam już zima - zgodził się Łaboresznych.

- Póki ja byłem na froncie, szliśmy naprzód - powiedział Bożek.

- Musieli się Niemcy zwiedzieć, że cię już nie ma.

- Pojechałem do swoich.

- Non - dobiegło spoza namiotu.

- Do Polaków? - upewnił się Łaboresznych.

- Tak.

- No i po co?

- Zwyczajnie, swoi.

- Masz szczęście, żeś trafił tu. Spokojniej.

- Nie, to nie jest szczęście.

- Wolisz być polskim

trupem.

- Ktoś zginać musi.

- Ale dlaczego ty?

- Nie muszę od razu być

trupem. Front to loteria.

- Non.

- A ty, bracie, pierwszy do wygrywania, już to widzę.

- Chciałem się bić, ale nie dają. Nikt mi nie ufa.

- Non.

- Co ona mówi? - spytał Bożek.

- Mówi, że chce chleba.

"Non", to po ichniemu tyle, co chleb.

- Non - powtórzyła dziewczynka.

Nie dam ci chleba - pomyślał. - Mam, ale nie dam.

Dziewczynka milczała, ale nie odchodziła.

- Ten w magazynie to by jej dał - powiedział Łaboresznych. - Ale nie za darmo. Oni lubią takie małe dziewczynki.

- A co na to prawo? - spytał Bożek.

- Karze z całą surowością - ironizował Łaboresznych. - Co tam czekać, aż się prawo obudzi. Gdybym coś takiego zauważył, wsadziłbym od razu facetowi nóż w kiszki.

- Non.

No i skowycz sobie, nie dam ci chleba. MNie też nikt nie dał, jak zdychałem z głodu.

- Natrętna diablina - powiedział Łaboresznych. - No, poszła won!

Dziewczynka cofnęła się o krok sprzed namiotu. Rozwarła usteczka małe jak pyszczek zwierzątka.

- Ma oczy jak poczernione węglem - zauważył Bożek.

- MOże i poczerniła.

- Nie, naturalne.
- No i co powiesz, żeby
takie dzieci do rozpusty
używać!
- Idź sobie, idź -

odganiał ją Bożek.

Cofnęła się jeszcze o krok
i znów się zatrzymała.

- Uparty szkrab - odezwał
się Łaboresznych.

Dziewczynka wyciągnęła
rękę.

Nie dam. Wiem, co czujesz,
ale nie dam. Guzik mnie
obchodzisz!

- No, poszła! - krzyknął
Bożek.

- Non - szepnęła
dziewczynka.

Potem już nic nie mówiła.
Ale wciąż jeszcze stała.

Bożek odłamał duży kawał
chleba i wyszedł z namiotu.
Dziewczynka patrzyła na niego
szeroko rozwartymi oczyma, a
kiedy zbliżył się, wyrwała mu
prawie z rąk chleb. Zdażyła
coś szepnąć po uzbecku i
uciekła. Patrzył za nią, jak
chlupie chudymi, bosymi
nózkami po rozmiękłej glinie.

Kiedy wrócił do namiotu,
Łaboresznych leżał na wznak na
swoim łóżku i palił przyjemnie
pachnącego papierosa.

- Wracajmy do naszej
rozmowy - powiedział. - O czym
to była mowa? Nie pamiętasz? -
Wstrząsnął się nagle. -
Filantrop! Głupiec! Głupiec!

Bożek stał pośrodku
namiotu, między rzędami łóżek,
blady, z rękami skrzyżowanymi
na piersiach.

Jestem ostatnia, najgorsza
gnida - myślał z nienawiścią.
Łajno. Uczuciowe, kretyńskie
łajno.

Usiadł bez sił na łóżku. Z
trudem powstrzymywał się od
szlochu.

Nazajutrz rano przyjechał Uszer. Wynurzył się z porannej, zimnej szarości - przysadzisty, szerokoplecy, groźny, z ironicznym uśmiechem na obsypanej

piegami twarzy rudzielca. Miał na sobie sukienną kurtkę, a przez ramię przewieszony żołnierski worek. Stał przed namiotem, oceniając chłodnym spojrzeniem wnętrze.

- Nie podoba się? - spytał zaczepnie Łaboresznych.

Przybyły rzucił worek.

- Można się przyzwyczaić. Gdzie moje łóżko?

Zinatulin zaprowadził go pod ścianę namiotu. Uszer wymienił z Bożkiem uścisk dłoni. Miał chłop twardą, dużą łapę, także obsypaną piegami. Nie był piękny - nikt tu nie był piękny. Pociągła twarz o grubych kościach policzkowych, szeroki, spłaszczony po bokiersku nos, wypłowiałe brwi, ciemnozłote włosy wijące się kędziorami u samej skóry. Zostawił rzeczy pod opieką Bożka i poszedł do magazynu po chleb. Bożek obmyślał sobie tymczasem, co mu powiedzieć o tamtej porcji chleba. Nic mu nie powiem. Jeszcze każe mi zwrócić. Z czego zwrócę?

Wróciwszy do namiotu Uszer podszedł wprost do Bożka. Powiedział cicho:

- Ktoś wyfasował wczoraj za mnie chleb.

- Naprawdę?

- Tak. Niech diabli wezmą chleb - mogli przecież go nie dawać, ale jeśli już dawali, to należał się mnie.

- Właściwie to tak. - Bożek przysłuchiwał się

swojemu obojętnemu głosowi.

- Nie zauważyłeś, kto to zrobił?

- Nie.

Uszer rozwiązał worek. Wyjął z niego dwa pierożki i poczęstował Bożka.

- Masz, wcinaj. Ja na ten chleb gwizdzę - wracam z chałupy. U Gieni zawsze sobie podjem. Ale co ma jakiś łajdak tuczyć się moim kosztem?

Gdybyś ty to wziął, słowa bym

nie powiedział - jesteś chuchro, wygłodzony smarkacz, maminsynek z gimnazjum - słowa bym nie powiedział. Jak pierożek?

- Wyśmienity.

- MOja Gienia! Dzielna baba. Tyle że musi się z nią trochę popracować. Ale nie narzekam. Młoda - sam sok. Kto ten chleb, do cholery mógł wziąć?

- Nie wiem.

- MOże jeszcze pierożka?

- Nie, nie, dziękiKuję. Nie!

- Tym razem głos Bożka zabrzmiał nerwowo.

Uszer zawiązał flegmatycznie worek.

- Jak chcesz - mruknął i ułożył się do snu. Zgodnie z panującym zwyczajem miał prawo w dniu przyjazdu nie wyjść do roboty.

Prócz niego w namiocie został Hahn, dziewiętnastoletni, płowowłosy Niemiec, wałkoń o bezmyślnym spojrzeniu i zadartym nosie z rozdętymi chrapami. Kiedy gromadka wychodziła do roboty, Zinatulin przestrzegł go:

- Nie kradnij, Gagen.

Chłopak roześmiał się szyderczo.

- Oberwańcy! Co u was ukraść? Gówno spod materaca?

Do pracy szli po

podkładach niedawno ułożonej
linii kolejowej. Kreozot,
którym posmarowano bale
pokryty był ziarnistym
szronem. Bożek szedł ostatni,
boso, z pochyloną głową,
ostrożnie przestępując z belki
na belkę. Chłód kłuł stopy jak
igiełkami. Ręka drętwiała od
lodowatego dotyku kilofa. Ale
już nad ostrym kamiennym
łańcuchem gór rozlało się
czerwienią słońce i poplamiło
śnieżne szczyty. Będzie
cieplej - ucieszył się Bożek i
przyśpieszył kroku. Będzie
cieplej - znowu dostał chleb -

jest kilof, łopata, są tragi -
jest organizacja, aparat,
hierarchia - zaopatrują,
dostarczają, troszczą się.

Kroczący przed nim
Łaboresznych odwrócił się i
spytał:

- Zimno?

Było to pytanie
retoryczne, można je było
przemilczeć.

- Nic, słońce przygrzeje -
dodawał Rosjanin otuchy. I
zaraz zrezygnował z prób
pocieszenia: - Upieczesz się w
tych bryczesach.

Zinatulin, który szedł na
przedzie, powiedział z
widocznym zadowoleniem:

- A kraść Gagen spróbuje.
KIedy on dyżurny - bierz
wszystko ze sobą. Ja wziąłem -
pochwalił się.

- Okradnie - prawa ręka
utnij - odezwał się
Azerbejdżanin Hadżimuchamedow,
wysoki, czarniawy chłop w
olbrzymiej papasze. - Drugi
raz okradnie, prawa noga
utnij. Koniec będzie.

Łaboresznych zaśmiał się:

- W ten sposób pół
ludzkości o kulach by
kuśtykało. A naszego

Zinatulina na wózku trzeba by
było wozić.

- Zamknij gębę, swołocz -
warknął Zinatulin. - Dużo ci
zabrałem?

- O rety, to ty niby nie
bierzesz?

- Jeśli biorę, to nie u
swoich - urwał dyskusję Tatar.

Obok Bożka kroczył,
posapując, starszy, suchy
człowieczek. Przystępowanie z
belki na belkę sprawiało mu
trudność. Ale widać było, że
nie myśli się skarżyć. W
ustach trzymał wygasła fajkę.
Nagle zapytał:

- Bierfszy raz?

- Tak.

Bożka uderzyło to "bierfszy".
Kto to jest. Tatar? Mógł być

Tatarem. Miał wąskie oczy i
rzadki, siwy zarost. Potem
usłyszał:

- S taleka?

Pyta, czy jestem z daleka.

- Z Warszawy.

Stary coś mruknął. Potem
zaczął się dopytywać:

- Ociec tam? Mutter tam?

Bożek potwierdził. Stary
kręcił głową z dezaprobatą.

Przybyli na miejsce. Roiło
się tu już od ludzi z innych
brygad. Stanęli wzdłuż
rozrytego w ziemi wawozu.

Mieli wkopywać się w niego
dalej, a ziemię przenosić na
drugą stronę toru.

- Będziesz nosił tragi z
Wernerem - powiedział do Bożka
Zinatulin i wskazał na
starego.

Bożek spojrział na starego.

- Werner? - spytał.

- Ja. - Stary uśmiechnął
się niepewnie.

- Niemiec?

- Ja, ja.

Stary wciąż uśmiechał się
tak samo.

- Wyglądasz jak Żyd -
powiedział Bożek.

- Ja, ja - powtórzył
Werner. Ale przestał się
uśmiechać.

- Wyglądasz jak stary,
zbity Żyd - mówił teraz po
polsku Bożek. - Ein Jude,
zrozumiałeś? Nieszczęśliwy
Jude.

- Ja, ja - powtarzał
Werner. - Żydzi, Niemcy,
Polen, Russen, alles Dreck.
Warschau - piękne miasto.
Ociec tam? No, widzisz.

Bożek nie rozumiał, co ma
"widzieć". Wołyński,
osiemnastolatek z Białej
Cerkwii, rzucał im na tragi
gliniastą ziemię. Rozsypywała
się na kleiste grudki, z
których wypełzały zaspiane
dżdżownice. Werner stęknął i
pochylił się nad tragami.

- Also, do ropoty -

powiedział.

- Do roboty - powtórzył
Bożek.

Krażyli z tragami jak w
kieracie. Werner prowadził -
Bożek szedł za nim. Stąpali po
nierównym gruncie, wznosili
się i opadali, szepieni
tragami jak uprzężą. Werner
trzymał w ustach wygasły
cybuch i mrucał.

- Alles Dreck. Rodzina
tam? No widzisz. Tak to jest.

Bożek milczał. Patrzył na
pochylone, szczupłe plecy
Wenera, na suchy, twardy kark
porosły siwymi włosami i
myślał: Stary głupcze.
Wyglądasz jak nieszczęśliwy
Żyd. Nigdy nie myślałem, że
będę ze szkopem nosił tragi,
że będziemy razem wyrabiali
normę. Twój rodacy mordują
teraz może moją matkę. Dręcza
moją ojczyznę. A ja tu z tobą
przy robocie. Powinienem ci

napluć w ten stary kark. Tak
uczają twój. Ale jesteś stary,
biedny, nieszczęśliwy. Masz
rację: Polen, Russen, Juden,
Deutschen - alles Dreck.

Wszyscy możemy być
nieszczęśliwi.

- Zapalić! -
zakomenderował Zinatulin.

Rzucił łopatę, otarł pot z
czoła. Pracował zawzięcie, nie
wymigiwał się - może dlatego
tolerowano jego wodzostwo.

Zapytał Wenera:

- Jak chłopak? Nie nawala?

- Nie, pahlzo topsze -
pochwalił Wenera.

Rozsiedli się. Bożek
zrzucił szynel, słońce
przygrzewało coraz mocniej.
Wenera zapalił fajkę. Pykał w
milczeniu, potem odezwał się:

- Topry robota. Lubię
topry robota.

Łaboresznych skrzywił się
pogardliwie.

- Wy, szkopy, macie źle w
głowie. To "robota lubię", to
"wojna lubię", to inne jakieś

świństwo.

- MOja lubię kobieta -
odezwał się poufny tonem
Azerbejdżanin i wyszczerzył
zęby. - Dobra baba, szeroki
zad, gruby noga.

- Znalazł się amator miodu
- rzekł Zinatulin. - Za darmo
ci nie da. Masz luzem
osiemdziesiąt deka chleba? Za
osiemdziesiąt deka możesz mieć
w Angrenie każdą dziwkę.

- Osiemdziesiąt? Cały
norma? - zdumiał się
Hadżimuchamedow. - Drogo.

- Ma rację - zgodził się
Łaboresznych. - Za normę
chleba sam się dam wyrypać.
No, kto pierwszy?

- Nieładne słowa -
zgorszył się Wenera.

Rosjanin Wasiljew,

pięćdziesięcioletni murarz o
melancholijnym wejrzeniu, też
był zgorszony.

- Wszystko to, Werner,
nowe czasy. Ani Boga, ani
moralności, ani strachu.

- Nie lej przez wierzch:
strachu to nie brak - zauważył
kwaśno Łaboresznych.

- Ty się już niczego nie
boisz!

- A czego jeszcze mam się
bać?

Wszyscy się zgodzili:
teraz już nie ma się czego
bać.

- Mówię o strachu przed
własnym sumieniem - powiedział
Wasiljew.

- Ech, to ty o tym?
Zapomnij. Niepotrzebne. Do
śmietnika z naszym sumieniem!

- Wo, wo! - wykrzyknął
Wasiljew. - Tobie w to graj. A
ja chcę je mieć, to swoje
sumienie. Wciąż się w nie
wsłuchuję. Wolę z sumieniem w
tajdze niż bez niego w Paryżu.

- W Paryżu! Zasunął! Gdzie
on teraz ten twój Paryż?
Szkopy po nim depcą, jak chcą.
A sumienie co? Milczy. Zdechło
na uwiad starczy.

- Paryż każdy ma w sercu -
mówił tonem wtajemniczenia
Wasiljew. - Dawniej był
wszędzie. Na stepach, w tajdze
czy nad Wołgą. Nie znano
maszyn, kina, agit_punktów,
różnej podobnej rozpusty.
Przyszedł do wsi kuglarz w
pstrokatych portkach - wszyscy
się cieszą, oczy pasą bardziej
niż drudzy baletem w Teatrze
Wielkim. A dlaczego? Bo ludzie
nie zepsuci. Myślisz, że
człowieka kiedyś nasycisz?
Jemu im więcej dasz, tym
więcej będzie chciał.
Człowiekowi, powiadał Lew
Nikołajewicz, hrabia Tołstoj

znaczy, przystoi żyć w
prostocie, bez elektryczności,
bez maszyny. Wszystkim by się
cieszył. Sam łapcie robi, sam
sukno utka, sam płótno
wybieli. Ty jednemu zrobisz
podkowę, a on ci za to
zegarek. Zrozumiałeś? I
żadnego uganiania się. Gdzieś
się urodził - tam i umierasz.
Znasz swój los, swoją ziemię,
Boga kochasz i on ciebie.
Maszyna wszystkiemu winna.

- Bajubaju - drwił
Łaboresznych. - Wiesz, kiedy
tak było?

- No?

- Za Mamali. Kiedy kapustę
kutasem łamali.

Wołyński wybuchnął
śmiechem.

- Te, komsomolec! -
rozzłościł się Wasiljew. - Dla
ciebie wszystko pośmiechujki.
Skąd ci coś poważnego
rozumieć? Wyście Boga dawno
opuścili. A kto wie, może to
On mści się?

- Za socjalizm? - spytał
kaśliwie Wołyński.

- Zapytaj go, to się
dowiesz. Po mojemu, za
maszyny. Bóg przykazał nam w
pocie czoła pracować. Tak jak,
powiedzmy, tu. Miał Bóg swoje
monopole. To ludzkie, a tamto
boskie, a od boskiego

człowiekowi wara. Ty,
człowiecze, uprawiaj ziemię -
a cuda należą do mnie. A co
robi maszyna, jak nie cuda?
Wsadzisz świniaka, wychodzą
gotowe kiełbasy. Naciskasz
guzik - i wznosisz się w
powietrze. Naciskasz inny
guzik - mówi Moskwa. Na co się
człowiek ważył!? Bogu wydziera
władzę! Jego to, myślisz, nie
boli? Alboż to on bez ambicji?
A grzech czyj? Nasz grzech!
Maszyna winna. Gdyby ją

zniszczyć, Bóg by się
rozjaśnił.

- Dolary by przysłał -
zauważył Wołyński.

- Makaron.

- Jeszcze by mięsa
dorzucił.

- Buty.

Ktoś:

- Gdyby zamiast tych łopat
była dobra koparka, ja bym na
taki grzech poszedł.

Zinatulin wstał.

- Do roboty! Filozofy,
cholera!

Bożek i Werner podnieśli
się. Bożek mruknął do Wenera:

- A hrabia Tołstoj lubił
się fotografować. I słuchać
płyt z fonografu. A jak uciekł
z Jasnej Polany, to wsiadł do
pociągu, a nie na osła.

Werner zwierzył poufnym
szepem swoją myśl:

- Maszyna nie niszczy. Ja
miał maszyna - elektryczny
bormaszyna - topry maszyna.
Dlaczego niszczyć? Topry
maszyna, nie wolno niszczyć...
Also, arbeit! - zakończył.

Stary schylił się po tragi
i stęknął. Ale po chwili
przestał postękiwać. Wprawił
swój organizm w jednostajny
ruch: naprzód - po grudach - w
górze - w dół. I tak w kółko.
Wstępujesz i zstępujesz. Niebo
zalewa na chwilę oczy i od
razu ucieka, zapada się w
gliniaste grudy, po których
pełzają dżdżownice. Ten stary

nie czuje ciężaru w dłoniach.
Ręce ma suche, same ścięgna,
jak postronki.

Bożek zazdrościł mu tego.
On sam pracował z coraz
większym trudem. Czuł rosnącą
słabość w całym ciele. Każdy
krok stawał się ryzykiem. Ale
najgorzej było z dłońmi: z
trudem zaciskał je na rączkach

trag. Palce - szczególnie
prawej ręki - powoli się
rozwierały, jeden po drugim.
Zaciskał zęby. Jeszcze
kawałek. Jeszcze krok. Nie
doniosę. Jeszcze kawałek.
Będzie wpadunek. Stary
rozzłości się. Powie, że nie
chce ze mną pracować. Każą mi
iść precz. Borysow przepędzi
mnie. Palce wciąż się
rozwierały. Chleb - chleb -
ratować swój kawałek chleba.

- Stój! - krzyknął Bożek.

Niemiec zatrzymał się.
Rączka trag wysunęła się
Bożkowi z dłoni. Zdażył
podstawić kolano i podtrzymać
nim tragi. Chwilę w tej
pozycji wypoczywał.

- Idziemy - mruknął.

Ponieśli tragi na miejsce,
wysypali ładunek.

- Dłoń mi się rozwarła -
tłumaczył Bożek.

Werner nie odpowiedział.
Szli z powrotem z pustymi
tragami. Ten tępy Niemczura
pędzi przed siebie jak
nawiedzony. Bożek starał się
hamować tempo. Odpocząć,
trochę odpocząć, zrozum, mein
liebe Werner, jestem
osłabiony, szmata, nędzarz.
Stary piernik, szkop
zatracony, frajer nieszczęsny
- co nim tak pogania? dokąd
się spieszy?

- Czego was tak długo nie
było? - spytał Wołyński.

- MOże chcesz trochę
ponieść? - zaproponował Bożek.

- A ty będziesz kopał? -
naskoczył Zinatulin. Czuwał,
łajdak! - Nie będziemy przez

ciebie wszyscy stali. Ładuj,
komsomolec!

KOpać trzeba bez
wytchnienia, ci z tragami
napierali, ustawiali się w
kolejce: Łaboresznych z

Wasiljewem, Hadżimuchamedow z Blichsztajnem i Trzciński z Gilmanem.

- Dosyc - powiedzial Bozek - przypatrujac sie tragom.

- Syp, syp! - komenderowal Zinatulin.

- Syp - zgodzil sie Werner. - Norma trzeba.

Z lekciem siegnal Bozek po tragi. Podniosl je z trudem. Kiedy opuscil rece, napiely sie pod ciężarem jak struny.

- Idz - szepnal.

Werner szarpnal. Nałożyli, dranie, bez wyczucia. W rękach roslo bolesne napięcie.

Nosilem gasior z woda - przypomniał sobie - z Młynarskiej na Nowolipie - mogłem wtedy rąbnąć nim o ziemię, jeszcze by mnie mama pogłaskała. Nie zrobiłem tego, miałem krzepę. Co się ze mną stało? Co ze mną będzie? - myślał zrozpaczony. Ten stary Niemiec, który zna tylko jedno - arbeit, arbeit - zaraz się wścieknie.

- Stój! - zawołał Bozek.

Z trudem łapał oddech.

Znowu to samo. Werner stanął posłuszny i cierpliwy jak koń, spokojnie czekał, aż Bozek podniesie tragi z kolana.

- Naprzód - odezwał się wreszcie Bozek. - Znowu dłoń - tłumaczył - rozwiera się.

Następnym razem nie zdążył chwycić opadających trag na kolano i cały ładunek wysypał się. Werner wyjął cybuch z ust i mruknał zgorszony:

- Nietopsze.

- Co ci niedobrze? - rzucił się Bozek. - Nie mam sił!

- Nietopsze. Norma trzeba. Ropota.

- No to co, że robota? Nie mam sił. Nie widzisz tego? Jak

sobie podjem, trzech takich
jak ty zakasuję!

- Ty mlody. Ty duszo sila.
Ja stary szelowiek. Ociec
taleko - nietopsze.

Bożek nie odpowiadał.
Werner kiwnął głową.

- Also... wracajmy.
Rzucili tragi przed
Wołyńskim.

- Sypnij jeszcze raz. Ale
nie szalej, miej sumienie -
poprosił Bożek. - Nie idzie
mi.

Tym razem ponieśli trochę
mniej ziemi. Ale poszło
niewiele lepiej. Osłabienie
rosło, dłonie były bezsilne i
Bożek znowu opuścił tragi na
ziemię.

Wrócili w milczeniu do
wykopu.

- Co z wami - orły? -
spytał Zinatulin.

Werner rozłożył ręce.
- On nie mosze. Całkiem
sila nie ma. Jak dzecko.

- "Dzecko"? On - szydził
Zinatulin. Zajrzał Bożkowi w
oczy złym spojrzeniem
mordercy. - Markierujesz?
Zwolnienie chcesz? A my za
ciebie będziemy żyły wypruwać?

Bożek osunął się na
rozmiękkłą glinę.

- Nie mam sił - powiedział
cicho. - Głodowałem.

Zbliżyli się
Hadżimuchamedow i Blichsztajn.

- Tamam? - spytał
Azerbejdżanin. - Robota
koniec? - wsadził sobie do ust
zieloną kulkę tytoniu do
żucia.

Blichsztajn wywodził
śpiewnie, jakby czytał
modlitwę:

- Bo po co taki młody,
delikatny chłopak bierze się
do łopaty? On powinien uczyć
się, on powinien czytać, on
powinien być mędrcelem.

Otoczyli Bożka kołem.

- No i co teraz, brachu? -
pytano go. - Nikt tu za ciebie
odwalać nie myśli.

Bożek podniósł głowę.

- Ja was o to nie proszę -
powiedział. - Pójdę do
naczelnika i powiem "nie mam
sił".

- Idź, idź - kpił
Blichsztajn - dostaniesz
medal.

- Nie wiem, co dostanę.
Powiem mu, żeby mi dał dwa dni
wytchnienia. Muszę się
wzmocnić. Jestem wycieńczony
głodówką.

Zapadło milczenie.
Przerwał je Zinatulin:

- No to marsz!

- Tylko że Borysow każe mi
wracać do Taszkientu.

- Tego się boisz? -
Blichsztajn roześmiał się. -
Chciałbym, żeby mnie tak
kazał.

- Mam już dość włóczęgi.

- Nie idź do Borysowa -
poradził Zinatulin. - Idź do
dowódcy kompanii. Werner, jak
on się nazywa? Jakoś po
waszemu.

- Herr Leutnant?
Steinkopf.

- Idź do niego. To taki
książkowy facet. Coś dla
ciebie. A tu nie siedź - tu
każdy ma swoje kłopoty.

Bożek dzwignął się.

- Gadasz, jakbyście byli
wilkami.

- A nie jesteśmy?
Jesteśmy! Albo ty nas zjesz -
albo my ciebie.

- Nie strasz go -
powiedział Łaboresznych. -
MOże nie jest tak źle.

- Z kim teraz będę nosił?
- spytał Werner.

- Ze mną - zdecydował
Zinatulin. - Wołyński sam
nakłada.

- Niech was kij zastrzeli!
- warknął Wołyński. - Wszystko
przez tego pętaka!

- Rób, rób, komsomolcze!

Ojczyzna nie zapomni.
- Wypchaj się.
- Czego tu jeszcze stoisz?
- spytał Zinatulin Bożka. -
Rozprężenie wprowadzasz.
Rozkład.
Odchodząc Bożek słyszał
roztrząsania Wasiljewa:
- Czasy niemoralne...
Maszyna... Bóg... Sumienie...
I jeszcze głos Wenera:
- Ociec taleko Warschau -
piękne miasto. Alles kaputt.
Bożek wspiał się na nasyp
i powoli wracał do obozu.

4

Stuk kilofów cichł. Stopił się z gwarem ludzkim i szumiał za plecami jak brzozy las przy podmuchu wiatru. Jeszcze jeden utracony świat. Jeszcze jedna przystań, którą trzeba porzucić.

Dokoła stały kamienne, niewzruszone góry. Ich szczyty tonęły w ciemniejących chmurach. W dali widniało miasteczko namiotów. Tak niewiele potrzeba: namiot, materac, chleb. Tak niewiele żądają: powalęsać się trochę z tragami, tam i z powrotem, w górę i w dół.

Usiadł na torze. Spojrzał na swoje ręce. To te niezdarne dłonie wszystkiemu są winne. Kiedy wola napinała się, kiedy wszystko w nim krzyczało "wytrzymaj!" - te wychudłe paluszki rozwierały się jeden po drugim. I teraz koniec. Nie było nadziei.

Łowił uchem odgłosy dochodzące z wawozu. Szumiało jak liśćmi brzoź. Rzucają na tragi lepka, gliniasta ziemię. Rozpierzchły się spłoszone dżdżownice. Widział teraz tylko te dżdżownice -

bezradne, głupie żyjątka.
Wołyński przecina je ostrym
zeleźcem łopaty.

Przez chwilę myślał o tym,

że nie powinni go może byli
przepędzić. Ale nie dziwił
się. Nie było w nim nic
takiego, co by miało ich od
tej decyzji powstrzymać. Nie
podołał im się ani mniej, ani
więcej niż ten czy ów.
Dlaczego? Mógł im się przecież
spodobać. Mogli sobie
powiedzieć: "Wyjątkowy
chłopiec. Pomożemy mu". Albo:
"Utalentowany gość". W jakimś
francuskim filmie włóczęga
dostawał owoce i jajka za
opowiadanie baśni. A potem
Viviane Romance zostawiła
gościa i wzięła chłopca do
siebie. On też mógłby
opowiadać historyjki. Mógłby
coś zagrać, wyrecytować. W
amerykańskich filmach włóczędzy
mają szczęście: znajdują forszę
albo zaproszenie, albo ratują
jakiegoś bogatego faceta.
Dlaczego tu nic się nie
trafia?

Nie potrzeba mi szczęścia.
Nie żądam żadnych
szczególnych względów! Niech
los wypłaci się uczciwie za
to, co daję z siebie. Idę do
pracy - więc bez figlów, bez
rozwierania palców, bez
podstawiania nogi. Jeśli
cierpienie to zostało
wymyślane dla pogłębienia jego
własnej sztuki - to już dość!
Dość! Wiem wszystko! Wiem, że
cierpienie jest bezgraniczne.
ŻE sztuka jest niepotrzebna.
Wiem, co to jest być na dnie.
Chcę już tylko przetrwać -
żeby wrócić. Żeby powiedzieć
kilku ludziom, najbliższym:
"Teraz wiem wszystko".

Siedząc, trącał bosymi
nogami kamyki na torze.

Skrupulatnie raz jeszcze
obliczył, co by mu zapewniło
znośną egzystencję. Ile masła,
mięsa, kartofli. Chleba -
kilogram dziennie. Reszta jest
nieważna. Wszystkie te
ambicje, próżności, rozgrywki,
którymi ludzie dotąd się

przejmowali. Produkt sytości.
Nadbudowa znudzonych. Ale
nieodmiennie wracało jedno
pragnienie: dziewczyna. Jakieś
wielkie kochanie. I nie tyle,
żeby on kochał - bo i tak
przepełnia go ogromne uczucie
miłości - do sponiewieranych -
niech będzie, że do samego
siebie, dobrze - ale zawsze...
Żeby ona umiała kochać jego.
Pozwalają mu zdychać z głodu,
pozwalają mu dręczyć się,
chodzić boso, upokarzają go i
depczą, jakby był mrówką. Ktoś
kiedyś będzie go musiał za to
pokochać.

Krzyknął. Nie mógł zdusić
w sobie tego pragnienia krzyku
- tu, na pustkowiu, gdzie nikt
nie mógł go podpatrzeć i
usłyszeć. Zerwał się z szyn i
krzycząc biegł po torze, bosy,
w szynelu. Potknął się
boleśnie i upadł. Od grubego
palca u nogi strzelał przez
całe ciało jątrzący ból.
Piekły dłonie. A jednak dobrze
było leżeć na kamienistym
torze, przymknąć oczy i
słuchać dalekiego szumu. Gruda
gliny spadła na tragi.
Rozpierzchły się dżdżownice.
Dżdżownice, potoki dżdżownic
wpełzają do oczu.

Już nie chciał krzyczeć.
Zdrętwiał, przestał rozmyślać.
Czy spał? Nie, chyba nie -
choć w ustach czuł słodkawy
smak, jakby dopiero co wrócił
z sennego, ciepłego pokoju,
pełnego miękkich, starych
mebli. Kropla deszczu, która

plusnęła na bosą piętę,
poderwała go. Dźwignął się
zmęczony, jak po długotrwałej
walce na pięści. Wydawało mu
się, że ma opuchniętą twarz.
Naprawdę miał tylko
pokrwawione dłonie i obolały
gruby palec u prawej nogi.

Starał się iść równym,
szybkim krokiem. Wykrzyczał
się i teraz nie czuł żadnych
emocji. Zupełnie jakby coś z

siebie wyrzucił. Krople
deszczu cięły go po twarzy.
Postawił kołnierz płaszcz.
Pomyślał chłodno: Powiem mu,
żeby spróbował mi dać dwa dni
odpoczynku. Tylko tyle. Chyba
się zgodzi. Ktoś wreszcie musi
się zgodzić.

Deszcz wzmógł się. Bębnił
o belki podkładów i spływał w
żwir ociekający gliniastym
zimnym sosem. Za betonowym
mostem, na którym przerwano
pracę, minął namiot inżyniera
Sitnikowa. Inżynier stał u
wejścia, trzymał w dłoni
grubego skręta i gwizdał
piosenkę o wesołym wicherze.
Nie widział Bożka, wpatrywał
się w most. Skurwysyn
najedzony - ma szczęście, że
stawia mosty tu, a nie na
froncie - może sobie
pogwizdywać, łajdak!

Człapiąc i ślizgając się
po rozmokłej glinie, dotarł
wreszcie do czarnego namiotu.
Stał przez chwilę w ciemnym
jego wnętrzu, drżąc z zimna.
Płaszcz i futrzana czapka
ociekały deszczem. Zrzucił je
i pobiegł skurczony do swojego
łóżka.

Uszer rzucił mu sweter.

- Włóż go na chwilę.

Bożek wciągnął sweter i
zabrał się do wycierania nóg
podartą onucą. Uszer
przypatrywał mu się w

milczeniu. Potem wskazał na
łóżko, na którym z cicha
postękując spał Hahn, i
powiedział:

- Zrobiłem go na szaro.

Bożek nie zrozumiał.

- Skułem mu mordę, bo
powiedział, że jak przyjdzie
czas, to nas wszystkich
wyrznie.

- Hitlerowiec?

- Kretyn.

Uszer nachylił się nad
Hahnem i spytał go po
rosyjsku:

- Jak zęby, łobuzie?

- Odwal się - warknął

Hahn.

- Chcesz czegoś?

- PIć.

Uszer podał mu kubek wody.
Hahn wypił, zwrócił kubek i
powiedział:

- I tak na was wszystkich
przyjdzie kryska. - Położył
się i chwycił za głowę: - O
rany, aleś mnie urządził.

Uszer wydobyl menażkę spod
łóżka. Podał ją Bożkowi. Były
tam kartofle, jeszcze ciepłe.

- Co to jest?

- Dla ciebie. Przyniósł
jakiś jeden, nieźle odpasiony.
Twój przyjaciel?

- Był nim.

- Już nie?

- Nie.

Uszer podrapał się w
głowę.

- PIerożka nie chcesz?

Bożek namyślał się.

- Za kartofle? - spytał.

- Za nic.

- Nie chcę.

Uszer westchnął. Bożek
usiadł na łóżku i jadł. Nagle
podniósł głowę.

- Ty, Uszer... MOże byś
się przysiadł? Bierz łyżkę.

Uszer nasłuchiwał.

- Przestaje padać -

powiedział.

Bożek zwrócił mu sweter,
nałożył płaszcz. Stał u
wejścia przyglądając się
żółtym strumieniom, które
pędziły po gliniastym gruncie.

- Nie wychodź, poślij
Niesz się - uprzedził Uszer.

- Muszę.

- Odlej się z progu.

- Nie chcieli ze mną

pracować - powiedział Bożek.

- Nie chcieli?

- Tragi wypadły mi z rąk.

Dam radę, ale za kilka dni.

Wiesz, że grałem w
reprezentacji szkoły? Na środku
pomocy. Nie wierzysz? Muszę
iść do porucznika Steinkopfa.
Powiem mu wszystko. Niech coś

ze mną zrobi. Co chce...

Uszer uśmiechnął się
zakłopotany. Przesunął kilka
razy ręką po zarośniętym
złotawą szczecina policzku.

- Powoli, powoli. Po pierwsze
- jutro możesz być dyżurnym. A
pojutrze... Co się martwić o
pojutrze? No nie?

Bożek próbował się
uśmiechnąć. Nie był pewny, czy
mu się to udało. Dotknął
bosymi stopami śliskiej i
zimnej gliny za namiotem.
Deszcz przestał padać.
Rozjaśniło się, chmury pędziły
na północ. Znow wyłoniły się
śnieżne szczyty gór, a niebo
było błękitne i nieskończone.

Rozdział III

1

Porucznik Steinkopf był
przystojnym, starannie
uczesanym szatynem o
regularnych rysach twarzy,
łagodnym podbródku i smutnych
zielonych oczach. Nosił czysty
sukienny mundur, o wiele

lepiej skrojony, niż Bożek na ogół widywał. MUsiał go szyć jeszcze przed wojną u jakiegoś solidnego niemieckiego krawca z miasta Engels, potem prawdopodobnie brał udział w walkach (nad klapą kieszeni wisiał srebrzysty medal), aż wreszcie, jako Niemiec został odesłany tu, na pustynię.

Porucznik mówił dobrze po rosyjsku. Zapytał najpierw Bożka o nazwisko, a potem powiedział spokojnie: "słucham was". Bożek odetchnął.

Nareszcie ktoś, komu się nie spieszy, kto nie wrzeszczy, nie traci panowania nad nerwami. Po raz któryś już dzisiaj Bożek poskarżył się:

- Musiałem rzucić pracę.
Ręce nie wytrzymały. -
Powiedział cicho, trochę zawstydzony: - Dużo

głodowałem.

- Hm...

- Ale dam radę. Tylko muszę odpocząć. Dwa dni zwolnienia. Jeść i nabierać sił.

- Tak myślicie?

Pracowaliście już kiedyś fizycznie?

- Grałem w futbol w reprezentacji szkoły. Na środku pomocy - dodał, jakby to było szalenie ważne.

Steinkopf milczał.

- Uprawiałem lekkoatletykę, koszykówkę. Pracowałem też: na szosie i w kołchozie.

Porucznik stukał ołówkiem w pulpit biurka. Był to stolik pokryty błyszczącym zielonym kartonem. Znajdował się na nim kałamarz i trochę równiutko ułożonych papierów.

- Ile dni zwolnienia? - spytał Steinkopf.

- Tylko dwa. Inaczej nie

dam rady i major Borysow
odeśle mnie z powrotem do
Taszkientu.

Steinkopf nie odpowiadał.
Spoglądał smutnymi oczyma w
okno.

- Znowu będzie lało -
odezwał się.

- Chyba tak.

Porucznik przechylił się
przez stół i spojrzał na nogi
Bożka.

- Nie macie obuwia?

- Nie.

- Boso w takiej glinie nie
można pracować.

- Pracowałbym, gdybym
tylko miał dość sił...

- Nie, nie. Boso nie
można. Ślisko...

Porucznik skręcał sobie
papierosa. Używał nie gazety,
lecz prawdziwej bibułki.
Pochwycił spojrzenie Bożka i
spytał:

- Zapalicie?

- Nie palę.

- A dlaczego właściwie nie

siadacie? Przez szacunek dla
przełożonego? Dla porucznika,
białej rączki? MNie,
komuniście Steinkopfowi,
Niemcowi znad Wołgi, jest
pierwszorzędnie - tak
uważacie, nieprawda?

- Nie umiem odpowiedzieć.

- Chcielibyście się
znaleźć na moim miejscu?

Bożek patrzył niespokojnie
na porucznika. Gada jak
obłąkany. Dostroję się do
niego - postanowił. Zagram
nieprzytomnego faceta.

- Chciałbym, żeby wojna
się skończyła!

- Ja was pytam: czy
chcielibyście być porucznikiem
Steinkopfem?

- Czemu nie?

- Chcielibyście być
Niemcem?

Jest całkiem normalny - pomyślał Bożek. Miał już na ustach twarde "nie". Nie chce być Niemcem! Ale w ostatniej chwili przyszło mu do głowy co innego.

- Ja mam gorzej niż wy. Jestem Żydem i Polakiem równocześnie.

Porucznik kiwnął głową.

- Tak, to bardzo nieszczęśliwa kombinacja. Tylko że to jeszcze nie powód do wstydu.

Teraz nastąpiło kłopotliwe milczenie. Porucznik popatrzył w okno. Powtórzył:

- Będzie lało. Doprawdy nie wiem, co z wami zrobić.

- A przecież Engels... Goethe... - próbował go pocieszać Bożek.

- Dajcie spokój - przerwał mu Steinkopf.

Wydawał się już całkowicie opanowany. Tylko miękkie palce trochę mu latały. Takimi palcami - myślał Bożek - też dużo nie napracuje.

- A więc chcecie dwóch wolnych dni. Nie mam podstawy, żeby ich wam udzielić. Lekarz

również tego nie robi, trzeba mieć gorączkę. Ale możemy zrobić coś innego. Umiecie pisać po rosyjsku?

- Umie.

- Czy macie ładny charakter pisma?

- Postarałbym się.

- Nasz pisarz zachorował na czerwonkę. Jest w szpitalu. To Tatar, Fajzisiejew. Za dwa dni wraca. Przez te dwa dni możecie go zastępować. A potem... potem zobaczymy, kto lepszy. Może on ustąpi dobrowolnie i zostaniecie pisarzem kompanijnym.

- Byłbym szczęśliwy.

- On ma buty, ten

Fajzijek, mógłby iść do gliny.
- Steinkopf wypuścił z ust
kłąb dymu i mrugnął
porozumiewawczo.

- Czy mogę trochę popisać?
- spytał Bożek.

Porucznik dał mu
zestawienie do wypełnienia.
Bożek usiadł przy stoliku,
zamoczył pióro w kałamarzu.
Już dawno nie było mu tak
dobrze. Żeby tylko nie zrobić
kleksa! Ależ ma niezgrabne
ręce. Jak pierwszoklasista.
Ale jakoś to idzie.

Steinkopf zajrzał mu przez
ramię.

- Nieźle - powiedział.
- Skąd taki świetny
papier? - zachwycił się Bożek.
- Stare zapasy.
- Rozkosz - nie pisanie.
- Słyszałem o większych
rozkoszach.

Bożek zerwał się.
- Towarzyszu poruczniku!
Ja... muszę to komuś
powiedzieć. Mam tu kompana,
niepokoi się. Jednym słowem,
jutro raniutko zaczynam.

Steinkopf poprawił na
sobie pas. Na pożegnanie
powiedział:

- Z opowiadaniem
ostrożnie, żeby wam nie
wyrosły ośle uszy - wiecie, z

tej legendy o królu Midasie.
Salutujecie bardzo niedbale.
Zasalutujcie jeszcze raz.
Trochę lepiej... I proszę się
nie spóźniać!

2

- Heniek, będę pisarzem! -
wybuchnął Bożek, kiedy tamten
odwiedził go w namiocie. -
Będę pisarzem kompanii. Przy
lżejszej pracy to porcja
chleba starczy mi na cały
dzień. Nabiorę sił, Heniek.

Heniek, braciszku - codziennie papier i atrament! Heniek!

Uszer leżał na łóżku i śmiał się cichutko.

- Ma chłop szczęście - powiedział. - Nareszcie coś dla niego.

Bożek nie mógł ochłonać z entuzjazmu.

Henryk ćmił grubego papierosa. Nie żałował teraz sobie. Ci w kuchni zawsze fasują najwięcej tytoniu. Bliżej wody, prędsiej się zmoczysz. Obrzękłymi wargami ssał nerwowo koniuszek gazety, z której skręcony był papieros.

- Ja mam dla ciebie coś innego - powiedział.

- Dobrze, zaraz to wywalisz. Tylko posłuchaj: przez dwa dni będę pisarzem. Potem wraca dawny pisarz, Fajzijek. Jakiś Tatar. Nie ma obawy. Z takim Tataram zawsze można się zmierzyć. Zresztą, on ma buty, może iść do kopania.

- Jak pójdziesz ze mną, też będziesz miał buty.

Bożek zamilkł.

- Wysokie buty z cholewami - powiedział Henryk. - Kosztowałem cię sporo, sam wiem, ale za to dostaniesz buty. Będziesz mógł gwizdać na deszcz, śnieg, błoto, kamienie, żwir. Czterdziesty drugi, numer - tak?

- Tak.

Uszer spojrzał na Henryka z ukosa.

- Chcesz go stąd zabrać?

- Tu nie jest miejsce dla niego - Henryk zwrócił się do Bożka: - Musimy pójść sobie dokądś pogadać.

Wyszli. Wieczór był chłodny, powietrze wilgotne. Gliniasty grunt przesechł i

tylko miejscami tworzył
kleistą papkę.

Henryk prowadził w kierunku nie wykończonego mostu. Po kamienistym dnie - dziś rano jeszcze całkiem suchym - płynęła teraz hałaśliwa rzeczka. Żółty blask latarni oświetlał drewnianą balustradę mostku, o którą opierała się nieruchoma postać. Bożek poznał inżyniera Sitnikowa. Tym razem nie pogwizdywał. W zamyśleniu przypatrywał się wpadającym między betonowe filary niesfornym falom. Potem inżynier postawił kołnierz kurtki, włożył ręce do kieszeni, i zszedł po nasypie. Zagwizdał - zawsze gwizdał widocznie tę samą piosenkę - o wesołym wicherze.

Uciszyło się. Słyszać było tylko klaskanie fal o kamienie. Ziemia parowała głośno, zupełnie jakby ktoś obok oddychał. Henryk odwrócił się i zobaczył stojącego opodal Uszera. Był bez czapki, w ciemności połyskiwały jego miedziane kędziory.

Henryk zirytował się.

- Dlaczego za nami chodzisz?

Uszer przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Nie wiedziałem, że nie można.

- Chcę mu coś powiedzieć. Sam na sam. Bez świadków.

- Gadaj sobie. Ja tu zaczekam.

Bożek i Henryk wspięli się na most. Obserwowali przez chwilę spacerującego w dole Uszera.

- Już masz nowego przyjaciela - rzucił nerwowo Henryk.

- To fajny gość. Mówi, że był szoferem.

- Gdyby był szoferem, nie posłano by go do łopaty.

- Ja też tak myślę.

- Buja - orzekł Henryk.

- Możliwe. Wielu teraz buja. Ale on dziś rano znokautował jednego łobuza.

- No pewnie, to ci imponuje. Już go wolisz ode mnie.

- Poznałem go dopiero dzisiaj.

- Wolisz go ode mnie - upierał się Henryk. - Ale nie chcę się kłócić, szkoda czasu. Słuchaj, Bożek, nawiewamy.

Bożek milczał.

- Dlaczego nie odpowiadasz? Czego ci żal? Osiemdziesięciu deka chleba?

- Tego też. Nie chcę już tej poniewierki.

- Mam pieniądze!

- Pieniądze przejemy. Co dalej?

- Mam buty. Jak pójdiesz ze mną, to ci je dam. Upatrzyłem kilka par oficerek. Śpię w oficerskim baraku! W dole krążył niespokojny cień Uszera.

- Dokąd pojedziemy? - spytał Bożek?

- Do Ałma Aty. Stasia ma się tam urządzić. Powiedziała, żebym do niej przyjechał. Ona tam na mnie czeka.

- To ta, co z nami spała?

- No tak! Stasia! Obiecała na mnie czekać.

- Przecież to kurwa.

- Nieprawda. MNie dała za darmo. Czeka na mnie w Ałma Acie.

- A jak jej tam nie będzie?

- Będzie.

- A jak jej tam nie będzie?

Henryk nerwowo tarł
dłonie.

- On tam wciąż krąży, ten
twój nowy przyjaciel! -
wybuchnął. - To znaczy, że co?
Że ja mam jechać sam? Tak? Sam
ze stacji na stację, z pociągu
na pociąg? Ślicznie! Wierny
przyjaciel!

- Zostań tu. Masz swój
kawałek chleba.

- Ja chcę mieć dobrze,
rozumiesz? Nie żaden kawałek
chleba - ale dobrze! Dużo
pieniędzy! Swobodę ruchów.
Żadnych dowódców... I ja przy
sobie.

- Nie możesz zapomnieć o
takiej szmacie? - spytał
Bożek.

- Zamknij się!... Powiedz:
pojedziesz ze mną czy nie?
Bożek, buty! Dam ci buty! Nie
będziesz już chodził boso.
Boso, pomyśl - przecież to
okropne.

Bożek odwrócił się od
niego.

- Zostaw mnie -
powiedział.

- Co ci się stało?

- Zostaw. Mam cię dość. Po
uszy!

Tamten ciężko dyszał za
jego plecami.

- Tak - mówił Bożek -
odczep się wreszcie ode mnie.
Nie żałowałeś moich bosych
nóg, kiedy posyłałeś mnie w
śnieżycę po żarcie. Nienawidzę
chodzenia boso, ale nie chcę
twoich kradzionych butów.

- To N~urnberga. Drań
faszystowski.

- Możliwe. Ale ja nie
chcę. I wcale nie muszę mieć
dobrze. Potrzebuję spokoju. I
trochę życzliwości!

- To Uszer jest ten
naprawdę życzliwy? - słyszał
za sobą głos Henryka.

- Odczep się ode mnie. Nie

chcę szukać tej twojej szmaty.
Chcesz się ze mną widywać - to
zostań tu, będziemy się
widywali. Nie chcesz - to
nawiewaj. Ale sam. Ja zostaję.
To wszystko.

Oddech tamtego przeszedł
prawie w rżenie.

- Odwróć się - usłyszał
Bożek.

- Bo co?

- Odwróć się!

Bożek się odwrócił.

Tamtemu latały wargi. Rzucili
się na siebie bez słowa.
Henryk był silniejszy - już
zdażył się wzmocnić. Pod
Bożkiem ugięły się nogi. Upadł
na wznak, tamten zwałił się na
niego, przydusił ciężarem
ciała i bił pięścią po twarzy.
Nażarł się w kuchni, bydlak.
Bożek zaciskał zęby, żeby nie
krzyczeć. Dosięgnął palcami
szyi tamtego. Czuł, jak Henryk
mięknie, jak słabną jego
ciosy. Zrobiło mu się lekko,
nie widział twarzy tamtego,
tylko ciemny strop nieba -
obcego nieba pośrodku Azji.

Potem z trudem gramolił
się na nogi. Pobita twarz
piekła. Poszukał wzrokiem
Henryka: stał przy
balustradzie mostka, tyłem do
światła, jego plecy dygotały.
Bożek zbliżył się.

- Henryk...

- No?

- Nie ma sensu.

Henryk powoli uspokajał
się.

- Skręć sobie papierosa -
poradził Bożek.

Henryk próbował, ale nie
potrafił, palce mu się
trzęsały.

- Pobiliśmy się -
wybełkotał.

- Co tam... Teraz nam
lepiej.

- Pobiliśmy się -
powtórzył Henryk.

Wyciągnął z determinacją
rękę.

- Idę.
- Wszystkiego!
- Napisz do mnie na poste restante. Do Ałma Aty.
Bożek nie odpowiedział.
Henryk zstępował po nasypie w dół. Kiedy znalazł się w dolinie, Bożek rzucił mu w plecy - cicho, ale tak, żeby tamten mógł jeszcze dosłyszeć:
- Nigdy.
Henryk drgnął, ale szedł dalej. Minał Uszera i rozplynał się w ciemnościach. Wtedy Bożek zszedł na dół. Uszer podbiegł do niego i trzepnął go w plecy.
- Zostajesz, prawda?
- Tak.
Uszer zatarł ręce.
- Dobra nasza... Bardzo cię pobił?
- Trochę. Odpasł się w kuchni. Za tydzień tobym ja jemu przyłożył.
- Chciałem ci już biec na pomoc, ale pomyślałem sobie, że może lepiej nie wsuwać nosa.
- Dobrześ zrobił.
I pomyślał sobie: Mam przyjaciela. Mam prawdziwego przyjaciela.
- Wiesz, nadarza się niezła robota - mówił Uszer. - Obok namiotu dowództwa leży szlauch. Wołyński go przyważył. Rąbniemy kawałek i sprzedamy Uzbekom na zelówki. Podzielimy się forsa. Pisziesz się na to?
- Tak - odpowiedział Bożek. Polegam na tobie.

Po dwóch dniach pracy przy stoliku Steinkopf powitał go posępniej niż zazwyczaj. Twarz miał pomięta jak po pijaństwie. Pod oczyma zaczynały się wyraźne

woreczki. Był bez butów - na nogach miał kalosze i długie skarpetki naciągnięte na

bryczesy. Wydawał się w tym stroju nieco niższy. Wskazał na kąt pokoju, w którym siedział niski brunet w marynarce z czarnego płótna.

- Poznajcie się. To Fajzijew - przedstawił Steinkopf.

Bożkowi zabiło serce. To ten! Człowiek, który zabierze mu spokojne miejsce przy oknie, zabierze mu lśniący papier, atrament, pióro! Podał tamtemu rękę i skrzyżował z nim spojrzenie. Nie wyglądał na Tatara, raczej na Persa lub Włocha. Miał proste, czarne włosy, piękne lśniące oczy, jakby powleczone aksamitem, nos prosty, usta kształtne. Tylko kości policzkowe zdradzały mongolskie pochodzenie. Trzymał się z godnością, jak przystało na pisarza kompanii. Nosił nawet krawat zawiązany na grubym węzle u brudnego kołnierza pasiastej koszuli.

- Nie chce się przy łopacie prasować, so? - powiedział wymawiając z tatarską "s" zamiast "c". - Każdy chce białą rąską. A klas ile ty konsyl, so? Ja.

- Milcz, Fajzijew - powiedział Steinkopf.

- Dlasego mam milseć? Ja siedem klas konsyl. Ja pisarz! On swołos! Moja w szpitalu był - on swołos - na moje miejsce idzie!

Steinkopf uderzył pięścią w stół.

- Milcz, bo przepędzę!

Zamilkli wszyscy trzej. Steinkopf był zamyślony; wydawało się, że zapomniał, po co przyszli tu ci dwaj.

Siedział przy stole podparłszy
głowę dłońmi. Fajzijew
ośmielił się zwrócić uwagę:

- Towarzyszu porusniku,
sekamy.

Steinkopf ocknął się.

- Aha, czekacie,

gryzypiórki. No to uwaga:
zrobimy mecz. Fajzijew jest
starym pisarzem, ale ma buty.
Ty nie masz butów, Bergen, ale
jeśli chcesz zająć jego
miejsce, musisz pisać lepiej
niż on. Kto ładniej napisze -
ten tu zostanie. Zgoda?

- Charaso - ucieszył się
Fajzijew. - Ja ładniej. Ja
kształsony. Siedem klas w
Kazaniu.

- Zaczynaj, Bergen.

Bożek zasiadł przy
stoliku. Czuł odrętwienie w
całym ciele. Przegra. Oglądał
wczoraj dawne wykazy Fajzijewa
i zrozumiał, że nigdy nie
postawi takich okraglutkich,
wypieszczonych literek jak
tamten. Straci to miejsce przy
oknie, z którego dwa dni
przyglądał się krzątaniu w
obozie, ludziom biegającym z
mężczyźnami do kuchni, Uzbekom
przywożącym na osiołkach
zsiadłe mleko lub wiozącym z
gór śnieg w skórzanych
burdukach. Światło padało na
stolik z papierami, na
atrament pachnący chemicznym
ołówkiem. Było ciepło i dobrze,
w ciągu tych dwóch dni, twarz
nastawiała się na promienie
słoneczne i marzyło, że się
jest w Warszawie, na Lesznie,
obok posągu Orędowniczki, że
mija się gotycką wieżę
kościółka ewangelików.

- Nasze oddziały -
usłyszał nagle - toczyły boje
w okolicach miast... Dlaczego
nie piszesz?

Ach, więc to był tekst do

dyktanda. Zamoczył pióro w kałamarzu. Nasze oddziały toczyły boje...

- Jakie "eł"! -

zachichotał Fajzijek. - Alboż tak się pisze "eł"?

- Milczeć... W okolicach miast Barwienkowo i Łozowaja. Kontrataki wroga zostały odparte.

- To świeża gazeta? -

spytał Bożek.

- Sprzed tygodnia.

- Co nowego na froncie?

- Nic, zastój.

- Jak błota przyschną, to się coś zacznie.

- Na pewno. Napisaliście?

- Tak.

Bożek wstał. Odłożył pióro. Nigdy w życiu jeszcze tak ładnie nie pisał. Podobało mu się. Wydawało mu się, że w literach, które nakreślił, pulsuje jakieś tajemne życie, że każdy odczyta z nich jego wołanie i rozpacz: "Kontrataki wroga zostały odparte".

Fajzijek przestał się śmiać, kiedy zasiadł do stolika. Twarz miała teraz wyraz pełen napięcia. Łuki brwi zmarszczyły się nad marzącymi oczyma i podkreśliły egzotyczną urodę.

- Gotów! - zameldował.

Steinkopf odłożył zniechęcony gazetę.

- Po co mam ci dyktować?

Przepisz to samo. Fajzijek zaczął pisać. Bożek zaglądał mu przez ramię. Spod pióra Tatar wykwitały w szybkim tempie wypieszczone, ślicznie wykaligrafowane literki. To była inna szkoła, inny styl, fachowy. Nie ulegało wątpliwości, że Tatar jest specem.

- Zostaw - odpowiedział

Bożek.

Tamten spojrział na niego
ze zdziwieniem.

- Bo co?

- Bo ty piszesz lepiej. -
Bożek zwrócił się do
Steinkopfa: - On to robi
lepiej.

Fajzijek wybuchnął
śmiechem.

- A so? a so? Nie mówiłem?
Ja kształsony! Ja siedem klas
konsy! A ty? Ty swołos. Na
moje miejsce sedł. Ja serwonka
dwa tygodnie w szpitalu leżał!
Serwonka wiesz?

- Wiem. Gratuluję.

- Nie gratuluj. To moje
miejse. Zawsze moje!

- No to pies cię trącał -
powiedział po polsku Bożek.

- So powiedziałaś?

- Że pies ci mordę lizał!

- So?

Bożek przetłumaczył.

- Pies? MNie? - zdziwił
się Fajzijek.

- Tak, tobie.

- Nieprawda, nigdy. Pies -
nigdy.

Fajzijek usiłował sobie
przypomnieć, dotknął nawet
palcami policzka. Potem
powtórzył z uporem:

- Pies? Nigdy.

Steinkopf chwycił go za ramię.

- Słuchaj, Fajzijek! Do
cholery, czyś ty człowiek, czy
milicjant? Spójrz na tego
towarzysza! Zastępował cię dwa
dni, kiedy był głodny i nie
miał sił robić. Lał deszcz, on
nie ma butów - a ty masz.
Teraz on ukrywa swój ból,
swoją porażkę i gratuluje ci,
że ty piszesz lepiej. Jak
sportowiec, rozumiesz?
Lekkoatletyka, piłka nożna,
boks. Dostaje w mordę i podaje
rękę zwycięzcy. Zanim ja
jeszcze rozstrzygnąłem -
rozumiesz?

Fajzijek przyznał:
- Dobry słowiek. Dusa
słowiek. To prawda. Dusa
słowiek! Nie gniewaj się.
Bożek wzruszył ramionami.
Gniewać się? Nie wmawiał sobie
chyba, że tak już zostanie, to
by było zbyt piękne. Gdyby nie
Fajzijek, odebrałby mu to
miejsce ktoś inny. Fajzijek
był tylko narzędziem.
- Pójdę do roboty -
powiedział Bożek. Dziwił się
swojemu głosowi: chropowaty
jak po historycznym płaczu.
Fajzijek pokręcił
współczująco głową.
- Ja nie mogę do roboty.
Mam delikatne palce, zobas.

Zawsze tylko skoła, skoła,
książka, zeszyty, siedem lat -
dużo nauka - geografia,
historia. Siedem klas konyś!
Ile robota - siedem klas
konyś!

Steinkopf zaciskając zęby
zbliżył się do Tatara.
- Fajzi, piśniesz jeszcze
słowo, a złamię regulamin
wojskowy. Słyszysz? Dostaniesz
w mordę!

- Nie wolno bić!
- Nie wolno - ale ty
dostaniesz. Teraz posłuchaj!
Towarzysz Polak ukończył
średnią szkołę - dziesięć
klas. Zna łacinę i języki
obce. Zna społeczeństwo
kapitalistyczne. Zna dzieła
sztuki, Goethego, Heinego,
Tomasza Manna. I milczy.
Fajzijek, trzeba umieć
milczeć.

- Dziesięć klas!... -
wyszeptał zdumiony Tatar.

- Tak.
- Dziesięć klas i bosy! -
zdumiewał się Tatar. - Idzie
do łopaty!

- W piątym namiocie mamy
bosego lekarza. Mamy tu kilku

prawników. Wszyscy pracują przy łopatach.

- Wsyy! - wykrzyknął Fajzijek. - Po so usyli? Po so tyle klas konsyli?

- Nie wiem. MOże to tylko wojna, a może w ogóle tak jest. Nie wiem. Zapytaj mnie, po coś robił to czy tamto? - też ci odpowiem: nie wiem.

Fajzijek zmarszczył czarne brwi. Jego oczy przestały być marzące.

- Ja nis nie chsę wiedzieć! - wybuchnął. - Siedem lat nauka, długa robota, dużo nauka. MOje miejsce przy stole - nie z łopata. Ja nie chsę wiedzieć, so tamsi robią. Ja pisę pięKnie. NajpięKniejse literki w sałym Taskiesie. Więsej nie chsę wiedzieć.

Zbliżył się do Bożka.

- Ty głupies, dobry słowiek, ale głupies. - Spytał Steinkopfa: - Mogę odejść?

Steinkopf nie odpowiedział. Fajzijek zasalutował. Śmiesznie to wyglądało: w czarnej marynarce, z grubym krawatem. Wszedł. Niemiec i Polak stali naprzeciw siebie milcząc.

- Nie mam butów - odezwał się porucznik.

Obaj spoglądali na stopy Steinkopfa wsunięte w zbyt luźne kalosze.

- Teraz ja nie mam butów - powtórzył porucznik. - Ukradli mi.

Bożek pojał nagle, co się stało.

- Domyślam się, kto wam ukradł.

- Tak, to on. Ukradł buty mnie i Nurnbergowi. Nie tknął rzeczy Sitnikowa i Rybaka. Jak myślisz, dlaczego?

- Czy muszę odpowiedzieć?

- Nie mam do niego żalu,
Bergen. Byłoby śmieszne, gdyby
Niemiec żywił jeszcze do
kogokolwiek żal. Biedne,
pokrzywdzone przez los
Niemczątko. Jeszcze coś
niecoś, chłopcze, rozumiem.

Usiadł za stołem - może
dlatego, żeby nie pokazywać
swych śmiesznych skarpet.

- Myślał, że jestem
hitlerowcem. Ja mam
legitymację partyjną, ale co
to kogo obchodzi. Nie można
ufać Niemcowi, bo utopiłby w
łyżce wody cały świat. - Mówił
powoli, z goryczą,
rozpamiętując swój ból i
krzywdę. I nagle powiedział
ogładając się: - Tu się na coś
zanosi, wiesz? Przyjechało
wojskowe Nkwd. Ośmiu
chłopa. Po nas, jestem tego
pewny. KOniec zabawy w
radzieckiego komandira. Jak
myślisz, co powinienem teraz
zrobić? Palnąć sobie w łeb?

Bożek spytał:

- Dlaczego zwracacie się z
tym do mnie?

- Dlaczego? Nie wiem. To
jest wiem. Z tobą jednym w
całym obozie mogę o tym mówić.

- Tu wszyscy żyją
jednakowo.

- Mylisz się. Można żyć
źle nie cierpiąc. To są dwa
odrębne zagadnienia. I nawet
cierpienie to też jeszcze nie
wszystko. Dostojewski
przesadzał. Cierpienie ani nie
uszlachetnia, ani nie
uświadamia. Można cierpieć - i
nic z własnego cierpienia nie
rozumieć. Ale ty rozumiesz! Ja
wiem, że ty rozumiesz!

Bożek stał odrętwiały i
myślał: Nieprawda, nic nie
rozumiem. Potem zaczęło mu się
wydawać, że może Steinkopf ma
rację, że kiedyś przeżył taką

chwilę, w której mu się wydało, że wszystko zrozumiał. Jakby nastąpił moment wielkiego przejaśnienia. I nic, że nie pamięta, co i kiedy to było. Nic, że nie potrafi słowa na ten temat powiedzieć. Ta jedna chwila wystarczyła. Coś się w nim otworzyło, jakaś niedostrzegalna dotąd kłapa - pojął coś, co zostanie w nim na zawsze.

- Co mam robić? - spytał ochrypłym głosem Steinkopf.

- Może przemyśleć to wszystko - powiedział Bożek. - Przemyśleć do końca.

- Odrzucając wszelką czułośćkowość? - dopytywał się Steinkopf.

- Tak.

- Wszelki idealizm?

Wszelką nadzieję? Wszystkie piękne słowa?

- Tak. Tak. Oczyszczyć się z wszystkiego. Nago przeciw światu.

- Ty mi to mówisz? Tyś to pewnie zrobił, tak?

- Tak. Myślę, że tak.

- I nic ci nie zostało?

- Nic.

- Dlaczego nie skończysz z sobą?

Bożek umknął wzrokiem.

- Chcę wrócić.

- Ale dlaczego? Dlaczego?

- Chcę wygrać tę wojnę. O to chodzi. I o matkę. Kiedy wyjeżdżałem, wyglądała młodo - ale w wyobraźni widzę staruszkę. Widzę jej oczy. Czeka na mnie, muszę wrócić.

Steinkopf uśmiechnął się smutno.

- Na mnie nikt nie czeka. Powinienem sobie palnąć w łeb.

- Lepiej ratować się przemyśliwaniem. Przemyśleć wszystko do końca - podsuwał z

uporem Bożek.

- Już myślałem. Ale do końca - nie umiem. Zawsze przeszkadza mi jakaś mgiełka. Nie widzę dna. To wszystko - porucznik zrobił rękami krąg - miało to być dla mnie religia zaufania. Jeśli klasowe podejście, Polaku, jeśli ideologiczne - tak, ideologiczne, wolę to niż klasowe, bo to znowu jakieś dzielenie ludzi wedle pochodzenia - więc jeśli podejście emocjonalne, sentymentalne nawet - no to nie zagładanie do metryki. Nie jestem Rosjaninem - ale jestem komunistą. Bardziej komunistą niż Niemcem, niż komkolwiek. Ale wszystko to tylko słowa. Staję się coraz bardziej nikim. Dziś przyjdą tu smutni panowie, żeby mi odebrać swoje zaufanie. To tylko kropka nad "i". We mnie to już pękło wcześniej. Teraz nastąpiło ostateczne załamanie. Więc co robić, Bergen?

- Nie wiem.

- Co ty będziesz robił?

- Ja? Normalnie. Wracam do łopaty.

- Chłopaku!

- Wracam do łopaty. Teraz

dam już radę. Wypocząłem trochę.

- Normalnie! Mówisz, że normalnie?

- ZUpełnie.

- Normalnie! Wypędzili cię od stolika, od papierów - bosego, osłabionego - do gliny, do obcego świata, do rzezimieszków, chamów, kryminalistów - do tej kontry!

- Nie są tacy najgorsi!

Zabrano mi spokojne miejsce przy stoliku, bo okazało się, że to czyjeś miejsce - i wcale mnie to nie zdziwiło, bo dobre

miejsce zawsze jest czyjeś.
Wiedziałem, że tak będzie.
Jeśli coś naprawdę utraciłem,
to właśnie tę zdolność
dziwienia się. Ale to czasem
pomaga. Zdecydowałem raz na
zawsze, że moja droga musi być
tą najtrudniejszą... Rozkosze
bytu mnie nie nęca - nie marzę
o dziewczkach, autach, szampanie -
choć myślę, że mógłbym mieć
sporo satysfakcji z samego
faktu istnienia. Przede
wszystkim chcę zadośćuczynienia.
Czarno na białym, że nie jestem
ostatnim jolołem, ale kimś, kto
cierpiał niesprawiedliwie.
Dlatego muszę przeżyć. Zresztą
samo trwanie jest już protestem.
Biją mnie ze wszystkich stron, a
ja wciąż jeszcze stoję i
względnie wyprostowany. Czy to
nie protest?

Steinkopf znów krążył po
pokoju człapiąc luźnymi
kaloszami.

- Tak, tak, masz rację -
powtarzał chodząc. - Protest.
Przeciwko czemu - wszystko
jedno. Przeciwko pogardzie
choćby. Póki jesteśmy -
protestujemy samym swym
istnieniem, masz rację, nie
palnę sobie w łeb. Oddam dziś
rewolwer. A oni mnie może
rozwalą - i po wszystkim, po
proteście. No, ale na to jest
jeszcze czas. Masz rację.
Godność - ludzka godność -

nikomu prócz nas samych
niepotrzebna ludzka godność.
Póki istniejemy - godność.

Zaczął układać papiery na
stoliku.

- Teraz zapalimy, chłopcze
- mówił. - Mam bibułkę. Nie
palisz? Nic nie tracisz...
Dym.

- Muszę już iść.

- Idź, idź. To nie jest
najgorsze, to kopanie ziemi.

- Nie jest najgorsze -
powiedział Bożek. - Teraz,
kiedy czuję się silniejszy.

- No właśnie.

- To nawet przyjemna
robota. Wszystko może być
nieprzyjemne, kiedy tkwi w tym
przymus moralny.

Steinkopf patrzył na Bożka
szklanymi oczyma. O czym
myśli?

- A powiedz mi, chłopcze -
odezwał się - gdybyś usłyszał,
że spodlałem, że... no, co by
tu wymyślić? Że jestem
donosicielem, albo że - no,
najgorsze rzeczy tego typu?
Jednym słowem, ratuję skórę -
co wtedy?

Bożek zbliżył się do
drzwi.

- Aha, nie odpowiadasz! -
zawołał za nim Steinkopf.

- Przecież mówiłem wam, że
nic mnie już nie zdziwi. Nie
umiem się dziwić.

Wyszedł. Przez chwilę stał
pod drzwiami nasłuchując.
Wydawało mu się, że usłyszał
trzask bezpiecznika. Za chwilę
rozlegnie się strzał. Ale nic
się nie stało. Otworzyły się
drzwi i wysunął się z nich
pochylony porucznik Steinkopf.

- Wy tu, Bergen? - spytał
sztywno, oficjalnie. Spojrzał
na zegarek. - Idźcie, idźcie,
już późno. Potem mruknął: -
Podlec, buty ściągnął. Teraz
ganiaj w łapciach na Syberię.

Bożek szedł w kierunku
nasypu, w stronę skąd
dolatywały odgłosy kilofów i

ludzkiego gwaru.

Nosił tragi z Uszerem.
Pracowało im się dobrze. Po
południu zrobiło się gorąco i
Bożek zrzucił bryczesy. Został

w kałesonach podwiniętych aż po uda. Wszyscy prawie chodzili tak samo, chyba, że któryś miał spodenki gimnastyczne.

Grunt przysechł. Ziemia, którą rzucano na tragi, nie była już taka lepka, padała zwartymi kawałami świeżej, z lekka tylko wilgotnej gliny. Za wąwozem pojawiły się zielone kielki dzikiego czosnku. Kiedy go wrywano, pachniał aromatycznie. Hahn wachał go do chleba. Hadżimuchamedow gotował wrzątek. Pili zachłannie, bo słońce piekło i odwadniało organizm. Po skończonej pracy Zinatulin obliczył, że wykonano sto dwadzieścia pięć procent normy.

Bożek wracał do namiotu zmęczony, ale zadowolony z siebie. Nie tylko dał radę normie, ale nawet przekroczył ją. Norma nie jest chyba zbyt wysoka. Taki Maniek wykopałby trzy razy tyle. Albo KUpiec, też by tu pokazał klasę. O sowieckich normach robotnicy w Warszawie zawsze mówili z podziwem i lękiem, czyby zdzierżyli. Miały dla nich posmak romantyki, wielkiej przygody.

Wróciwszy do namiotu, Bożek rzucił się na łóżko. Uszer go trącił.

- Wstań, wstań - naglił. - Pójdziemy do aryku, umyć się.

Bożek dzwignął się z łóżka. Nad arykiem zastali Wołyńskiego. Siedział w watowanych spodniach, z zamoczonymi w mętnej wodzie bosymi stopami. Płytki strumyk toczył się powoli po mulistym

dnie. Uszer zaklął.

- Zamknęli służę w górach - powiedział Wołyński. Zawsze wszystko wiedział. - PUszczają

wodę na poletka.

- A my co?

- Ratuń się jak możesz. Dla kuchni wodę przywozi pociąg.

Uszer przypatrywał się ze wstrętem żółtemu arykowi.

- Rzygać mi się chce, jak na to patrzę. Chciałbym się napić dobrej wody.

Wołyński wyciągnął nogi z mułu, położył się na wznak.

- Niedaleko Angrenu jest źródło - przypomniał sobie. - Bije spod ziemi. Mógłbym was zaprowadzić.

- Teraz o tym mówisz!

- Ale to daleko.

- Choćby dziesięć kilometrów!

- Dwa z hakiem.

- I to ma być daleko?

Prowadź, bracie.

Pobiegli do namiotu po menażki. Potem szli po pustynnej równinie, minęli wzniesienie porośnię dzikim czosnkiem i kolczastą miją i weszli w zarośla tarniny. Pachniało miętą.

Ujrzeli tafłę wodną wśród zarośli, małą jak okno wybite w ziemi. Spod gruntu przykrytego świeżo ozielenioną tarniną wypływał strumień, bulgotał na tafli i ginał w głębi. Bożek zanurzył palce w wodzie. Lód!

Napełnili menażki i długo pili. Upijali się wodą, przezroczystą jak alkohol. Wlewali w siebie płynne niebo. Uszer pierwszy odstawił menażkę.

- Dobrze, psiamać!

Umyli ręce. Potem zdjęli koszule i polewali się nawzajem. Wytarli się znowu i napełnili menażki.

- Jeszcze go raz.

Już się to w nich nie mieściło. Od zimna tej wody

drętwiał przełyk. Czuli lód w całym ciele. Odstawiali więc menażki, by odpocząć, ogrzać płuca oddechem i potem znowu razik łyknąć.

Usiedli stawiając przed sobą napełnione menażki. Źródło cicho mruczało. Odbijało się w nim głębokie niebo i skrawek zieleniejących cierni.

- Przed wojną prowadziłem autobus na trasie Łódź_Warszawa - zaczął wspominać Uszer. - Nie było w Łodzi dziwki, żebym się z nią nie przespał. Stać mnie było na najdroższą. Nigdy się nie targowałem. Jeszczem ją podwoził na gapę.

Wołyński położył się na wznak.

- Dobrze tu, rebiatki. Mam teraz gdzieś cały batalion - powiedział. - Zinatulina, wojnę, Hitlera, normy, zupę bez makaronu.

Poderwał się i pociągnął łyk wody. Uszer przytaknął.

- Tak, teraz jest przerwa w przedstawieniu. Tam puk_puk, tu rób_rób, a u nas przerwa. Siedź i pij.

- Będę pisać wiersze - obiecywał sobie Wołyński. - O źródle, o czystej wodzie, czystym niebie. Nic ludzkiego - sama przyroda.

- Na pohybel poetom, którzy nie piszą o moich gaciach! - rzucił się na niego Bożek. - Gdybym chciał być pisarzem, tak jak ty, pisałbym tylko o gaciach. O tym, że człowiek powinien mieć buty i kawałek chleba. Reszta - to oszustwo.

Wołyński znów sięgnął po menażkę. Wypiwszy westchnął ciężko - woda wracała mu już do gardła. Uszer tymczasem wspominał:

- Jak przyjeżdżałem do Warszawy, szedłem do Gertnera na gęsinę. Zjadałem sam pół gęsi, takiej tłustej, aż z pyska kapało. Na chleb

człowiek ani spojrział. Lubiłem
pieczone kartofle albo frytki.
Rano gorący obwarzanek z
masłem. Dlaczego nie dajecie
mi w mordę?

- Mów, mów, dziś wolno.

- Ech, nie ma o czym.

Zapomniałem o piwie:

najbardziej lubiłem

Haberbuscha. - Znów przyssał
się do menażki. Odstawiwszy ją
powiedział: - Gwiżdżę na piwo.

- Nie chcę słuchać, jak ktoś
pieje o słowiku - zaatakował
znowu Bożek. - Niech tylko
taki liryk ma pusto w brzuchu,
a rąbnie zachwycającego
słowika z procy i zeżre na
kolację.

- Daj spokój - mruknął

Uszer. - Dziesięć razy jeszcze
zmienisz zdanie.

- Mam nadzieję - zgodził się
Bożek. - Mam nadzieję, że
jeszcze będę syty i będę
myślał tak głupio jak wszyscy
ludzie syci. MOże nawet
przejmę się tym, że ty
dostaniesz order, a ja nie.

- Chętnie bym nasrał na
jakiś order - powiedział
Wołyński. - Jak widzę gościa z
dzwoniącymi blaszkami, to mnie
ręce świerzbią, żeby mu dać w
mordę.

Bożek:

- To są zabawki
udziecinniające ludzi, którym
się wydaje, że są dorośli.
Rządzący dobrze to rozumieją.
Wymyślono całą drabinę
godności, zasług...

- Napijmy się po jednym -
przerwał Uszer.

Łyknęli sobie znowu.

- Czy możecie przez chwilę
milczeć? - zapytał Uszer.

Więc milcząc przysłuchiwali
się mruczeniu źródła, w
którego tafli czerwieniło się
teraz zachodzące słońce. Potem
Uszer zakomenderował:

- Idziemy.

Napełnili raz jeszcze
męzki i ruszyli w drogę

powrotną. U stóp wzniesienia
Wołyński zatrzymał się.

- Co ci się stało? - spytano
go.

- Chcę sobie raz łyknąć.

- Przyniesiesz do namiotu
pustą męzkę - wyrzucał mu
Uszer.

Komsomolec nie odpowiadał.
Grdyka falowała mu podczas
picia. Kiedy skończył,
powiedział:

- Poczekajcie, skoczę ja
napełnić.

Nie wracał dość długo.
Słońce zaszło i cienie spowiły
dolinę. Tylko za szczytami gór
dogasały czerwone blaski. W
dole, jęcząc i chrapiąc,
toczyła się po wyboistej
drodze ziemnej ciężarówka.
Przybliżała się skacząc
światłami reflektorów.

Wołyński przybiegł z męzką
właśnie w chwili, kiedy
ciężarówka mijala Bożka i
Uszera. Rozdziawił usta,
spytał:

- Co to? Oni?

Bożek kiwnął głową.

Na platformie ciężarówki
stało kilku oficerów w
otoczeniu żołnierzy Nkwd.
Bożek rozpoznał Steinkopfa.
Opierał się przyjaźnie o ramię
enkawudzisty, wysoki, w długim
płaszczu, bez pasa.

Bożek postawił na ziemi
męzkę i machnął ręką na
pożegnanie. Steinkopf poważnie
i w milczeniu zasalutował.
Oddalał się tak salutując, aż
wreszcie przysłoniły go
ciemności. Z daleka donosił
się jeszcze cichnący warkot
motoru.

Bożek schylił się po
męzkę.

- Macie swoją przerwę -

powiedział.

- Niech zdychają, szkopy
zatracone! - warknął Wołyński.
- Niech ich wszystkich,
wszystkich diabli porwą! To
przez nich tak się męczymy.

Wszystko przez nich.

Bożek zauważył:

- Wylała mi się woda.
- To idź, nabierz.
- Nie chce mi się. Ciemno
się zrobiło.
- Ciemno, nie idź - poradził
Uszer.

Schodzili ze wzniesienia. W
oddali tliły się słabe ogniki
miasteczka namiotów. Uszer
powiedział:

- To był gazik. Całkiem
niezły wóz. Na oko trzech
kopiejek byś za niego nie dał,
ale na te drogi jest w sam
raz. Leją weń szczyny zamiast
paliwa - i też ciągnie.
Zmieniłbym tylko skrzynię: już
zanadto wygląda po furmańsku.

Spytał nagle:

- To on tobie tak salutował,
Bożek?

- MNie.

- Nałyka się biedy bez
butów.

- Suka mu marsza grała -
odezwał się Wołyński. - Oni
naszym gorzej robią.

- Czy ja mówię, że nie? -
zgodził się Uszer. - Ja tylko
tak...

Przystanął i odpił kilka
łyków wody.

- Skrzynię kiedyś zmienią -
powiedział sapiąc z przepicia.
- Mógłbym się założyć..nv

Część I (c.d.)

Rozdział IV

1

Zinatulin sporządził sobie
ze sznurków, onuc i dwóch

koszul parawanik przed
łóżkiem, które stało obok
wyjścia z namiotu, po lewej
stronie. "Naczelnik odgradza
się od masy" - komentowano
nowe przedsięwzięcie
brygadzysty. Dopiero wieczorem
wszystko się wyjaśniło.

Zinatulin sprowadził sobie
dziewczynę. Nie miała chyba

więcej niż dziewiętnaście lat.
Ubrana była w workową
spódnicę, fufajkę i gumowe
buty. Kędzierzawe, ciemnoblonde
włosy przewiązała szorstką
chustą. Twarz miała szeroka,
oczy wąskie, zapadnięte, nos
gruby i pękaty. Była z całą
pewnością brzydka i brudna.
Przypatrywała się mężczyznom
nieśmiało i trochę spode łba.
Zinatulin wziął butelkę z
knotem, stojącą zwykle na
deseczce przybitej do słupa
pośrodku namiotu, i postawił
ją na taborecie koło swego
łóżka. Zesunął onuce i koszule
swojego parawanu. Ale poprzez
szczeliny i tak można było
zobaczyć, co się tam dzieje.

Łaboresznych gwizdnął na
pozostałych, żeby kładli się
spać. Rozebrali się szybko i
wsunęli pod swoje koce i
płaszczki. Potem spoglądali
wszyscy w jedną stronę - tam,
gdzie za parawanikiem pełgał
płomyk na butelce z knotem.

Początkowo nic takiego się
nie działo: Zinatulin i jego
dziewczyna siedzieli na łóżku
i jedli. Słyszał tylko
zawziętą pracę szczęk. W
powietrzu unosił się zapach
cebuli. Zadzwonilo szkło,
zabulgotało w gardłach. Przez
cały czas Zinatulin nie
wyjmował ręki spod spódnicy
dziewczyny. Potem rozległo się
dmuchnięcie, światło zgasło.
Łóżko ciężko zgrzytnęło.

Bożek wpatrywał się w ciemną kopułę namiotu. Słuchał oddechu tamtych - pożądlivego i radosnego. Obok powoli i ciężko oddychał Uszer. Rozróżnił sapanie zakatarzonego Wołyńskiego. Hahn wiercił się niespokojnie na swoim łóżku. Łaboresznych zapalił skręta. Hadżimuchamedow cicho jęknął. Bożek dotknął ręki Uszera.
- Zaczęli? - spytał.
- Nie. Pieszczą się.

Uszer określał wszystko bezbłędnie.

- Teraz - szepnął nagle i dzwignął się na łóżku.

Wszyscy podnieśli głowy. Słuchano przyspieszonych oddechów tamtych, wściekłego rytmu łóżka pod ścianą. Napełnili swoim szamotaniem się namiot. Coraz mniej chyba zdawali sobie sprawę z obecności innych. Zinatulin bełkotał coś po tatarsku - może jakieś słowa miłosne, może jakieś sprośności - nikt nie rozumiał - dziewczyna chyba też nie, skoro była Rosjanką.

Uszer podniósł się nagle na łóżku. Bożek nie wiedział dlaczego, ale i jego coś poderwało. Na wszystkich łózkach zafalowały cienie.

- KOńczy - szepnął Uszer.

Z łóżka za parawanem donosiły się głęBokie, znużone oddechy. Zinatulin coś cichutko powiedział.

Dziewczyna zachichotała piskliwie. Potem była cisza.

Uszer wsparty na łokciu mówił szeptem:

- W Łodzi nie było bladzi, żeby się z nią nie przespał. Wydawałem na tę robotę masę pieniędzy.

- Naprawdę to się nigdy

porządnie nie nacałowałem -
uświadomił sobie Bożek.

- Dlaczego tak?

- KOchałem się w jednej
gimnazistce.

Uszer:

- BęDę musiał chyba wybrać
się do swojej.

Urwał i nasłuchiwał.

- Zaczynają znowu.

Znów wszyscy stężeli w
milczeniu. Łaboresznych
zapalił nowego papierosa.
Hadżimuchamedow beznadziejnie
zawył. Ktoś trzepnął go po
łbie: milcz! Bożek rozpoznał
głos Łaboresznych.

I tak już zostało:

skłębione oddechy tamtych
dwojga za parawanem i ciężkie,
pojedyncze ich, którzy
słuchali. Z wyjątkiem
poświstującego przez nos
Wenera - stary spał w
najlepsze.

Gdzieś koło północy za
parawanikiem uciszyło się.
Bożek wyobrażał sobie jak
spali, objęci ramionami,
przytuleni do siebie, brudni,
nadzy i ciepłi, tchnący cebula
i samogonem. Długo leżał
torturowany widziadłami, nad
którymi zupełnie nie panował.

Kiedy wstał, dziewczyny
już nie było. W namiocie
panowało ciężkie milczenie.
Czuło się wzbierającą burzę.
Zinatulin strzepywał do
menażki okruchy z koca. Potem
wsunął pustą butelkę pod
łóżko. Łaboresznych zaczepił
Bożka:

- No co, bracie, wzięło
cię?

- Co miało wziąć?

- Wiadomo co. Miłość!

Kalesony ci nie pękły? Nie?
Nic, bracie, nie martw się, to
od podłego życia. Życ to się
żyje, a do kobity nie

pociągnie. Woda i kluski - nie
zajrzysz między nóżki...
Zinatulin!

Zawołał brygadzystę głosem
tak stanowczym, jakby on,
Łaboresznych, był tu dowódcą.
Zinatulin nie zreflektował
się, że jest to zamach na jego
godność, zbliżył się
posłusznie. Otoczono ich
kołem. Zaczynało się.

- Narypałeś się? - spytał
rzeczowo Łaboresznych.

Zinatulin wyszczerzył
zuchowato żółte siekacze.

- Nikt nie przeszkadzał? -
dopytywał się Łaboresznych.

- Nikt. Z wami tylko konie
kraść.

- To podziękuj bractwu...

- Racja, jest za co.

Dziękuję.

- Drogo cię kosztowało?

- Normalnie. Porcja chleba
i kolacja z samogonem.

Tego się domyślano.

Czekano, co będzie dalej.

- No to słuchaj,
sukinsynie - mówił
Łaboresznych. - Na drugi raz
zbijemy ci mordę, a do
dziewczyny zrobimy kolejkę.
Nie sprowadzaj nam tu więcej
nikogo! Skapowałeś?

- Bo co? Co wam do mnie?

Czy ja wam bronię?

- O nas się nie martw.

KOmu jeszcze stoi, sam się
postara. Ale nie w namiocie.
Ciepło się zrobiło, możecie
uprawiać psie wesele na
dworze!

- Nie chcę słuchać! -
zawołał Hadżimuchamedow. - Nie
chcę słuchać twoja spać z
baba! Ja człowiek - nie deska.

- Mam dwoje dorosłych
dzieci, Zinatulin - powiedział
spokojnie Wasiljew. -
Wychowałem je wedle bożego
zakonu.

- Wy mi tu nie
rozkazujcie! - krzyknął Tatar.
Ja swoje wiem, ja tu dowodzę!
Sprowadzam dziwkę i płacę jej.
MOja sprawa.

- Uszer wysunął się
naprzód. Powiedział z flegmą:

- Dowodzisz, Zinatulin,
ale to nie znaczy, że masz
mordę z żelaza. Jak w nią
rymnę, to się nogami nakryjesz
razem ze swoim wodzostwem.

Zinatulin patrzył wokół
siebie rozbieganymi oczkami.

- Wszyscy przeciw mnie! -
wołał. - To spisek. Bunt!

Łaboresznych uśmiechnął
się.

- Ty naprawdę wyobrażasz
sobie, że jesteś w wojsku? W
regularnym batalionie? Tutaj,
bracie, jak w kryminale. Znasz
przecież prawa kryminału.
Siedziałeś, czy nie?

- Siedziałem. A co?

- No więc, nie drażnij

społeczności.

Blichsztajn odezwał się
śPiewnie, z żydowska:

- Słuchaj, wodzu, a tę
normę chleba to skąd dla niej
wytrzasnąłeś?

- A samogon? - rzucił się
wściekle Hahn.

- Ukradłem! No i co? mam
się z wami dzielić?

- Masz! - zawołali
wszyscy, Bożek też.

- Ja kradłem! Ja - nie wy!

- krzyczał Zinatulin. - Ja
sam!

- Ale my o tym wiemy -
powiedział spokojnie
Łaboresznych. - To wystarczy.
A kradłeś jak? Dla kogo?
Oszukałeś magazyniera,
prawda? No to jesteśmy
wspólnikami.

Hahn pacnął się w czoło:

- Chłopy! Toż ta dziwka
była nasza! Wszyscy mieli

prawo korzystać! Chłopy!
Chłopy!

Werner pytał
nieprzytomnie:

- Jaka cifka? Co sa cifka?

- Odsuńcie się! -

zapiszczał przerażony
Zinatulin. - Odsuńcie się, bo
zawołam na pomoc. Dajcie
mówić! Jak to, powiadacie
wspólny chleb? Dziwka - do
diabła z dziwką - ale chleb!
Chleb był mój! Ja oszukałem
magazyniera! Ja! Ja sam!

- Mówiłeś, że to dla
brygady - wypominał
nieubłagany Łaboresznych.

- No i co? Mówiłem! To mam
się dzielić? Jak pójdę do wsi,
barana na plecy schwytam i
przytaskam, to mam się z wami
dzielić baranem?

- To co innego.

- A jak Uszer szlauch
rąbnał i sprzedał Uzbekom, to
się dzielił?

- Też coś innego. Rąbnał
go na własne ryzyko. A ty
wzięłeś chleb dla brygady.
Należy się wszystkim. Oddaj

chleb!

- LUDzie, czy już nie
macie sumienia?! Umówiłem się
z nią na przyszły tydzień.

- Twoja sprawa.

- Nie da mi przecież za
darmo.

Uszer zapytał:

- Ile masz martwych dusz?

Zinatulin rozglądał się
wokół bezradnie. Oni czekali w
milczeniu na odpowiedź.

- Gadaj, gadaj, póki ci
tych zębisków nie wybito -
zniecierpliwił się
Łaboresznych.

- Dwie - przyznał się
Zinatulin.

- Kilo sześćset.

- Ale ja sam je
wymyśliłem! Sam skombinowałem!

- Kilo sześćset.
- Ale ja sam.
- Po trzynaście deka na
chłopa. Skocz po chleb,
Zinatulin i podziel
sprawiedliwie.
Zinatulin zgarnął z łóżka
worek i ruszył do wyjścia.
Rzucał wyzwiska wyświstując je
spomiędzy zębów. Bandydzi.
Krwio pijcy. Eksploatatorzy.
Burzuje. Jak barana
przytaszczę na plecach, to też
się mam z wami dzielić?
Hycle. Kapitaliści.
Rzezimieszki. Pederasći.
Pasożyty.
- Idź, idź, Zinatulin -
uspokajał go Wasiljew. - Czego
klniesz. Źle ci było? Coś
uciechy zażył, to twoje. A
kłać nie należy. Boga
obrażasz.

2

Najpierw usłyszeli
pogwizdywanie - była to, jak
zwykle, piosenka o wesołym
wichrze - potem dopiero
zobaczyli Sitnikowa. Wsunął
głowę do namiotu.
- Wszyscy zdrowi? -
spytał.

Zinatulin poderwał się na
bacność.
- Tak jest, towarzyszu
inżynierze.
- Podziwiam - odrzekł
Sitnikow. Wyjął fajkę z ust i
wytrzepał z niej popiół. Kiedy
pochylił głowę, opadło mu na
czoło pasmo jasnych włosów.
Pukał palcem w fajkę, stojąc
naprzeciw nich w długich
sztruksowych spodniach i
koszuli w paski rozpiętej na
piersi. Nagle spytał: - A
murować ktoś tu umie? Nikt nie
odpowiedział.
- Wy, Łaboresznych? -

spytał inżynier.

- Nie, dziękuję -
powiedział Łaboresznych. - Ja
dzisiaj dyżurny.

Zgłosił się Wasiljew.

- Wiecie, co to jest dom z
żeberek? - pytał Sitnikow. -
Domek grubości jednej cegły w
drewnianym oszalowaniu.
Zrobicie?

- Zrobi się.

- Dobierzcie sobie dwóch
pomocników.

Wasiljew zwerbował Bożka i
Uszera.

Inżynier zaprowadził ich
na drugą stronę toru. Był
jeszcze ranek, ale słońce
przygrzewało już porządnie.
Bujna trawa pokrywała brzegi
aryku. Niebo było błękitne i
znieruchomiałe.

- Zbudujemy domek -
powiedział Sitnikow. - Nie
żaden zakatarzony namiot, ale
domek z cegieł.

Odmierzył cztery kroki.

- Dosyć? - spytał.

Nie odpowiedzieli.

- Nasz pierwszy dom -
przypomniał inżynier. - Marny
bo marny, ale pierwszy. -
Patykiem nakreślił linię na
ziemi. - Cztery metry, powinno
wystarczyć.

Znów odmierzył cztery
kroki i znów narysował
patykiem linię. Potem

uzupełnił kwadrat.

Wasiljew i jego pomocnicy
przypatrywali się w milczeniu.
Bożek odezwał się:

- Co to ma być?

- Cztery ściany z cegieł i
nad tym dach. Bo widzicie... -
Sitnikow przykucnął i zaczął
rysować patykiem na ziemi, jak
ten domek będzie wyglądał. -
Przyjeżdża żona technika
Rybaka z dzieckiem. Pędrak ma
sześć miesięcy. Posłać ich do

namiotu? Młode małżeństwo,
trzeba im zafundować domek.

Skinęli głowami.

- Szalunek został po
moście. Cegła z odpadów. Każdy
śmieć się nadaje. Kawałeczki,
odłamki - wszystko się
wepchnie.

- Ile dostaniemy? - spytał
Wasiljew.

- Dwa i pół rubla od metra
kwadratowego. Cztery ściany po
dziesięć metrów kwadratowych -
sto rubli na trzech.

- Akord? - zrozumiał
Wasiljew i zatarł ręce.

Bożek odezwał się:

- Pięć na pięć,
inżynierze. Cztery metry to za
mało.

Sitnikow spojrział na niego
podejrzliwie.

- Tak myślicie?

- Tak. O nasz zarobek nie
idzie. Zrobimy pięć na pięć
za te same pieniądze.

- Wasiljew przytaknął:

- Pięć na pięć, on ma
rację. Bądź co bądź, pierwszy
domek.

Sitnikow zgodził się.

- Dobra. Do roboty!

Poszli pod most po słupy
ze starego szalunku. Potem
kopali doły, żeby je wbić.
Spocili się, pozdejmowali
koszule i spodnie. Uszer
został w spodenkach
gimnastycznych, Bożek w
podwiązanych kalesonach,
Wasiljew w spodniach.

Uszer trzepnął Bożka po

perlących się potem plecach.

- Opaliłeś się.

- Ty też.

- Wyglądasz jakbyś był z
brązu.

- Ze złota! Także to, co
wewnątrz.

- Katia z kuchni powinna
ci dawać repetę.

- Nie chce nawet na mnie spojrzeć.

- Niepotrzebnie podchodzisz do niej nagi - powiedział Uszer, który powinien był znać się na tych rzeczach. - Tutaj nagość to żaden rarytas...

- Podobno Katia wieczorem gotuje dla inżyniera kluski - wtrącił Wasiljew.

- On ma koszulę w paski! - krzyknął Bożek biegnąc z wiadrem do aryku. Wróciwszy rozchlustał wodę wewnątrz przyszłego domku. - Nie jadłem prawdziwych klusek całą wieczność.

- Co robisz? - spytał Uszer.

- Podłogę. Trzeba zmoczyć glinę i ubić ją.

- Szkoda, że nie można im zafundować prawdziwej podłogi - powiedział Uszer.

- Na pustyni i taka ujdzie. Nie będą mieli okien? - zwrócił się Bożek do Wasiljewa.

- Po co? Żeby słońce przez nie zaglądało?

- Ani kuchenki?

- Latem gotuje się na powietrzu.

- A zimą?

- Do zimy daleko. - Wasiljew zamyślił się. - Możemy im zrobić w podłodze żarówisko kryte stoliczkiem. Po uzbecku.

- To niezła myśl.

- W południe, kiedy korzystali z przerwy, przyszedł technik Rybak, niski, czarnowłosy, lat miał chyba nie więcej niż

dwadzieścia pięć.

- Odpoczywacie? - rzucił na powitanie i kucnął obok nich.

- Jak pan widzi - odparł

Wasiljew. - Ale zrobimy to na czas, towarzyszu inżynierze.

- Nie jestem inżynierem.

- Zawsze siła techniczna, człowiek uczony.

- Kiedy żona przyjedzie? - spytał Bożek.

- Za dwa dni.

- Nazbyt jej się spieszy - zatroskał się Wasiljew. - Można nie zdążyć.

Uszer nie miał wątpliwości.

- Zrobimy! Podgonimy nocą.

Lepiej się wyspać w południe.

- Ściany rozpala się w słońcu - uprzedzał Wasiljew. - Znadto cienkawe. W chałupie może być nie do wytrzymania.

- Za to w nocy szybciej się wystudzą - pocieszał się Rybak.

- Tak - na to Wasiljew - w nocy może być nawet zimno.

Wkopali słupy, do których przybijali potem oszalowanie. Rybak stał i patrzył.

- Będą cztery ściany, inżynierze, i dach nad głową - odezwał się Bożek. - Miał już pan kiedyś własne mieszkanie?

- Chyba nie. Wychowałem się w sierocińcu.

- A żona?

- Ona miała. Mieszkała z rodzicami w Kijowie. Ale ostatnio dużo się tułała.

- Uszer rozprostowywał siekierą stare zardzewiałe gwoździe. Bożek przytrzymywał deski, w które Wasiljew stukał młotkiem. Trzymając gwoździe w zębach Wasiljew cedził swoje uwagi:

- Nie będzie miał pan okna.

Rybak wzruszył ramionami.

- Ani kuchenki.

- Gotuje się na powietrzu.

- A zimą?

- Och, do zimy!...

- Zrobimy panu żarówisko -
rzucił Bożek. - Po uzbecku
"sandał".

Rybak zaśmiał się.

- Będę więc mieszkał jak
Uzbek.

- Jak Uzbek? A ma pan
dwadzieścia kołder? - zapytał
Wasiljew.

- Da koce.

- To mało.

- I dwa płaszcze.

- To już coś.

- Cztery ściany -
powtórzył Bożek. - Mój Boże,
cztery ściany. Co pan będzie
wieczorami robił z żoną?

Rybak zaśmiał się. Bożek
powiedział, zmieszany:

- Nie to miałem na myśli.
Grywa pan w coś?

- Czasem gramy w domino.
Ale ona nie lubi, bo ją
ogrywam. Zresztą, teraz mamy
oboje zajęcie. Ja tutaj, ona z
naszą smarkulą.

- Jeśli pan pozwoli,
zajdziemy do was czasami. Na
domino.

Rybak nie odpowiedział.
Bożek położył deskę na ziemi.

- Gorąco - powiedział. -
Zróbmy przerwę.

Poszli odpoczywać pod
most. Rybak podreptał za nimi.
Spytał nerwowo:

- Skończycie pojutrze
wieczór?

- Powiedzieliśmy przecież.

- Dorzucę z własnej
kieszeni. Po dziesięć rubli na
głowę.

Bożek przystąpił do
niego.

- Nie trzeba. Płacą nam od
metra.

- Czego się złościysz?

- Nie złośćczę się.

- Tylko co?

- Nic. Chciałem, żebyś
zagrał ze mną w domino.

- Teraz? Dziś?

- Nie. Jak będzie żona.
Żebyś mnie zaprosił i zagrał

ze mną przy niej w domino.

- Masz zachcianki.

- Nie rozumiemy się -
powiedział ponuro Bożek. - Ale
nie martw się. Będziesz miał
swoje cztery ściany.

- Lubisz grać w domino?

- Nie.

- No więc co?

- Nic. Nic.

Rybak spojrział na bosc
stopy Bożka, potem na jego
nagie opalone uda, na naga
brązową pierś, na futrzaną
czapkę na głowie. Bożek czuł,
że fala gorąca napływa mu do
twarzy. Nabrałem krwi -
pomyślał. Odwrócił się i
poszedł w stronę aryku. Usiadł
w świeżej, ciepłej trawie i
zanurzył stopy w mulistej
wodzie. Usłyszał głos Rybaka:

- Zrobię dla was
przyjęcie. Nie jestem świnia,
nie myśl. Przyjęcie będzie.
Ale to wszystko. Te cztery
ściany chcę mieć dla siebie,
dla swojej rodziny. Żadnych
przyjaciół domu. Myślałeś, że
robisz domek dla siebie?

- W porządku, inżynierze,
w porządku. Nic takiego nie
myślałem. Nie będzie żadnych
kłopotów... Ona da tu sobie
radę? - zapytał.

Rybaka opuściła nerwowość.
Powiedział z czułością:

- Jest silniejsza, niż
mogłem przypuścić.

Wyjął z portfela poźółkła
pocztówkę. Ze zdjęcia
spoglądały dziecinne oczy na
drobnej twarzyczce. Bożek
przypatrywał się długo, nie
mógł przemóc lekkiego skurczu
w krtani.

- Wygląda jak dziecko -
zauważył.

- To jest zdjęcie przed
ciążą.

Bożek podniósł się.

- Porobimy trochę. -
Wytarł pot ściekający
strużkami spod futrzanej

czapki. Lepiej pocić się

pracując - pomyślał.

Znów przy robocie. Rybak wciąż przy nich tkwił. Uszer nie oszczędzał go:

- Upięczęcie się między tymi cegłami. Żeby chociaż w cieniu drzewa...

Rybak bronił się ostatkiem sił.

- W namiocie byłoby nam goręcej.

- Co można wymagać od namiotu? Jutro wyjmiesz kołki i pójdiesz dalej. Namiot to buda koczownika. A wy będziecie mieli dom. Dom powinien być domem.

Bożek mruknął:

- Bez obaw, inżynierze. Pokryjemy cegły grubą warstwą gliny. Tego draństwa tu nie brakuje. Glina będzie nieźle izolować.

- Mądrze - pochwalił Wasiljew. - Wybielimy wam izbę wapnem. Będzie całkiem przyzwoicie. Z zewnątrz też wybielimy.

- A dach?

- Nałożymy słomiane maty i oblepimy gliną. Zresztą deszczu nie będzie - aż w październiku.

- Tak, o glinę przynajmniej nie musimy się martwić.

- Ona ma zupełnie oczy dziecka - opowiadał Bożek kolegom.

- Zawsze lepiej, żeby była przy mężu - zauważył Wasiljew.

Wszyscy się zgodzili.

Rybak kołyszącym się krokiem odszedł do swoich zajęć. Oni postukiwali jeszcze przy szalunku aż do wieczora. Kiedy skończyli, Wasiljew zakomenderował:

- Ubierajcie się, na dzisiaj dosyć.

Ubierali się w milczeniu.

Dopiero w namiocie, kiedy jedli szarawą zupę z grubej krupy pszennej, Uszer spytał:
- Majster, a w nocy nie porobimy?

Wasiljew podrapał się za uchem.
- Prędzej będzie wypłata - przypomniał Bożek.
- Ano tak. Można by już zacząć zakładać cegłę.
- Właśnie.
- Akord to akord - zgodził się Wasiljew.
I postanowił, że porobią trochę w nocy.

3

Trzeciego dnia wieczorem wszystko było ukończone. Cały batalion się zbiegł, żeby podziwiać pierwszy domek. Był czyściutko wybielony i otynkowany. Podłogę z udeptanej gliny polano raz jeszcze wodą i starannie wypolerowano. Rybak wstawił dwa żelazne łóżka, kufer, wbił gwoździe w ścianę. Znalazła się dwurzędowa półeczka na naczynia. U wejścia zawieszono na razie koc, ale Uszer obiecał zmajstrować drzwi, jak tylko Rybak dostarczy mu zawiasów.

Rybak chodził między ludźmi i mówił nerwowo:
- Chałupyście nie widzieli? Jest na co patrzeć...
- JEst, jest - upierali się.
- Wybielone jak u przyzwoitych kmieci.
- Wygląda niczego sobie.
- Można zacząć seryjną produkcję.
- Nad żarówiskiem trzeba by umieścić stół z przyciętymi nogami.

- MOże być taboret.
- Przykryć kocem, żeby trzymał ciepło.
- Zimą można wstawić piecyk.
- Ale musisz przebić otwór na rurę.
- Chałupa się zawali.
- Zawalić to się może i od

silniejszego wichru.

- Od wichru i drzewo się zawali.

Rozchodzili się powoli.

Bożek powiedział do Uszera:

- Gdyby nie był wstawił swoich łóżek, przespałbym tę noc w naszym domku.

- Pośpieszył się.

- Kiedy forsa?

- Jutro. Po dwadzieścia pięć dla nas, pięćdziesiąt dla majstra.

- KUpa pieniędzy - stwierdził Bożek.

- Porcja chleba na bazarze - obliczył Uszer.

- Co zrobić z taką forszą?

- Schowaj na buty.

- Może na sznurowadła?

- Ja przechleję.

W namiocie Zinatulin powitał ich wiadomością:

- Wszyscy spocznij i rozejść się. Od jutra przestajemy być wojskiem.

Było to coś nieoczekiwanego. Władze postanowiły rozwiązać batalion i zatrzymać wszystkich jako robotników kontraktowych.

- No to świetnie - powiedział Gilman. - Zwijam manatki i pryskam do Taszkientu.

- Samowolnie? - zapytał śpiewnie Blichsztajn. - Znasz artykuł czterdziesty siódmy?

- Dostaniemy kartki na chleb - poinformował Zinatulin.

Ktoś orzekł krótko:

- Wojsko lepsze.
Bożek pokręcił się na
łóżku, zanim ułożył głowę na
worku owiniętym wokół jego
starych trzewików.
- Uszer - szepnął.
- No?
- Zdaje się, że będzie nam
lepiej.
- Dlaczego?
- Tak mi się zdaje.
Łatwiej będzie z tym skończyć.
- Nawiać? W wojsku -

trybunał, w cywilu - sąd.
- Ale co wolny, to
wolny... Czuję się inaczej...
- Może. Zobaczymy, co
madame Rybak powie na swoje
mieszkanie.
- Padnie na kolana,
przekonasz się.
Rybakowa przyjechała
nazajutrz rannym pociągiem.
Bożek, Uszer i Wasiljew
obserwowali ją z daleka, jak
szła z pociągu u boku męża.
Technik niósł owinięte w koc
dziecko, Rybakowa dreptała
obok zaaferowana z malutkim
węzełkiem w ręku. To były
wszystkie jej rzeczy.
Wyglądała tak jak na zdjęciu -
miała drobną figurkę, ruchliwą
twarz, może tylko bardziej
surową niż na fotografii.
Rybak z żoną znikli w
swoim domku. Bożek i jego
kompania poszli do wykopu. W
południe Rybak znalazł ich
wśród setki półnagich postaci.
- No jak? - zagadnął
Wasiljew technika. -
Zadowolona?
- Diabeł ją wie. Śpi.
- Chałupa ładnie
wybielona.
- Owszem, owszem. Mówię
wam - śpi.
- A dziecko?
- Nie wiem. Może
wrzeszczy. Więc, towarzysze,

proszę wieczorem do mnie. Na jednego głębszego.

- Zrobi się.

Rybak odszedł.

- Ma baba szczęście - mówił Łaboresznych. - Wszyscy w namiocie albo w baraku, a ona we własnym domku.

- Cegła grubości.

- Ale domek! Wybielone jak nie przymierzając izba.

- Pół roku będzie, jak nie spałem pod dachem - odezwał się Trzeciński.

Wszyscy zwrócili na niego oczy, bo Trzeciński prawie się nie odzywał. Więcej zresztą

już tego dnia nie powiedział. Wieczorem Wasiljew ze swoimi pomocnikami poszli do Rybaków. W kieszeni mieli pieniądze, które wypłacono im za akordówkę. Byli podnieceni oczekującym ich przyjęciem. Na progu powitał ich Rybak: proszę, proszę do środeczka. Weszli do domku. Zamiast stołu pośrodku izby stał kufer Rybaka, na nim lampa naftowa. Na ścianie wisiał portret Stalina i reprodukcja jakiegoś obrazu wycięta z tygodnika "Ogoniok". W głębi pokoju stała Rybakowa huśtając na rękach dziewczynkę.

- MOja żona - przedstawił Rybak. Ukłonili jej się szarmancko - ona skinęła im głową nie przerywając huśtania. Wasiljew odchrząknął i zaczął:

- To musicie wiedzieć, obywatelko, że to my... My, znaczy się, wspólnym wysiłkiem, wybudowali...

Kiwnęła głową, że wie.

- Wybudowaliśmy, żeby wam się dobrze mieszkało.

- Aaa - kołysała Rybakowa dziecko.

- Podłogę wypolerował ten

oto młodzieniec - Wasiljew
wskazał na Bożka.

Rybakowa położyła dziecko
na łóżku, trochę może zbyt
gwałtownie, bo dziecko
zapłakało.

- Wrzeszcz, nic ci nie
będzie - warknęła.

Mąż postawił na skrzyni
butelkę i kubki. Żona kroić
kostki chleba. Wasiljew
przysunął sobie krzesło. Bożek
chwycił go za rękę.

- Co ty? - spytał
zdziwiony Wasiljew.

- Stój - wycedził Bożek
przez zęby. - Stój.

- Dlaczego?

- Nie proszono cię, żebyś
usiadł.

- Rybak rozlał wódkę.

- Czym chata bogata -
powiedział bezbarwnym głosem.

- Wszyscy się temu domkowi
dziwują, towarzyszeko Rybakowa
- zaczął Wasiljew. - Cholernie
się ludziom chałupa podoba.

Rybakowa burknęła:

- Pijcie.

Wasiljew podniósł kubek.

- Cieszymy się, żeśmy się
przyłożyli, towarzyszeko. Macie
mieszkanie, że szkoda gadać.
Jak ludzie!

Rybakowej zadrżały usta.
Odwróciła się do ściany i
wybuchnęła głośnym płaczem.

- Co to? Co to? - pytał
zdumiony robotnik.

- Pij, ośle - warknął

Rybak. - Nikt cię nie prosił o
wygłaszanie przemówień.

Wasiljew posłusznie wypił.
Uszer też. Bożek stał
wyprostowany.

- A wy? - spytał Rybak.

- Nie piję.

- To kalorie - przypomniał
Uszer.

Bożek zawahał się.

- Daj, ja za ciebie -

wtracił pośpiesznie Wasiljew.

- A wy, inżynierze?

Rybak jakby nie dosłyszał.

Ona stała z przyciśniętą do oczu chustką, pierś jej unosiła się spazmatycznym łkaniem.

- Czemu to? - dopominał się odpowiedzi Wasiljew.

- Pij, pij - radził niecierpliwie Rybak.

- Masz wypić swój kieliszek i pójść sobie do diabła, zrozumiałeś? - pouczał go Bożek. - Nie przyszedłeś tu na wieczorynkę, tylko na kielich po robocie.

- No to bęc - zgodził się z rezygnacją Wasiljew.

Żuli w milczeniu pokrojony w kostki chleb - tego się nie przepuszcza. Rybak kręcił się niespokojnie.

- Gala, kochanie...
Miałaś, zdaje się, kawałek

kielbasy.

Kobieta powiedziała szybko:

- Nie, skąd, już zjedzona.

- Ależ nie, kawałek został.

- Mówię ci, że zjedzona! - uniosła się.

Zaczęła sprzątać ze stołu kubki. Uszer dał swoim znak:

- Wynosimy się.

Wychodzili niezgrabnie, jakoś tak tyłem. W domku płakało dziecko.

- Nie podała nam ręki - przypomniał sobie Bożek, kiedy już byli przy swoim namiocie.

- Uszer mruknął:

- No to nie. Nie ma się czym przejmować.

- A usiąść nam kazali?

- Nie.

- Nie napił się z nami.

- I to prawda.

- Każdy dostał porcję wódki.

Uszer stwierdził
niecierpliwie:

- Bo to nie było
przyjęcie.

- A co?

- Zapłata. Zapłata w
przedpokoju. Tylko że nie ma
przedpokoju.

- Myślisz, że im będzie
bardzo źle w naszym domku -
zastanawiał się Bożek.

- Nie wiem...

- MNie by nie było źle.

- Ale im może być źle.

Jeśli go nie lubią, to będzie
im źle - powiedział Uszer.

4

Bożek miał już w kieszeni
kartkę żywnościową, kiedy
przeszedł z belki na belkę,
z łomem na ramieniu, szedł
obok dziesiętnika Siergieja po
zataczającym łuk nasypie.
Miasteczko namiotów zostało w
tyle. Było cicho, czasem tylko
coś zatrzeszczało obok w
nieruchomym jeziorze

jęczmienia. Góry przybliżyły
się poprzez rozrzedzone
powietrze i stały
pomarszczone, groźne i
świejące płatami śniegu.

Z tyłu potykając się i
padając śpieszył za nimi
Trzeciński. Skarżył się: - Nie
możecie wolniej? - Wciąż
jeszcze nie opanował prostej
sztuki chodzenia po belkach.

Siergiej zaprowadził ich
do swoich "dziewcząt". Tak je
nazywał, chociaż były wśród
nich i dwie starsze kobiety.
Stosunki między dziesiętnikiem
a kobietami ułożyły się po
koleżeńsku: on je klepał po
pośladkach, a one przyjmowały
to jako sympatyczną poufałość
szefa.

- Wiera! - zawołał

Siergiej.

Podeszła przysadzista,
szerokobiodra dziewczyna o
płaskiej, smagłej twarzy.
Siergiej wskazał na Bożka i
Trzecińskiego.

- Weź ich sobie do pomocy.

- Umieją coś?

- Nauczysz, niewielka
filozofia. Idźcie naprzód z
dreżyną, my będziemy
wyrównywać tor.

Umieścili na szynach małą
platformę na kółkach,
naładowali ją stykami,
haclami, śrubami, mutrami,
podkładkami. Bożek pchnął
wózek łomem. Potoczył się
lekko i koła przyjemnie
zaterkotały. Dziewczyna szła w
milczeniu.

- Siadaj - zaproponował
Bożek. - Podwiozę.

- A potem ty będziesz
siedział, a ja robić? -
spytała zaczepnie. - Mądrala!

Nie to nie, pomyślał.
Chciałem być elegancki, pani
pozwoli do karocy, konie
parskają, stangret trzaska z
bicza, a pani wybałusza
ślipia. No to nie trzeba.
Ujechali z kilometr i

dziewczyna zakomenderowała:

- Stój. Zdjąć dreżynę.

Ściągnęli platformę z
szyn.

- Będziemy teraz szukać
pękniętych styków. Uważajcie,
gdzie brak śrub albo hacli.
Nie dopatrzysz, a potem
wypadek.

W milczeniu wymieniali
zepsute styki. Trudno było
odkręcać pordzewiałe i
rozgrzane mutry, nie mieli ze
sobą smaru. Bożek parzył sobie
dłonie o żelazny klucz, ciężki
i długi jak kilof. Zrzucił
bryczesy, został w
podwiniętych kalesonach.

Spojrzał ukradkiem na
dziewczynę, ale nie,
niewzruszenie zakręcała mutrę.

Potem kazała mu wymienić
podkładkę. Podała mu ciężki
młot, a sama zrzuciła bluzkę.
Została w czerwonym,
przepoconym staniku, zbyt
obszernym nawet na jej niemąłą
piers. Bożek odwrócił się i
trzepnął młotem w hacel. Wbił
się w drewno jak w masło.

- Dobrze - pochwaliła
dziewczyna. - Odpocznij.
Poszczać też trzeba.

Zbiegła do jęczmienia i
przykucnęła. Trzeciński
przyglądał jej się z
rozdziawionymi ustami.

Trzeciński był zupełnym
idiotą. Nie wiadomo jaki był
dawniej, przed batalionem,
podobno miał maturę. Teraz nie
nadawał się do niczego.
Godzinami wystawał z menażką
przed kuchnią, Trzeciński był
idiotą, ale tylko jemu można
się było poskarżyć:

- Nie uważa nas za
mężczyzn.

Trzeciński nie rozumiał.

- Co cię to obchodzi?

- Chodzimy przy niej w
kalesonach.

- Ja nie mam nic innego.

- Ja też, ale powinna się
czuć dotknięta. I nie powinna

przy nas się odlewać.

Wiera spytała:

- Co tam szwargotacie?

- Że masz ładne oczy! -
odpalił z miejsca Bożek.

- Jeszcze czego -
burknęła. - Kawaler się
znalazł.

Bożek mruknął do
Trzecińskiego:

- Z tą kartą żywnościową
mógłbym mieszkać w mieście.

- Tu jest dobrze.

- Tak uważasz?

- Tu można dostać repetę.
- Gdybym miał jakikolwiek dokument, nawiałbym.
- Ja mam polski dowód osobisty - powiedział Trzeciński.
- Polski? Naprawdę?
- A ty nie masz?
- Nie. Wojna za wcześnie się zaczęła.
- Dla mnie w sam raz. Zdażyłem dostać dowód.
- Gdybym miał polski dowód, nawiałbym.
- Ja nie nawieję. Tu jest dobra kucharka. Ona się nade mną lituje.
- Znowu coś szwargoczą - złościła się dziewczyna.
- Że masz ładne włosy.
- Dureń! - krzyknęła. - Dureń!
Bożek obejrzał się.
- Cicho, Siergiej idzie.
Z dalekiego zwężenia toru szedł ku nim uśmiechnięty, jasnowłosy dziesiętnik. Dziewczyna chwyciła bluzkę i szybko ją włożyła. Poprawiła włosy i przewiązała je chustką. Bożek szedł z toru i stanął w cieniu jęczmienia.
- Dużoście zrobili? - zawołał Siergiej przybliżając się.
Wiera nieśmiało pokazała zużyte części.
- Dają chłopcy radę?
- Nie gorzej od innych.
- Ty czegoś tam polazł w jęczmień? - spytał Siergiej

Bożka.
- Nie mogę ustać, majstrze. Parzy mnie w stopy.
- No i co teraz będzie?
- Nie wiem. Nie mogę ustać.
Siergiej westchnął.
- Zróbmy przerwę. - Popatrzył na kalesony Bożka. - No, to ja się też rozbieram.

Wiera podbiegła do niego z roziskrzoną gniewem twarzą.

- Ani się waż! -

krzyknęła.

- Co ty?

- Ani się waż! Możesz tam gdzie przywykł do tego, w tych swoich taszkienckich burdelach - ale tutaj nie wolno! Nie pozwolę!

- Co ty? - powtórzył Siergiej.

- Nie przy mnie! Słyszysz?

Bożek ścisnął w dłoni kłosa jęczmienia. Długie ości wbiły mu się w palce. Siergiej uśmiechnął się do niego porozumiewawczo.

- Widziałeś ją? Zrozum tu babę. Chodźcie do brygady na obiad.

Bożek ubrał się. Szedł trawiastą ścieżką obok toru, obserwując, jak Wiera gniewnie trzęsie pośladekami. Nienawidził jej teraz. Zaraz ci powiem, kim ty jesteś - myślał. - Zaraz ci powiem, dlaczego chodzę przy tobie w kalesonach. Jesteś brzydkim zwierzakiem o czerwonej twarzy, bez krzty kobiecego wdzięku. Pudło. Stołowe nogi. Spocony, nie myty kloc. Możesz się przy mnie rozebrać do naga, nie wzruszy mnie to. Zaraz ci to powiem.

Czuł suchość w gardle jak po gorączce. Wszystko, co mówiła i robiła, obrażało go do głębi. Wytytłała mnie w błocie, w tych szczynach, które odlała pod jęczmieniem.

- Wiera! - zawołał.

Odwróciła się. Teraz jej

powie, teraz zemści się nad tym spoconym, dziurawym klocem.

- Wiera.

Spocony nie myty kloc. Przyglądała się Bożkowi

uważnie, jakby wiedziała, że ma jej coś ważnego do powiedzenia.

- Wiera - usłyszał swój własny głos brzmiący łagodnie. nigdy nie powie jej tamtych słów. Nie można kobiecie powiedzieć, że jest nie pociągającym klocem. Ja nie mogę. Ja nie powiem. - Wiera - zrobił porozumiewawcze oczko. - Ten Siergiej, co?

Uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- Ano, niczego sobie - powiedziała.

- Lubi którąś?

- Cholera go wie.

- Wyszłabyś za niego?

- Nie pytał mnie o to. A co ty tak?

- Nic. Chodźmy.

Szedł obok niej rozmyślając: Wyjadę. Nawieję. Już najwyższy czas. Muszę nawiać. Dotknął kieszeni z kartką na chleb. Stanowiła dowód, że nie jest w wojsku, że może się uważać za wolnego człowieka.

Dziewczęta czekały już na nich z kociołkiem cienkiej zupy. Po obiedzie gremialnie pokładły się spać, Siergiej położył się między nimi. Bożek wyjął swoje papierki i ogryzkiem ołówka napisał:

"Dali mi nową robotę: konserwację toru. Tor krzywy i chybotający się. Chodziłem w kałesonach przy dziewczynie. Nic jej to nie obchodziło. Odląła się pięć kroków ode mnie. Mam kartkę na chleb. MUszę stąd nawiać! Gdybym miał ze sto, dwieście rubli! Nie mogę ustać na rozpalonym torze. Kreozot kipi na belce. Szyny rozszerzają się i

nalegają na siebie na stykach. Pracuje ze mną Trzeciński:

wysoki, chudy, opalony i
pólnagi. Dostaje po kilka
repet, ale jest zawsze głodny.
Wszystko w nim znika jak w
otchłani. Pierś ma zapadła,
tylko pod pępkiem zwisa mu
śmieszny brzusek. Obojętny na
wszystko. Ale ma polski dowód
osobisty - z orłem. Kiedy
wojna się zaczęła, miał więcej
niż 18 lat. Mnie dwóch
zabrakło. Gdybym miał taki
dowód!...

Pisał drobnymi literkami
na skrawkach papieru, które
przycinał do wymiaru swojego
notesu. Schował go do kieszeni
i położył się na wznak. Oddał
się marzeniom.

Nie musiał przecież być
bosym, półnagim osobnikiem,
który nie ma płci ani jej nie
czuje. Potrafiłby zagrać każdą
inną rolę. Na przykład
eleganckiego amanta na
Florydzie, leżącego beztrosko
na bujającym fotelu. (To
świętstwo - wylegiwać się
beztrosko, popijając martini z
lodem, kiedy jest tyle nędzy
na świecie; do łopaty,
dżentelmeni, wszyscy do
łopaty!). "John!" - woła.
"Yes, sir". "Lecimy do
Taszkientu". (Tak, przylecieć
tu, pokazać się w czyściutkich
szortach "bermudy", pokazać im
wszystkim, którzy uważają, że
słusznie jest na dnie, że tak
jest, jak być powinno - nie,
ja im pokażę!) - Mój Boże, cóż
za wspaniała kraina - myśli
pan w bermudach (nie, lepiej w
lekkim garniturze z tropiku).
- Ta pustynna kotlina,
otoczona granitowymi górami o
tak wyrazistej rzeźbie. Ten
nieruchomy staw jęczmienia
wyrastający tuż nad pustynią.
"Ładujemy, JOhnnny". "Sir,
Stalin nas wita..." Stalin
zbliży się ciężkim krokiem,
szeroko rozstawiając dotknięte

platfusem stopy. "Dziobaty - szepcze JOhnnny. - Lud go tak przezywa: Dziobaty". Stalin słuca sceptycznie, potem mruzy: "Dziwnie pan dzisiaj elokwentny". (To słońce, stan somnambuliczny). "Mnie to też dziwi - odpowiada Bożek. - Wie pan, wtedy u was, kiedy byłem krzywdzony, nic z siebie nie umiałem wykrztusić. Miałem ściśniętą krtani i ściśnięty mózg. Ludzie biedni są głupi, Józefie Wissarionowiczu. Ludzie głupi są biedni. Bogaci są wymowni. U nas jeden kamienicznik żydowski mówił: Jak ja mam dwie domy, to wolno mi mówić, że mam dwa żony. Różne rzeczy czytałem w pańskich pracach, ale o tym zjawisku ani słowa. A przecież to też jest dialektyka. Czy depresja jest bazą, czy nadbudową?"

- Wstawać, dziewczęta! - krzyknął Siergiej.

Stalin mruknął: "Mniej sja o niego. Możemy pogadać podczas pańskiej pracy. Nie wymaga ona wysiłku umysłu. Właściwie nie bardzo sobie mam z kim pogadać".

- Bożek.

- Słucham.

- Gdzie się podział ten drugi?

Trzeciński gdzieś zniknął.

Bożek powiedział:

- Domyślam się, gdzie on jest.

- Skocz po niego.

Bożek szedł po ścieżce obok toru. Stalin nalewał mu wino. "Moje ulubione, cinandali, numer pięć". "Więc pan sobie popija, Józefie Wissarionowiczu, i daczę pan ma, i dziwki sportsmenki, a ja zasuwam w gaciach... to jest nie ja, tylko ci tam, na pustyni". Stalin usprawiedliwia się, tak, nie wiedział, oszukiwano go, nie przyszło mu na myśl, czy Bożek

nie mógłby mu jakoś pomóc?
Informować go... "Nie,
dziękuję, to nie dla mnie.
Trzeba stworzyć mechanizm
docierania do prawdy. Prawda
jest... i tak dalej". Cholera,
Stalin stoi obok, możesz mu
wreszcie wygarnąć wszystko, a
w głowie mętlik, w głowie
zmęczenie i przegrzanie.

- Bożek! - usłyszał głos
Uszera.

Stał z łomem w szeregu
mężczyzn ustawionym wzdłuż
szyny. Wasiljew dyrygował:

- Raz_dwa_wzjali!
Raz_dwa_wzjali!

Za każdym "wzjali"
naprężali się i przesuwali
trochę łomami tor. Wasiljew
rzucił spojrzeniem w szynę i
zawyrokował:

- W porządku.
- Czegoś taki zamyślony? -
spytał Uszer.

Bożek poczerwieniał.
- Nie pamiętam. O czymś
tam myślałem. Szukam
Trzcińskiego.

- Sterczy przy kuchni.
- Tak przypuszczałem.
Bożek przyspieszył kroku.

"A więc, Józefie
Wissarionowiczu, chcę panu
jeszcze powiedzieć, że mogę w
każdej chwili być Stalinem.
Nie wierzę, że pan, czy
ktokolwiek taki, urodził się
specjalnie namaszczoney. Wyszło
to panu na loterii. MNie też
może wyjść. Dla aktora to
nawet interesujące wcielenie.
Chwila skupienia - i już
jestem panem. Mam ciężki chód,
chytre oczy, nieubłaganą wolę.
Poprowadzę za pana tę wojnę.
Poprowadzę do zwycięskiego
końca, lepiej niż pan, z
mniejszymi stratami, a potem
zrobię tu takie reformy, że
świat się zdumieje. Panu się

nawet o nich nie śniło. Czegoś
panu brak, co ja posiadam:
bezpośredniości, prostoty,
może naiwności. Tak, Józefie

Wissarionowiczu, brak panu
naiwności".

- Uwaga! Ślepy jesteś, czy
co?

Mało, a przewróciłby bidon
z wrzątkiem. Uśmiechnął się:
głuptasy, nie mają pojęcia,
gdzie dopiero co był, z kim
rozmawiał, jaką władzą
rozporządzał. Nie wiedzą, jak
świetnie, wykwintnie, lekko
potrafił się zachować. Nie
domyślają się nawet jego
inteligencji, wymowy, wdzięku,
którym oczarował samego
Stalina. I że kiedy chce, sam
jest Stalinem i zmienia
wszystko w tym kraju wedle
swojej woli. Ich los jest w
jego ręku. Nie wiedzą o tym.

Zdjął z głowy futrzaną
czapkę i powachlował twarz.
Otarł wierzchem dłoni pot z
czoła. Na stacji furkotał
traktor jak daleki samolot.
Trzeciński siedział pod ścianą
kuchni wpatrując się tępo w
glinianą miseczkę na swoich
kolanach.

- Chodź, czekają na ciebie
- powiedział Bożek.

Trzeciński pokręcił
odmownie głową. Pochylił
nagie, brązowe plecy,
przycisnął miseczkę do
zapadłej piersi.

- Powiedz jej, żeby mi
dała jeszcze - powiedział.

Jego oczy były mętniejsze
niż zwykle. Odbiło mu się. Zza
kotła wysunęła się kucharka,
niebrzydka dziewczyna o
smagłej cerze, w niebieskiej
chustce na głowie. Skrzyżowała
obnażone ramiona.

- Dziewięć miseczek kaszy
zjadł - mówiła zdumiona. -

Słyszane rzeczy! Pomyślałam
sobie: chociaż raz dam mu
tyle, ile zechce. Dziewięć
miseczek zjadł!

Trzeciński wyciągnął rękę z
miseczką.

- Katia - poprosił -
daj...

- Dziewięć miseczek
zjadłeś.

- Daj, Katia, daj.

- Ale cyrkowiec! -
roześmiała się dziewczyna. -
Ciebie by tylko do teatru.

- Rozchoruje się -
uprzedził Bożek.

- On? Tyle jeszcze nigdy
nie dostał, ale po sześć to mu
się trafiało.

- Wstań - szarpnął Bożek
Trzecińskiego. - Czeka ją na
ciebie.

- Nie pójdę, głodny
jestem.

Bożek chwycił go za
ramiona. Trzeciński wstał i
skurczył się.

- Co ci jest?

- Brzuch mnie boli. Głodny
jestem.

- Zaprowadzę cię do
namiotu.

Opierając się na ramieniu
Bożka, Trzeciński skarżył się:

- Jeść mi się chce. To
przez ciebie. Ona by mi
jeszcze dała. Ona mi zawsze
daje, ile chcę.

Bożek pchnął go do namiotu
i przy pomocy Łaboresznych
położył na łóżku.

- Przeżarł się? - spytał
domyślnie Łaboresznych. -
Gdzie on to wszystko mieści?

- Nie wiem. To chyba taka
choroba.

Przez chwilę przyglądali
się Trzecińskiemu. Leżał i
uśmiechał się błogo do siebie.

Wieczorem Trzciński czuł się już dobrze i wraz z innymi udał się na placyk przy kuchni, na którym Fajzijew rozdawał listy. Było to zawsze wielkie wydarzenie, te listy przywożono nie częściej niż raz na tydzień.

Stali stłoczeni, szarzy w zapadającym zmierzchu, ludzie niegodni walki na froncie,

przestępcy gospodarczy,
kryminaliści, Niemcy,
przedwojenni obywatele państw
ościennych, podejrzani o
nielojalność, różnojęzyczna
zbieranina. Uśmiechali się
przymilnie do rozdającego
pocztę Fajzijewa. Tatar
niewzruszonym, urzędowym
głosem odczytywał nazwiska.

- Koniajew.
- Szlechtarz.
- Jusupow.
- Schiller.

Bożek, który się spóźnił,
zapytał Uszera:

- Do mnie nie było?
- Nie.

Zmierzchało, zbliżała się
noc, zapadała tu szybciej niż
w Polsce.

- Wołyński.
- Tajerszmidt.
- Pankratow.
- Siergiejew.
- Hahnreiter.

Bożek spytał Trzcińskiego:

- Spodziewasz się listu?
- Nie. A ty?
- Nie wiem - odpowiedział

Bożek.

- Kto może do ciebie
napisać?

- Chyba nikt.
- Hadżimuchamedow jest? -

dopytywał się Azejberdżanin w
ogromnej czapie. - Fajzi, daj
list dla Hadżimuchamedow.

Wywołano nazwisko Uszera.

Odszedł z kopertą na bok.

Azerbejdżanin
niecierpliwił się:

- Fajzi, mów:

Hadżimuchamedow jest? Nie
ma? Dlaczego nie ma?

Woronin. Andrejew. Gilman.
Brzęczały nazwiska. Zaraz
będzie jego. Bergen, Bergen,
chcę usłyszeć Bergen.

"Hadżimuchamedow jest? Popatrz
dobrze, Fajzi_ak~a". Od kogo
dostanie list? Wszystko jedno
- od kogokolwiek. KOnuś chyba
jeszcze jest potrzebny.
Masałow, Miśkin. Midler.

Hadżimuchamedow jest? (Bergen,
Bergen). Przyjdzie list od
matki! Matka została w
Warszawie, dziela ich dwie
linie frontu - ale może, ale
jednak - czy wszystko musi być
logiczne? Powinny się dziać
rzeczy przeczące logice,
niezwykle, ale konieczne.
Często słyszy przecież koło
siebie szept matki. Nadlatuje
z daleka, ze strony stepów,
przebiega tysiące kilometrów -
i jak nie rozdzwoni się w
uchu: Bożek...

- Hadżimuchamedow jest?
Fajzi_ak~a poszukaj! Jest?
Bergen, Bergen. KOńczą się
listy. Wasiljew dostał od
córkki. Do Łaboresznych
napisała siostra. Bergen,
Bergen.

- Czego tu wystajesz? -
spytał Bożek Trzcińskiego.

- LIsty.

- Ktoś ma do ciebie
napisać?

- Nie.

- No to czego stoisz?

- Zawsze stoję.

- Ja też - powiedział

Bożek.

Hadżimuchamedow załamywał
palce.

- Nie ma list. Nie ma

list.

- Od kogo spodziewasz się listu? - spytał Bożek.

- Brat. Młody - młody brat. Wojuje na front. Wielki front.

- Porządny facet ten twój brat - powiedział Bożek. - Nie takie wybierki jak my. Dasz mi przeczytać jego list?

- Ale nie ma list. Dawno nie ma list.

Fajzizjew krzyknął:

- Hadżimuchamedow!

Azerbejdżanin zerwał się z miejsca.

- Ja! Ja!

Chwycił kopertę i rozwinął ją. Przyglądał się przez

chwilę nic nie rozumiejąc. Spochmurniały podszedł do Bożka.

- Czytaj. Ruski pismo. Nie on pisał.

Bożek zerknął na list, potem na Hadżimuchamedowa. Oddał mu kopertę bez słowa.

- Niedobry? - spytał Azerbejdżanin.

- Niedobry, Hadżi. "Zginał śmiercią walecznych".

- Zginał! - krzyknął zdumiony Azerbejdżanin. - Maleńki brat! Mały_mały brat!

Odszedł w mrok ze swoim listem wykrzykując:

- Maleńki!...

Mały_maleńki!...

W namiocie Bożek powiedział do Uszera:

- Ja nawieję. Nie mogę tu usiedzieć. Nie mogę już tu wytrzymać. W październiku zaczną się deszcze.

- Do października daleko - zauważył Uszer.

- Na pewno nie wytrzasnę do tego czasu butów. Spróbuję raz jeszcze z Andersiakami. Nie chcę od nich niczego prócz

dokumentu, żebym mógł
nareszcie zacząć pracować w
jakiejś porządnej fabryce. Albo
studiować, przecież mógłbym
studiować, co?

- Znowu cię komenda placu
przepędzi.

- Nie, mam pomysł.
Trzciński ma polski dowód
osobisty. Mam cholerny pomysł.

- Buchniesz mu?

- Nie, nie. Mam plan.

Pomyślunek.

Zbliżył się do łóżka
Trzcińskiego i szarpnął go za
ramię.

- Trzciński, ocknij się.
No! - tamten wytrzeszczył
oczy. - Słuchaj, Trzcina.
Słyszysz mnie? Trzeba będzie
stąd nawiać.

- Ja nie chcę, mnie tu
kucharka lubi.

- Nic się nie bój,

dostaniesz się do wojska, ja
to zorganizuję. Tylko
pamiętaj, nie obżeraj się tak,
bo wykitujesz i paszport
przepadnie.

- Dlaczego?

- Bo potrzeba, żebyś miał
paszport. Mam plan.

- Jaki plan?

- Piekielny. Cienki jak
nitka pajęczna. Jak coś się
zerwie - leżę jak długi. Ale
ty się nie bój, ty nie leżysz.
Chrzczony jesteś, dowód
osobisty masz - czego się
boisz?

- Tu jest dobrze. Kucharka
mnie lubi.

- Ale i tak można
wyciągnąć kopyta. A co jak
przyjdzie nowy kucharz?

- Tfu, odpukaj.

- Albo cię złapie malaria?
Albo tyfus? Chcesz, żeby cię
pochowali w tej dolinie?

- Nie chcę. Ale tu nie ma
tyfusu.

- Wszystko może być, jak zabraknie wody. Gdzie chcesz umrzeć?

- W Zdołbunowie. Tam mamy ładny cmentarz.

- Obiecuję ci Zdołbunów. Obiecuję ci, co zechcesz. Pilnuj swego paszportu. Paszport - to wszystko. Zapamiętaj sobie: paszport, to najcenniejszy kapitał. Sztamp, krągłaja pieczat. Masz pieczętę?

- Mam. Z orłem.

- Chwała Bogu.

Uszer, który słuchał tej rozmowy, mruknął:

- Nie wiem, czego cię tak cieszy jego dowód osobisty.

Bożek uśmiechnął się zagadkowo.

- Mam plan.

Zwalił się na łóżko. Czuł się wyczerpany.

Rozdział V

1

Przenieśli ich do nowego batalionu, bliżej Taszkientu. Znowu była dolina pełna namiotów. Znowu dwa rzędy żelaznych łóżek w każdym namiocie. Praca też podobna - umacnianie nasypu, wyprostowywanie torów, zamiana lżejszego kalibru szyn na cięższe. Wzdłuż toru płynął zarośnięty szuwarami prądnik. Wieczorami rechotały w trzcinach żaby, unosiły się roje komarów. Groziła malaria.

Ale coś tu jednak było nowego. Przede wszystkim bliskość wielkiego miasta. Słyszało się dalekie salwy lokomotyw. Widziało się podchodzące do lądowania samoloty. Czekali na niedzielę, kiedy w ciągu pół

godziny będzie można
przeskoczyć z pustynnego
krajobrazu między zgiełk i
hałas Taszkientu.

Bożek otrzymywał tu
codziennie dwie porcje chleba
- jedną w batalionie z listy,
drugą z cywilnego sklepiku na
kartkę, której mu nie
odebrano. Początkowo sporo z
dodatkowego przydziału zjadał,
potem zaczął go sprzedawać
Uzbekom, którzy podjeżdżali
pod namioty na osiołkach,
handlując białym serem i
kefirem "katyk",
przechowywanym w wydrażonych
tykwach. Poczł się
silniejszy, w kieszeniach
bryczesów przybyło troszkę
pieniędzy. Zbierze ze trzysta
rubli i pryśnie. Tym razem nie
będzie tego robił o głodzie,
nie załamie się też tak łatwo.
Tym razem się uda.

W niedzielę Bożek,
Trzeciński, Łaboresznych i
Uszer pojechali do Taszkientu.
Na dworcu rozstali się, żeby
każdy na własną rękę mógł
szukać szczęścia w mieście.

Stojąc na placu przed

dworcem, Bożek uświadomił
sobie, że jest uszczęśliwiony
samotnością. Od iluż to
miesiący nie był sam! Stale
ktoś przy nim sterczał,
pilnował go, jadał z nim z
jednej menażki, sypiał pod
jednym kocem. Każdy jego krok
był obserwowany, podliczony,
oceniony, wciąż znajdował się
w kręgu zamkniętej
społeczności. Po raz pierwszy
od kilku miesięcy był naprawdę
sam - sam jak we śnie.

Czuł się prawie wolny
stojąc tak - boso, w
bryczesach, w kiepsko wypranej
koszuli, w futrzanej czapce na
głowie - wśród śpieszących

ludzi. Jeszcze niedawno
niczego się nie bał tak jak
osamotnienia. Widocznie raz
trzeba nam tego, a raz owego.
Niech mi ktoś coś gada o
konsekwencji. Skoro się
zmieniłem, to coś musiało się
ze mną stać, coś istotnego.

Miał w kieszeni trochę
pieniędzy i postanowił, że
sobie użyje. Wszystko wydam,
psiamać, wszystko! Czyż nie
pracował jak wół?

Skierował się w stronę
bazaru. Po drodze minął
jakiegoś jasnowłosego,
smutnego mężczyznę, który
wydał mu się znajomy. Bożek
uszedł kilka kroków i
zatrzymał się. Odwrócił się:
mężczyzna zatrzymał się także.
Przyglądali się sobie z
natężeniem. Nie poznaje -
zrozumiał Bożek - on myśli, że
to złudzenie. Albo ja się tak
zmieniłem... Omal się nie
uśmiechnął.

Zbliżyli się do siebie.
Mężczyzna szepnął:

- To ty?

Zerknął na bosc stopy
Bożka i zmieszany natychmiast
podniósł wzrok:

- Tak, to ja -

odpowiedział Bożek.

Podali sobie ręce. Walery

miał dwie dobrotliwe bruzdy na
policzkach, te same, które
dawały mu tyle uroku na
scenie. Teraz uległy jeszcze
pogłębieniu. Bożek pomyślał
szybko, z nadzieją: on mi
pomoże. Na pewno. Da buty.
Najbardziej chciałbym butów.

- Gdzie pracujesz? -
spytał Walery.

- W batalionie. A ty?

- W teatrze.

Więc jednak! Pomoże, rosła
nadzieja, da buty. MOże
miejsce w teatrze...

- Jak ci się powodzi? -
pytał Walery.

- Jak widzisz.

KUzyn westchnął:

- Gdyby stary Bergen
wiedział!

- Dobrze ci w tym teatrze?

- spytał Bożek.

Walery uśmiechnął się
smętnie i odpowiedział tak
samo:

- Jak widzisz.

Spodnie miał z szarego
płótna, na nogach brezentowe
pantofle na gumowej podeszwie.
Nie będzie butów. Ale
teatr...!

- Słuchaj, WALery -
zaatakował Bożek wprost. - Tam
u was - nie znalazłoby się coś
dla mnie? Przecież pamiętasz...

- Pamiętam, pamiętam.
Tylko, widzisz, ja nie gram.
Ja jestem pracownikiem
teatralnym. Fizycznym. W
zespole nie ma dla mnie
miejsca. Tutaj zwalili się
aktorzy z całej Rosji, z
najlepszych teatrów. Ale dla
mnie dobre i to. Zadowolony
jestem, że się chociaż koło
tego kręcę.

Bożek powiedział
zrezygnowany:

- Musi ci się nieświetnie
powodzić.

- Domyślasz się chyba.

Bożek bał się zapytać o
córeczkę. To dziecko, zawsze
słabowite, podejrzewane o wadę

serca, przebywało z Walerym w
Archangielsku. Wątpliwe, czy
przetrzymało surowe warunki
północy.

- Mój Bjoże - wrócił do
swojej myśli Walery. - Stary
Bergen nie ma pojęcia, jak
wygląda jego najmłodszy syn.

- Nie wiadomo, jak staremu
tam jest w Warszawie. Jaki los
szykują mu Niemcy. Gdyby

choć wiedział, że ja się jednak trzymam! Pewno myśli, że już po mnie. Tego się najbardziej boję, rezygnacji starych.

- Będziesz tak tkwić w tym batalionie?

- Nie, spróbuję uciec do Andersa.

- Myślisz, że czekają na ciebie z otwartymi ramionami?

- Nie potrzebuję niczyich otwartych ramion. Potrzebny mi jest dokument: stwierdzenie na piśmie, że Bogdan Bergen urodził się tu i tu, dopełnił obowiązku wojskowego i ma prawo oddychać.

Walery uśmiechnął się.

- Świetnie to powiedziałaś.

- Dlaczego? - zdziwił się Bożek.

- Świetnie. Jak Węgierko. Tyle tłumionej zawziętości i, mój Boże, tyle wiary.

- Wiary?

- Tak mi się wydaje.

Bożek zaczerpnął tchu.

- To niemożliwe - powiedział. Czuł się prawie obrażony. - Z tą wiarą - nie, wydało ci się.

- Może. Ale dykcję masz lepszą niż dawniej.

- Tak? A co z Agnieszką? - Bożek spytał o swoją kuzynkę, żonę Walerego.

- Agnieszka, mój Boże, żyje, ależ tak... Ale nie jest ze mnie zadowolona. Nie, powiem ci prawdę. Związała się z jednym gościem. Teraz, kiedy Irka jest w domu dziecka,

mniej mnie to już martwi.

A więc mała żyje!

- Czy Irka wciąż jest taka śliczna? - spytał Bożek.

- O tak, na pewno.

- Można ją zobaczyć?

- Tak, chyba tak. Ale

musisz się pospieszyć, bo dzieci wyjeżdżają do Iranu. Stamtąd prawdopodobnie do Palestyny. Dom dziecka jest na przedmieściu, w Łunaczarsku, koło więzienia andersiaków. Na pewno będzie jej bardzo przyjemnie, kiedy odwiedzi ją wujek. Ja mam tak mało czasu, a Agnieszka leży teraz w szpitalu - tyfus. Irka na pewno się ucieszy - zapewnił raz jeszcze. - Powiesz, że jesteś wujkiem, to będzie prostsze.

- Przyniosę jej coś.

- Nie, nie rób sobie wydatków.

- Jednak kupię jej coś.

Jak przychodzi wujek, to powinien coś przynieść.

- Ja bym ci pomógł - powiedział Walery. - Ale naprawdę nie wiem jak. Kiedy byliśmy w Archangielsku, przysłałeś nam paczkę. Pamiętam: tytoń, cukierki, makaron. Gdybym wiedział, jak ci pomóc...

- Nie przejmuj się - powiedział Bożek. - Nie jest mi najgorzej. Umiem nieźle wywijać łopata i codziennie wtrajam kilo chleba.

- KIlo chleba! - wykrzyknął Walery.

- Tak, od pewnego czasu. - Widział, że Walery, zazdrosny, przełknął ślinę. - KUpię coś dla twojej małej. Dziś do niej nie pójdę, bo nie chcę tak całkiem boso. Mam stare trzewiki, to je sobie owiążę, zawsze jakoś przyzwyczaj. Pozdrowisz Agnieszkę, co?

- Pozdrowię. Pracuję w Teatrze Rewolucji.

- Zapamiętam.

- Ale nie myśl, że tam każdy mnie zna.

- Ech, fiume! Czy możemy

się ucałować?

Pocałowali się i obu im zaszklily w oczach łzy. Bożek uśmiechnął się wycierając je wierzchem dłoni.

- Bądź zdrow, Walery.
Jeszcze obaj spotkamy się w "Hamlecie", zobaczysz.

- Ja wolę "Koriolana".
Mówię ci, to jest kawał piekielnej sztuki. Mogę to wystawić choćby zaraz.
Piekielna sztuka!

Zaśmiał się i poszedł.
Bożek patrzył za nim. Walery odchodząc wykonywał prawa dłonią nieznaczne ruchy, jakby kogoś o czymś przekonywał.

Gra - zdecydował Bożek poczuł zadowolenie, którego nie potrafił wytłumaczyć.
Prawie uszczęśliwiony udał się na bazar.

2

Znał te bazyry jeszcze z czasów swojego poprzedniego pobytu w Taszkencie. Wtedy przerażały go: były ogromne i martwe. Nie miały mu nic do zaoferowania. To on oddawał im kolejno wszystko, co miało jakąś wartość: fufajkę, ręcznik, bluzę, plecak. Oddawał to za półdarmo, z nienawiścią i rozpaczą, z bezradnym uczuciem, że bazar jest silniejszy, że bazar ma tysiące rąk i żaden opór nie pomoże. Dopóki znajdował się w jego obrębie, był jego ofiarą. Pomóc mogła tylko ucieczka.

Więc uciekli z Henrykiem do Angrenu - udało się, pięknie. Teraz wracał. Tym razem nie czuł przerażenia. Przeciskał się między straganami spokojny, niemal triumfujący. Wydawało mu się, że bierze odwet na kimś niewidzialnym. Zewnętrznie nic

się nie zmieniło: wciąż był bosy, w bryczesach i przepalanej od dezynfekcji koszuli, spod futrzanej wojskowej czapki spływał chłodny pot. Tak, ale tych kilkadziesiąt rubli w kieszeni, kartka na chleb i pewność, że jutro znowu stanie z łodem przy torze kolejowym - to zmieniło wszystko.

Stał właśnie przed straganem z rodzynkami i suszonym uriukiem, kiedy ktoś szturchnął go w plecy i zachrypiał:

- Kup.

Odwrócił się. Jasnowłosy chłopak, w lśniącym od smarów kombinezonie, wyciągnął do Bożka bluzę z granatowego płótna i powtórzył czkając:

- KUp.

- Ja?

- No pewnie - ty. Nie możesz? Forsy żałujesz? - popatrzył na bose nogi Bożka i zawył: - PIjaku nieszczęsny! Wszystkoś przepił. Wszystko!

Zachwiał się na nogach, z ust buchnął przepity oddech. Bożek dotknął ręką kieszeni. Wydać tę forszę? Tak, czemu nie? Po raz pierwszy od wielu miesięcy niczego nie musiał sprzedawać - mógł coś kupić. To nic, że to jest takie świństwo, bluzza z granatowego płótna, jaka fasuja maszyniści, na nic lepszego go nie stać - to nieważne. Coś się nowego zaczęło. Droga pod górę. Nie ostra stromizna, nie, droga kręta, z wybojami i przepaściami - ale już tylko do góry, wciąż do góry.

- ILe chcesz? - spytał.

Powiedział to spokojnie, rzeczowo. Jak stary bankier, który ogląda plac pod budowę kamienicy. Był teraz starym bankierem. W kieszeni miał książeczkę czekową. "Jaka sumę panu wypisać? Chwileczkę, najpierw obejrzymy sobie ten

placyk. Obawiam się podskórnych wód. To by diabelnie skomplikowało budowę".

- Zagadałeś wreszcie. Dwadzieścia pięć, jak dla ciebie. Kup, wiek będziesz nosić!

Trzeba to obejrzeć dokładnie. Dom stawia się na setki lat.

- Nie jest nowa - ocenił Bożek.

- Dwa razy chodziłem! - krzyknął pijany młodzieniec. - Klnę się na Boga, duszę i cara mać! - Przeżegnał się ruchami szerokimi, jakby cepem bił. - Nie wierzysz? Prawosławnemu człowiekowi nie wierzysz?

Widmo bankiera uleciało. W kieszeni miał pięćdziesiąt rubli, a ten za to świństwo żądał połowy jego pieniędzy. Co prawda Bożek nie miał co na grzbiet włożyć. Szynel był ciężki, niewygodny, no i gorąco w nim.

- Kup - charczał pijany. - Kup, ja ci rozkazuję. Ja, Wasilij, Wasia, Wasiutka, rozkazuję ci: kup. Jak ojciec radzę. Będziesz wyglądał jak sam ludowy komisarz. Na, przymierz!

Bożek włożył bluzę. Była szorstka, pachniała obcym potem i smarami. Ale wydawał się w niej sobie mniej żaloszny. Zapiął guziki pod samą szyję i uśmiechnął się zadowolony. Zapłaci tamtemu i będzie miał swoją bluzę - pierwszą kupioną przez siebie rzecz. Ale oddać za nią połowę tych pieniędzy... Połowę - to strasznie dużo!

Wasilij spoglądał na niego z uznaniem.

- Wyglądasz jak komisarz. Niech cię!... Zapakować?

- Opuść coś.

- Dwadzieścia. Dla ciebie!
Bierzesz? Ja ci rozkazuję:
bierz! Nie sprzedałbym, jej

bohu, ale nie dopiłem,
rozumiesz? Mój charakter podły
mnie gubi. Korzystaj, kupuj. A
może ty pieniędzy nie masz?

- Mam.

- No to płać. Coś ty Żyd,
że pijakowi żałujesz? Pijakowi
się nie żałuje. Pijaka czcić
należy... Zrozumiałeś? To
algebra, synku, tak.

Bożek zapłacił. Westchnął
ciężko, niepewny, czy zrobił
dobrze. Ale było już za późno.
Tamten wywijał pieniędzmi i
mówił:

- Przepiję. Od pieniędzy
wszelkie zło pochodzi!
Przepiję i szabasz! Tak. To
rozumieć trzeba. Algebra,
bracie.

Bożek przeciskał się przez
tłum. Słyszał wołanie tamtego:

- Ej, ej! Braciszku! Czego
uciekasz? Chodź, popijemy
sobie! Ja stawiam, chodź!

Na ulicy Bożek kupił dwa
pierożki. Schrupał je i
obliczył pieniądze. Mało. Ale
dobrze zrobił, że kupił bluzę.
Nie może przecież pojawić się
u Irki w tej przepalanej
koszuli, a szynel na koszuli
wygląda nędznie. Teraz jest
już nie najgorzej. Ach, gdyby
jeszcze jakieś obuwie! Ale za
te pieniądze, niestety, to
niemożliwe.

Wałęsał się cały dzień po
mieście. Nie kupował nic -
wszystko wydawało się za
drogie. Głodny i przygnębiony
stał przed kioskiem, w
którym chudy starzec o
kaukaskich rysach sprzedawał
pierożki i napoje.

Dwa pierożki i po forsie -
pomyślał Bożek. - Nic nie kupię.
Wytrzymam do jutra.

- Co jest do wypicia? -
zapytał starca.
- Dużo jest - odparł
tamten śpiewnie. Wyliczał na
palcach. - Kwas jest.
Mineralny jest. Lemoniada
jest.

- A to co? - spytał Bożek
wskazując na gąsior.
- Wino.
- Wino?
- Tak. Uzbecki wino. Dobry
wino.
- Uzbeckie wino nie jest
dobre - powiedział Bożek.
- Nie mów kwaśny słowa -
upomniał go starzec. -
Papłaj_mapłaj językiem nie
trzeba. Spróbuj, potem mów.
Nalał odrobinę wina do
szklanki. Bożek wypił.
- Dobrze - przyznał.
- Twoja wino rozumiesz?
- Owszem, nie takie piłem.
Nalej szklaneczkę.
- Dziewięć rubli.
- Głupstwo! - Bożek rzucił
na ladę dziesięciorublowkę.
Spragniony wypił wino
jednym tchem. Wzburzyło go
przyjemnie. Cholera! Co ma
sobie żałować! Po solidnej
robocie przystoi wypić. Tyle
jego. Co kupi za swoje
pieniądze. Zegar z kukułką?
- Jeszcze jedną.
- Dziewięć rubli.
- Nalewaj.
Znów rzucił papierek na
ladę. Tym razem saczył wino
powoli. Dobrze, stary miał
rację. Czym się to tak dziś
trapił? Śmieszny był. Czy w
ogóle jest się czym trapić?
- Pierozka? - spytał
stary?
- Nie. Koniec pieśni.
- Bierz, dwa ruble twoje!
- Nalej za dwa ruble -
powiedział Bożek podsuwając
nie dopita szklanekę.

- Uzbecki wino dobry wino
- rzekł stary.
- Dobry.
- Twoja jakie wino zna?
- Tokaj. Reńskie. Bordo -
zalewał Bożek. - Xeres. Sautern.
Samos. Burgund najlepszy, możesz
przeczytać w "Colas Breugnon".
Chablis, Chianti, Lacrima
Christi. Cabernet. Falerno.
Antiquo. Polacco. Gadano.

Bujano. Wypito i bomba - kto
uwierzył, ten trąba.
Sprzedawca rechotał.
- He, he, he, wesoły
jesteś? Wyglądasz smutny -
gadasz wesoły.
- Zdaje ci się.
- Oho, ja mam oko. -
Żegnał Bożka dobrotliwym
uśmiechem. - Bądź zdrów.
Uważaj, nie upadnij. Są weseli
ludzie, są!...

Bożek kroczył przed siebie
diabelnie z czegoś zadowolony.
Nie wiedział tylko z czego.
Wzrok jego padł na wysoką
kobietę w białej sukni, która
szła przed nim, i z trudem
powstrzymywał się, by nie
pogłaskać jej po sprężystych
pośladkach. Zapadł zmierzch i
powietrze zrobiło się chłodne.
Bożek mrucał pod nosem jakąś
piosenkę, przedwojenną,
bzdurne słowa. Nie srebro, nie
złoto, to nic, chodzi o to, by
młodym być i więcej nic. Tak,
jest młodym, ma ten największy
cholerny skarb, ma go we krwi,
w mięśniach, w głupim mózgu.
Tylko młodym być - idiotyczne
słowa, wszystko nieprawda,
młodość to niższość, gdzieś to
wyczytał, no to co - melodia
też jest nędzna, no to co -
chce mu się ją podśpiewywać,
ma prawo, zarobił, wypił,
każdy robociarz ma takie
prawo.

Nazajutrz Uszer zapytał
go:
- Bożek, co to wczoraj z
tobą było?
- Co miało być?
- Śpiewałeś, gadałeś.
- Wypiłem na pusty żołądek
trochę wina.
- Dlaczego się
usprawiedliwiasz? To było
fajne. ZUpełna niespodzianka!
- Dużo głupstw
powiedziałem? - zafrasował się
Bożek.
- Na pewno nie same

mądrości. Ale to było takie
wesołe. Jakby inny człowiek!
Bożek oparł się o łom.
- Wiesz, zaczynam wierzyć,
że to jednak prawda.
- Przecież nie kłamię.
- Mam na myśli, że to
prawda, że kiedyś byłem
wesoły. Prześladowuje mnie
czasem wspomnienie, że kiedyś
byłem inny. Teraz widzę, że to
mogła być prawda.
Stara robotnica
zaintonowała:
Szła starucha@ s towo
swietu...@
Robotnicy szarpnęli łomami
i przesunęli szynę.
Połowiny@ baby nietu.@
Znów rozległ się zgodny
jęk. Teraz robotnica
komenderowała już bez
czterowerszy:
- Raz_dwa_wzjali!
Raz_dwa_wzjali!
Słońce wzbiło się na
szczyt nieba i rozparzyło
łomy. Bożek nie mógł ustać
boso na rozpalonych
kamieniach. Musiał co pewien
czas schodzić do rowu i
zanurzać nogi w zarośniętym
szuwarami prądniku.

Zastanawiał się, co kupić Irce. Była znów niedziela i mógł wybrać się wreszcie na upragnione spotkanie z ośmioletnią dziewczynką z Warszawy. W kieszeni miał tym razem ponad sto rubli. Nie wyda ich tak głupio jak tydzień temu. To są pieniądze na ucieczkę z Trzecińskim. Jednakże małej trzeba coś kupić.

Bożek stał na ulicy i rozglądał się. Sklepy były opustoszałe. W kramikach Uzbegy sprzedawali ser i jabłka - podłużne, żółte, muśnięte z dwóch stron rumieńcami. Nie, dziecku

trzeba kupić coś słodkiego. Słodyczne są potwornie drogie. Zdecydował się wreszcie i kupił suszone owoce morwy, sprasowane tak, że wyglądały jak chałwa. Zawinał je w papierek i włożył do kieszeni bluzy.

Dom dziecka znajdował się za miastem. Bożek szedł powoli glinianą ścieżką między parterowymi domkami i bielonymi płotami. Słońce zalało otwartą przestrzeń ulicy. Tylko z rzadka rozpinał się cień jakiejś pokrytej kurzem morwy. Powietrze znieruchomiało. Z twardej glinianej ścieżki, po której stapał Bożek, wyrastały złośliwe plataniny korzeni i uderzały w obolałe palce idącego. Nic nie może być łatwe. Droga jest parząca, twarda i wyboista, sprawia ból, ale może dlatego Bożek jest przekonany, że nigdy jej nie zapomni: tego piekącego słońca, milczących morw, zamaryłych aryków, usychających lepierek, oślepiającego światła wapna na glinianych

ogrodzeniach.

Aż wreszcie poczuł
tchnienie zieleni. Daleko
został kurz i zgiełk miejski.
Tutaj było cicho. Pachniało
dojrzałym uriukiem i jabłkami,
słysząc było szmer
napełniającego się rozgrzaną
wodą aryku. Zdawało się nawet,
że szumią liście. Ale to było
chyba złudzenie.

Bożek usiadł na murawie
pod glinianym ogrodzeniem.
Myślał, że czysto wyprane
onuce wraz z wierzchami od
trzewików zrobią lepsze
wrażenie niż bosa nogi. Kiedy
jednak obwiązał je sznurkami,
stwierdził, że chyba lepiej
już pokazać się boso. Zdjął
więc wierzchy i przewiązał je
rzemykiem. Umył twarz i nogi w
aryku, zwilżył włosy. Futrzaną

czapkę wpakował do buta.
Jeszcze przerzucić związane
rzemykiem buciki przez plecy.
Tak, teraz jest gotów.
Przyjrzał się bramie. To tu.

Za ogrodzeniem zatrzymał
go dozorca Uzbek.

- Dokąd?

- Z wizytą - odpowiedział
Bożek.

- Tu są tylko polskie
dzieci. Ty polski?

- Tak.

Uzbek siedział na
wyplatany stołku i spokojnie
zuł naswaj.

- Do kogo idziesz? -
spytał. - Pani nie lubi obcy
człowiek.

- Do jednej dziewczynki.
Jestem jej wujkiem.

Uzbek pokręcił w
zadziwieniu głową.

- Wujek... wujek...

Długo namyślał się.
Wiercił się na stołku, pewno
wolałby kucać na dywanie, ale
urząd wymagał stołka. Wypluł

zieloną od naswaju ślinę na
dłoń.

- Idź - zezwolił wreszcie.

Kiedy Bożek uszedł kilka
kroków, Uzbek krzyknął za nim:

- Tylko nie kradnij!

Bożek nie zareagował.

Znalazł się w cienistym,
starym sadzie. U stóp wysokich
jabłoni stały napełnione
owocami skrzynki. Jabłka
leżały też na mchu
porozrzucane bezładnie -
podłużne, żółte, lekko
zarumienione, takie same,
jakie sprzedawano na ulicach
Taszkientu. Bożek szedł ku
polanie, na której w jasności
tak intensywnej, że niemal
nadprzyrodzonej, bawiły się
dzieci.

Zabiegła mu drogę kobieta
w szarym kitlu z białym
kołnierzykiem. Nie liczyła
więcej niż trzydzieści lat i
była niebrzydka. Zrobiła
surową minę, taką, jaką

zapewne przybierała do dzieci.
Zapytała ostro, po rosyjsku:

- Jak się tu dostaliście?

Bożek odpowiedział
spokojnie:

- Może pani mówić po
polsku.

- To nie zmienia istoty
rzeczy - dama nie zmieniła
swojego ostrego tonu. - Czy
pan wie, że tu jest ochronka
dla dzieci?

- Wiem. Dlatego właśnie
przyszedłem.

Bożek wymienił imię i
nazwisko dziewczynki, która
chciał odwiedzić.

- Pan do Irki? - kobieta
uśmiechnęła się i stała się
prawie ładna. (Mój Boże,
gdybym był ubrany trochę
lepiej - pomyślał Bożek). -
Tak rzadko tutaj odwiedza się
dzieci.

- Ucieszy się, prawda?
- Sądzę. Co jej
powiedzieć?
- Że przyszedł wujek.
- Wujek? - kobieta, która
zabierała się już do odejścia,
zatrzymała się nagle.
Bożek zapytał cicho:
- Bardzo się rozczaruje?
- Nie, nie. Dlaczego tak
myśleć? A więc - wujek? Wujek
jaki?
- Ona i tak nie będzie
wiedziała. Bo właściwie jestem
kuzynem jej matki.
- Dobrze, zawołam ją -
powiedziała kobieta i
zniknęła.
Po chwili z polanki już
biegło w kierunku sadu
dziecko. Było ubrane w
granatowe spodenki
gimnastyczne, białą koszulkę i
perkalową chustkę na głowie.
Dziewczynka zobaczyła Bożka,
zawahała się, chciała biec
dalej i minąć go, ale przykuta
jego spojrzeniem zatrzymała
się. Nie odrywała wzroku od
bosych stóp Bożka. Niebieskie
oczy - zauważył Bożek - oczy

Walerego.

- To pan? - spytała. - Do
mnie?
- Tak. To ja. Jestem
Bogdan. Wuj Bożek.
Wciąż stała bez ruchu,
jeszcze nie chciała się
pogodzić z utratą snu o wujku
pięknym i bogatym. Ale
przebudzenie nastąpiło,
dziewczynka uznała się za
pokonaną i nagle wyciągnęła do
Bożka rękę energicznym ruchem.
- Dzień dobry, wujku -
odezwała się dźwięcznie.
- Spotkałem twojego
tatusia - mówił Bożek. -
Wytłumaczył mi, gdzie mogę cię
znaleźć. To pomyślałem sobie,
że chyba warto cię odwiedzić.

Nie mam tu nikogo bliskiego,
słyszałem, że wkrótce
wyjeżdżacie, nawet wypadałoby
się pożegnać.

- Chyba tak - powiedziała
dziewczynka.

- Szkoda, że mało się
znamy.

- Ale ja wiem, kto ty
jesteś. Jak byliśmy w
Archangielsku, to ty mi
przysłałeś paczkę. I tam były
cukierki.

- Teraz też ci coś
przyniosłem - powiedział Bożek
sięgając do kieszeni. Wydobył
papierek z morwowym blokiem. -
Trochę się pogniótł.

Dziewczynka wzięła prezent
i dygnęła.

- Jesteś bardzo dobry,
wujku - szepnęła.

Bożek oparł się plecami o
pień drzewa. Nie patrząc na
nią mówił:

- Nie myśl, że powodzi mi
się źle. To tylko tak kiepsko
wygląda na oko. Było mi źle,
ale teraz jest nie najgorzej.
Nie zwracaj uwagi na to, że
przyszedłem do ciebie boso.
Lubię chodzić boso. Widzisz
przecież, że mam trzewiki. Nie
są nadzwyczajne, to prawda,
ale z czystymi onucami mogą

wyglądać nieźle. Ale wolę
chodzić boso.

- Ja też - powiedziała
Irka. Uniosła perkalikową
chustkę i pokazała się
ogolona, naga głowa. -
Widzisz, nie mam włosów.
Ogolono nam głowy, bo
chorowałyśmy na tyfus. Ale już
przeszło.

- A jakie ostatnio miałaś
włosy? Wciąż jasne?

- Tak, bardzo jasne.
Teraz, jak mi odrosną, to
zapuszczę sobie długie do
samych kolan. O takie. Bo my

niedługo wszystkie stąd
wyjedziemy.

- Mówił mi o tym twój
tatuś. Nigdy więcej się nie
zobaczymy, Irenko.

- To dobrze, żeś
przyszedł.

- Dojdę kiedyś do czegoś,
zobaczysz, nie będziesz
musiała się za mnie wstydzić.

- Ja się nie wstydzę,
wujku, naprawdę.

Milczeli. Irenka
zapropozowała:

- Siadaj sobie, uzbieram
ci jabłek.

Dał jej onucę, a ona w mig
zakrzatnęła się i oddała mu ją
pełną jabłek.

- Są bardzo smaczne -
powiedziała. - Ale my ich nie
jemy, żeby się nie pochorować.

- Macie dobrą panią?

- Dobrą.

Nie było już o czym mówić.
Bożek wyciągnął rękę:

- Do widzenia. Cieszę się,
że cię zobaczyłem.

- Ja też, wujku.

- Spodziewałaś się czegoś
więcej.

Wspięła się na palce i
pocałowała go. Zrobiła to
trochę pospiesznie, jakby
bojąc się dotknąć go wargami.
Potem odstąpiła kilka kroków
do tyłu. Bożek próbował się do
niej uśmiechnąć, ale wyszło
chyba wymuszenie, bo miał łyzy

w oczach. Odwrócił się i
odszedł próbując nadać swojemu
krokowi dziarskość. Starał się
o dzielną postawę, ale
naprawdę czuł w głowie zawrót.
Drzewa, drzewa - myślał -
drzewa się kołyszą.

- Co tu masz? - usłyszał
ostry głos dozorca.

Bożek spojrzał
półprzytomnie na zawiniątko.

- Tu? Jabłka.

- Jabłka! Przecież
mówiłem: nie wolno kraść! Ty
ruski język rozumiesz? Ja
mówię po rusku: Nie wolno
kraść. Brzydko! Fe!

Bożek obejrzał się: nie,
Irki już nie było, nie
widziała jego upokorzenia.
Rumieniec powoli spływał mu z
policzków.

- Nie ukradłem. To
podarunek od dziecka.

Uzbek przymrużył oko:

- Podarunek. Ładny
podarunek: państwowe jabłka.
Nikt nie ma prawa tego
darować. Rzuć to.

- Bądź człowiekiem -
poprosił Bożek.

- Rzuć!

Bożek syknął przez zęby.

- Zapłacę.

Wyciągnął z kieszeni pięć
rubli. Uzbek wziął je bez
słowa i kiwnął głową.

- Idź... Nie, czekaj.
Pokaż no te jabłka.

Bożek rozwinął onuce.
Uzbek zaczął się śmiać.

- No i głupie te dzieci.
Nawet jabłek nie umieją
pozbierać. Spójrz, ile
robaczywych. Wyrzuć je i weź
sobie z tych - pokazał na
skrzynkę. Te są ładne. Ja sam
wybierałem.

- Dziękuję, nie trzeba -
powiedział Bożek.

- Możesz wziąć, ile
chcesz, przyzwolił dozorca.

- Nie trzeba - powtórzył
Bożek. - Zabiorę te, które
mam.

Dozorca śmiał się:

- Ale głupiec! Takie marne
jabłka zabrał. Głupiec. Taki
głupiec!

Rozdział VI

Stali na platformie z kruszywem i w milczeniu ją rozładowywali. Deski były zbite nierówno i szufle raz po raz zahaczały o wybrzuszenia.

- Bądź gotów, Trzcina - powiedział Bożek. - Jutro nawiewamy.

Trzeciński nie odpowiedział. Pracowali dalej w milczeniu. Noc była ciepła, w pobliżu parował prądnik. Trzeszczały szuwary, w których odbywały się tajemne nocne łowy. Platforma powoli się opróżniała. Trzeciński wywijał łopata jak nigdy. Wreszcie koniec, wszystko uprzątnięte, brygadzysta Chwedczenia może sprawdzać.

Wracali kołyszającym się krokiem do namiotów. Szarzało. W szuwarach podniósł się pisk i terkot ptactwa. Bożek spytał.

- Pojedziesz z nami, Uszer?

- Nie. Ja nie jestem taki łązik jak wy. Ja jestem domator. - Uśmiechnął się i dodał: - Padam ze zmęczenia.

Zostawił ich samych. Bożek i Trzeciński usiedli na ziemi przed namiotem. Oni też byli zmęczeni, ale podniecenie odebrało im sen. Bożek wyjaśnił swój plan.

- Twoja sprawa jest prosta. Ty z andersiakami nie będziesz miał kłopotu: masz wszystko w porządku. Gorzej jest ze mną. Ale ty mi możesz pomóc. Zaraz ci powiem, jak ja to sobie wykombinowałem. Na wszelki wypadek nie spalimy za sobą mostów w batalionie:

weźmiemy zwolnienie lekarskie. Jeśli andersiaki odprawią nas z niczym, będziemy mogli wrócić, jakbyśmy niczego nie

próbowali.

- Ale andersiaki nas
przyjmą?

- Ciebie na pewno.

- A ciebie?

- Jeśli zrobisz to, co
obmyśliłem, to chyba też.
Pojedziemy do Jangi_Jula.
Podejdzimy we dwóch do
okienka. Ja zaczekam z boku.
Ty podasz swój dowód.
Rozumiesz?

- No chyba. Podaję swój
dowód.

- Właśnie. Polski paszport
z orłem. Podajesz go i mówisz,
że chcesz do wojska.

- I że ty...?

- Nie, o mnie ani słowa!
Niech przyjmą na razie ciebie.
Więc on cię zapisuje i tak
dalej. Kiedy powie, że
"gotowe", albo "to wszystko",
albo coś takiego, powiesz:
"Panie kapralu"...

- Kapralu?

- Kapralu albo plutonowy,
zależy od tego, ile ma pasków.
Powiesz: "Panie plutonowy,
tutaj ze mną jest koleżka z
Warszawy". Nie mów
"przyjaciel" ani broń Boże
"towarzysz", tylko tak:
koleżka, koleś.

- Koleżka, dobrze -
zapamiętał Trzeciński.

- I że z Warszawy. Tutaj,
powiesz, jest ze mną koleżka z
Warszawy. Stołeczny rodak,
dodasz. Tylko, wie pan, bez
dokumentów. Swój chłopak,
szkoda, żeby przepadł. Może go
da się jakoś urządzić. Żebyś
tylko nie powiedział
"ustroić".

- Nie, nie! Licz na mnie!
Ja mam głowę. Ja już mu
powiem: "Warszawski cwaniak,
panie plutonowy, jak Boga
kocham... Trzeba go jakoś,
panie plutonowy, urządzić".

Dobrze.

- W sam raz. Wtedy on powinien powiedzieć "Gdzie go masz? Dawaj go tu!"

- Tak powie?

- Jeśli jest normalnym człowiekiem, powie: "Dawaj go tu". Ja podejść i zacząć go bajerować po warszawsku. Wtedy on powie: "Warszawiak, kurwa go mać! Musowo go jakoś urządzić". Nazwisko i imię, i jestem na liście.

- MOże się nie udać...

- MOże. Ale on powinien powiedzieć "dawaj go tu".

- Ja nie nawalę, Bożek, przysięgam.

Nazajutrz pobrali ostatni chleb na kartkę żywnościową. Do roboty nie poszli. Są chorzy i idą do lekarki po zwolnienie.

Bożek miał wejść do ambulatorium pierwszy. Pomyślał: zobaczymy, co tam za zły pies warczy. Ale nie było żadnego złego psa. Była trzydziestoletnia kobieta w białym fartuchu, gładko uczesana, ciemna blondyna. Przyglądała mu się smutnymi oczyma spod lekko uniesionych brwi. Nic nie wymyślę - zrozumiał. - Jeśli nie zechce mu po prostu pomóc, wszystko przepadło.

- Ja was słuszaju - odezwała się kobieta.

- Chciałem prosić o zwolnienie, towarzyszc doktor.

- Co wam dolega?

- Nie wiem. Źle się czuję.

W ogóle.

- Macie gorączkę?

- Nie wiem.

- Dobrze, zmierzymy.

Dreszcze są?

- Bywają.

- Stolec?

Bożek nie odpowiedział.

Lekarka uśmiechnęła się.

- Więc jak myślicie? Co wam jest?

- Depresja psychiczna.

Tym razem jej brwi uniosły się jeszcze wyżej.

- Nie wiem tylko - mówił Bożek - czy depresja jest przyczyną złego samopoczucia, czy skutkiem.

- Siadajcie - usłyszał.

Bożek usiadł, ona zajęła miejsce po drugiej stronie stolika.

- Nie wyglądacie najgorzej, chociaż jakby niewesoło. Należy starać się trochę inaczej patrzeć na życie... Nie macie chyba jeszcze trzydziestu lat?

- Dziewiętnaście.

- Mój Boże... - wyszeptała.

- Dziewiętnaście - powtórzył Bożek smakując okrucieństwo tej nowiny. - Skończę wkrótce.

Lekarka przez chwilę milczała.

- Po co wam to zwolnienie?

- spytała wreszcie.

- Muszę wyjechać na kilka dni. MUszę, naprawdę. Znalazłem siostrę w Samarkandzie - kłamał Bożek. - Podróż trwa prawie dobę. Kiedy wrócę stamtąd, na pewno będę lepiej się czuł. Zróbcie coś, bo się rozkleję. Zapobieganie chorobom jest zadaniem równie ważnym jak leczenie, prawda? Zróbcie coś.

Do namiotu weszła pielęgniarka. Lekarka obrzuciła ją szybkim spojrzeniem. Potem zwróciła się do Bożka:

- Weźcie termometr. Bez gorączki nie możemy wydać zwolnienia. Usiądźcie sobie przed namiotem. Jeśli będzie powyżej trzydziestu siedmiu stopni, pogadamy.

Bożek wziął termometr i wyszedł przed namiot. Osunął się na ziemię, leniwie poszukał pachy. Ogarnęło go

osłabienie, którego nie potrafił sobie wytłumaczyć.

Ukośne promienie słońca raziły go w oczy. Powinien się przenieść do cienia. Ale musiałby wstać - za dużo fatygi. Nie miał ochoty się ruszać. Grzał się w słońcu - niepotrzebnie tylko wypalającym oczy - i tak było dobrze.

Nie chciało mu się nawet wyjąć termometru i potrzebę go. Niech się dzieje, co chce. Jeśli wyprawa ma się nie udać, to lepiej, żeby się wszystko zawaliło zaraz na wstępie. Powinno wreszcie się udać. Kiedyś karta musi się odwrócić. Trzeciński pomoże. Powie: "Panie plutonowy, tu ze mną jest koleżka z Warszawy". A tamten od razu powie: "Dawaj go tu".

- Śpicie - usłyszał głos z ambulatorium. - Dziesięć minut minęło.

Zerwał się z miejsca i wszedł do namiotu. Lekarka spojrziała na termometr, potem na Bożka, uniosła wysoko brwi, potem znów na termometr.

- Trzydzieści siedem siedem - powiedziała.

Skąd się to wzięło? - myślał zdziwiony.

- Dostaniecie zwolnienie - powiedziała lekarka. - Na cztery dni. Czy was to zadowala.

- Tak. Tak, zadowala. Ale ja go nie pocierałem...

- MNie to nie interesuje.

- Ale ja go naprawdę nie pocierałem. Proszę was, uwierzcie mi. Siedziałem sobie na słońcu i rozmyślałem o tym i owym. Nie pocierałem go. Wierzycie mi?

- Zwolnienie na dni

cztery - powiedziała sucho
lekarka. - Po powrocie
zgłoście się na badanie.

Bożek spojrział na nią
błagalnie: Uwierz, uwierz.

- Życzę powodzenia -

ucięła rozmowę. Była
rozdrażniona. MOże dlatego, że
nie doceniał jej dobrej woli.

Jeszcze mi uwierzysz -
myślał Bożek. - Jak już będę
tam, u nich, przyślę ci kartkę:
"Szanowna pani, a jednak nie
oszukałem cię". Ale czy to w
końcu nie wszystko jedno?
Widać nie, skoro się oboje
złóścimy.

Trzecińskiego zastał z
pokrwawionym palcem. Pociął go
sobie scyzorykiem.

- To ci się chwali -
powiedział Bożek, ale nie
wiem, czy wystarczy do
zwolnienia.

- Nie bój się. Ja już ją
przekonam. Ja mam szczęście.
Nade mną się litują.

Nade mną ostatnio też -
pomyślał Bożek. - Nie wiem
sam, co bym wolał.

Trzeciński wrócił z palcem
obandażowanym. Przytrzymał
nim pokrywkę pudełeczka.

- Niedobrze, Bożek -
poskarżył się. - Nie dała mi
zwolnienia. Powiedziała, że za
palec może dać tylko na jeden
dzień.

- Miała rację.

- Zwymyślała mnie od
idiotów.

- Nie przejmuj się.

- To ja jej na to, że mam
biegunkę. "To co innego" -
powiedziała. I dała mi tę
pokrywkę, żebym jej przyniósł
próbkę.

- Próbkę czego?

- Biegunki!... co teraz
będzie? Bożek, czy to się da
rozcieńczyć?

Bożek zaśmiał się.
- Nie martw się, Trzcina
- powiedział. - Chodźmy do
piątego namiotu, tam jest
jeden stękający facet.
W opustoszałym i cichym
namiocie leżał na łóżku żółty,
chudy jak kościotrup Uzbek.
Usłyszawszy kroki powiódł
wkoło apatycznym spojrzeniem.

- Szaripow? - spytał
Bożek.
- Ha. Witaj, Bożek_dżon.
Kto jest z tobą?
- Mój druh, dobry dżura z
Polski.
- Witaj Dżura.
- Szarip_ak~a, mamy do
ciebie sprawę. Cierpisz na
biegunkę?
- Ha, Bożek_Dżon. Cierpię,
dobrze mówisz.
Bożek podał mu pokrywkę.
- Mógłbyś się dźwignąć z
łóżka? Potrzeba nam trochę
tego.
- Dla dżury?
- Tak. MUsimy wydostać
zwolnienie.
Uzbek nie odpowiedział.
- Dam ci trochę jęczmienia
- mówił Bożek. - Przypalisz go
sobie i ugotujesz gorącej
kawy. To ci dobrze zrobi.
- Pomóż mi wstać -
powiedział Szaripow.
Dźwignęli go z łóżka. W
podartej koszuli i szerokich
płóciennych spodniach
skierował się do ustępu,
opierając się na ramieniu
Trzcińskiego. Bożek szedł za
nimi.
Szaripow odwrócił się.
- Zaczekaj tu - powiedział
do Bożka.
Tamci dwaj weszli do
środką. Znow wszystko wlokło
się jak w zwolnionym filmmie.
Znow to otępiające znużenie,
jak wtedy, kiedy mierzył przed

namiotem temperaturę. Dotknął dłońią czoła. Gorące! Co się z nim dzieje?

Nareszcie są. Trzeciński krzyknął coś i pobiegł wprost do ambulatorium. Szaripow zbliżał się chwiejnym krokiem. Bożek powiedział starając się, by głos zabrzmiał jak najserdeczniej:

- Dziękuję ci, bracie.

Uzbek wykrzywił w uśmiechu pobladłe usta. Kiwnął kilka razy głową i podreptał do

namiotu. Nogawki jego szerokich, nie dopiętych spodni wlokły się po ziemi zamiatając kurz.

2

Wieczorem Bożek dostał tak wysokiej temperatury, że trzeba było odłożyć wyjazd. Organizm, u którego błagał o gorączkę, posłusznie wypełnił życzenie i coś tam jeszcze z nadmiaru gorliwości dołożył. Bożek był przytomny, ale nogi się pod nim uginały.

- Pojedziemy rannym pociągiem - zdecydował. - Do rana będzie w porządku.

- MOże się rozmyśliłeś? - pytał Trzeciński.

- Nie. Ale nie musimy tam jechać ostatkiem sił. Od kiedy mam w kieszeni trochę rubli, jestem spokojny. Pojedziemy rano.

Z rana rzeczywiście czuł się już dobrze.

Wytresowałem organizm jak psa - pomyślał. - Spełnia każde życzenie.

Ukradkiem przenieśli do wagonu plecak z rzeczami Trzecińskiego. Nikt nie powinien zauważyć plecaka, jada tylko na mały urlopik. Nie pożegnali się również ze

swoimi współtowarzyszami.
Uszer, wychodząc z namiotu do
pracy porozumiewawczo podniósł
zaciśniętą pięść - i to było
całe pożegnanie. Łaboresznych
przerzucił łom przez ramię,
powiedział coś zgryźliwego i
poszedł do roboty.

Siedząc w wagonie czekali
na gwizd lokomotywy. Czas
dłużył się męcząco. Wyciekał z
wieczności po kropelce. I
kiedy wreszcie wagon drgnął i
zazgrzytał, Bożek przymknął
oczy i pobladł z wrażenia.
Syrena ostro zawyła.

Nie mogli jakoś ruszyć.
Wagon kołysał się w miejscu,

stalowe podwozie postękiwało.
Bożek widział, jak z piątego
namiotu wyszedł znękany,
wychudły Uzbek, w opuszczonych
nisko spodniach. Stał,
przyłożył dłonie do oczu,
przeszukując wzrokiem wagony.
Kiedy dostrzegł Bożka i
Trzcińskiego, przycisnął ręce
do piersi i nisko się uklonił.
Bożek odpowiedział mu w ten
sam sposób. Nasz współnik -
pomyślał. Wtedy właśnie coś w
stalowym podwoziu się
przełamało i pociąg ruszył.

Ruszył! Ruszył! Sunął po
szynach i wyślizgiwał się z
tego wszystkiego. Całe to
życie zostawało za
nimi: namioty, prądnik z
szuwarami i chmara komarów,
Łaboresznych, sadysta
Chwedczenia, znienawidzony
cywilny kierownik robót
Karboniczny, który ukrywał
polskie pochodzenie, cierpiący
na biegunkę Szaripow, lekarka,
która czuła się oszukana,
nocne rozładunki kruszywa,
zużyta kartka chlebowa.

- Pamiętaj, co masz
mówić? - spytał Trzcińskiego.

- Tak. Nie bój się, ja

pamiętam.

- No to powtórz.

- Co tu powtarzać? Dam dowód i powiem: "Ale nas jest dwóch, panie plutonowy". Jak trzy paski to plutonowy, prawda?

- Niedobrze - krzyknął Bożek. - Dajesz dowód i nic nie gadasz. - Nic?

- Nic. Ani słowa o mnie! Niech on ciebie załatwi. Dopiero jak się przyzwyczai do ciebie, jak cię wciągnie na listę, jak już będziesz jego człowiekiem, zaczniesz mówić o mnie.

- Aha, już sobie przypominam. "Koleżka, warszawiak, trzeba go jakoś urządzić, panie plutonowy".

- To, to!

- A potem co?

- On powie: "Dawaj go tu!"

- A jak powie co innego?

- Nie powie. Normalny człowiek nie powie nic innego. Wyobraź sobie, że ja jestem tym plutonowym. Albo ty. Przychodzi takich dwóch łązęgów, jednego się załatwia, a potem ten jeden mówi, że tam czeka jeszcze drugi, tylko, panie plutonowy, bez dokumentów, warszawiak, no to jak będzie, panie plutonowy Trzciński? Co byś odpowiedział?

- Dawaj go tu!

- Widzisz! A on co, gorszy od ciebie?

Gorszy - pomyślał Bożek po chwili. - Tak, gorszy. Jeśli nawet nie jest, to mu się zdaje, że musi być gorszy. Albo może naprawdę musi.

Wieczorem byli już w Jangi_JULu. Bożek prowadził Trzcińskiego po znajomych ulicach z uczuciem cierpkiego triumfu. Znów znalazł się w

tym miasteczku białych domków
i wysokich morw, w którym
zaznał tylu upokorzeń. Teraz
nie podda się tak łatwo. Jest
starszy, silny, muskularny,
zdrów, ma trochę pieniędzy. O
nie, panowie, tym razem wam
się nie uda - wyklócał się nie
wiadomo z kim. Zmądrzałem.
Wiem, jak się w życiu
postępuje. Złodzieje,
skurwysyny, szulerzy,
ojcobójcy, zimne twarze,
obojętne serca, śliskie dłonie
- wy, szczelnie zapięci na
ostatni guzik duszy, cmokacze,
waczące fiołków, słuchacze
słowików, mydłki zaślinione -
przejrzałem was! Już nie będę
gorszy! Już wiem, jak sobie z
wami radzić!

I chociaż jeszcze był
bosy, obdarty, chociaż los
jego był wciąż niepewny,
wydawało mu się, że ma prawo
do odczuwania satysfakcji.

Żeby jeszcze jakieś buty!...

W parku, pod koronami
drzew, między którymi
myszkowało światło
elektryczne, zjedli kolację
siedząc na wyłożonej grubymi
dywanami pryczy. Była to
najdroższa czajchana w mieście
i dlatego właśnie pragnęli tu
spędzić noc. Usługujący
chłopiec spoglądał na nich
podejrzliwie, ale kiedy kupili
białe placki, rodzynki i
zapłacili za nie od razu
rublami, przestał się nimi
interesować.

Między gałęziami huczało
niewidzialne radio. Głos
spikera alarmował i
przekonywał: Wróg się zbliża!
Wróg się przedarł przez linie
obrony! Żołnierze, brońcie
ojczyzny! Generałowie,
ojczyzna nasza jest wielka,
ale nie możemy oddawać miasta

po mieście. Kaukaz zagrożony.
Stalingrad zagrożony!... A
potem głos próbował wlać
trochę otuchy: Wróg połamie
sobie zęby. Nasza sprawa jest
słuszna - my zwyciężymy!

Bożek wyciągnął się na
dywanie i powiedział:

- Czyli że jutro...

- Jutro.

Nie mógł zasnąć. Rozmyślał
o tym wszystkim podniecony
nadzieją. Niech tylko stanie
się znowu człowiekiem, to może
i na froncie lepiej pójdzie.
Front! W tej szarpaninie można
było o nim zapomnieć. Tak się
człowiek wykończy, że zapomni,
że coś się przecież wokół
niego dzieje, że idzie o coś
wielkiego, pola zasłane
trupami, po ulicach kuśtykają
kaleki, i on sam, potracony
przez dźwignie maszyny
wojennej, jest w końcu tylko
jedną z jej ofiar, nie
zanotowanych na żadnej liście,
zaginionych, poległych, czy
rannych. Największa sprawa,
ogromne zmaganie wojenne -

umyka świadomości. A przecież
front istnieje naprawdę,
pamięta smak śniegu, który
zlizywał spragnionymi wargami
leżąc po długim marszu,
pamięta przyjaźń na
dnieckich stepach: chudy,
długi jak tyka Łancew
opowiadał w okopie o Stendhalu
i Rollandzie (sam, jak Jan
Krzysztof, przejęty niemiecką
muzyką), Wadim Denisow,
wielbiciel "Doli człowieczej"
Malraux, zgłosił się na
ochotnika do zwiadu, stał w
kilkunastoosobowym szeregu
śmiazków i czekał na mnie,
przysięgliśmy sobie dopiero
co, że wszędzie razem, na
śmierć i życie, przyglądał mi
się zdziwiony, a ja odwróciłem

oczy, chciałem przecież do
polskiego wojska, może
zrozumiał, nie wiem, odszedł z
tamtymi ochotnikami i już nie
porozmawialiśmy. Front.
Andersiaki też w końcu staną
do tańca śmierci - i on sam,
Bożek, jak dobrze pójdzie, on
też raz jeszcze się do tego
przyłoży.

Zasypiał powoli, pod
jedenostajne brzęczenie radia i
szum liści. W nocy słyszał
śpiew, wysokie, rozpaczliwe
zawodzenie, głos błagalny,
ekstatyczny, jak na strunie
skrzypcowej. Otworzył z trudem
oczy. Między pryzkami śpiewał,
wyginając węzowymi ruchami
ciało, dziesięcioletni Uzbek.
Był prawie nagi, ale na głowie
nosił wzorzystą tiubietejkę.
Akompaniował sobie potrząsając
małym bębenkiem. Potrząsał, z
bębenka sypnęło się
dzwonienie, chłopiec zawodził,
łkał, wykrzykiwał rozpacz
wysokim głosem. Starzy Uzbekcy
przykucnęli na pryzkach i
kiwali do taktu głowami.

Chłopiec przestał śpiewać,
ale Bożek słyszał łkanie do
rana, wiercił się niespokojnie
na dywanach, dokoła płakano i

śpiewano, dzwonił bębenek,
szumiały liście, wybuchały
miny, Wadim Denisow leżał w
głębokim śniegu i przyglądał
się Bożkowi martwymi
żrenicami, radio wrzeszczało
na alarm, sceptyczni starcy
kiwali głowami. Bożek usłyszał
"dawaj go tu" i otworzył oczy.
Był świt, z drzew kapała rosa.
Chłopiec rozpalał samowar.
Kilku starców już wstało i
polewało wodą koniuszki
palców. Trzeciński rozglądał
się nieprzytomnie dokoła, aż
nagle pojał, gdzie się
znajduje, i powiedział:

- Wyspałem się jak hrabia.

W drodze do komendy placu powtórzyli sobie raz jeszcze, co mają mówić. To ty podasz, to on powie, to ty powiesz, to on odpowie, to ja podejdem, to on powie. MUsi się udać!

Stanęli przed baraczką komendanta placu. Nad okienkiem napisane było po polsku REJESTRACJA. W drzwiach stał wysoki mężczyzna w fartuchu z warzachwią w ręku.

- Wygląda jak nasz starosta - szepnął Trzeciński.

- Bagatela, szef kuchni! Cholerna władza!

- Ale nasz - perswadował Trzeciński.

- To się wie.

- Co mam robić? - spytał Trzeciński.

- Wyjmij dowód.

- A teraz?

- Podejdz do okienka.

Trzeciński zbliżył się do okienka i zaraz zawrócił.

- Co się stało? - zaniepokoił się Bożek.

- On ma tutaj takie trójkąty. Zapomniałem, co to za ranga.

- Sierżant. Mów "panie sierżancie".

Trzeciński podszedł do okienka. Bożek stanął z boku. Zaraz wszystko się rozstrzygnie. Podoficer w

okienku spytał: - Do wojska? Trzeciński powiedział: - Tak jest, panie sierżancie. I podał dowód. Sierżant powiedział głośno:

- Hoho, ale paszporcisko. To się dzisiaj rzadko widuje. Zdołbunów. Podpisany pan starosta, eee... znałem go, starego pijusa... Do wojska?

Sierżant coś pisał. Miał krótkie szpakowate wąsy, które pocierał, kiedy zastanawiał

się nad ortografią.

Bożek oddychał głośno.
Trzeciński zaraz będzie
załatwiony. Dostanie
skierowanie na komisję. Będzie
mógł gwizdnąć na niego. I
zrobi tak! Podrapie się w
głowę i odejdzie od okienka.
Jeśli odejdzie z niczym, to
potem nie da się już tego
odrobić. Trzeba będzie wrócić
do batalionu pracy. Trzeciński,
Trzeciński, wszystko zależy od
niego, od tego, czy się
odważy, czy zechce, czy nie
zapomni, kto go tu
przyprowadził. Zapomni! LUDzie
są świnie. Małe, nędzne
stworzonka.

- Gotowe - powiedział
sierżant. Zwrócił Trzecińskiemu
dowód. - Ma pan tu kwitek na
obiad.

Trzeciński powoli chował
paszport do kieszeni. Zapomni!
Zapomni! Trzeciński stał i
gryzł wargi.

- Panie sierżancie...

Mówi!

- Panie sierżancie -
powtórzył Trzeciński głośniej.

- Czego tam jeszcze?

- Bo tutaj jest ze mną
koleżka. Swój chłopak,
warszawiak. Też chce do
wojska.

- No, to co?

- Tylko, panie sierżancie,
on nie ma dokumentów. Żadnego
papierka. To co, ma przepadać?
Warszawski chłopak? MOże by
pan sierżant coś urządził?

Teraz sierżant powinien
powiedzieć "dawaj go tu".
Dlaczego nic nie mówi?
dlaczego się zastanawia,
wzdycha i trze szpakowate
wasy?

Sierżant otworzył usta.
Powiedział:

- Dawaj go tu!

Bożek przyskoczył do okienka. Sierżant spojrział na niego i spytał:

- To pan?

- Ja. Tak. (a teraz jadaczka, sprintem, gazem, zagadać, ogłuszyć, zasypać warszawstwem - szybko, bez wytchnienia). Ja. Urodzony i wychowany w Warszawie, gimnazjum ukończyłem na Senatorskiej, wie pan sierżant, naprzeciw Pałacu Prymasowskiego. Na dole były włoskie lody, a obok księgarnia Hoesicka. Porucznik Łaski był u nas od Pewu, a ćwiczył z nami kapral Misiak, poszedł potem na żywą torpedę, do szkoły jechałem dziewiątką z Leszna do placu Teatralnego, albo piechotą przez Tłomackie, Bielańską, koło Banku Polskiego. Ubiłem piechotą, popatrzeć na koleżanki, pan sierżant chyba sobie przypomina, jakie dziewczęta były w Warszawie.

- Czy sobie przypominam!... I co z panem teraz zrobić?

- Coś zrobić trzeba, panie sierżancie.

- Do Persji pan i tak nie pojedzie. Kontyngent jest zamknięty - to raz. A dwa - co ja panu będę klarował, sam pan wie.

- Wiem, naturalnie, ale chcę przejść przez komisję.

- Dostanie pan kategorię De.

- Zobaczymy! Ja pracuję fizycznie. Ale niech tam! Najważniejsze, że mi to napiszą na papierku. Z

imieniem i nazwiskiem. Z potwierdzeniem, że nie jestem maruderem, włóczęgą, ale odpalonym polskim żołnierzem. Bo tak, jak teraz, jest

najgorzej. Bez dokumentu, bez przynależności państwowej, ja, warszawiak, panie sierżancie, uczestnik obrony wrześniowej!

Sierżant gryzł węża.

- Wpiszę pana na listę rekrutów, których wieczorem wyprawiam na komisję do Szachrysiabziu. Wiesz pan, gdzie to jest? gdzie Tamerlan się rodził! Ma pan cholerne szczęście.

- Wiem, dziękuję panu.

- Nic pan nie wiesz.

Cholerne szczęście! bo to ostatnia komisja! Jutro byłoby za późno.

Bożek poczuł zawrót głowy, zupełnie jak kiedyś w Taszkencie po winie. Sierżant wypytywał go o dane i wręczył mu kwitek na obiad.

- Wieczorem o dwudziestej piętnaście odjazd. Nie spóźnijcie się!

Bożek szedł z kwitkiem w dłoni do Trzecińskiego.

- Bronek - powiedział. Po raz pierwszy nazwał go po imieniu.

- No?

- Schowaj mój talon. Jak chcesz, to możesz z niego skorzystać. Tu dają dobre obiady, z angielskich konserw.

Wojskowy z warzachwią gwizdnał na nich. Zbliżyli się posłusznie. Kucharz spojrział na boscie stopy Bożka i powiedział:

- Tam jest ścierka, tu woda, a tam brudne miski. Nie próżnuj.

Bożek zrzucił bluzę.

Zakasał rękawy przepalanej od dezynfekcji koszuli i wziął się do roboty.

- Do latryny biegiem
marsz!

Pobiegli rzędem, zupełnie
tak samo, jak w dońskim
zapasowym pułku. Kapral
komendę wydał po polsku, ale
głos miał tak samo
zachrypnięty jak młodszy
sierżant Iwanow i jeszcze
kilku innych znanych mu
podoficerów rosyjskich.
Latryna była i tu długim
dołem, nad którym na pomoście
z desek kucali żołnierze.

- Kierunek rzeka biegiem
marsz!

Trzeciński mruzczał
niezadowolony:

- Wszystko rób mu biegiem.

Kiedy pluskali się, kapral
poganiał:

- Szybciej, szybciej,
panowie! Pan Jezus czeka!

Na modlitwę już nie
skierował ich biegiem. Leniwie
przeszli w głąb liściastego
lasu, w którym obozowali, i
ustawili się w dwuszeregu.
Zabębnił pacierz, wezbrał jak
grad, jak pośpieszne bicie
werbla. Potem z setek ust
popłynęła pieśń poranna i
uderzyła w szumiącą zielen.
Bożek przyłączył się do chóru.
Przysłuchiwał się własnemu
głosowi, jak wdziera się w
chór, rośnie z nim i
głośnieje, przebija gęstwę
konarów i ulatuje w niebo.
Nadzieja, że ktoś go tam
usłyszy i rozróżni jego głos
wśród setek innych, podniosła
go na duchu. Nagle zrobiło mu
się dobrze i odczuł ulgę,
jakby nareszcie znalazł to,
czego szukał. Jakieś oparcie,
jakaś ufność. "Boże, ulituj
się nade mną! Boże spójrz, jak
mnie pobito! Boże, wydrzyj
mnie z tej samotności".

Łzy napływały mu do oczu,
kiedy śpiewał o tych, co nigdy
już nie wstaną, i o tym, że on
jednak się obudził, by śpiewać

chwałę Bożą. Pola zasłane trupami. Już nie będą chwalić Pana. On - bezsilny, bosy - obudził się, by żyć i ufać. Kończył pieśń poranna wpatrując się w zieloną kopułę lasu, jakby stamtąd miało przyjść zbawienie.

Kapral zachrypiał:

- Spocznij! Teraz śniadanie, wszy bić, filozofować, spać. Ja z was wojska robić nie będę. Nie dla takiej kariery matka mnie w bólach na świat wydała. Po obiedzie zacznie urzędowanie komisja. Dopiero tam okaże się, kto żołnierz, a kto ofiara losu. Plutonami do kuchni marsz!

Po śniadaniu Trzeciński położył się na trawie z plecakiem pod głową.

- Dobrze tu, nie? - powiedział.

Bożek przymknawszy oczy, słuchał szumu liści, jakby kołysała się w nich jeszcze pieśń poranna. Jak lekko na duszy!

- Co teraz będzie, Bożek?

- spytał niespokojnie Trzeciński.

- Dobrze będzie.

- Przyjmą nas?

- Ciebie przyjmą.

- A ciebie? - spytał Trzeciński.

- Chyba nie.

- Widziałeś ołtarz w lesie?

- Nie.

- Ja widziałem. Chodź, pójdziemy się pomodlić.

- Nie muszę tego robić przed ołtarzem. Zresztą, nie znam modlitw.

- Będziesz powtarzał za mną. Ja chcę się pomodlić, Bożek. - Trzeciński uśmiechnął się przebiegle. - Ta nuż pomoże, ni?

Dźwignął się, ujął plecak i poszedł w kierunku rzeki.

Bożek ruszył za nim

przypominając:

- W batalionie się nie modliłeś.

- Pewnie, że nie.

- Dlaczego?

- A co by to pomogło?

Bożek uśmiechnął się.

Trzciński mówił:

- Teraz jest się o co modlić, nie? Żeby Bóg wejrzał w serca tej komisji. Ja znam kilka modlitw, Bożek, ty się nie martw, będziesz powtarzał za mną. Ja w Zdołbunowie pobożny nie byłem. Ja nawet zapisałem się za Sowietów do komsomołu, wiesz? Dlatego uciekłem z ruskimi, bo bałem się, że jak Niemiec przyjdzie, to mi co zrobi. Ja tam tak bardzo modlitwom nie wierzę, ale co to szkodzi. To powtarzaj za mną.

Ołtarzyk z wizerunkiem Matki Boskiej Ostrobramskiej stał wśród zeschniętych traw, w pobliżu rzeki. Trzciński osunął się na kolana i zaczął się modlić. Bożek stał obok, rozstawiwszy szeroko nogi, z rękami założonymi do tyłu.

Trzciński obrócił się ku niemu głową i spytał:

- Dlaczego nie uklęknieisz?

Bożek odpowiedział:

- Mam sztywne kolana.

Trzciński modlił się dalej. Jakał się, przerywał, wtrącał "tego". Nagle zapytał:

- Dlaczego za mną nie powtarzasz?

Bożek myślał: Nie będę się o to modlił. Nie będę o nic prosić. Prosić można człowieka - Bóg powinien wiedzieć i oceniać sam. Powinien dawać nie żądając. Na co mu moje upokorzenie? Powinna mu wystarczyć moja nędza i moja nicość. Jeszcze mam zginać

kolana! Nie zegnę kolan!
Niczego nie będę obiecywał.
Nie potrzeba mi szefów
próżnych i małostkowych,
którzy lubią, kiedy się ich

błaga. Potrzeba mi miłości.
Ktoś powinien wreszcie mnie
pokochać, nie żądając niczego
w zamian. Bóg czy dziewczyna,
czy stary Uzbek - wszystko mi
jedno. Chodzi o miłość - nie o
nagrody za dobre sprawowanie.
Nie klęknę! Nie! Chcę stać
prosto.

Trzeciński podniósł się,
otrzepał kolana.

- Ale z ciebie dziwak -
powiedział. - Co ci szkodzi
pomodlić się?

Bożek nie odpowiedział.

- Mogłeś odejść na bok i
zrobić to po waszemu -
powiedział Trzeciński.

Bożek zaczął się śmiać.
Trzeciński też się roześmiał.
Zapytał potem zaciekawiony:

- Ty, Bożek, w Boga nie
wierzysz? Ani w waszego, ani w
naszego?

Bożek objął ramieniem pień
morwy.

- Dzisiaj przez kilka
minut wierzyłem - powiedział
nieoczekiwanie dla samego
siebie. - Byłem nawet
szczęśliwy. Ale widać brak mi
jakiejś śrubki w mózgu. Zaraz
to ode mnie odpłynęło.

- A w nie heblowane drzewo
odpukujesz?

- Nie.

- Dlaczego? Jak ci się
przez to może przytrafić coś
złego?

- To niech się przytrafi.
Jeśli ten świat jest tak
urządzony, że nieszczęście
może się przytrafić dlatego,
że nie spełniłem jakiegoś
obrzędku, to niech mi się,
psiakrew, przytrafia! Niech

diabli wezmą takie porządki!

- Czego się na mnie
złościł?

Bożek klepnał go po
plecach.

- Wcale się na ciebie nie
złościł. Ciepło się robi.
Chodź, wykapiemy się.

4

Schodząc z wagi usłyszał:

- Brakuje panu parę kilo
do normy.

Powiedział to gruby
sierżant pielęgniarski.
Siwowłosy lekarz w mundurze
kapitana pośpieszył Bożkowi z
pomocą:

- Ale na tle innych
przedstawia się nieźle.

- Jadałem ostatnio sporo
chleba - wyjaśnił Bożek.

- Nie widać śladów anemii.
Narzeka pan na coś?

- Jeszcze nigdy nie czułem
się tak zdrów.

- Proszę pokazać zęby. Nie
było szkorbutu. Jak pan to
zrobił?

- Dziki czosnek, panie
kapitanie.

- Zdrów - rzucił kapitan w
stronę majora orzekającego. -
Proszę przejść dalej.

Bożek zbliżył się nago do
majora i podał mu kartkę.

- Bergen - przeczytał na
głos major.

Oddał kartkę sekretarzowi
komisji. Wydawszy wargi
przypatrywał się Bożkowi przez
przymrużone powieki. Potem
powiódł wzrokiem w dół, między
nogi Bożka. Rzucił
sekretarzowi przez stół:

- Kategoria DE.

- Dziękuję - powiedział
Bożek możliwie wytwornie i
przeszedł do stołu sekretarza.
Ten chuchnął na pieczęć i

przytknąwszy ją do kartki
zawołał:

- Następny!

Bożek ubierał się z
zaświadczeniem w zębach.
Dokument! Papierek - z
prawdziwym jego nazwiskiem.
Nareszcie ma, czego chciał.
Czuł się znużony, nie potrafił
skupić myśli. Wyszedł na dwór,
gdzie czekali swojej kolejki
poborowi. Usłyszał za sobą
ciche "halo". Odwrócił się i

zobaczył siwowłosego kapitana
z nie zapalonym papierosem w
ręku. Przyglądał się Bożkowi w
milczeniu. Znów się, psiakrew,
ktoś lituje.

- Z Warszawy? - spytał
kapitan.

- Tak.

Chwila milczenia. Potem:

- Ja też. Gdyby to ode
mnie zależało... Ale niech się
pan nie przejmuje.

- Byłem na to
przygotowany.

- Dlaczego pan nie
przyjechał tu pod innym
nazwiskiem? Mógł pan spokojnie
podać lepsze nazwisko. Ma
pan... niezły wygląd, ale tak,
oczywiście. I akcent, dobry
akcent. To bardzo ważne. Sam
pan sobie winien.

- Oczywiście, ja jestem
wszystkiemu winien.

- Trudno, panie. Taka jest
sytuacja. Trzeba było kłamać.

- A ten brak między
nogami?

- Czasem bywa ze względów
medycznych.

- Ale ja mam już dosyć
kłamstw.

Kapitan pokiwał głową.

- Tak, tak, ja to
rozumiem. Jak ja to rozumiem!

- Major nie powinien był
tak nachalnie zaglądać mi
między nogi. Mógł przynajmniej

trochę udawać...

- Może on też już nie chce udawać. Wszyscy mają już dość udawania. A cywilizacja trzymała się pozorami, nie sądzi pan?

Potem siwowłosy kapitan znowu powiedział:

- Niech się pan nie przejmuj. Kto wie, komu będzie lepiej - wam tu, czy nam w Persji. Generał twierdzi zresztą, że będzie się tu tworzyć nowe dywizje.

- Ja też myślę, że jeszcze pójdę na front.

- Będzie pan prędeziej w

Warszawie niż ja.

- To możliwe.

Z głębi ktoś zawołał:

- Panie kapitanie!

Lekarz wyciągnął rękę do Bożka. - Muszę iść. - Obejrzał papierosa, którego zapomniał zapalić, i włożył go do kieszeni. - Niech się pan nie martwi. - Odwracając się westchnął: - Warszawa - Warszawa...

Bożek patrzył za nim i myślał: Po co wzdycha? Dałby parę butów. Potrzebne mi jeszcze tylko buty.

Trzecińskiego zobaczył Bożek dopiero wieczorem. Był w nowiutkim mundurze, czerwony od niedawno przebytej łaźni. Wyglądał jak każdy inny żołnierz, nie do wiary! Ten fajtlapa wyglądał prawie jak Anglik, w battle_dressie, furażerze, spodniach z getrami, z manierką u pasa. Stał w towarzystwie paru swojaków, żołnierzy nie od dziś.

- Ci panowie są ze Zdołbunowa - wyjaśnił Trzeciński.

Jeden z nich spytał wskazując na Bożka:

- Co za jeden?

Trzciński ogarnął Bożka niespokojnym spojrzeniem:

- Ten? Przyjechał tu ze mną. - I dodał melancholijnie:
- Tak, proszę panów, wygląaliśmy, tak jak on.

Bożek powoli się wycofywał. Trzciński nadal rozmawiał z tamtymi. Już zapomniał o łachmanach, zrzucił je z siebie wraz z pamięcią o wszystkim, co się z nimi łączyło, z pamięcią o Bożku też. Ale ja wciąż jestem obdarty. Prześpię się, a jutro ruszę do miasta, rozejrzeć się za pracą. I kupię coś na nogi, jakieś kalosze najlepiej. Leżąc pod rozłożystą morwą obliczał kasę. Z trwogą

pomyślał o zimie. To, co zarobi, może nie starczyć na wyżywienie.

Śniło mu się, że matka przywiozła mu nowe buty. Dziwił się, że dotychczas nie wpadł na pomysł napisania do Warszawy. Próbował te buty włożyć, ale nogi puchły, a one, te buty, wciąż się kurczyły. Wtedy matka zaczęła ciąć je nożyczkami, a on złościł się na nią, że niszczy takie piękne trzewiki, chciał ją bić, gniew na matkę kipiał w nim i przyprawiał o szaleństwo. Zaczął spazmatycznie płakać. I płacz go obudził.

Usiadł objawszy swoje zziębnięte kolana. Dokoła opieszale podnosili się poborowi. Było ich znacznie mniej niż wczoraj: jednych wcielono do wojska, inni się rozjechali. Bożek wstał i zaczął się rozgrzewać podskakując w miejscu. Zdawało mu się, że z daleka dobiega ochrypły głos kaprała: - do

latryny! biegiem! rzędem! -
Potem usłyszał śpiew. Śpiewali
wcieleni do wojska rekruci -
śpiewali Bogu, który się nimi
zaopiekował, dał im mundury,
buty i corned_beef. Pomyślał
raz jeszcze, że dobrze zrobił,
że nie klęknął i nie prosił
nadaremnie.

Głos kaprała przybliżył
się, zachrypiał nad samym
uchem.

- Panowie, mam nowinę!

Kapral stał obok. Triumfował.
Zwracał się do nich, do nie
przyjętych:

- Panowie, radzę nie
rozjeżdżać się. Dostaniecie
całodzienne wyżywienie. I
mundury!

Uciszył gwar i wyjaśnił:

- Dowództwo postanowiło
wydać nie przyjętym poborowym
sto kompletów mundurów.
Zrobiono już listę. Tak, że

nie rozjeżdżać się, panowie, i
czekać na zbiórkę. A na razie
można fasować w kuchni
śniadanie.

Sto mundurów! Bożek liczył
obecnych. Stanęło ich w
dwuszeregu chyba ze stu
czterdziestu. Byłoby ich
jeszcze więcej, gdyby nie to,
że niektórzy już wczoraj,
zaraz po komisji, udali się na
stację. Stu dostanie mundury,
czterdziestu odejdzie z
niczym. Lista już sporządzona.
Powinni byli sporządzić listę
według tego, jak kto jest
ubrany, a nie na chybił
trafił. Rozejrzał się: kilku
wyglądało jeszcze nędzniej niż
on. Jego bryczesy są połatane,
ale przylegają przynajmniej do
ciała. Ci w postrzępionych
watowanych spodniach wyglądają
najżałośniej. Niektórzy
specjalnie się przebrali do
rozdawnictwa mundurów, żeby

wzbudzić litość. Tego dragala obok siebie Bożek jeszcze wczoraj widział w eleganckich chromowych butach z cholewami. Teraz stoi bosy, podlec, nażarta bestia, ale i tak go zdradzają odprasowane bryczesy z granatowego sukna. Jeśli ten bydlak dostanie mundur, a ja nie - skoczę mu do gardła.

Stu dostanie, czterdziestu odejdzie z niczym. Ja nie dostanę. Ja odejdę z niczym. Wiem, że tak będzie. Lepiej nie czekać. Ale nie odchodził.

Przed nimi leżało pięć stosów z odzieżą, przy każdym stał podoficer. Sto mundurów. Sto płaszczy i furażerek, koców i ręczników, bielizny i onuc. I sto par butów. Bożek nie odrywał od nich oczu. Nowe, mocne buty. Na kopę lat!

Kapral zaczął wychrypywać nazwiska. Same obce. Podchodzili ci szczęśliwcy jeden po drugim, brali ze stosów kolejno, co im się należało: mundur - płaszcz -

furażerka - koc - ręcznik - bielizna - onuce. Teraz buty. Żeby któryś zrezygnował! Żeby powiedział: co do butów, to nie, mam swoje, dajcie tamtemu, co tak na mnie patrzy. Milczą. Uśmiechają się. Szczęśliwcy. Wszyscy szczęśliwsi ode mnie. Stosy malały. Coraz tego mniej, tych koców, płaszczy, mundurów. Buty, dla mnie tylko buty. Kapral wyrzucał z siebie nazwiska, dziesiątki nazwisk, ile tego jest na świecie, tych ludzi, wszędzie za dużo, namnożyliśmy się, psiakrew, wszędzie tłok, trzeba mieć silne łokcie, dla wszystkich nie starczy, ktoś musi zostać pominięty - i już wiadomo, że on, to oczywiste, właśnie dla

niego nie starczy. Tchawicę dławił coraz silniejszy ucisk, rozłożył się bolesnym ciężarem na żebra klatki piersiowej.

Obok stosów z ubraniami znajdował się mały kwadratowy stolik. Siedział przy nim czarnowłosy podchorąży, śniady jak Pers, i odfajkowywał nazwiska na arkuszu papieru. Ten podchorąży przypominał coś odległego Bożkowi. Jakieś mgliste skojarzenie. Skądś go znam. Gimnazjum? Był ktoś podobny, kto kręcił się koło Swojego Chłopa, pomagał w budowie dekoracji, rzucał z reflektorów światło na scenę, kiedy on, Bożek, deklamował różne idiotyzmy. "Przyszłość naszej fizyki"? Złudzenie! Byłoby rzeczą zdumiewającą, nieprawdopodobną, taką ze świata fantazji i baśni, gdyby podchorąży przy stoliku to był właśnie Olek Stachowicz, werjusteta i gimnazjalny majster_klepka, dobry przyjaciel Bożka. To by zakrawało na cud, i to na cud niepotrzebny, bo przecież lista jest sporządzona, i to chyba właśnie przez niego,

Olka Stachowicza, który teraz siedzi kilka metrów od Bożka i w niczym nie może mu pomóc.

Kapral czytał nazwiska.

- Olek - szepnął Bożek.

Kapral wprawdzie groźnie zmarszczył brwi, ale tamten, ów podchorąży przy stoliku, poruszył się jednak i rozejrzał. A więc on! Usłyszał! Stachowicz patrzył na rzędziejący dwuszereg i nie poznawał nikogo. Wzruszył ramionami. Bożek znów szepnął: - Olek - i tamten znów poruszył się niespokojnie.

Kapral kończył wywoływanie. Na ziemi wciąż

jeszcze leżało pięć
niewielkich kupek ubrań.
Kapral zbliżył się do
asystującego przy ceremonii
porucznika i coś szepnął mu do
ucha. Porucznik skinął
przyzwalająco głową. Wtedy
kapral powiedział do tych, co
jeszcze zostali w dwuszeregu:

- Zostało kilkanaście
kompletów, bo niektórzy z
naszej listy już wyjechali.
Oddamy je tym, którzy są
tutaj. Panie podchorąży! -
rzucił kapral w stronę
stolika. - Będzie pan
dopisywał.

Stachowicz wziął ołówek do
ręki. Bożek wybiegł z szeregu
i dopadł do stolika.

- Olek! - mówił szybko. -
Olek, to ja, Bergen. Zapisz
mnie: Bergen. Olek, to ja!
dopisz mnie!

Kapral huknął:

- Do szeregu!

Bożek pobiegł z powrotem. Dawał
ze swojego miejsca znaki Olkowi.
Szeptał: - Bergen... Zapisz...
to ja. - Tamten patrzył na
niego, kiwał głową, ale Bożkowi
zdawało się, że nic nie napisał.

Kapral przekształcił ich w
pojedynczy szereg. Potem
stanął przed nimi, podparł
dłonią podbródek i przymrużył
badawczo oczy. Bożek przywarł

do niego skomlącym
spojrzeniem. Ja. Ja. Już nie
mogę. Spójrz na mnie. JUŻ nie
mogę.

Syknął do sąsiada w
sukiennych bryczesach:

- Ja wiem, że pan ma buty.

- Tss...

- Widziałem pana w butach
z cholewami. Jeśli pan teraz
dostanie, a ja nie, to...
zobaczy pan!

Kapral przechadzał się
wzdłuż szeregu. Nagle oczy

jego skrzyżowały się z oczami Bożka. I Bożek czuł, że kapralem coś wstrząsnęło, że kapral płacze. Nie było tego płaczu widać, tylko rozchylenie warg, bezradny skurcz policzka. Muszę mieć straszne oczy - pomyślał Bożek. Wiedział już, co nastąpi. Nie zdziwił się, kiedy zobaczył wyciągniętą w swoim kierunku rękę kaprala i usłyszał jego ochrypły głos.

- Ty.

Ociężałym krokiem podszedł do stolika i zameldował się podchorążemu:

- Bergen.

- Wiem. Zapisalem.

Pierwszy podoficer rzucił mu na ręce battle_dress ze spodniami i furażerką. Potem dostał płaszcz. Koc i ręcznik. Komplet bielizny letniej i komplet bielizny wełnianej. Flanelowe onuce.

- Numer butów? - spytano.

- Może być ósemka.

Obładowany odszedł pod pień morwy. Zdejmował z siebie stare, połatane bryczesy, czarną od licznych dezynfekcji koszulę, futrzaną czapkę, która tak długo chroniła go od porażenia słonecznego. Przebierał się płacząc. Nie hamował łez, nie mógł opanować szlochów i dopiero kiedy zobaczył nadbiegającego Stachowicza, wytarł mokrą twarz skrawkiem starej

koszuli. Stachowicz usprawiedliwiał się:

- To ty, Bożek? Niech cię diabli! Nie poznałem cię! Był ze mną w obozie w Rybińsku jakiś skurwysyn Bergen, myślałem, że to on. No, jakoś się obeszło. Pamiętasz tego idiotę Syskiego? Ja się też nieźle wygłupiałem. A co z

twoją dziewczyną, tą blondynką od Kaleckiej? Próbowaliśmy ją ze Swoim Chłopem do Moliera, ale grała jak noga. A pamiętasz, jak napyskowałeś Damianowi? Wyglądasz jak ojciec tamtego Bożka. Dlaczego nie zakładasz butów?

- Poczekaj chwilę, umyję nogi.

Pobiegł ze wszystkimi rzeczami do rzeki, zanurzył nogi w wodzie. Począł aż fale się wygładzą i przyjrzał się swojemu odbiciu. Zobaczył żołnierza o surowej, zawziętej twarzy, ciemne oczy patrzyły mściwie. To ja? Ten twardy facet - to ja?

Wyszedł z wody, bo czuł, że zaczyna się rozczulać nad sobą i kochać we własnym obliczu jak Narcyz. Powoli, z namaszczeniem sznurował buty, mocne, nie do zdarcia, sama krzepa. Miałem piekielne szczęście!

Wstał, próbował chodzić. Ziemia uciekała mu spod nóg. Czuł się teraz wyższy, lotniejszy.

Przeszła kobieta w mundurze, jasnowłosa, dojrzała, dystygowana pani z oficerskimi naszywkami. Spojrzał na nią bezwiednie i ze zdziwieniem spostrzegł, że kobieta mijając go uśmiechnęła się z sympatią, niemal zalotnie. Z daleka odwróciła się i raz jeszcze się uśmiechnęła. Zdumienie przygwoździło go do miejsca. Mój Boże, co się stało? Co się takiego stało? Co się w ciągu

tych dwudziestu minut stało?!

Podniósł z ziemi łachmany, które dopiero co miał na sobie. Przycisnął je do piersi szepcząc: - Boże, Boże!...

Nie wiedział, co z nimi

zrobić. Zachować na pamiątkę?
Ale przeraziła go myśl, że
mogłyby jeszcze okazać się
potrzebne. Rzucił je do rzeki
- wszystko: bryczesy, koszulę,
kalesony, czapkę. Koszula
długo szybowała w powietrzu,
zanim opadła na wodę. Nurt
porwał ubranie i uniósł je
precz.

Otrzepał dłonie. Odwrócił
się, zrobił kilka kroków i
stuknął obcasem w ziemię.
Wspaniale! Nie czuje się
wybojów, korzeni, szkła,
twardości ziemi. Nie będzie się
bał rozpalonych kamieni ani
parzących szyn.

Nigdy nie zapomnę -
pomyślał nagle.

Powiedział na głos, jak w
gorączce:

- Łotry, skurwysyny,
wączacze fiołków! będę jak wy.
Teraz już wiem. Nauczyliscie
mnie. Już wiem.

Szedł do Stachowicza,
który opierał się o pień
morwowy rozmawiając przyjaźnie
z Trzcińskim. Trzciński
zauważył Bożka, dawał mu znaki
ręką. Bożek uderzył obcasem w
ziemię. Jak dudni! Szepnął:

- Teraz wam pokażę...

Jesień 1956 r., Obory

Część II

W butach

1

Usłyszałem, że poruszyła się
na łóżku. Potem rozległ się jej
głos: "To ty, Bożek?"
Potwierdziłem. Stałem wciąż u
drzwi i myślałem: dziewczyna. To
było najważniejsze w tym
półmroku, dziewczyna,
dziewiętnastoletnie ciało pod
kołdrą. Nikogo więcej tu nie ma
tylko półmrok, ty i ona.

Wiedziałem, gdzie ta dziewczyna
jest: ostatni stół pod ścianą.
Spaliśmy tej zimy w dawnej
pracowni fizyki na stołach,
twardo było mimo materacy.
Najlepiej było leżeć na brzuchu
obejmując dłońmi wypełniony
słomą jasiek. Po omacku dotarłem
do swojego stołu_łóża,
pochrzęściłem poduszczyką,
odrzucałem kołdrę. Pomyślałem:
dziewczyna i ty, sami w jednej
sali, pozostali na zabawie,
tańce do świtu, nikt nam nie
przeszkodzi. Ale myślałem o tym
bez przejęcia...

Potarłem zziębnięte dłonie.
Ona, Lena, usiadła na
łóżku_stole, podciągnęła kołdrę
pod szyję, objęła rękami kolana.
Rozróżniałem teraz piramidkę
kołdry, regularny profil twarzy
Leny, rozpuszczone swobodnie
włosy. Wcale nie było tu tak
ciemno, jak mi się wydawało.
Kiedy wszedłem, szary blask
saczył się przez okno od śniegu,
który zasypał podwórze, ten
blask wyrysowywał kontury stołów
i nocnych szafeczek.

- Ajwan cały zasypany -
powiedziałem, zdejmując buty.

Jeszcze jedno dziwne słowo,
które zawiozę do kraju. Ajwan:
kamienny podest otoczony
kolumnadą cienką i wdzięczną jak
wenecki krużganek. Będę umiał
liczyć po uzbecku: bir, iki,
ucz. Będę odmieniał: men, san,

ubiz, syz, ułar. Piekielnie im
się wydam wykształcony w tej
Warszawie. Samarkanda, pętaki -
pochwalę się - Samarkanda, co wy
tam wiecie, nawet na mapie nie
potraficie tego znaleźć! Miasto
Tamerlana! O, psiamać, zaklną.
Baby zakwefione - dodam. O,
kurtka! Tak, wszystko zamieni
się w hecę. W temat do długich
opowieści. I daj Boże, żeby
kogoś zainteresowały. (Bo może

powiedzą: panie, co pan tam
bełkocze? Jaka Samarkanda? Kogo
to obchodzi? My tu mamy swoje
kłopoty. Pan wie, co się u nas
działo? Pan wie, co tu wciąż się
dzieje?)

Otworzyłem swoją nocną
szafeczkę, nie wiem po co, nie
miałem w niej nic, otworzyłem,
bo miałem nadzieję, że stanie
się cud i wymacam to, co kilka
dni temu nam przepadło, mnie i
Zygmuntowi. Pusto, znowu uczucie
rozczarowania, absurdalne,
zupełnie jakbym poważnie na ten
cud liczył. Jeszcze przez chwilę
obmacywałem górną część wnętrza,
może miałem nadzieję, że się ten
kawałek angielskiego mydła mógł
gdzieś przylepić. Nie potrafiłem
się pogodzić z tą frajerską
stratą: dwieście pięćdziesiąt
rubli - tyle to było warte -
sprzątnęli nam koleżkowie. Kto
to mógł zrobić? Said, tylko on,
ten pękaty Kazach, nienawidził
mnie i wszystkich Urusów, każdy,
kto nie ma skośnych oczu, to dla
niego Urus, oszukać Urusa to nie
grzech, przecież i u nas diabła
wolno oszukać, uczyliśmy się
takiej czytanki: "Jak chłop
oszukał diabła", i ja teraz
jestem ten cholerny, przeklęty,
nadający się do wykiwania, głupi
jak wielbłąd Urus. Bezczelnie
się zapierał: "Ja? Ja? Ty
widział? Oczy twoje widział? Ja
nie kradniem. Ja muzułmanin,
pionier, ty polski, ty obraził
muzułmanina sowieckiego
pioniera, ta ręka nigdy nie
kradł"! Nie mógł tego zrobić

sam, ktoś musiał mu w tym
pomagać, chyba Kaderkuł, taki
miły chłopczyna. Śniadoliccy
kulas, okazywałem mu tyle
sympatii, lubił jak parodiowałem
dyrektora, klaskał, wrzeszczał,
"bis", i pomyśleć, że... Tak,
ale nie rozstaje się nigdy z

długim ostrym nożem, w oczach ma
zawzięte błyski, kiedy wbija
ostrze w ziemię albo w stół.
Nasze wspólne wyprawy na bazar
po rodzynki. On zwędził - ja, w
polsko_angielskim mundurze,
kupowałem, Urus niedołączny.
Przyjaźń. Ale to angielskie
mydło go skusiło, sam je w jakiś
sposób zachwalałem. Nie mieliśmy
żadnych dowodów przeciwko nim,
tylko ten, że tego dnia obaj się
upili, Said i Kaderkuł, pomyśleć
tylko, czternastoletni chłopcy.
Mieli bogate doświadczenia,
Kaderkuł opowiadał, jak on i
kilku innych chłopców dobrało
się do koleżanki w sierocińcu.
"Ile miała lat?" - spytałem.
Jakoś w ich wieku, trochę ponad
trzyznaście.

Dziewczyna siedziała w
półmroku na łóżku_stole
podciągnawszy kolana. Okradli,
myślałem, że też dałem się
okraść, tylko o tym mogłem
myśleć, a powinienem był myśleć
tak: dziewczyna, dziewczyna,
dziewczyna na łóżku_stole, sami
jesteście, nacieszcie się sobą,
może ona tego chce, ruszże się.

- Jak tam zabawa? - spytała.

- Na sto dwa - odpowiedziałem.

- Przygrywają chłopcy ze szkoły
lotniczej. Nata dobrze się bawi.
Ci chłopcy jej nadskakują i to
ją strasznie śmieszy.

Lena nie poszła na zabawę, bo
chciała, żeby poszła Nata. Maja
tylko jedną parę przyzwoitych
pantofli, i muszą używać jej na
przemian. Zabawne, jak starają
się kombinować, żeby odświeżać
strój. Ile wykazują pomysłowości
w krzyżowaniu tych dwóch bluzek
i dwóch spódnic, które do spółki
mają. Ale futrzany kołnierz u

palta Leny się strzępi i na to
nie ma rady. I na głód. W
kołchozie, do którego posłano nas
jesienią, żebyśmy zbierali i

czyścili buraki cukrowe,
spędzaliśmy wieczory dokładając
badyli do ognia pod saganem.
KIedy buraki brązowieją, ich
smak jest znośny. Ale na to
trzeba długo czekać.
Bajdurzyliśmy siedząc wokół
sagana i tematu nigdy nie
zbrakło. Lena wspominała z
uporem swoich lwowskich kuzynów,
galerię dziwaków, którzy wkrótce
mi się w myślach poplątali.
Straszliwy melanż w tej
rodzinie: Ukraińcy z
polsko_żydowsko_ormiańsko_węgierskimi
powiązaniami. A sądząc po jej
oczach nie brakło i Tatarów,
choćby jako rezultat najazdów.
Buraki cukrowe się dopiekały, a
dwie Tanie, biała i czarna,
grały na gitarze, śpiewały i
poszturchiwały się
porozumiewawczo, kiedy tekst
piosenki stawał się
swobodniejszy. Obie żyły z
Szarapem, dyrektorem naszej
szkoły pedagogicznej. Ładny
brunet, Tadżyk o marzących
oczach, przypomina Tyrone
Powera. Żałosny prostak ten
dyrektor szkoły, a jego
historyjki są wulgarne. Na
przykład: - Osioł ma pierdnać
trzy razy i wtedy pojawię ci
się, o kalifie, i będziesz mnie
miał. Chyba wzięte z Tysiąca i
Jednej Nocy, tylko po drodze
gdzieś się zagubiła poezja. Ale
on ma dla nich te swoje piękne
oczy, dyrektorskie na dodatek.
Poza tym jeszcze to: mięso.
Karmi swoje dziewczyny baraniną
z makaronem. Oczywiście, z
naszych porcji. Sprytnie to
sobie zorganizował, dwie
kochanki naraz, zaprzyjaźnione
ze sobą. W pełni wojny - takie
bajeczne życie!

Lena rozpytywała o zabawę. Czy
dziewczęta tańczą? Ależ tak,
tańczą, wyśpiewują, gruba Raja

rozhisteryzowała się, zaniósła się szlochem przez jakiegoś chłopca w niebieskim mundurze przysposobienia lotniczego, który wolał tańczyć z Niną, potem chłopiec gdzieś się zawieruszył, ona, ta tłuścioszka Raja, i Nina objęły się przyjaźnią i zaczęły występować w duecie wszeteczne piosenki na nutę cerkiewną. A ty jak? Kluczyłem z odpowiedzią. Nie chciałem się przyznać, że flirtowałem z Marusią, najpiękniejszą dziewczyną w mojej klasie. Wtedy, na tych burakach cukrowych, bardzo o mnie dbała. Kiedy tylko miała sposobność, na przykład gdy była dyżurną, najlepsza porcja dla "żołnierzyka". To mogło zmylić. Teraz podczas zabawy, w świetle lampionów, pod kolorowymi serpentynami (zupełnie jak gdyby na świecie nie było wojny, głodu, getta), przy dźwiękach muzyki, boleśnie znajomej, odzywającej się echem dawnych uczuć i barw (niebieska sukienka, akacja, błękit, samolot jak srebrna ryba, dobrotliwe posapywanie ojca, dobrze by było się spłakać), tak, przez tę muzykę dokonałem rozpaczliwego wysiłku, by przypomnieć sobie, że i mnie też wolno zabiegać o dziewczynę, i spróbowałem ją pocałować. "Nie - powiedziała - to uważasz, całkiem zbyteczne". W duchu przyznałem jej z miejsca słuszność: racja, zbyteczne. Nie wolno dziewcząt częstować swoimi zgrzyzotami. Lena to co innego, jesteśmy kolegami, ona ma zgrzyzoty dosyć podobne do naszych. Ale jest w niej coś oschłego. Może to jej komsomolstwo, strasznie zasadnicze. Marusia: urzekająca miękkość. Elle est douce. Lena - jak z drewna. Przytulisz się i złapiesz drzazgę.

- Opowiadaj, opowiadaj - domagała się.

Zamyśliłem się, przepraszam ją. Borys Jefimowicz, nauczyciel matematyki, uchodźca z Odessy, nie odstępował od bufetu. Nareszcie się najadł, udało mu się wymknąć spod kontroli swojej przerażającej żony, dziewczęta podsuwały mu pierożki z kapustą, informowałem myśląc: sami jesteście, ty i dziewczyna w półmroku. Blask śniegu na jej łóżku. Powinienem coś na ten temat, może nie powie, że to zbyt techniczne. Aha, mogę coś o Zygmuncie. - Nie miałem pojęcia, że z niego taki tancerz. Jak za najlepszych czasów w Clermont_Ferrand. Żałował, że ciebie nie ma, przysięgam. - Tak, on się do mnie troszkę zaleca - usłyszałem i z lekka się zdziwiłem, wcale mi to jakos nie wpadło w oczy. - Dziewczęta, powiadam, zapisują się do kolejki, żeby z nim tańczyć. Żaden z tych szczeniaków ze szkoły lotniczej nie zna takich figur. Kultura, Europa, nie ma co! Zapomniał nawet, że powinno go boleć gardło.

Lena zaśmiała się sucho. Obojeśmy znali tę manię Zygmunta - dotyka swojego gardła, odchrząkuje i mówi: słyszycie? Jest w tej szkole dzięki mnie. To był początek września, kilka miesięcy temu, kiedy jakiś facet w polsko_angielskim mundurze podszedł do mnie na bazarze i przypomniał mi, że znamy się z ostatniej komisji w Szachrysiabziu. Przyjrzałem mu się: pociągła, poorana twarz, niebieskie, lekko wytrzeszczone oczy, jasne włosy. Możliwe, pomyślałem, nie ma o co się sprzeczać. Powiedziałem mu, że jestem w szkole, że dają stół, pościel i szafeczkę, że posyłają na buraki cukrowe, a jak wrócimy to ma ruszyć stołówka. Nawet zastanawiałem się, czy zgłosić się do tej szkoły jako uczeń,

czy jako nauczyciel,
angielskiego na przykład, jest w

programie i nie ma komu uczyć,
ale jako nauczyciel nie
dostałbym bursy, a nie miałem
gdzie spać. Zygmunt od razu
postanowił, że on też będzie
uczniem. Trochę się zdziwiłem,
miał już trzydzieści lat i
cztery semestry studiów we
Francji, jakieś krótkie i
burzliwe małżeństwo, byłem
pewny, że to niemożliwe, ale nie
znałem jeszcze Szarapa. Przyjął
go! Nie tylko jego, także sporo
martwych dusz było w tej szkole
i na wszystkich Szarap dostawał
oliwę i makaron, które opędział
od ręki. Teraz Zygmunt chciał
już się wydostać z tej cholernej
szkoły, nie dawała żadnych
perspektyw zarobkowych, a Borys
Jefimowicz traktował naukę
matematyki całkiem poważnie.
Wywoływał Zygmunta do tablicy,
sprawdzał, czy ma odrobione
lekcje, stawiał mu dwójki, nie
chciał się domyślić, że nie
jesteśmy tu dla jego równań,
tylko dla tego stołu_łóżka i
wodnistej zupy. Kombinujemy
teraz, jak się stąd wyrwać.
Zygmunt jest już prawie
urządzony: poznał dziewczynę z
Polski, trochę starsza od niego,
ma dużo sprytnego rodzeństwa,
odnajmuje dwa pokoje u Uzbeków i
ona wzięłaby go do siebie. To,
co go zastanawia, to jej praca:
obsługuje wraz z braćmi "Stację
Dezynfekcyjną" na
Suzan_Garańskiej i przez
dziesięć godzin dziennie praży
wszy. W ich domu, podczas
kolacji (twarde placki
jęczmienne i gotowane buraki
cukrowe, zaprosili mnie kiedyś,
żebym deklamował z pamięci
wiersze Tuwima), rozmowa zawsze
dotyczy wszy. Pasjonują się
swoją pracą tak samo jak ludzie

innych zawodów - ujawniają się różne intrygi, plotki, małe świństewka, podstawianie nogi, walka o miejsce w hierarchii zakładu pracy. To Zygmunta trochę wstrzymuje od oświadczeń,

no i jeszcze pewien chytry plan dotyczący Leny. Zwierzył mi się kiedyś, tylko ja jakoś nie zwróciłem na to uwagi, teraz mi się to dopiero przypomniało, w tym półmroku, w którym jesteśmy we dwoje: a więc pomyśl, Bożek, skrajne ubóstwo, widzisz przecież, jak dostanę robotę, to się z nią ożenię, pomoże mi trochę było nie było, pamiętasz, jak nam upiekła placki z tej mąki, którąśmy fasowali, kiedy zabrakło opału w piekarniach, zgrabnie to zrobiła, przyznasz, a poza tym, pomyśl, mówił oblizując się, dziewiętnaście lat, młode, pachnące ciało, myślisz, że to niepotrzebne, to też potrzebne, wydobędę ją z ubóstwa, po rękach mnie będzie całować i będzie wierna, mówię ci, to jest charakter, honorowa i szczerą. Szkoda, że biedna - westchnął, bo pewnie uważał, że Lena powinna mu jeszcze wnieść przyzwoity posag. Spytałem ją:

- Nie chce ci się pohasać?

Trwało trochę, zanim Lena odpowiedziała:

- Nie przepadam za tym.

Dziwna dziewczyna, pomyślałem. Usłyszałem: gubię rytm, jestem niemuzyczny, po co tańczyć, robi się z tego musztra. Dziwna. Bo one tańczą także, żeby się przytulić, by odczuć męskie ramiona - tylko, gdzie oni tu są, ci mężczyźni; Zygmunt ze swoim chrząkającym gardłem i ja. MOje zgryzoty.

- Nie było ci smutno samej? - spytałem.

- Wcale. Nareszcie mogłam sobie porozmyślać. A ty

dlaczegoś stamtąd uciekł?

Chwileczkę, niech się
zastanowię. Ach tak, Marusia
wyrwała się z moich ramion,
mruknęła: przestań, to
zbyteczne. Należałoby
powiedzieć: ponieważ ty tu
jesteś. Coś w tym guście. Potem
wypadałoby ją pocałować.

- W końcu doszedłem do

wniosku, że mi to gra na nerwy -
tłumaczyłem, i to też była część
prawdy. - Nie jestem tak
optymistycznie nastrojony jak
Zygmunt. - Poprosiłem: - Odwróć
się.

Odwróciła się, a ja szybko
zrzuciłem z siebie ubranie. Skok
na łóżko stół pod kołdrę.
Wzdrygnąłem się od chłodu i
wilgoci. Teraz potrwa trochę,
zanim zagrzeję tę wilgotność
własnym ciałem. Leżałem cicho
przyglądając się cieniom na
suficie. Nagle przypomniałem
sobie: ona tam wciąż leży
odwrócona.

- Lenka - szepnąłem.

- Tak?

- Już.

Znowu objęła kolana rękami.
Niepokój powinien być wypełniać
tę salę, jej serce powinno być
załęknione, napięte dwojga
młodych spragnionych ciał
powinno zelektryzować półmrok,
rozedrzeć go błyskawicami,
ściany powinny się rozkołysać od
naszych oddechów obejmujących
się pożądliwie i rżących z
rozkoszy (oddech Mirki,
pripomniałem sobie jej oddech,
kiedy Marian ją pokrył, a to ich
łóżko tak niemilosierdzie,
rytmicznie skrzypiało, i tak co
noc, a ja leżałem cichutko,
bojąc się poruszyć i obracałem
się na drugi bok, kiedy oni
wreszcie kończyli i Mirka
zanosiła się długim, ulgę
przynoszącym spazmem... Czy

jeszcze żyją?) Półmrok siwy jak opary nad Bugiem, kiedy w listopadzie 39 roku przedostawałem się na wschodnią stronę.

- Nie boisz się mnie? - spytałem.

- Ani trochę.

Omam się nie roześmiała. Drewno, pomyślałem dotknięty. Odezwałem się:

- To źle świadczy o mnie.

- Przeciwnie, dobrze. -

Wydawało mi się, że mówi serio.

- Wiesz, tamci pomyśla, żeśmy zostali specjalnie.

- O mnie tak nie pomyśla.

Kołdra nagrzała się. Rano muszę biec do tego faceta po chleb - przypomniało mi się. Bierze od nas kartki i wykupuje nasze porcje u siebie w zakładzie. Nie stoimy dzięki temu w ogonku, ale za to odstępujemy mu część chleba. Kupił sobie niedawno nowe buty z cholewami - z naszego chleba - zrozumieliśmy to od razu: Lena, Nata i my dwaj. Dużo jednak nas dwoje łączy - sala sypialniana, kombinacje Szarapa, spekulant, który okrada nas z chleba. Kiedy się wzbogacę, zafunduję jej najlepszy placek w Samarkandzie, z twarogiem na dodatek, przez zwykłą solidarność, i mniejsza o jej dziewiętnastoletnie ciało.

- Na dworze mróz - odezwałem się.

- Kiedyś myślałam, że tu w ogóle nie ma zimy.

- Ja też tak myślałem. Uzbegy mówią, że dawniej śnieg znano tylko w górach. Przyszli ruscy z tą swoją rewolucją i wszystko zepsuli.

- "Dawniej" - powtórzyła z przekąsem. - Każdy Polak opowiada niestworzone rzeczy o tym, co było dawniej. Ja wiem tyle, że u nas było siedmioro

dzieci i bezrobotny ojciec. A kiedy przyszli Rosjanie, od razu znalazła się praca dla ojca i trojga najstarszych. A dla reszty szkoła.

I ona została komsomołką, ona i jeszcze jeden brat. Najstarszy nie - ten był ukraińskim nacjonalistą, podziwiał Niemców, chociaż na dobrej sowieckiej posadzie. O tym, że wtedy skończył się głód, kilka razy mi wspominała, jakby chciała podkreślić, że ja, mieszczuch warszawski, nie wszystko mogę rozumieć. Więc tak, dla nich skończył się głód, zaczęła się sprawiedliwość dziejowa, a dla

innych - wiadomo - ale cóż, ona na to powie, że to też sprawiedliwość dziejowa albo przykra konieczność, która "nie powinna zaciemniać obrazu". Mam wszystkich sprawiedliwości dziejowych po uszy! Ukradziono mi mydło, które chowałem na czarną godzinę! Ciekaw jestem, co się teraz dzieje z jej najbliższymi. Jaki procent krwi żydowsko_polskiej toleruje u swoich najbliższych jej brat nacjonalista? Ten brat nie daje mi spokoju: studiował na uniwersytecie w Poznaniu polonistykę i żądał "samostijnoj Ukrainy". Lubił elegancko się ubierać - przypomniałem sobie jej opowieść. Ale kim był w oczach Ukraińców, których ukochał? Może polskim renegatem?

- Musiało tu jednak kiedyś być ciepłej - wróciłem do tamtego tematu - bo pieców na sali nie ma.

- Przez to właśnie my marzniemy.

- Zimno ci? - spytałem.

- Porządnie - przyznała się.

- Może ściągniesz skądś drugą kołdrę?

Nie odpowiedziała.

Należałoby inaczej: We dwoje
byłoby nam cieplej. Albo:
Przyjdę cię ogrzać. Albo coś
równie płaskiego, ale
stosownego. Może ona na takie
słowa czeka? Nie jest brzydka.
Usiłowałem sobie przypomnieć jej
zęby, zdaje się że ma ładne,
choć nie pamiętam jej
uśmiechu, nie, raz się
uśmiechnęła, do fotografii,
wyszczерzyła zęby, tak, ładne.
Spróbuj teraz myśleć o jej
ciele i o tym, że jest nagie.
Mógłbym sobie wyobrazić, że tulę
w dłoniach jej piersi, że
przesuwam ręką w dół brzucha, że
dotykam palcami do wzniesienia
łona i odczuwam mszystość
owłosienia. To czeka tam, dla
mnie, na sąsiednim łóżku_stole,
pod kołdrą. Jeszcze raz spróbuję

sobie to wyobrazić od początku,
całą tę drogę mojej zziębniętej
dłoni. Ale nie udało mi się
wzbudzić w sobie podniecenia.
Wyobraźnia była oporna. Ja też
jestem drewno.

- Nie słuchasz mnie -
powiedziała z wyrzutem.
Siedziała spokojnie na łóżku,
szarość płynąca spoza okna
zmiękczała kontur jej twarzy. -
Może zasypiasz? W takim razie
przepraszam.

- Nie, nie, słyszałem wszyst-
ko. KUzyn Teodor miał się ożenić
z Cyganką. Teodor to był
Ukrainiec?

- Nie, on należał właśnie do
ormiańskiej odnogi naszej
rodziny.

- Przyznasz, że to
skomplikowane.

- Właśnie wtedy dostałam
pierwszą nagrodę na balu
kostiumowym.

- Bujasz!

- Naprawdę! Uszyłam sobie ze
skrawków kolorowe kimono.

- Do twoich skośnych oczu to

dobry pomysł - pochwaliłem.

- Nosilaam wtedy zabójcza grzywkę.

- Nie zalewaj!

- Ależ tak. Mam nawet zdjęcie.

- Pokaż! - zażądałem.

- Dobrze, odwróć się, narzucę tylko palto.

Po chwili zbliżyła się do mojego łóżka ze zdjęciem w ręku. Stała dygocąc w starym połatanym palcie, którego futrzany kołnierz zestrzępił się zupełnie. Podała mi zdjęcie i potarła zapałkę. Rudy płomień oświetlił grupę dziewcząt w ekstrawaganckich kostiumach. Zastygły w sztucznych, martwych uśmiechach, w radości wygasłej i trupiej.

- Która ty jesteś? - spytałem.

W tym panoptikum figur wojskowych tylko jedna dziewczyna żyła naprawdę. Spoglądała na mnie śliczna Japonka o czarnych, pałających

oczach. Jest grzywka, tak, zabójcza, wszystko się zgadza. Zapałka zgasła.

- Zapal jeszcze raz - poprosiłem.

Japonka znowu błysnęła tkliwymi oczyma. Usta miała pełne i rozchylone w uśmiechu, który wydał mi się czarujący. Płynęła w niej czerwona, huczająca krew, chociaż dziewczyna była tak bardzo filmowa, bajeczna i nieosiągalna.

- Jesteś tu najpiękniejsza - powiedziałem, a zapałka powoli gasła, Japonce przez chwilę żarzyły się oczy, a potem salę zaległa ciemność. Mogłem wyciągnąć rękę i objąć biodro dziewczyny. Dotknąłem dłonią jej szorstkiego palta.

- Brr, jaka ta podłoga lodowata - poskarżyła się Lena i wróciła do swojego łóżka. Otuliwszy się kołdrą

zdecydowała: - Będę spała w
palcie dopóki się nie zagrzeję.

Potem powiedziała z przekąsem:

- Pewno sobie teraz myślisz:
co się z niej zrobiło.

Usiłowałem zaprzeczyć, ale nie
wyszło to zbyt szczerze.

- Tylko nie myśl, że ja czuję
jakiś szczególny sentyment dla
tamtego podlotka - powiedziała.

- Wolę siebie dzisiejszą.

- No pewnie - zgodziłem się
zadowolony, że nie muszę się
wypowiadać. - Na pewno rozumiesz
dziś więcej.

I pomyślałem: Po co ci
rozumieć? Czy nie lepiej mieć po
prostu takie oczy i taki czar?

Zaprotestowała:

- Wcale nie dlatego. Ja wolę
dzisiejszy styl.

Komsomołki pioniera, która
cierpi za dwieście milionów.
Nie, za całą ludzkość, drwiłem w
myśli. Ale nie było mi wesoło.

- Powinieneś się był bawić ze
wszystkimi - usłyszałem.

- Nie potrafię. - Marusia
odrzucała twoje zaloty,
pomyślałem. Ale zaraz

wykombinujesz coś bardziej
uniwersalnego. Coś szlachetnego.
Tak jak ona, tylko że o trochę
innym zabarwieniu. Cały czas
miotasz się między tym, co
winienesz sobie, a tym, co należy
robić w ogóle.

- Chciałbym pójść do wojska -
powiedziałem. - To niezdrowe -
siedzieć w szkole, włóczyć się
po Samarkandzie, kiedy porządni
ludzie są na froncie.

- Sumienie cię gryzie?

- Nie mam sumienia. Mam swój
własny interes. MOi są w
Warszawie i nie wiem, co się z
nimi dzieje. Ale nic dobrego, na
pewno. Jeśli Hitler nie skręci
karku, będzie po nich. I po
Polsce - dodałem.

Chwilę milczała.

- Powiedzmy, że tak - odezwała się wreszcie. - Powiedzmy. Ja też żałuję, że moi nie ewakuowali się razem ze mną. Nie namawiałam ich, w każdym razie nie dość gorąco. A powinnam była.

Przez chwilę oboje milczeliśmy. Ja odezwałem się pierwszy:

- Wciąż są pogłoski, że znowu będzie się organizować polskie dywizje. Podobno Stalin przyjął ambasadora Romera. Jeśli tylko się dogadają co do Lwowa...

- Nie dogadają się - ucięła, a w jej głosie dosłyszałem ironię i wyższość. - Lepiej wybij to sobie z głowy.

Och, co ona tam wie - pomyślałem. Gada, jakby była ze Stalinem na ty. Leż sobie i marznij, pomyślałem, nie będę cię całował. Cisza. Nikogo prócz niej nie było na tej sali, więc to do niej powiedziałem.

- Kończą mi się pieniądze. Rzucę tę szkołę do stu diabłów i postaram się o jakąś pracę. Nie mogę siedzieć z założonymi rękami, aż się zrobi pusto w kieszeni.

- My z Natą obywamy się jakoś bez pieniędzy.

- Wy, wy! - uniosłem się. - Wy jesteście uduchowione. Ja jestem ze zwykłej gliny. Nie potrafię żyć powietrzem i idea.

I nie lubię siebie, kiedy jestem głodny, pomyślałem. Wszystkie myśli krąży wtedy wokół miski. Nie znasz mnie takim, była Japonko, nie widziałaś nigdy moich głodnych oczu. Teraz, kiedy na co dzień paraduję w mundurze, kiedy mam jakiś skromny przydział chleba i resztkę pieniędzy za koc i ciepłą angielską bieliznę, które opyliłem na bazarze, teraz trzymam się trochę godniej,

nawet to częste ssanie w żołądku można by nazwać wzmożonym apetytem. Tylko wciąż wraca strach, że tamto wszystko się powtórzy.

- Muszę sobie poszukać jakiejś roboty - powiedziałem.

- Jeszcze pół roku, Bożek - perswadowała. - Szkoda dyplomu.

- Gwiżdżę na dyplom. Zdażę go zrobić, jak będą jakieś normalne czasy. - Nie umiałem ich sobie wyobrazić, tych normalnych czasów, ale byłem przekonany, że mnóstwo rzeczy będzie wyglądać inaczej. Rewizja przesadów, generalne pranie brudów. - Poszukam sobie dobrej roboty - powtórzyłem. - Nie boję się nawet najcięższej, byle można było coś wynieść.

- Nie mów tak. Nie umiałbyś wynosić.

- Umiałbym, dlaczego nie. - Ręce świerzbiały, żeby kogoś trzasnąć w pysk. Jak podczas dyskusji, w której czujesz, że masz rację, ale tamten szachruje, kłamie tak, że jesteś wobec tego zalewu fałszu bezradny, nie umiesz zebrać argumentów na swoją korzyść. Wątpi w moją odwagę. A może uważa, że z natury nie jestem dość bezwzględny. Wszystko obraźliwe. Nienawidzę, kiedy mówią, że jestem łagodny, subtelny, dobroduszny. Bo mówiąc

to, mają na myśli, że mi czegoś brak, wskazują na nieprzystosowanie. Nie uchronisz się, taki łagodny, wykończą cię - to mają na myśli. Och, dostać się do dobrej fabryki, marzyłem, a reszta już należy do mnie. Ale do takiej fabryki, w której można się najeść, nie przyjmuje się każdego. Chyba że potrzebują specjalisty, ale ty nim nie jesteś, umiesz tylko strzelać z karabinu maszynowego i

deklamować polskie wiersze. -
Umiałbym - powtórzyłem. - Będę
brał bez skrpułów, ręczę ci.

Milczała. A ja wspomniałem
szlauch, któryśmy rąbnęli do
spółki z Uszerem, a potem
Wołyński wybrał się do kyszłaku
i opchnął go Uzbekom na zelówki.
Aleśmy się namordowali, to
cholerstwo było przetykane
drutami i siekiera nam się
wyszczzerbiła. Wypadło na każdego
po osiemnaście rubli. MOje
osiągnięcia, myślałem,
przyglądając się nieruchomemu
profilowi Leny.

- Chcesz spać? - spytałem.

- Na to wygląda.

- Może cię uraziłem?

- Nie spodziewałeś się chyba
ode mnie zachęty?

Zamilkła znowu. Obraziła się w
imieniu Józefa Wissarionowicza.
Co robić, przecież musimy jakoś
ciągnąć życie. Nie chcę się
wzbogacić, chyba dobrze o tym
wie. Czy zresztą ona sama nie
przywiozła z kołchozu woreczka
dżugary, pracowicie uzbieranego
podczas uprzątania tego
niby_prosa, którym nas teraz
karmiono? Opychasz się tą
dżugarą na siłę - kaszą lub
popielatymi plackami - wiesz, że
to ci nic nie daje. Słoma! A
potem wszyscy załatwiają się na
szaro. Żebym tylko nie zapomniał
o tym opowiedzieć po wojnie w
Warszawie. Czy widzieliście
państwo kiedyś szare gówno? To z
czym do gościa, panowie?

- Lena? - odezwałem się.

Milczenie. Japonka miała
smagłe ciało i napęczniały
wzgórek łonowy. Dziewczyna na
łóżku_stole milczy. Nie odpowie.
No to pies ją trącał. Będę spać.
Usłyszałem spokojny głos Leny:

- Co powiadasz?

- Jednak nie śpisz.

- Jeszcze się nie zagrzałam.

Razem byłoby nam obojgu
cieplej. Powiem. Nie powiem. Nie
chce mi się ani trochę. Nie ma
miejsca na czułości. Same
zgryzoty.

- Jak się mocno nakradnę -
odezwałem się - to i wam pomogę.

- Zygmunt obiecuje więcej.
Obiecuje, że jak mu się uda
dostać jakąś pożywną posadę -
wiesz, on ma rąbać drzewo dla
jakiejś zbiorowej kuchni,
znajomi mu się o coś takiego
starają - to się ze mną ożeni.

- Oświadczył ci się?

- Jak najformalniej.

Zaprowadził mnie do czarnej chany.
Kupił piętnaście deko rodzynek
i spałaszowaliśmy je z zieloną
herbatą.

- Przyjęłaś oświadczyzny! -
zawołałem.

- Och, nie. Ale sytuacja nie
była łatwa. Ta jego rozrzutność!
No i jak tu odmówić, żeby go nie
urazić?

Roześmiała się i ten śmiech
przeszedł w suchy kaszel. Miejmy
nadzieję, że to nie gruźlica.
Chociaż nie byłoby to takie
dziwne, gdyby kogoś z nas w tych
warunkach dosięgła. Zygmunt
musiał być niemile zaskoczony,
pomyślałem, że ona mu odmawia.
Wyciąga do niej pomocną dłoń,
mężczyzna na eksponowanym
stanowisku palacza w kuchni,
takie perspektywy!, a ta
lekkomyślna dziewczyna odrzuca
garnące się ku niej szczęście.
Lena wciąż kaszlała.

- Zastanów się - kusilem.

- Jemu potrzebny ktoś, kto by
mu współczuł.

Ach, domyśliła się!...

- No to co? - namawiałem. -

Nie umiesz grać? - nic
straconego.

- On dał mi czas do namysłu.
Cały miesiąc.

- Musisz przyznać, że jest

wielkoduszny.

- Bardzo - zgodziła się. -
Wiesz, wydawało mi się, że miał
łyżki w oczach. Czy to świadczy o
uczuciu?

- Do siebie - odpowiedziałem.

Kto wie - pomyślałem z
niepokojem, kto wie, nie wyjawiał
mi prawdy o swoim stosunku do
Leny do końca, może pokochał te
jej dziewiętnaście lat.

- Zgłosi się raz jeszcze, jak
już będzie miał tamtą pracę.

- On mi imponuje - przyznałem.
Pomyślałem: nie, nie mam ochoty
być na ich ślubie i kłaść tę
dziewczynę do łóżka z Zygmuntem.
- Prawdę mówiąc - powiedziałem -
to nie jest partner dla ciebie.
- Musiałem swoje zastrzeżenia
zgłaszać ostrożnie, bo a nuż za
miesiąc będą małżeństwem i ona
mi nigdy nie zapomni, co
wygadywałem na ukochanego
mężusia. - Nie mam na myśli
tego, że on sobie wciąż
obmacuje gardło, to jeszcze nic,
do tego możesz się przyzwyczaić.
Gorzej, że on nic nie zarobi.
Nigdy nie zostanie dyrektorem.
Musisz szukać raczej w tym
kierunku. Znaleźć jakiegoś
fachowca. Może szofera. Pomyśl o
tym.

- Zbytek łaski.

Otuliłem się szczerze kołdrą.
Mruknałem:

- Jesteśmy sami, Lenka. Do
białego rana.

Nie usłyszałem odpowiedzi.
Może ona też o tym myślała.

- Właściwie - mówiłem
niepewnie - powinienem cię
zaatakować.

- Nie powinienes.

- Nie myśl, że nie mam ochoty
- usprawiedliwiałem się - mam,
nawet nie wiesz jaką.

- Gadasz głupstwa. Dobranoc,
Bożek. - Naciągnęła kołdrę po

czoło.

Leżałem długo z otwartymi oczyma. Ale nie myślałem o Lenie. Zapomniałem o dziewczynie, która znajdowała się obok. Myślałem o Ginie, potem o tej, z którą raz gasiliśmy szpital podczas oblężenia, a potem przypomniały mi się dwa, trzy ciała z pornograficznego miesięcznika, który Mucha przynosił czasem do szkoły. Widziałem je teraz wyraźnie, te obfite, wypięte zadki i obnażone piersi, i jeszcze oddzielnie parę strzelistych nóg w czarnych ażurowych pończochach i z podwiązkami na udach, i myślałem ze zdziwieniem o tym, że te obrazki mogły mnie podniecać.

Na łóżku_stole o trzy kroki ode mnie oddychała równo i spokojnie dziewczyna.

2

Marusia nie przychodziła do szkoły. Powiedziano mi, że jest w szpitalu, bo zachorowała na tyfus. Po opuszczeniu szpitala długo jeszcze nie pojawiała się w szkole i dziewczęta mówiły, że to dlatego, żeby nie pokazać się z ogoloną głową.

Przedwiośnie 1943 roku dało nam wszystkim w kość. Po zwycięstwie stalingradzkim niektórym się wydawało, że już_już koniec, ale wojna wciąż trwała i ludzie zaczęli się poddawać. Jakiś gość, którego znałem z widzenia, złapał mnie na ulicy i poprosił, żebym wziął udział w modlitwie, którą zaraz odprawia nad zwłokami jego przyjaciela. To był ojciec rodziny, ten zmarły. Leżał na stole, z odsłoniętymi bosymi stopami, już zsiniałymi, chociaż koniuszki palców jeszcze były różowe. Pożyczono mi czapkę, rodzina płakała, a ja przyglądałem się temu odrętwiały, czegoś przekonany,

że najsmutniejsze w tym jest to, że ten Żyd zmarł tak daleko od Polski. Nie wydało mi się, żeby go żałowano, odwrotnie, rodzina żywiła usprawiedliwioną urazę, że ojciec opuścił ich i znalazł sobie spokój w śmiertelnej drętwoce. Niezbyt to było lojalne ze strony zmarłego.

Radio przestawało nadawać tryumfalnie nazwy wyzwolonych miast. Ofensywa zatrzymała się, Niemcom udało się nawet odbić kawał Donbasu. Stalin zerwał z Sikorskim, ośrodki pomocy dla rozproszonych obywateli polskich zamknięto, a u nas w Samarkandzie aresztowano P. Nowackiego, delegata Rządu. Szarap musiał się gdzieś pośliznąć, bo nagle wyrzucono go z dyrektorstwa. Widywałem go potem czasami na bazarze, wychudłego i pomiętego, z wpadniętymi głęboko oczyma, pozbawionymi tego lśniącego werniksu, którym tak czarował słowiańskie dziewczęta. Ciemną TONIĘ przejął po nim szef zaopatrzenia, młody i smukły Rosjanin, jakimś cudem nie zmobilizowany do wojska. Mówiono, że to właśnie on wykończył Szarapę. Jasną TONIĘ coraz częściej widywano wieczorami spacerującą w pobliżu Czaj_chany na ulicy Czaraga, czasem z gitarą przewieszoną przez ramię. Wracała potem do bursy z przygodnymi przyjaciółmi, najczęściej dobrze podпиты, których przedstawiała staremu Uzbekowi_dozorcy jako swoich kuzynów. Odtąd mówiono o niej "Tonia spacerująca" - ale bez złośliwości, stwierdzając jedynie fakt, bo też ta Tonia nadal miała miły uśmiech dla każdego. Tylko Zygmunt wylądował wreszcie tak, jak sobie życzył: dostał pracę rębacza w szpitalu przeciwgruźliczym. Cienkoręki, krótkowzroczny, męczył się początkowo na swoim wymarzonym

stanowisku, nie nadażał z

dostarczeniem polan, gardło go bolało częściej niż kiedykolwiek przedtem, do bursy wracał wycieńczony, powłócząc nogami, ale zawsze z jakimś polanem w zanadrzu, a kilka razy przyniósł nam z triumfem pełne menażki szpitalnej zupy. Rozdzielał tę zupę sycząc z zadowolenia, patrzył nam na usta, kiedyśmy jedli, żadny pochwał i chyba trochę rozczarowany umiarkowanym stopniem naszej zazdrości. Zdaje się, że odbył decydującą rozmowę z Leną, bo wkrótce zaczął omijać bramę bursy, a swoje z takim trudem zdobyte menażki dźwigał wprost do kibitki Juli i jej braci ze stacji dezynfekcyjnej. Zwolnił się wreszcie u nas stół przez niego zajmowany, a Julia, pękata, niziutka Julia,)pękata może dlatego, że stale miała na sobie dwa grube waciaki), ta Julia dostała od Zygmunta pęk białych kwiatów, bo okazało się, ku wzruszeniu młodszego od niej Zygmunta, że znalazł ją dziewczicą.

Ja i Lena naprawdę zaprzyjaźniliśmy się. Uczyłem ją fizyki, której jakoś nie chwytala, a w zamian ona towarzyszyła mi w wędrówkach po ostatnią parę angielskich zelówek, które pan Nowacki zdążył rozdzielić na krótko przed swoim aresztowaniem. Opyliłem je z miejsca i kupiłem duży pszenny placek, świeży i jasnożółty, kupiłem twarogu i poucztowaliśmy z Leną. Łażąc po bazarze wyklócaliśmy się o to, co się właściwie mogło stać z polskimi oficerami w Katyniu i ja w końcu ustąpiłem, bo wyglądało na to, że ona ma rację, że to jednak Niemcy. Strasznie była pewna swego w sprawach politycznych, pewna i

nieustępliwa. Słońce już
porządnie przypiekało, błoto pod
naszymi nogami schło parując i
twardniejąc od razu jak bruk.

Marzyłem o tym, żeby wreszcie

uciec ze wspólnej sypialni. Żeby
mieć jakąś możliwą pracę i
własny kątek. Ktoś zawiadomił
mnie, że w kombinacie
winno_chemicznym na ulicy
Pendżikient poszukują ślusarzy
samochodowych. Zgłosiłem się i
po krótkiej rozmowie z
dyrektorem personalnym
przyznałem się, że pojęcia nie
mam o ślusarce ani o
samochodach. Ale wtedy raz jeden
w życiu uśmiechnęło się do mnie
szczęście, bo akurat powołano z
tej fabryki do wojska kilku
Tadżyków i zostałem przyjęty do
czarnej roboty - bez protekcji i
smarowania. Dyrektor personalny
powiedział mi, że mam się stawić
nazajutrz o siódmej u Wiery
Antonowny, która jest
naczelnikiem oddziału
winno_spirytusowego.

Raz w życiu mi się powiodło,
myślałem siedząc na drewnianej
pryczy w kubitce, którą sobie
odnająłem w pobliżu fabryki. Ta
prycza zajmowała połowę izdebki,
miała deski z dziurami po
sękach, ale to nic, w głowie mi
szumiało ze szczęścia, nareszcie
coś było moje. Wyjrzałem przez
okienko na podwórze. Dwie kozy
szczypały trawę pod rozrosłą
morwą; za domostwem Machmuda_aki,
mojego gospodarza, chwiały się
na wietrze trzy strzeliste
topole. Potem gapilem się na
drewniane rzeźbione drzwi mojej
izdebki przebiegając wzrokiem
labirynt arabesek. Było to
niezłe zajęcie, zupełnie jakbym
obserwował bieg na przełaj z
nagłymi, fantazyjnymi skrętami.
Ściany mojej izdebki były
oblepione popękana gliną i w

szczelinach coś się tam czarnego poruszało. Pluskwy. Zacząłem się zastanawiać, czy nie znajdę na nie jakiegoś sposobu. Położyłem się na wznak i trwałem tak chwilę odprężony (spoza belki sufitu wystawały strzępiaste, przepalone starością kawałki trzciny maty). Słuchałem

bulgotania strumyka, który był moim strumykiem, bo przepływając przez podwórze Machmuda_Aki przemykał się tuż koło drzwi mojej izdebki, potem jak czołgający się pies wślizgiwał się pod podwoje wejściowe, by utonąć w ulicznym aryku. Jest woda - myślałem rozczulony, będę mógł za progiem myć nogi i prać chusteczkę.

Po raz pierwszy od - nie wiem od czego, ale był to na pewno kawał czasu - po raz pierwszy miałem spędzić noc we własnym pokoju. W takim sześciennym pudełku, a nie w ogromnej, huczącej rojowiskiem ludzkim sali. Sam na sam ze sobą, sam w ciszy i milczeniu. Bez szefa, bez tego "drugiego", kompana do menażki, traga i koca, bez dyżurnego, pobudki, woźnego, nadzorcy, bez popychacza i poszturchiwacza. Cholerny świat, myślałem, urządzili go, psiamać, że wciąż człowiek człowieka poszturchuje. Wciąż ktoś kogoś egzaminuje. Wydają oceny, wyroki, pouczenia, każdy jest mądrzejszy od ciebie. Teraz jesteś sam! Żadnych okrzyków, dzwonek, poganiania, żadnej towarzyskiej gadaniny. Usiadłem na pryczy. Czułem w sobie ciężar milczenia. Bezśłowie rozsadzało mnie od wewnątrz. Powiedziałem głośno: "Dobrze jest... All right..." - Ale głos, który rozległ się w izdebce, był głosem obcym. Trzeba ćwiczyć. Dużo deklamować przed pustymi krzesłami. Bożek, Bożek, nic

z ciebie nie wyrosnie, w ogóle nad sobą nie pracujesz. Profesor_reżyser załamywał ręce. Powiedziałem jeszcze starając się mu dogodzić: "Jutro do roboty" - i znowu to wypadło nieszczególnie, głos mi się łamał. Dojadłem placek i popiłem wodą z menażki. A potem wyciągnąłem się na postrzępionej kołdrze, którą udało mi się tu przenieść ze szkolnej bursy. Pluskwy nie dawały zasnąć.

Dręczyły widziadła. Wiera Antonowna - kim jest ta pani? Babsko w skórzanej kurtce, które rozstrzeliwuje burżujów? Ogromna, piersista Rosjanka, pełna czułości dla wałęsających się uchodźców? Jak ta żołnierka w Stalingradzie. Czyściutko było w tym jej pokoiku, lśniło. Miała czteroletnie dziecko, dziewczynkę. Nakarmiła nas z Henrykiem, przykryła karakułowym futrem - pamiętam, było coś pieszczotliwego w miękkim chłodzie futra, które otulało moje nagie ciało. Nie domyśliliśmy się, że ta kobieta obok, tak czuła i zapobiegliwa, zasługuje na to, żeby ją zerznąć. Rozmawiała z nami długo ze swojego łóżka, podczas gdy córeczka smacznie spała. Była zbyt delikatna, żeby wyraźnie dać do zrozumienia - sami powinniśmy byli zrozumieć. Głuptasy! Ja szczeniak, można mi darować, znałem dotychczas tylko cnotliwe gimnazistki, tylko uczucia liryczne, ale Henryk, taki wyga! Albo ta żołnierka w Millerowie. Albo Wiera, u której mieszkaliśmy w stancy przez pewien czas i która podkradała u starszej siostry boczek dla mnie, siedemnastoletnia naiwna, Boże, jak ona tego chciała, a ja nie, romantyczny, uczucia, Gina, wiersze, wytrwałość, wierność.

Uśmieć się z tego. Spać.
Awansowałeś, idziesz do czarnej
roboty jako wolny najmita. Pchać
beczki. Czy dam radę? Jestem
osłabiony po malarii. Wytrzymać
tylko kilka pierwszych dni - jak
wtedy w batalionie - byle nie
wyrzucili na pysk. Przypominały
mi się wszystkie krzywdy. Nie
zasnę.

A jednak zapadłem w niepamięć,
nie wiem kiedy, i spałem twardo,
bo kiedy otworzyłem oczy, było
jasno, a w uszach rozbrzmiewał
przeciągły gwizd syren. Zerwałem
się - alarm! pobudka! do
latryny! w dwuszeregu biegiem

zbiórka! na dupę siad! równaj!
spocznij! biegiem! padnij!
kaprale i sierżanci wrzeszczeli,
koledzy poszturchiwali, junkers
nurkował wprost na mnie z
ogłuszającym wyciem. Uciszyło
się, a ja siedziałem wciąż na
pryczy przyglądając się
migotaniu słonecznych promieni
na glinianych ścianach. Jestem u
siebie i pójdę do pracy.
Wyjrzałem na podwórze i
zobaczyłem obie kozy
poszczypujące chudą trawkę.
Słońce mrugało bladym światłem
spoza pnia pierwszej topoli.
Ośmioletnia Nisso w sukience po
bose stopy sunęła z naręczem
zeschłych witek rozpalać ogień
pod saganem. Słońce obok korony
pierwszej topoli - to trzeba
sobie zapamiętać. Topole
zastapia mi zegar.

Umyłem twarz i ręce w
przepływającym obok drzwi
strumyku. Kiedy wycierałem się w
swojej izdebce, usłyszałem
pukanie. Drzwi uchyliły się i
zajrzała Lena.

- Można?

Miała na sobie treningowe
spodnie z granatowego płótna i
ciemny żakiet, którego kolor
trudny był do określenia. Pod

pachą trzymała kilka starych
książek.

- Dobrze, że cię jeszcze
złapałam - powiedziała i
położyła książki na pryczy. -
Przechowasz nam to. Obiecałeś,
pamiętasz? - Może, tak, coś jak
przez mgłę. - Ostatnio znowu nam
gwizdnęli książki - mówiła. -
Nie możemy sobie pozwolić na
takie straty, to jedyny nasz
kapitał.

Książki, pomyślałem.
Kilkadziesiąt rubli za wszyst-
kie: trzy placki. Lena
rozglądała się krytycznym okiem
po izdebce. Nie podobało jej się
u mnie i to mnie gniewało.

- Pluskwy, prawda? - odezwała
się. - Gdybyś się postarał o
trochę wapna, wybieliłabym ci

izbę.

To by się przydało,
pomyślałem. Poczęstuję ją za to
obiadem.

- Jeśli masz ochotę... -
mruknąłem.

- Czemu nie? W domu chętnie to
robiłam. - (Przypomniałem sobie:
ależ tak, spędziła dzieciństwo
na wsi). - Wolę to niż siedzenie
nad fizyką.

Izba z dochodzącym
garkotłukiem - pomyślałem. Robię
zawrotną karierę.

- Potrzebne mi będzie wiadro i
szczotka - powiedziała.

- Wszystko dostaniesz u
gospodyni. ZaprzyjajNij się z
nią, ona umie wspaniale mówić na
migi, ta aczil_apa, bardzo
sympatyczna. Biedna niewolnica.
On albo śpi, albo przebywa w
kibitce u swojej drugiej żony,
na ulicy obok. Pokażę ci, gdzie
jest dół z lasowanym wapnem.

Zaczęła rozpinać żakiet, żeby
od razu wziąć się do roboty.
Najpierw ukazała się wiśniowego
koloru koszulka gimnastyczna, a
potem szczupłe ramiona, już

śniade od opalenizny. Znów rozległ się gwizd syreny, tym razem podwójny.

- Mam jeszcze dziesięć minut - powiedziałem. - Pod pryczą jest trochę kartofli. Uzbeczka pożycz ci tłuszczu. Masz tu pieniądze na cebulę. Jednym słowem, zrób nam coś na obiad. - Kiwnęła głową. Ja, pan domu, wydawałem dyspozycje. - Jeśli długo nie będę wracał, zjedz sama, a mnie zostaw w menażce. Nie czekaj na mnie, nie ma potrzeby.

ZNowu kiwnęła głową. Kiedy wyszedłem na ulicę, wychyliła się spomiędzy wrót i krzyknęła za mną.

- Powodzenia, Bożek!

Pomachałem jej ręką, a ona w odpowiedzi uśmiechnęła się do mnie, znajdowałem się już daleko i może dlatego wydało mi się, że to nie był jej zwykły,

surowy uśmiech.

Przewiesiłem w dyżurce swój numer z jednej tablicy na druga i to oznaczało, że stawiłem się do pracy. Podszedł do mnie taki Humphrey Bogart w brezentowym niebieskim kombinezonie, powiedział, że nazywa się Lederkremer, że pracuje w oddziale esencji zapachowych, duże możliwości, ale mój oddział też niezły, spirytus, syropy, miód gronowy, nie martwię się o ciebie, chłopaku. A to jest twoja szefowa, Bergen, ta w białym fartuchu na stopniach ganku przed oddziałem, Wiera Antonowna, ma trochę cienkie nogi, ale w ogóle kobieta na chodzie, szykowna.

Była wysoka, szczupła, poruszała się szybko, z energią. Miała drobną twarz o rysach wyostrzonych, nozdrza podłużne, ruchliwe, rozdymały się nerwowo.

Trzydzieści lat, pomyślałem,
choć kto się dzisiaj rozezna.
Przyjrzałem się jej wąskim
ustom: wargi pokryte były
szminką o intensywnej czerwieni.
Oczy ciemnoniebieskie, prawie
fioletowe, lśniły nienaturalnie,
jak w gorączce.

Na mój ukłon odpowiedziała
sztywnym skinieniem głowy.

- Nowy? Dobrze. Chodźcie za
mną, Bergen.

Zaprowadziła mnie do dużego
pokoju, który był chyba jej
laboratorium, sądząc ze
znajdujących się tam
instrumentów. Babskie królestwo,
pomyślałem, kiedy przedstawiła
mnie dojrzałej blondynie w
białym fartuchu. Niura
Kukuruzewa, usłyszałem,
mruknałem, kim jestem ja,
blondyna uśmiechnęła się do mnie
przyjaźnie i od kącików jej
powiek rozbiegły się
promieniście wesołe zmarszczki.
Wiera Antonowna odezwała się:

- Bogdan, tak, a ile macie
lat? - zanim odpowiedziałem, ona

zamachała niecierpliwie rękami.

- Nieważne! Choćbyś był moim
dziadkiem i tak ci będę mówić
ty. Wszystkim tu mówię ty.

- Będzie mi bardzo miło -
odpowiedziałem kłaniając się.

- Słyszysz, Niura? - zwróciła
się kierowniczką do blondyny. -
Elegant się znalazł!

- Polak, wiadomo. - Niura nie
wydawała się zaskoczona. - Nie
to co nasz szorstki lud. Oni tam
w Polsce damy po rączkach
całują, cudaki, śmieszne, Wiero
Antonowno, ale, co byś nie
powiedziała - kultura. Może mu
dać wypić, naszemu Polakowi, jak
myślisz?

Kierowniczką zmarszczyła brwi:
wydawało się, że blondynka
powiedziała coś wyjątkowo
niestosownego. Te cieniutkie

nozdrza - jak one się jej teraz rozděły!

- Napić! Rozum straciłaś? Tu się nie pije. - To już było skierowane do mnie. - Zapamiętaj sobie, młody człowieku! Urzniesz się, wylecisz z pracy. Pokaż no ręce! - rozkazała nagle. - Wyciągnij je do przodu.

Wyrzuciłem w przód obie ręce ruchem takim, jakbym podawał piłkę koszykową. I podczas kiedy Wiera Antonowna dotykała koniuszków moich palców, błyskawica rozdarła ciemną kurtynę i zobaczyłem ulicę Leszno, boisko usłane jesiennymi liśćmi, niebieską sukienkę Giny, usłyszałem jej głos "podaj", usłyszałem ją nucącą w chórze dziewcząt melodię Irvinga Berlina, a potem znowu błyskawica i zobaczyłem ją wtłoczoną w szare, kamienne getto, słońce zachodziło na Woli, dorożka podskakiwała po kocich łbach, wszystko naraz zobaczyłem, ulatywałem na wyciągniętych w przód rękach ku Warszawie, ku zieleni i waniliowemu ciepłu, a Wiera Antonowna dotykała moich palców i mówiła:

- Niura, popatrz! Podziwiaj, kobieto. On ma obie ręce całe. Ma parę zdrowych męskich łap. Opuść ręce!... - Opuściłem. Mam parę zdrowych męskich łap, pomyślałem ze zdziwieniem. Wciąż jeszcze. Wymigałem się od protezy całkiem niechcący. To ja sam byłem piłką koszykową, która od kilku lat przerzucali sobie dyktatorzy i premierzy, generałowie i sierżanci, bawiono się mną, ale ręce zostały całe. - A nogi! - usłyszałem wysoki głos kierowniczkii. - Spójrz, Niura, na jego nogi!

Rzeczywiście, są i nogi, dziwiłem się przyglądając się

swoim angielskim trzewikom.
Powinny podziwiać raczej to, że mam buty: stałem boso w tłumie nędzarzy, buty leżały na kupie, dla mnie nie było, ale kapral zauważył moją nędzę i ulitował się. Poczułem mrówki w plecach, zupełnie jakbym za chwilę znowu miał zostać bosy. Niura Kukuruzewa powiedziała bez entuzjazmu:

- Nu, nogi. Jak nogi. Do samej ziemi.

- Właśnie, Niura, właśnie to! Głuchy nie jesteś?

- Jak dotąd - nie.

Powiedziała wtedy Wiera Antonowna, że u nich Nisupin jest głuchawy. Gdyby nie to, byłby z niego dobry robotnik, bo pracowity i silny jak tur. I mamrocze coś z mordwińska, że trudno go zrozumieć. A drugi, Biezzubow, ma ponad pięćdziesiątkę, zadyszkę i jedno oko zasze bielmem. Mam sobie zapamiętać, że on do beczki staje zawsze z prawej strony. Moje oczy były w porządku, stwierdziła Wiera Antonowna.

- Skąd wytrzasnąłeś ten płaszcz? - spytała znienacka.

Nie powiedziałem: kapral się ulitował. Rozłożyłem tylko ręce.

- Z wojska? - dopytywała się ona.

- Z wojska.

- Piękny płaszcz. Jakie sukno! A jak skrojony! Popatrz, Niura, złocone guziki. Sprzedaj mi go, Bergen, co? Twoja naczelniczka cię prosi. Dobrze zapłacę.

W gardle mi zaschło. Ta wariatka gotowa zabrać mi płaszcz! Skłamałem naprędce:

- Nie wolno nam nic sprzedawać. Jesteśmy w rezerwie. W razie powołania musimy się stawić z otrzymanym wyposażeniem.

Uwierzyła, albo uznała, że

należy uwierzyć. Znowu przybrała wyniosłą minę naczelnika, "dosyć pogaduszek, do roboty" - rozkazała porywiście i kazała mi iść za sobą. Szła z zadartą głową, a ja krocząc za nią przyglądałem się jej szczupłym zgrabnym łydkom, którymi przebierała szybko i niecierpliwie i nie wiem dlaczego, wydało mi się to sztuczne, ten jej pośpiech i władcza energia, i przez to z lekka komiczne.

Chłodno, cieniście było w obszernej hali, do której mnie zaprowadziła, w powietrzu unosił się cierpko_słodki zapach przypalonego cukru. Zobaczyłem dwa aparaty rektyfikacyjne, szeregi pustych beczek na drewnianych szynach, kilka pomp ssąco_tłoczących, dwie prasy do wyciskania soku gronowego. Odgadłem od razu, który to jest Nisupin, kiedy przytknął dłoń do ucha, a ten drugi, Biezzubow, prześwidrował mnie lewym okiem. Pokazano mi brygadzystę: czterdziestoletni, wysoki, dobrze odżywiony Tadżyk z hollywoodzkim wąsikiem. Zapytał mnie: "Nowy, szafka chcesz?" Chciałem. "Bierz siódemka - poradził brygadzysta. - Siódemka wolny. Dobry numer - dobre szczęście".

Zadziwiająco serdeczny - myślałem odwieszając płaszcz do szafki. Dobrze im się tu żyje, wśród tego zapachu przypalonego

cukru, są wypasieni i życzliwi. Nisupin zwałisty, ramiona jak u zapaśnika, a i Biezzubowowi siły nie brak, tyle, że w tym jednym jego oczku iskrzy się chłopska przebiegłość, mruga nim nieufnie. Zamknąłem szafkę na klucz. Jednooki zbliżył się i zapytał:

- Inwalida?

Widziałem, jak przygląda mi się podejrzliwie bladoniebieskim okiem.

- Ręce i nogi całe, po kontroli - odparłem.

- A dlaczego nie na froncie? - spytał.

- Polak - powiedziałem po prostu i poczułem się inwalidą, podwójnie, potrójnie, bo także niepełnowartościowym w swojej niedopolskiej polskości. Wydało mi się, że dla Biezzubowa moje wyjaśnienie było wystarczające.

- A moi chłopcy na froncie - powiedział. Mówił chyba po to, żeby mnie upokorzyć. Niby taki prymitywny, a przecież odgadywał dużo. - Młodszy czołgiem zasuwa, tak, a starszy nie taki głupi, dygnitarz, do sztabu się wspiał, na pułkownika awansował. - Prześwidrował mnie domyślnie zdrowym okiem: - Zazdrościsz?

- Można pozazdrościć - przyznałem i jemu to sprawiło przyjemność, a ja poczułem ulgę.

- Spiskujecie? - zawołała ostro Wiera Antonowna. - Młody człowiek gotów? To proszę całą klasę robotniczą za mną, do piwnicy, wytaczać beczki.

Tu będziemy się obławiać, pomyślałem, kiedy znalazłem się w półmroku pachnącym pleśnią i starym winem. Rozglądałem się dokoła, starając się zgadnąć, gdzie ukrywa się tajemnica tego miejsca.

Wiera Antonowna podeszła do stojącej sztorcem beczki i uniosła pokrywę. Zanurzwszy rękę wydobyla grudkę sprasowanych rodzynek. Żując komenderowała:

- Dalej, dziatki, weźcie się do beczek! Niech chłopak zobaczy, jak się u nas pracuje.

Pokazywała, które beczki należy wytoczyć na dziedziniec. Ta! Nie ta, fujaro, tamta!

Przygadywała: Ach, mężczyźNi,
mężczyźNi. Poganiała: szybciej -
śpicie czy co? Do mnie mówiła: A
ty co? Do kobiet, elegancie, toś
pewno zręczniejszy. A mnie fala
krwi napływała na policzki.

Wytrwać i doczekać się
świętego misterium, myślałem.
Dać radę beczkom, to teraz
najważniejsze. Powoli
przyzwyczaiłem się do ich
wzdętych brzuchów. Są uległe,
tylko trzeba się do nich
sprytnie brać. Brzuch stawia
opór, ciągnie beczkę w dół,
kiedy ją chcesz przetoczyć po
kancie, ale też można się tym
brzuszykiem posłużyć, beczka
wcale nie jest nieruchawym
grubasem, przy całej swojej
otyłości ma zamiłowania
akrobatyczne, byle tylko
odnaleźć środek ciężkości. Jakoś
to idzie. Wszystko jest łatwe
dla zdolnego aktora, myślałem,
przypomnij sobie, że kiedyś nim
byłeś, to jest tylko rola,
powiedzmy, że nie jesteś dzisiaj
rozgrymaszonym księciem duńskim,
wyjątkowo nie, dzisiaj jesteś
mistrzem toczenia beczek. Zrób
to, wystarczy się wcielić.
Brakło sił, jeszcze niedawno te
ataki malarii, chinina w
opakowaniu z kawałków
"Izwestii", dygotałeś okryty
kołdrą, płaszczem i jeszcze
kołdrą Leny, którą narzucała na
ciebie wychodząc do szkoły, dwa
tygodnie malarii wytrzęsło siły,
a dzisiaj jesteś do tego na
czczo. W ramionach rwało, to na
ich wiazadła spadał największy
ciężar. Wiera Antonowna jednak
pochwaliła:

- Ty, Bergen, uwijasz się koło
beczki, jak koło panny.

Zaraz wróciła do swojego
ironicznego tonu:

- Nie wierć tak kuprem.
Myślisz, że to tango?

Wytrwać. Poszliśmy z Nisupinem po nowy ładunek beczek w głąb piwnicy. Kiedy mijaliśmy tę z rodzynekami, Nisupin wyrzucił spod szerokich rękawów bluzy, rękę, błyskawicznie niby jaszczurka jęzor, i po chwili już zaciskał w garści spora grudkę. Wśliznęła się do obszernych kieszeni bluzy. (Ach, to on tak specjalnie ubrany, w tym właśnie celu, wszystko obmyślane - zrozumiałem). Następnym razem, ja, obiecałem sobie. W powrotnej drodze.

Wytoczyliśmy z gromady beczek ogromną, sięgającą mi po pierś. Zaraz miniemy rodzynek. Kierowniczką nie patrzy, zapisuje coś w notesiku. Szykuj się. Mieć kaftan z szerokimi kieszeniami. Uwaga, blisko. Teraz! Notatnik klapnął. Wiera Antonowna uniosła głowę. Odetchnąłem głęboko, rozczapierzyłem zmęczone dłonie na beczce. W sercu boleśnie tłukło. Wstęp wzbroniony, pomyślałem, trzeba przejść przez nowicjat.

- Pchaj, pchaj - warknął Nisupin. - Ja za ciebie pchać nie będę.

Podtoczyliśmy beczkę do schodów. Z góry wpadał do piwnicy strumień białego światła. Staliśmy przyglądając się apatycznie drobinom kurzu tańczącym w jasności nad schodami. Usłyszałem głos kierowniczkki:

- Czego filozofujecie?

Nisupin głośno sapał:

- Daj zaczerpnąć tchu, Wiero Antonowno.

Ona zaatakowała:

- Ładny z ciebie mężczyzna, Nisupin. Baba - nie mężczyzna.

Mordwin odpowiedział flegmatycznie:

- Ty, Wiero Antonowno, wciąż jedno i to samo: mężczyzna i mężczyzna. Mężczyzna to co, nie

musi odpocząć?

- Nie musi! - upierała się. - Popatrz, nasz nowy, Bergen, ten jest niestrudzony. Bierzcie przykład.

Oddychałem ciężko. Wrabia mnie, pomyślałem, będą mnie nienawidzić. Czułem pustkę w brzuchu i bolesne rwanie w ramionach. Wrabia mnie, ścierwo wściekłe. Słuchałem, jak Biezzubow oponował:

- I co, że niestrudzony? On młody, jeszcze niestarty, nie dziwota. Takiemu miejsce nie tu, a tam gdzie ołowiany deszcz leje. (Przyczepił się, psiakrew!) Weź moich dwóch - mówił jednooki ze wzrastającą satysfakcją. - Byliby tu z nami, toby twoje niewieście wymagania potrafili zaspokoić. - Mrugnął bladoniebieskim okiem w stronę Nisupina. - A od nas czego żądać, Wiero Antonowno, my czwarty gatunek, nam by tylko dobrze zjeść i na piecu poleżeć.

Prychnęła z pogardą:

- MężczyźNi! Same odpady. Mój mąż, krasnodarski partyzant, Niemcy za jego głowę cenę wyznaczyli. Tak! A wy przy głupiej beczce sapiecie.

Odwróciła się i drobnym kroczeniem przebiegła w górę po schodach do wyjścia. Biezzubow krzyknął za nią: - Przecież powiadam! Dwóch mam... - Ale widząc, że kierowniczką znikła, przyskoczył wraz z Nisupinem do beczki z rodzynkami. UPychali pośpiesznie szerokie kieszenie, podczas gdy Biezzubow przygadywał:

- Dwóch ich u mnie, powiadam... co za baba, każdego chłopca zniszczy... Spokojniej mu tam w krasnodarskiej partyzantce niż z nią w jednej chałupie... jedna wielka eksploatacja męskiej klasy pracującej...

Przyglądałem się ich pospiesznej działalności, jakbym zapomniał, po co tu jestem. Myślałem przez chwilę o mężu

Wiery Antonowny. Kaftan z szerokimi kieszeniami, musisz się o to postarać. Ile już tego naładowali! Naprzód, twoja kolej. Powlokłem się w stronę beczki, wyciągnąłem rękę.

- Koniec przerwy!

To była ona. Stała na progu piwnicy, światło tańczyło na jej prawym policzku: jego bladość ożywiona była przez leciutki rumieniec. Zaraz krzyknie: precz z pracy! Stoję, czekam.

Krzyknie: ja was pod sąd - pod ścianę - dziesięć lat lagru! Siwieję w baraku. Kawałkiem cienkiej blachy przecinam sobie żyły. Wystawię wszystkich do wiatru, psia ich. Gorąco. Otworzyłem ściśniętą dłoń: była pusta. Nie, nie widziała, pomyślałem, na szczęście nie zdażyłem nic wziąć.

- Weźmy się do beczek - wychrypiałem. To była tylko sypka - myślałem, nic więcej, sypka, zdarza się. Wygrzebałem to słowo z tajemnego skarbca pamięci, z najgłębszych piwnicznych pokładów. A jednak musiało kiedyś być jakieś inne wcielenie, tymczasowe, po którym odzyskałem swoją prawdziwą osobowość, to kim jestem teraz, to do czego byłem przeznaczony, osobowość nędzarza polującego na grudkę rodzynek.

Po pracy Wiera Antonowna powiedziała mi, że jestem trochę za chudy. To było w tym laboratorium, w którym analizowała surowiec na zawartość cukru i obliczała przypuszczalną ilość alkoholu. Blondyna naładowała koszyk drewnianymi szczapami, zarzuciła na nie brudny sweter i chichocząc spłynęła. Byliśmy we dwoje: ona - osoba w sam raz, z tymi lśniącymi gorączką oczyma, i ja - ktoś za chudy.

Wytłumaczyłem jej, że jestem po malarii.

- Na schodach o mało cię beczka nie przygniotła -

przypomniała.

Znowu zrobiło mi się gorąco: pamiętam, odjęli nagle dłonie od beczki, jednooki i przygłuchy, obaj naraz, i znalazłem się z nią sam na sam, spychała mnie w dół gniotąc klatkę piersiową. Wytrzymałem, skłamałem ich i łaskawie podparli beczkę.

- Nie zrobili chyba tego specjalnie? - zastanawiałem się.

- Może chcieli cię wypróbować?

- Nie robi się takich rzeczy.

- Byłem zmęczony, nie chciało mi się dawać upustu złości. -

Między robotnikami - nie powinno się... Czteryście trzysta kilo netto.

- Jednak wytrzymałeś - powiedziała patrząc na mnie z uśmiechem.

- Chodziło o życie.

- ZUch. Zuch chłopak - chwaliła. Łączyła teraz uznanie z krytycznym spojrzeniem. - Ale przytyć trzeba.

- Mam nadzieję, że mi się tutaj uda.

Nędzny spryciarzu, pomyślałem, wykombinuj coś lepszego.

- Nie rób sobie za dużo nadziei - obcięła mnie. - Bierzesz się do beczek jak do panien.

Jakoś opanowałem pełne rezygnacji westchnienie.

Spytałem:

- Czy mogłaby mnie pani poczęstować rodzynekami?

- Rodzynekami! - Było widoczne, że ją oburzyłem. - Co ty sobie myślisz? Że ja rozrzucam na prawo i lewo państwowe rodzynki? Jesteś bezczelny, młody człowieku.

Przypomniałem sobie, że wyjadała je wprost z beczki. No

tak, jej wolno, to ktoś lepszy,
bądź pewny, że ona jest o tym
przekonana. Sprawić sobie kaftan
z kieszeniami, pomyślałem. Ona
spytała zniżając głos:

- Przyznaj się: ileś ściągnął?
- Nic. (Powiedz: nie zdążyłem,
nie udało się).

- Naprawdę? Zaraz się
przekonamy.

Podeszła do mnie tak blisko,
że poczułem zapach perfum i
tylko ten. Obmacała mi kieszenie
od spodni, zacisnęła kościste
palce na moich udach.

- Zgadza się - powiedziała
odrywając dłonie. - Nie wziąłeś
nic.

Przez chwilę stała
wprostowana, z wysuniętą małą
główką, świszcząc oddechem.
Gruźlica, pomyślałem
przyglądając się jej oczom,
wokół fioletowych tęczywek
lśniły białka pulsujące nitkami
czerwieni. Odwróciła się
raptownie i podeszła do szafki.
Rzuciła mi stamtąd grudkę
rodzyneków.

- Masz!... MOże z ciebie
będzie pociecha.

Nagle zawołała, jakby ją coś
rozwścieczyło:

- Zmykaj już! Zmykaj wreszcie!

Wracałem do domu z grudą
rodzyneków w kieszeni. Strażnicy
w dyżurce spojrzeli po sobie,
kiedy przechodziłem, jedenonogi
młody Tadżyk wyciągnął w moją
stronę rękę, żeby mnie obmacać,
ale jego koleżanka, barczysta
baba w fufajce, z szerokim
brezentowym pasem strażackim,
upomniała go:

- Zostaw, on od Wiery
Antonowny.

Należałem już do
uprzywilejowanych. Dobrą mam
robotę. Czułem znużenie w całym
ciele. A jednak dobra robota.
Wlokłem się powoli do kibitki.

Gliniasta ulica wysychała po roztopach. Wkrótce zapadnie zmierzch. Trzeba postarać się o butelkę z knotem i trochę nafty, pomyślałem. Lena zostawiła obiad. Zjem go i zwałę się na pryczę. Jak kłoda. Nie ma mnie dla żywych - do porannego gwizdka.

Pchnąłem drzwi kibitki i usłyszałem najpierw furkot, jak gdyby duży ptak zrywał się do

lotu, a potem coś stuknęło o podłogę. Stała przede mną wystraszona Lena.

- Jesteś nareszcie - powiedziała.

Schyliłem się i podniosłem z podłogi książkę. Tom encyklopedii rosyjskiej z końca XIX wieku, dodatek do "Niwy", litera "M". Jęknąłem prostując się, "starość, kości łamie" - i wtedy zobaczyłem moją izdebkę. Ściany były białe, pachniały nie obeschłym jeszcze wapnem. Polepa lśniła wilgocia. Prycza przemyta, deski odzyskały różowość. Mój lniany ręcznik, który odchodząc rzuciłem na pryczę, wisiał na gwoździu. Drewniana półka pokryta była zabłąkanym numerem "Taszkienckiej Prawdy". Obok torebki z proszkiem do zębów stała na półce puszka po amerykańskich konserwach z wetkniętymi w nią baziarni.

- Czary - powiedziałem siadając na pryczy. - Odmieniłaś kibitkę.

Lena oparła się leniwym ruchem o framugę drzwi. Dłonią podtrzymała opadające na ramiona włosy. Oglądałem ją ze zdziwieniem od stóp do głów, możliwe, że naprawdę widziałem ją po raz pierwszy. Jak gdyby pozowała do zdjęcia, pomyślałem zatrzymawszy wzrok na wypukłości lekko wypiętego biodra. Łagodny

owal kobiecego biodra. Pozuje.
Kokietuje mnie - ale czy ma
świadomość, że jest w tej
postawie zalotność? Dziewczyny
robią tyle rzeczy intuicyjnie.
Te obcisłe bryczesy,
rozleniwienie w przechyleniu
ciężaru ciała na jedną nogę,
jedno biodro. Wyzwanie: widzisz,
mam inne biodro niż ty,
zbieraliśmy buraki cukrowe
razem, ale przyjrzyj się, jestem
kobietą. Spytałem:

- Jadłaś?
- Nie - odpowiedziała z
uśmiechem.

Zdziwiłem się.

- Czekalaś na mnie?
- No pewnie. Jak sobie
wyobrażasz? U nas w domu zawsze
czekano z kolacją na ojca. -
Wciąż opierała się o framugę
drzwi i podpierała głowę dłonią.
- Zawsze chciałam wiedzieć, jak
się czuje kobieta czekająca na
powrót męża z pracy. Teraz chyba
już wiem.

Powiedziała to i znowu się
uśmiechnęła. Zdumiały mnie nie
jej słowa, ale to, że ten
uśmiech był miękki i łagodny.
Powiedziałem, żeby cokolwiek
powiedzieć:

- To teraz już wiesz.
- Wiem. I bardzo mi ich żal.
Przeżywają pewnie dużo strachu.
Osunałem się na pryczę.

Spytałem domyślnie:

- Zmęczyłaś się?
- Trochę.
- Ja też. Ramiona mnie boją.
- Zaraz dostaniesz jeść.

Aczil_apa jest morowa,
plotkowałyśmy sobie na migi. A
ta mała pilnowała ognia. Dała mi
sagan i kundzutny olej, żebym
mogła usmażyć kartofle. Powinny
być jeszcze gorące...

- Konam z głodu.
- Przyjemność dla kucharki. Ja
zresztą też.

Długo nie wracała.
Zaniepokoiłem się. Może trzeba jej w czymś pomóc? Wszedłem na podwórze i zobaczyłem poprzez mrok, że Lena siedzi na ziemi ze zwieszoną głową. Zawołałem ją, ale nie odezwała się. Siedziała chmurna, zawzięta, surowa. Jak dawniej. Czy ją czymś obraziłem? A jednak, pomyślałem, czy ma inne, coś się w nich zmieniło, może to wiosna, pęcznienie drzew, bazy, parująca ziemia - zmieniło się i nie ma na to rady: miała śliczne, z lekka skośne oczy, takie jak ta uśmiechnięta Japonka na zdjęciu, które mi pokazała.

- Potknęłam się - wykrztusiła.
Teraz dostrzegłem w ciemności

wywrócony sagan, a obok utyłane w glinie kartofle. Ślina napłynęła mi do ust - kretynka, zmarnować takie wspaniałe żarcie - ale opanuj się, stało się, trudno. Siedzi i czeka z rezygnacją na mój wybuch. Milczę.

Podeszła mała Nisso i zaczęła spokojnie zbierać z ziemi kartofle na tackę. Oczyszczają je sobie i zjedzą. My z naszej zafajdanej Europy!... Podałem Lenie rękę.

- Wstań, przeziębisz się.

Chciałem być swobodny, beztroski, ale przygnębienia nie udało się ukryć. Poszła do kubitki z pochyloną głową. Odzyskała trochę humor, kiedy jeszcze raz przyjrzała się swojej pracy. Mimo to westchnęła nade mną.

- Biedny jesteś, Bożek.
Przydałoby ci się trochę światła.

- Skombinuję sobie. Jesteś głodna?

- Już nie.

Wyjąłem z kieszeni grudkę rodzyneków.

- Popatrz, co mam. Podjemy sobie.

Tym razem wyszło zupełnie ciepło. Wzięła podaną sobie grudkę i wgrzyła się w nią łapczywie.

- To warte jest menażek Zygmunta - powiedziała z uśmiechem. - Czuję się, jakbym jadła irysy Stollwerka we Lwowie. Odprowadzisz mnie? - spytała oblizując palce.

- Kawalek.

Na ulicy wziąłem ją pod rękę i rozczuliło mnie to, że była taka szczupła i wiotka. Słaba, niedożywiona dziewczyna, a przecież z bieleniem kibitki gracko się uwinęła. Podeszliśmy do staromiejskiego rynku, gdzie pośród ruin meczetu i jednopiętrowych, chylących się płaskich domków, jarzyły się żarówki nad namiotami wędrownego

cyrku. Dwie prostytutki spacerowały w tłumie uzbeckich chłopaków trzymając się za ręce i chichocząc. Żarówki, pomyślało mi się, światło - jest głodno, ale nie ma zaciemnienia - tutaj meserszmit nie doleci. Nie podzieliłem się tą refleksją z Leną, bo nie chciałem być banalny. Powiedziałem za to:

- Natałka na pewno ci zostawi trochę chleba.

- Właśnie, że nie. Kazałam jej zjeść moją porcję. Przecież liczyłam na to, że czymś mnie poczęstujesz. - Uśmiechnęła się porozumiewawczo. Potem westchnęła: - Boże, a teraz opowiadać o tym wszystkim Natce, wysłuchiwać uwag dziewcząt, wszystko jak co wieczór - chleb i fizyka, metodyka nauczania, darwinizm, konstytucja, i znowu chleb.

- Nie chce ci się wracać do bursy?

- Możesz się domyślić.

Chce się przespać ze mną -
zrozumiałem. Przyglądałem się
jej, serce mi trochę waliło,
trzeba to jakoś ułatwić, nie
wiem jak. MOja pierwsza
dziewczyna. Nie jest najgorsza
na taką okazję. Owal jej biodra,
kiedy się oparła o framugę
drzwi... Odetchnąłem głęboko.

- To chodź do mnie -
powiedziałem możliwie obojętnie.

- Co ty?

- Chodź - namawiałem. -
Prześpisz się ze mną. Zła
propozycja?

Przyłożyła palec do skroni,
jakby się właśnie nad tym
zastanawiała.

- Zła - orzekła. - Twardo i
pluskwy.

- Nie dasz się namówić? -
nalegałem.

- Musiałbyś zmienić pokój. -
Zdumiewała mnie zuchwałość jej
słów. A ja starałem się być tak
ostrożny! Musiała z niejednego
pieca chleb jeść. Pomyślałby
ktoś: niewiniatko, ucieleśnienie

dziewiczości. Rozważa to
wszystko rzeczowo, jak sprawę
bez szczególnego znaczenia. -
Wracaj do swojej kibitki, Bożek
- mówiła. - Trafie do domu sama.

Uśmiechnęła się do mnie na
pożegnanie i przeskoczyła przez
aryk. Po chwili zniknęła w
morczyńskim zaułku.

3

Minęło kilka dni, zanim znowu
się pojawiła. Pewnego wieczora
zastałem ją w swojej izdebce
obok sterty książek.

- Przepraszam cię, Bożek -
usprawiedliwiała się - ale gdzie
ja mam się z tym podziać?

Miała na sobie białą, świeżo
odprasowaną bluzkę. Jej
ciemnobrązowe włosy, zwykle
rozpuszczone, były starannie

uczesane, na czole z grzywką, a na kark opadały lokami.

Zauważyłem też, że miała przyczesane brwi. Gdzie ja coś takiego ostatni raz widziałem? Jakaś dziewczyna na plaży w Świdrze. W innej epoce.

Leżeliśmy na piasku, nad nami sunął srebrny samolot i ja chciałem, żeby była wojna.

- Ładnie się uczesałaś - odezwałem się i poczułem się niezręcznie.

Spytała:

- Czy nie masz igły z nitką? Muszę sobie zaszyć sandałek.

Usiadła na pryczy i zdjęła sandałek. Założywszy nogę na nogę, oglądała go zatroskana. Przypominała znowu tę oschłą, nieugiętą Lenę ze wspólnej sypialni w bursie. Naraz rysy jej twarzy zmiękły: - Ach, czort z nimi - mruknęła. Niezręcznie usiłowała założyć zdeformowany sandałek. Przyłgnałem spojrzeniem do jej stopy. Nie potrafiłem sobie uświadomić, co mnie tak wzruszało: porwany sandałek, bezradność dziewczyny, czy też to, że miała przybrudzoną piętę.

- Przyglądasz się moim palcom?
- zapytała spojrzawszy na mnie zakłopotana. - To u nas rodzinne.

Teraz zauważyłem, że dwa środkowe palce u jej nóg były zrosnięte płetwą. Ukląkłem, żeby się lepiej przyjrzeć. Ogarnęło mnie roztkliwienie, chciałem schować w dłoniach tę słabą, śmiesznie przybrudzoną stopę. Było w tym zbliżeniu coś nieprzyzwoitego, palce z błoną dziewiczą, skojarzyło mi się nagle, dotknąłem "płetwy" i poczułem wzrastające pożądanie.

- Chcesz się czegoś napić? - zapytałem wciąż jeszcze klęcząc.

- A masz? - ożywiła się.

Wyciągnąłem z kieszeni
płaszczka butelkę z xerese*m* i
nalałem trochę do kubka.

- Lepiej sprzedać - zauważyła.

- Pierwsze koty za płoty - na
to ja. Zrobiłem wielkopański
gest. - Trzeba oblać.

- No to za twoje - powiedziała
z uśmiechem widząc, że
przytknąłem szyjkę butelki do
warg.

- Za nasze.

- Tylko uważaj, Bożek, nie daj
się w to wciągnąć.

- Bądź spokojna. M*N*ie się
nałogi nie czepiają.

Wypiliśmy. Ona zrobiła to
chc*w*ie i wtedy zrozumiałem:
kalorie! Podałem jej rodzynki.

- Zagryź.

- Nie chcę cię objadać.

- Zagryź, ten xeres jest dosyć
mocny.

- Chyba tak, gorąco mi się
zrobiło - powiedziała kładąc
dłoń na brzuchu. - Przyjemnie -
dodała.

Odprowadzałem ją do bursy
trzymając za rękę, bo kręciło
się jej trochę w głowie.
Kilkakrotnie przystawała, żeby
poprawić zsuwający się sandalek.
To ją zniechęciło do spaceru.

- Pójdę sama. Sprawiam ci
tylko kłopot.

Przypomniałem sobie coś.

- Zarobiłem dziś trochę grosza
- powiedziałem. - Całkiem
legalnie, słowo daję.

Przyjechali do nas z jakiejś
wielkiej instytucji po wino i
Wiera Antonowna przekonała ich,
że trzeba oddzielnie zapłacić za
ładowanie. - Wyciągnąłem kilka
papierków z kieszeni. - Nie
wierzysz? Popatrz. Widziałem w
naszym fabrycznym sklepie białe
buciki ze świńskiej skóry.
Wyglądają całkiem miło. Mógłbym
ci je zafundować, są niedrogie.

- Ani się waż!

- Poczekaj, nie krzycz! MOgę ci na nie pożyczyć. Zwrócisz mi.

Te białe trzewiki wyglądały rzeczywiście niebrzydko, ale mocne raczej nie były. Lena sznurowała je z widocznym zażenowaniem. Sprzedawca Uzbek przyglądał się łakomie jej opalonej łydce. W drugim kącie sklepu Fienia szoferka i strażniczka Masza szeptały sobie coś na ucho. Biorą nas za kochanków, pomyślałem, i czułem, że mnie to cieszy. Lena była zarumieniona, kiedy skończyła sznurowanie. Pociągnęła mnie za rękę.

- Chodźmy już, Bożek, fatalnie się tu czuję. - Na ulicy nastąpiło wyjaśnienie: - Bóg wie, za kogo nas biorą.

Jutro pójda plotki po całej fabryce. Widziano nas już raz ze sobą, Niura rozpowiada to chichocząc, a przede wszystkim ten brygadzysta Tadżyk, on nas pierwszy zauważył.

Znowu szliśmy ulicą Pendżikient wśród lepianek i straganów, minęliśmy rozjarzoną budę cyrku, przed którym spacerowały znajome prostytutki, i weszliśmy w otuloną w ciemności ulicę Kosz_Chauz. Ale już się rozjaśniało, bo brzeżek księżycy wyłaził spoza piętnastowiecznych murów Registanu i muskał srebrem dachy lepianek.

- Możliwe, że wkrótce będę

zamożny - opowiadałem. - Nasza kierowniczka ma na mnie chrapkę. Lederkremer mi zazdrości i liczy, że o swoich nie zapomnę. Ona, powiada, nasypie ci pełną kieszeń pieniędzy. Co ty na to?

- Korzystaj z okazji. - Zabrzmiało to beznamiętnie.

- Nie myśl, że ona jest odstręczająca - broniłem się. - Przeciwnie, ma dużo powabu.

- Tym lepiej. I lubi zielone jabłka.

- A ty takich nie lubisz, pomyślałem, tobie potrzebny jest doświadczony amant.

- Kobieta jak kobieta - usiłowałem jej wtłoczyć w głowę. Powinienem jej być powiedzieć, że chciałbym mieć na noc kobietę, po prostu to, ale nie śmiałem. - To, że ona mi stworzy dodatkowe możliwości - mówiłem - no cóż, dla ciebie i Naty to nawet lepiej.

- Dla mnie i dla Naty? - Nie od razu zrozumiała. - Ach, Bóg zapłać za dobre serce. Nie sto rubli, a stu przyjaciół, jak mówią Rosjanie.

- Nie myśl, że ja o tobie nie pamiętam. - Zacząłem z innej beczki. - Myśli się i o tobie. Muszę ci coś powiedzieć. Nasz brygadzysta, bogaty Tadżyk, on cię ze mną widział, jest zachwycony... Setki komplementów...

- Jesteś miły, Bożek.

- Prosił, żeby cię spytać, czy nie zechciałabyś... No, on chce żebyś z nim żyła...

Przystanęła, jakby wrosła w ziemię. Ja dalej mówiłem:

- Obiecał, że wynajmie ci kibitkę, dla ciebie i dla siostry. Da ci dwa tysiące rubli miesięcznie i ubierze od stóp do głów. - Parodiowałem brygadzystę: - Wino dajemy, pilaw dajemy, kisz_misz, baran pieczony i piękny_piękny sarafan. Będzie cię odwiedzał co trzecią noc.

- Tak rzadko?

- On już ma dwie żony i musi je także odwiedzać.

- Rozumiem. - Chwilę wydawało się, że rozważa wszystkie za i przeciw tej propozycji. Potem odezwała się: - Bożek, czy ty wiesz, co to jest moralność?

- Nie - odpowiedziałem ze złością.

Westchnęła:

- A wstręt fizyczny?

- Tak, to już raczej to. Ale możesz przymknąć oczy i zaciąć usta.

- Po co?

- Żeby nie chodzić bez butów - mówiłem gniewnie. - Żeby mieć dach nad głową i dwa tysiące rubli. O żadnej innej moralności nie słyszałem.

Lena przyklękła na jedno kolano i zaczęła majstrować przy trzewikach.

- Bożek - poskarżyła się - chyba się te buty rozwalają.

Usiedliśmy na przyzbie pod pochylonym uzbeckim domem. Księżyc wypełził na niebo już cały i posrebrzał spochmurniała twarz Leny. Zapytała:

- Bożek, czy pamiętasz od czego zaczęła się nasza znajomość?

- Chyba tak. Gotowałyście na podwórzu pszenicę, a my z Zygmuntem przyglądaliśmy się. Wtedy ty zaproponowałaś, że pożyczysz nam trochę, żebyśmy i my mogli sobie ugotować.

- Nie, to było późNiej, kiedy już nie miałam warkoczy. Ale wtedy kiedy jeszcze miałam warkocze, pamiętasz, jak było? Szliśmy do kołchozu całą gromada. Przed jakąś czaj_chaną sprzedawano arbuzy, a myśmy były bez grosza. Pić się chciało, pamiętasz, upał był, wyście sobie kupili arbuza i wtedy ja do ciebie podeszłam i zapytałam, czy nie pożyczysz mi dwudziestu rubli.

- A ja odmówiłem.

- Tak, odmówiłeś. Podeszłam do ciebie, a nie do Zygmunta, boś

mi się wydał bardziej ludzki.

- Ale ci odmówiłem. I pomyślałaś sobie, że jestem

kawał drania.

- Nie tak, Bożek. Pomyślałam sobie, żeś postanowił być kawał drania. Że masz po temu swoje powody, ale nie wiem, czy ci się to uda.

- Mam nadzieję, że mi się uda. Nie wiem, czy pamiętasz, że zaraz potem odbyliśmy z Zygmuntem małą naradę i Zygmunt zaproponował ci w naszym imieniu pożyczkę.

- Ale ja już nie chciałam nic wziąć.

- Bo jesteś strasznie zawzięta.

- Jestem.

- Zygmunt mówił mi wczoraj, żebyś się ciebie strzegł.

- Naprawdę?

- Uważaj, powiedział, to żmija.

- Nie wydawała się tym zmartwiona.

- Wiesz dobrze dlaczego - powiedziała.

- Przedtem mówił, że jesteś złota dziewczyna. Złota - powtórzyłem. - Pokaż ten bucik - powiedziałem nagle.

Podniosła ku mnie nogę. Stuknąłem palcem w obcas.

- Papier... Daliśmy się nabrać. Mam nadzieję, że doczłapiesz w nich do bursy. - Czułem biodrem wiotkość i ciepło jej ciała.

- Bożek - odezwała się nieśmiało. - Bożek, powiedz prawdę. Czy on ci coś obiecał?

- Kto?

- Ten brygadzysta. Za załatwienie ze mną.

Mruknałem:

- A jak ty sobie wyobrażasz?

- Dziękuję za szczerość.

- Ale nie myślałem tego brać.

Zerwała się.

- Poczekaj! - zawołałem bliski rozpaczy. - Nie odchodź! Jak mogłem ci tego nie powtórzyć? Przecież musiałem!

- Musiałaś! - drżała z gniewu.

- Wcale nie musiałaś!

- Może na to czekałaś? -
tłumaczyłem. - Skąd mogłem
wiedzieć?

Znów usiadła. Długo
milczeliśmy. Potem nastąpiło
pytanie:

- I nic by ci nie było żal,
gdybym się zgodziła? Ja - z takim
- jak on się tam nazywa...?

Powiedziałbym sobie, że jesteś
kurwą jak wszystkie inne,
pomyślałem. Pogardzałbym tobą i
sobą, że ci to świństwo
ułatwiłem. Ale miałabyś pełny
brzuch, kupę kołder,
gospodarstwo, placki, rodzynki i
wino dla gości. I dwuznaczny
uśmiech, dojrzałość w oczach,
wiedzę o swoim kobiecym
powołaniu.

- Boże, i jak żal - nie mogłem
opanować westchnienia. - Kiedy
mnie o to pytał, miałem ochotę
zdzielić go po mordzie.

- Wystarczyło go wyśmiać.

W tej samej chwili
zrozumiałem, że chcę ją
pocałować. Przyglądałem się
łakomie jej wargom. Przyglądałem
się wzniesieniu piersi pod
bluzką. Przebiegł mnie lekki
dreszcz, zupełnie jakby się
zbliżał atak malarii.
Oblizywałem językiem swoje
wargi.

- Na przyszłość - mówiła z
uśmiechem - proszę cię o więcej
nielojalności.

- Dobrze, Lenka. - Zapytałem
nieśmiało: - MOgę cię pocałować?

- Lepiej nie.

- Kiedy ja bardzo chcę.

- Nie wierzę.

- Przekonasz się - pogroziłem.

Siedzieliśmy obok siebie na
tej przyzbie nieruchomo.
Powiedziałem jej, że się
przekona i ona chyba na to
czekała. Objąłem ją znienacka,
zamknąłem siłą w swoich
ramionach. Wrywała się, ale ja
trzymałem ją w kleszczach i
szamocąc się z nią przytykałem

biedne moje wargi do jej policzka, włosów, karku. Zapach jej skóry, zapach owocu morwy i nocnej rosy! Nagle poczułem, że znieruchomiała mi w objęciach jak kłoda. Rozwarłem ramiona, byłem zniechęcony, a wtedy ona zerwała się i uciekła z przyzby.

Stanałem przed nią dygocząc jak w febrze. Więc to tak z tym jest, myślałem, na froncie nie dygotałeś, tylko tu, z powodu klęski z dziewczyną, jakby to było w twoim życiu najważniejsze.

Patrzyła na mnie bez wyrzutu, raczej z dobrotliwą ironią.

- No i co ci z tego przyszło? - spytała.

- Ty nawet nie wiesz - wykrztusiłem.

Pomyślałem: a może wie? Nie, chyba nie, bardzo ją to moje pragnienie dziwi.

- Po co to zrobiłeś? - mówiła z żalem.

- Dla sportu. - Przystąpiłem bliżej. - Dlaczego się broniłaś? No, pocałowałbym cię - i co w tym strasznego? Czujesz do mnie wstręt?

Zaprzeczyła ruchem głowy. Spytałem prawie z nienawiścią...

- Wiesz, dlaczego cię chcę całować?

- Dla sportu.

Jej chłód działał mi na nerwy. Mimo to powiedziałem, bo uważałem, że ona powinna to usłyszeć:

- Bo jesteś piękna.

Teraz ona wydała się rozgniewana.

- To dlatego, że zmieniłam uczesanie! Dużo wam nie trzeba, wystarczy grzywka... Więcej tego ze mną nie próbuj! Taką dobrą mieliśmy przyjaźń, po co ją psujesz?

Nie chciałem jej przyjaźni, ale tego właśnie nie mogłem jej powiedzieć.

- Nie odprowadzaj mnie! -
krzyknęła. - Zawsze wymyślisz
coś, żeby zepsuć wieczór. - Z

daleka rzuciła jadownicę: -
Polecam ci Wierę Antonownę! Ja
całuj, ona ci nasypie za to
pełną kieszeń pieniędzy!

Odróciła się i poszła przed
siebie. Szła lekko pochylona,
długim, chłopięcym trochę
krokiem. Z oddali migotała biel
trzewików, które dopiero co jej
kupiłem. Miejmy nadzieję, że jej
się choć trochę przydadzą.

4

Wracałem z fabryki z butelką
xeresu w głębokiej kieszeni
płaszczka. Płaszcz trzeba było
nosić zawsze, także w upał,
narzucony na ramiona, bez
płaszczka niczego nie dałoby się
wynieść. Szedłem podniecony, bo
po pracy wypiliśmy z Nisupinem i
Niurą Kukuruzową po pół szklanki
koniaku. Niura opowiedziała dwa
świńskie dowcipy, uśmiechając się
zresztą wstydliwie, wszystkie
Rosjanki wydają się z lekka
zawstydzone, kiedy suną świńskie
kawały, ale innych jeszcze nie
słyszałem, może dlatego, że
dowcipnisie są zajęci przy czym
innym. Nisupin był pełen
animuszu, bo Rassul, ten Tadżyk,
który miał chrapkę na Lenę,
dostał powołanie do wojska i
teraz on, nasz Przygłuchy,
będzie brygadzystą. Już obliczał
w myśli swoje przyszłe dochody.
Piliśmy jego zdrowie, zgadzał
się na to łaskawie, ale
uprzedzał, że nie popuści.
Będzie wymagający. Może tym
straszyć Biezzubowa, który wciąż
powtarza "od roboty koń zdycha"
albo "głupi lubi robotę, a
robotę głupiego", jego może
straszyć, nie mnie.

Izdebka była ciemna i pusta:

nikt nie zerwał się w popłochu z pryczy, kiedy otworzyłem drzwi. Nie wiem dlaczego, ale przez chwilę stałem na progu rozczarowany. Uśmiechnąłem się niemądrze do siebie.

- Nie przyszła - powiedziałem

na głos. Ostatnio zdarzało mi się to coraz częściej: mówiłem do siebie, żeby usłyszeć własny głos.

Wszystko toczyło się w zwolnionym tempie. Ten koniak, myślałem. I te dowcipy o nocy poślubnej. Nie przyszła. Wyciągnąłem butelkę z kieszeni i postawiłem ją pod pryczą. Trzeba będzie opylić, myślałem leniwie. Mrok w izdebce powoli rzedniał. Sprawić sobie kopciukę, przypomniało mi się. Potem znowu na głos:

- Nie przyszła.

Głos miałem przytłumiony, koniak był mocny - co się z wami dzieje, Bergen, gracie jak noga, wszystko ta wódka, kompleks Keana, tak się marnują talenty. Spróbowałem intymnym szeptem:

- Obraziła się... o ten pocałunek...

Trochę lepiej, Bergen. MOże będą z was ludzie. Wyjrzałem przez okienko. Na dachu domu Machmuda połyskiwał odbłask księżycyca. Wyżej rozmazała się ciemna chmura drzew. Kóz nie zauważyłem, musiano je zapędzić do sionki. Strumyk? Nie słyszę. Zamknięto dopływ wody.

Osunałem się na pryczę, zdrapałem paznokciem trochę zeschniętego wapna ze ściany. Wybieliła ją, a potem stała we framudze drzwi i uśmiechała się. Tęsknię za nią jak za warszawskim brukiem, pomyślałem z pijackim wzruszeniem. Jak pośród nocy na otwartym stepie, pamiętasz, leżałeś przyłgnąwszy kurczowo do stogu, do jego

wilgoci i odurzającego zapachu, szukałeś w nim zmiłowania nad sobą, i wtedy, szlochając w tym stogu, wypatrywałeś równocześnie Gwiazdy Polarnej. Nie wytrzymam w tej ciemnej klatce. Muszę zobaczyć Lenę. Biodro. Muszę jej wyjaśnić. Przechylona na jedno biodro. Wyszedłem na dwór.

Daleko nad murami Registanu wisiał już księżyc, srebrzysty,

pyzaty i niemahometański. Od strony fabryki zbliżała się mrukliwa, świecąca flarami ciężarówka. Trochę późnawo, pomyślałem, przeskakując przez korzenie przecinające twardą, gliniastą ścieżkę. Nie czuję twardości tej gliny, uświadomiłem sobie, nie czuję korzeni, mam buty, powtarzałem sobie nie potrafiąc znaleźć w tym pociechy. Lena wyrzuci mnie za drzwi.

Ciążarówka zatrzymała się obejmując mnie światłem reflektorów. Z szoferskiej kabiny wychyliła się okrągła i rumiana twarz Fieni w skórzanym hełmie czołgisty z opuszczonymi nausznikami.

- Cześć, Bożek! - zawołała. - Ty dokąd?

- Cześć. Do starego rynku.

- Siadaj, podwiozę.

Wgramoliłem się do kabiny.

Fienia uśmiechnęła się i jej oczy ocienione długimi rzęsami zabłysły:

- Tylko uważaj, bez figlów.

- Dlaczego? - udałem zdziwienie.

- Bo wywrócę.

- Warto zaryzykować - powiedziałem.

Dziewczyna roześmiała się. Oczy dziecka, zęby gwiazdy filmowej, ciało olbrzymki. Umów się z nią, ona będzie twoją kochanką, myślałem, uwolnisz się od tamtej. Fienia prowadziła wóz beztrąsko, nie zależało jej na

omijaniu wybojów, lubi
trzęسیونkę, pomyślałem wpadając
na nią.

- Aleś mnie oparzyła! -
wykrzyknąłem.

- Czym?

- Tym. - Klepnałem ją po
biodrze. - Gorąca jesteś.

- Wiadomo.

- Dlaczego wiadomo?

- Tutejsza! - w głosie jej
zabrzmiała przechwałka. - Z
azjatyckich Wielkorusów.

Wszystkieśmy takie.

- To ja zostaję tutaj -

zaofiarowałem się.

- Aha, znamy was. Wiem, dokąd
mierzysz. Widziałam cię z nią w
sklepie. Pieniądze na nią
przepuszczałeś.

- Pożyczałem jej.

- A ona zwróci ci w naturze.

Nie z naszych ona?

- Ze Lwowa.

- Widzisz? Mnie nie oszukasz.
Spójrzę tylko na figurkę - i już
wiem swoje. Łapy przy sobie!
Wasz brat, to by tylko oszukać
chciał, uszczknąć dziewiczego
honoru, a potem szukaj go, gdzie
diabeł dobranoc mówi. Nie ze mną
taka sprawa, pożartować, owszem,
można - ale...

Spytałem:

- Nie gorąco ci w tym hełmie?

- Gorąco - przyznała.

- To po co ci on?

- Wiadoma rzecz: włosów szkoda.

- A uszy czemuś opuściła?

- Dla fasonu. Według mnie,
bardziej twarzowo.

- Założyłabyś chustę -
poradziłem. Nie miałem pojęcia,
że ją wzburzę.

- Ja? Mowy nie ma! U mnie
dusza dziewicza, ale fason swój,
męski. Te idiotki, które w
chustkach traktorami orzą, dobre
na plakat. Ja, bratku, na to się
nie zgodzę, żeby z siebie
czupiradło robić. MOja twarz nie

z ostatnich, dobrze mówię?

- Jedna z pierwszych -
przyznałem szczerze. Prześpij
się z nią, potrzeba ci tego,
uratujesz się od tamtej,
wzbudzisz zazdrość, nie bądź
frajer, myślałem gorączkowo.

- Dzięki za dobre słowo -
powiedziała Fienia. - Ucieszyłeś
samotną pannę, zadanie wykonane
- złaż, trutniu, jesteś na
miejscu.

Zeskoczyłem z ciężarówki.
Fienia wychyliła się ze swojej
kabiny:

- A ty wpadnij czasem do
Niury, Bożek, pobawimy się,
pośpiewamy, wysuszymy dzbanek.
Niura na gitarze cygańskie

pieśni, ech, jak gra, a ja z jej
mateczką bliny smażymy. Miła ta
jej mateczka, pełnokrwista
Sybiraczka, najlepszy lud,
wypróbowany. Przychodź, wesoło
będzie. Co się przejmować,
wszystkim jedno pisane. Bywaj!

Lena leżała już w łóżku, kiedy
wśliznąłem się do bursy.
Ujrzawszy mnie, wydała paniczny
okrzyk i naciągnęła kołdrę po
czoło.

- Natałka - usłyszałem jej
przytłumiony głos. - Grzebień!
Też pomyśl o tej porze
przychodzić.

- Mam ci coś do powiedzenia -
usprawiedliwiałem się. - Coś
ważnego.

- Zaczekaj na podwórzu.

Usiadłem na kamiennym ajwanie
i wsparłem głowę o drewniany
filar. Wciąż czułem w sobie
buzowanie koniaku. Wyrwałem ją z
łóżka, pomyślałem, udało się.
Fieni trzeba będzie podziękować,
że podwiozła. Otworzyła się
brama, zobaczyłem dwie
dziewczyny: obie Tonie, czarna i
biała. Żegnały się z jakimiś
typami. Potem przeszły obok
mnie, a biała Tonia podzwaniała

gitara.

- To ty, Bożek? - zapytała
zatrzymując się.

- Ja. Dobry wieczór.

- Czy mi się zdaje, ale chyba
się trochę spasz.

- Chyba tak.

- Czyli nieźle. Do Leny?

- Do niej.

Ciemna Tonia zaśmiała się:

- Stara miłość nie rdzewieje.

- Próbowałem zaprzeczyć, ale nie
pozwoliła się przekonać. - Ja
swoje wiem. Zawsze razem, zawsze
pogaduszki. Usta jej się przy
tobie nie zamykały.

Więc tak na to ludzie patrzyli

- zrozumiałem. Biała Tonia
wstawiła:

- A ty starych przyjaciół nie
zapominaj.

- Nie zapomnę. Przyjdę kiedyś

- powiedziałem nagle - pójdziemy

do mnie, zabawimy się, co?

- Można - zgodziła się Tonia
biała, spacerująca. - Na nią nie
licz, jej facet zazdrosny. Ale
ja wolna, robię, co chcę.

- Ja też wolny - powiedziałem.

- Też robię, co chcę.

Odeszły, a ja pomyślałem: weź
ją sobie, zawsze ci się
podobala, weź i przestań myśleć
o tej swojej komsomołce,
odżyjesz.

Widziałem za firanką sylwetkę
czeszcej się Leny: cień
dziewczyny, nagi w swojej
dwuwymiarowości. Przez kamienny
ajwan ktoś szedł człapiąc
chodakami. Borys Jefimowicz,
nasz matematyk. Chrzaknąłem i
nauczyciel drgnął.

- Kto to? - rozległ się jego
strwożony głos. - Maria
Isakowna! - wołał pomocy żony. -
Maria Isakowna, jacyś obcy
ludzie! Mówiłem ci, że po ciemku
nie chcę chodzić sam.

- Borys Jefimowicz - szepnąłem

- to ja, Bergen. Z drugiego

kursu.

Słyszałem, jak westchnął z ulgą.

- Ach, towarzysz Bergen. -
Zbliżył się do mnie. - Po nocy do nas? Głód wiedzy przypędził? Ja wiedziałem, że wasze odejście nie oznacza rezygnacji. Taki człowiek jak wy, Bergen, nie będzie tracił czasu i skorzysta z każdej sposobności... Wiedza - w każdych okolicznościach - można i należy przekazywać ją innym. Jak to powiedział Czechow? Więcej jest dobroci w parze i elektryczności niż w biernym oporze. Zawsze myślałem sobie o was: młody człowiek marnuje swoje najlepsze lata - i to jest na pewno nasza wina, ludzi starszego pokolenia.

- Nie przypuszczam - starałem się go uspokoić. - Na naukę, Borysie Jefimowiczu, będzie czas po wojnie. Tak, po tym jak się to wszystko uspokoi. Teraz albo front, albo praca - reszta

później.

Nauczyciel przez chwilę milczał.

- A chleb? - spytał wreszcie.
- Na chleb zarabiacie?
- W każdym razie mam go więcej niż w szkole.
- Rozumiem. - Słyszałem w ciemności jego ciężki oddech. -
Pójdę spać - zdecydował. -
Dobranoc.

Słuchałem przez chwilę człapania jego chodaków i miałem niejasne uczucie, że mu się nie spodobałem. Zawiódł się na mnie. Ugotuję kiedyś cały sagan gęstej kaszy ze słoniną, obiecywałem sobie, i zaproszę Borysa Jefimowicza. Nakroję chleba i powiem: - Proszę bardzo, ile dusza zapagnie. Słodki rewanżu! - myślałem - chyba sobie nań wreszcie zasłużę.

Lena przypląnęła prawie

bezszelestnie, bosa, w
granatowych spodniach
treningowych i białej bluzce.
Wyciągnęła do mnie obie ręce.

- Bożek, co się stało?

Dziwiła się! Była spokojna!
Wybuchnąłem:

- Dlaczego nie przyszedłaś?

Dlaczego pozwoliłaś mi czekać?

Jeszcze krzyząc uświadomiłem
sobie, że nie mam prawa do
gniewu, że nie obiecywała mi
swojej cowieczornej obecności,
że to krzyczy moja ciemna izba,
udręka samotności, moje
samowolne marzenie o jej
pocałunkach. Ona przebywała cały
ten czas w jasnej sali nad
książką słuchając plotek
dziewczęcych. Musiałaby bardzo
napiąć wyobraźnię, żeby zobaczyć
mnie jako miotające się w
ciemnej klatce zwierzę. A jednak
nie pogniewała się na mnie.

- Nie mogłam wyjść -

powiedziała zmęczonym głosem. -
Nata oddała pantofle do szewca.
A te białe buciki rozleciały
się.

Więc tylko to, pomyślałem z
ulgą.

- Nie masz do mnie żalu? -
spytałem.

- Nie. - I zaraz szpilka: - Co
tam Wiera Antonowna?

- Dziękuję, bardzo miła.

Chodźmy dokądś.

- Nie mam w czym.

Była bosa. Jak ja wtedy, pod
Taszkientem. Ale zachowywała
pogodę ducha. Zacząłem
rozsnurowywać swoje buty.

Zakrzyknęła:

- Co ty wyprawiasz? Nie wezmę
od ciebie butów!

- A ja nie chcę ci ich dać -
powiedziałem.

Zułem buty i przewiesiłem je
przez ramię. Od kamiennego
ajwanu kłuł stopy nieprzyjemny
chłód, stary mój znajomy.

Chwyciłem ją za ramię. Poszła za mną posłusznie. Krążyliśmy ciemnymi i krętymi uliczkami wśród glinianych ogrodzeń.

- Uważaj, Bożek, tu są korzenie - uprzedzała mnie.

- Uważam.

- Ręka mnie boli - poskarżyła się.

Rozluźniłem uścisk.

- Dlaczego mnie tak ściskasz?

- Żebyś nie uciekła.

- Nie ucieknę. Coś mi miał do powiedzenia?

- Nic takiego.

- Mówiłeś, żeś przyszedł mi coś powiedzieć.

- Przyszedłem cię zobaczyć.

Więcej o nic nie pytała.

Zbliżaliśmy się do rynku. Zawsze te same światła, ten sam hałas przekupniów, sprzedających lody na wagę, chichoty prostytutek, z którymi przekomarzał się karłowaty Mercer z połową placka na sprzedaż w ręku, jego szwagier w Warszawie miał sieć kolektur i uchodził za milionera.

- Widzisz te dziewczyny? - spytałem. - One są ze Lwowa. Jednej z nich pisałem podanie do delegata Rządu, żeby dostała pomoc i mogła się z tego wyrwać.

Lena uśmiechnęła się.

- Nie bardzo ci się z tym powiodło.

- Próbować należało.

- Bożek - zagadnęła z trwogą - jak myślisz, za kogo nas biorą, mnie i ciebie?

- Czy to nie wszystko jedno?

Kupiłem u Mercera pół placka. Dziękując Lena przywitała moją protegowaną prostytutkę:

- Jak się żyje?

- Fajno jest - odpowiedziała i roześmiała się. - Powodzenie jak tramwaj w Boże Narodzenie.

- Jakoś to leci?

- Ta niech ich szlag -

zakłęła. Ukrywała przede mną dochody, jakbym był urzędem podatkowym. Spojrzała na Lenę. - Fajną masz panienkę. - Zauważyła teraz nasze boso nogi. - Życie jak w raju, ta ni? Nago, boso i tylko jabłka przygryzaj. - Znów się zaśmiała.

Odeszliśmy dojadając nasz placek. Lena spytała:

- Lubisz chodzić boso, Bożek?

- Nie.

- Ja kiedyś lubiłam. Z rana, do studni, po wodę - zawsze boso. Mama na mnie krzyczała. Ale ja lubiłam.

- Nienawidzę chodzenia boso.

Powiedziałem to z bólem, złością, powiedziałem tak, żeby zrozumiała, że zrobiłem to tylko dla niej, jako gest miłości, zamiast kwiatów, brylantów, etoli z nurków, zamiast podrzynania sobie żył, odkręcania kurka gazowego - moje boso stopy, powrót do upokorzenia. Milczała, więc może zrozumiała to wszystko. Zaraz powiedziałem, możliwie niedbale:

- Jak już mam buty, to co innego. MOgę teraz chodzić, jak mi się podoba.

Spytałem ją, czy lubi cyrk. Była raz w życiu, miała chyba z osiem lat. W tej wsi pod Lwowem, w której się wychowywała, przyjście katarzyniarza było wydarzeniem artystycznym. Jeden z jej kuzynów zorganizował

przedstawienie w remizie strażackiej, a ona sprzedawała bilety.

Poszliśmy do cyrku. Poszukałem jej dłoni i już jej nie wypuszczałem. Czasem wrywała mi się, żeby oklaskiwać jakiś mrozący krew w żyłach wyczyn. Wybuchiała śmiechem, kiedy klowni przewracali się jak tłumoki i bili się po ubarwionych policzkach. Nie wiem, dlaczego

czułem się tym zgorszony.
Głupio, oczywiście. Nie umiałem się poddać radości. Dwaj faceci ubrani pstro - co w tym nadzwyczajnego? Jeszcze kilka miesięcy temu miałem bardziej gałganiarski strój niż oni. Zepsułem jej trochę zabawę.

Odprowadzałem ją w milczeniu do bursy. Przeszliśmy obok tej przyzby na Kosz_Chauz, na której usiłowałem ją wtedy całować. Szedłem i myślałem: dziewczyno ponętna, chodź do mnie, do mojej kibitki, chcę cię tak bardzo, domyśl się tego, domyśl - błagałem w myśli.

Objąłem ją. Zatrzymała się i zmierzyła mnie spojrzeniem.

- Bożek, znowu?

- Chcę cię całować.

- Co ci to da: całować kawał lodu?

- Puściłem ją.

- Czy wysłuchasz mnie? - spytałem.

- Proszę - odpowiedziała uprzejmie.

Znajdowaliśmy się w wąskim, pustym zaułku, między ślepyimi gliniastymi ścianami kibitek. Jak w ciemnym labiryncie. Usiadłem na grubym korzeniu i zacząłem sznurować buty.

- Mam pewną myśl, Lenka - mówiłem nie patrząc na nią. - Opuść tę cholerną bursę i przenieś się do mnie. Nie będzie ci ze mną źle. Będziesz się nadal uczyła, ja zarobię dosyć na nas oboje. I Natę będziemy wspomagać. Jeśli chcesz, żebyśmy to przeprowadzili formalnie, to

owszem, czemu nie, możemy się pobrać. Wiem, że mnie trochę lubisz, w każdym razie bardziej niż Zygmunta.

- Szkoda, że nie jesteś Zygmuntem - powiedziała.

- Dlaczego? - oburzyłem się.

Nie odpowiedziała. Dopiąłem

sznurowadła i wstałem. Spytałem:

- No więc?

- To, co mówisz, brzmi rozsądnie.

- Zgadzasz się!

- Nie, ja nie jestem rozsądna.

"MNie się podobają wysocy blondyni" - wyznała kiedyś przy saganie z burakami. Nie byłem jej ideałem, o nie. Jest młoda, może czekać na swojego wymarzonego. Westchnąłem bezradnie:

- Będę dla ciebie dobry.

- Nie wątpię.

Co jeszcze? Byle nie popaść w śmieszność. Chciałem pokazać, że jestem nieuciąźliwy, pozbawiony przesadów, przewidujący, tolerancyjny. Mędrzec, który patrzy na życie z oddalenia, pobłażliwie. Powiedziałem:

- Zdradzałbym cię rzadko.

- To znaczy jak rzadko? - spytała zaciekawiona.

- Powiedzmy... raz na miesiąc.

- MOżna wytrzymać. A ja?

To było trochę trudniejsze, nawet dla mędrca.

- No cóż - wybąkałem. - Ty też.

- Oczywiście - zgodziła się. - Nowocześnie. Żadnego skrępowania. Związek wolnych ludzi. A rano przy kawie dzielilibyśmy się wrażeniami.

- MNiej więcej. Więc co?

- Przyszykaliśmy sobie z Simą Tatarką, że nigdy nie wyjdziemy za mąż.

- Gadasz głupstwa.

- Ale to prawda. Ja pierwsza się nie wyłamie.

- Powiedz po prostu, że czekasz na innego. Że jest jakiś inny mężczyzna.

- A jeśli?...

- Blondyn? - domyśliłem się.

- Tak.

- Dałaś mu słowo? Musisz czekać?

- Tak.

Szczeniaku, pomyślałem, wydawało ci się, że świat się zaczął, kiedy ty raczyłeś na nią zwrócić uwagę. Ona ma dziewiętnaście lat życia bez ciebie. Ale chciałem teraz wiedzieć wszystko.

- Nigdy o tym nie wspominałaś.

- Bo po co?

- Ani Nata?

- Nata nie wie.

- Nie może być!

- Ale jednak. To był Rosjanin, instruktor propagandy. Kochał mnie, ale nie śmiał mi nigdy powiedzieć. Dopiero jak Niemcy napadli i on dostał powołanie do wojska. Pożegnaliśmy się i przyrzekliśmy czekać na siebie. Pocałował mnie - powiedziała cicho. - W kark.

Gówniarzu, co sobie wyobrażałeś, że dziewiętnaście lat czekała tylko na ciebie?

- Ale to nie jest małżeństwo!

- krzyknąłem. - Nie musisz czekać.

- Potraktowaliśmy to poważnie - powiedziała i zamilkła.

Już wiedziałem: uparła się i tak już zostanie.

- Jak poważnie - mruknąłem - to cóż, trudno.

- Wybijesz sobie tamto z głowy?

- Już wybite. Przepraszam. - Bełkotałem. - Dobrze, już teraz wiem. Życzę szczęścia.

Myślałem, że się zgodzisz.

Trudno. Bardzo chciałem. No to już.

- To nie moja wina, Bożek. Ty masz takie głupie pomysły.

- Chyba. No to już idę.

Chciałem cię pocałować, bardzo chciałem, wciąż chcę, ale już się nie bój, więcej się nie powtórzy, idę.

Powiedziała unosząc głowę:

- Proszę, całuj.

Cofnąłem się o krok.

- Nie, nie, idę.

Odchodziłem obrażony mruczając:

- Idę, psiakrew, idę.

Szedłem do kibitki ze łzami w oczach, z dotkliwym uczuciem bólu i porażki. Kosz! Jakiś blondyn, propagandzista, całuje w kark. Jest na froncie. Nieuchwytny, lepszy. Ale ja ja mocniej kocham. Ja mocniej. Ja najmocniej.

Otworzyłem z hałasem drzwi izdebki. Pustka i ciemność, wrogie milczenie. Dostałem kosza. Dostałem w zęby. Nie pchaj się, gówniarzu. Jak co dobre - to dla innych.

Runąłem na pryczę. Wydostałem spod niej butelkę, wyrzuciłem korek i przytknąłem do ust. Miałem sprzedać tę butelkę, ale nie, gwizdać na forszę, coś muszę zrobić z tą porażką. Upić się, zapomnieć. Jestem nieszczęśliwy. Wielka rola, nareszcie! Kurtyna. Oklaski, psiakrew.

Rzuciłem pustą butelkę w ką. Wstałem, próbowałem zrobić krok, ale zachwiałem się. Nie z pijaństwa - ze złości. Pchnęło mnie na boczną ścianę izdebki. Potem pod przeciwległą, pod samo okienko. Po drodze straciłem coś łokciem. Bazie - przypomniałem sobie. Bazie, bazie - powtarzałem osuwając się na pryczę. Opadałem powoli w czarną, mazistą toń.

Obudziłem się, obolały, klęcząc na ziemi, z głową wspartą o brzeg pryczy. Pod ścianą leżała pusta butelka. Obok zobaczyłem puszkę od konserw z rozrzuconymi wokół baziami.

Usłyszałem gwizd syreny fabrycznej. Jeszcze pół godziny. Schyliłem się i pojękując zbierałem bazie z polepy.

Staliśmy w hallu kina pod ścianą czekając na początek

seansu. Tym razem Lena była w pantofelkach, poza tym jak zwykle: treningowe spodnie i biała bluzka.

- To ona - powiedziałem wskazując na Wierę Antonownę. - Stoi obok wejścia.

Lena spojrzała.

- Wcale ładna, Bożek. Nie masz się nad czym zastanawiać.

- Daj spokój.

- Ma tylko wyschniętą szyję - oceniała dalej Lena. - I mieszczański gust.

- Przyprawdzą ją tu - zdecydowałem.

- Nie rób tego. Możemy się ukryć.

- Nie chcę się ukryć.

- Stracisz wszystko - uprzedzała.

- W porządku.

Wiera Antonowna była w jedwabnej białej sukni z koronkowym kołnierzykiem i mankietami. Nie robiła wrażenia tak pewnej siebie jak w fabryce. Zawołała, kiedy się zbliżył:

- O, co za spotkanie! W którym rządzie?

Powiedziałem, w którym rządzie i dodałem, że nie jestem sam.

- Chyba nie z panną, Bergen?

- A jednak. To ta w spodniach pod ścianą.

Lena uciekała wzrokiem gdzieś w bok, brwi miała nasępione. Kierownicze drżały leciutko usta. Ale sposób bycia zachowała swobodny.

- Gdzieś ją znalazł? - spytała.

- Uczyliśmy się w jednej szkole. Chce ją pani poznać?

- Będę zachwycona.

Zbliżyła się do Leny z wyciągniętą dłonią. Dziewczyna oblała się rumieńcem. Wiera Antonowna spytała:

- Jesteście narzeczeństwem?

Winszuję młodej parze. Co, jeszcze nie bardzo? -

odgadywała. - Polegam na tobie,

Bergen, że przekonasz pannę do siebie. - Nie krępując się

oceniała strój Leny, nieszczęsne spodnie i pantofelki. - No cóż, powodzenia, już wpuszczają.

Weszliśmy i odszukaliśmy swoje miejsca. Na sali wygaszono światła. Kiedy zrobiło cię ciemno, poczułem dłoń Leny na swojej dłoni i usłyszałem jej szept:

- Uciekajmy.

Bocznymi drzwiami wymknęliśmy się do starego parku. Tutaj Lena przystanęła i zaczerpnęła tchu. Objęła ramieniem pień drzewa i zawisała na nim bezwładnie. Zaniepokoiłem się.

- Osłabłaś?

- Tak. Zakręciło mi się w głowie.

- Co dziś jadłaś?

Usiłowała sobie przypomnieć. Zrezygnowana machnęła ręką.

- To co zawsze.

- Chleb?

- Właśnie z chlebem było dziś gorzej.

- Aha, więc nic - domyśliłem się.

Nie było dokoła ani jednego sprzedawcy z plackami. Ale nawinał się lodziarz.

- Pół kilo - zadysponowałem.

Jedliśmy z jednego talerzyka. Upomniałem ją:

- Nie jedz tak szybko. Nie myśl, że ci tego żałuję, ale możesz się rozchorować.

- Nie umiem powoli.

Pochłaniała lody jak ciepłą zupę.

- Bożek - odezwała się nagle przerywając jedzenie. - To przecież strasznie drogie.

- Bujda. Gorzej, że ci to niewiele daje.

- Nie chcę, żebyś marnował na mnie pieniądze. Powinieneś sobie kupić kombinezon, bo zniszczysz mundur.

- To prawda. I koszulę.
- No widzisz.
- Nic nie widzę.
- Przestaniemy się spotykać.
- Nie mów tak.
- Przestaniemy. Komplikuję ci

tylko życie. Palnąłeś dziś wielkie głupstwo.

- Był najwyższy czas.
- Straciłeś jej względy.
- O to mi chodziło.

Wracaliśmy potem przez wadoły i rozpadliny do starej muzułmańskiej dzielnicy. W oddali ciemną ścianą wznosiły się mury Registanu. Lena znów powtórzyła:

- Zrobiłeś głupstwo.

Nie odezwałem się. Ona:

- Ale możesz je naprawić.
- Nie.

- Przestaniemy się widywać. To nie ma sensu.

- Nie musi mieć.
- Beze mnie będzie ci lepiej.
- Nie wiesz, co mówisz.

Zeszliśmy z nasypu w ciasny, kręty labirynt lepianek. W tej ciemności, w której tylko mogłem się domyślać glinianych, bezokiennych ścian, trzymałem Lenę mocno za rękę, a ona szła potulna i w milczeniu. Zbliżały się ku nam jakieś cienie, falowały oddechy.

Naraz ciszę rozdarł krzyk. Ktoś mi ją wrywał z rąk. Uderzyłem na oślep, trafiłem w czyjś kark. Ciemność rozkleła się po uzbecku - anany kutakesk~ej! ur~us szejt~an! Lena! - krzyknąłem. - Lena! Słyszałem jej wołanie. Biegłem ku niemu długo, jak w upiornym śnie. Wołała mnie i wymachując rękami wydzierała się dwóm opryszkom. Kopnąłem jednego w plecy i kiedy tamten padł, drugi puścił Lenę i rzucił się ku mnie. - Uciekaj! - krzyknąłem i zwarłem się z tamtym. Dyszał mi

w twarz czosnkiem i machorką. Z tyłu ciągnięto mnie za battle_dress. Wierzgnałem i usłyszałem jęk. Przycisnąłem kolano do brzucha przeciwnika i wdusiłem swój podbródek między jego żebra. Czułem, jak tamten słabnie i ugina się. Teraz cios w żołądek - i byłem wolny. Lena! Usłyszałem jej dalekie wołanie.

Pobiegłem w kierunku bursy - było tu widniej, otwarta przestrzeń - ujrzałem ją, jak się szamoce z opętanym wyrostkiem, który usiłował ją całować. Uderzyłem z rozmachu pięścią i tamten potoczył się na ścianę.

- Do bramy! - krzyknąłem.

Lena dopadła do niej pierwsza, biła w nią pięściami jak zawzięty dobosz w werbel. Ja odpędzałem ciosami napastników. Trzymałem ich na dystans, lewy prosty w robocie, zagróż sierpem, wypuść prosty, odskok, znowu dystans. Mój gimnastyk byłby ze mnie zadowolony. Matoły, nie umieją się bić. Lena wciąż bombardowała bramę. Ten dozorca, stary czort, co się z nim dzieje? Usłyszałem zbawczy zgrzyt - brama się rozwarła. Wpadliśmy w nią oboje i przez chwilę staliśmy w ciemnościach przytuleni do siebie, wsłuchując się w swoje zmęczone oddechy. Odsunęła mnie od siebie łagodnie, i szepnęła: - Tss.

Stary Uzbek zapytał:

- Karabcz~uk? Bandity?

- Chuligany - odpowiedziałem łapiąc oddech. - Nie umieją się bić. - Przyłożyłem dłoń do ust. Pokrwawiłem się na czyichś zębach.

- Pokaż. - Owinęła mi dłoń chusteczką i powiedziała: - Aleś ich walił.

- Nie umieją się kryć. Nie umieją ustać na nogach.

- Będziesz spał w sypialni chłopców - zdecydowała. Teraz już mają oddzielne sypialnie i sprężynowe łóżka.

Myślałem tylko o jednym:

- Nie pozwolę ci więcej wracać samej do domu.

- Ale biłam się dobrze, prawda? - Szedłem za nią do ajwanu. Odwróciła się: - Nie zbliżaj się, Bożek. Jeszcze nas zobaczą.

- Przyjdiesz jutro?

- Przyjdę.

- I będziemy się widywać?

- Tak, Bożek, tak. Idź już spać. Dziewczeta mogą zauważyć. Idź już, idź...

Jakiegoś słowa nie dopowiedziała, czegoś, co jej się cisnęło na usta. Zeskoczyła z ganku, wbiegła po schodach na przeciwległy ajwan i zniknęła w sypialni dziewcząt. Jutro znowu ją zobaczę.

6

Nazajutrz rano strażnik Bachtiejew zaczął mnie w dyżurce. Powiedział, z trudem dobierając słowa po rosyjsku, że Wiera Antonowna skierowuje mnie do oddziału chemicznego. Pierwszy rezultat wczorajszej konfrontacji w kinie. Bachtiejew dodawał mi otuchy:

- Nie martwić, Bożek. Tam jest kwasek, ja przepuszczam.

Uścisnąłem mu rękę i pobiegłem do Wiery Antonowny. Udawała, że nic się takiego nie stało.

- Bachtiejew ci mówił? - spytała. - No więc proszę, czekają tam na ciebie. Czego się gapisz? Potrzebny im jest człowiek do ciężkiej pracy. Posyłam ciebie, bo jesteś najmłodszy. Kogo miałam posłać? Nisupina? Biezzubowa? Nie ma się co chować za cudzymi plecami.

- Ja się nie uchylam, pani wie. Mogę robić wszystko. To nie moja wina, że jestem tu, a nie na froncie.

- Do czego zmierzasz, panie oratorze?

- Tam trzeba nosić kotły z kwasem siarkowym. Łatwo spalić ubranie... I poparzyć twarz.

- Nie wyobrażaj sobie, że jesteś piękny - powiedziała kierowniczką. Dodała jadowicie: - Twoja panna powinna cię kochać nawet oszpeconego! - Zbliżyła się do mnie, zobaczyłem, że jej oczy lśnią od gorączki (płuca, oczywiście). - Powiedz jej... tak, powiedz jej, żeby na drugi

raz hamowała się w pieszczotach. Masz siniaki na policzku.

- Biłem się z opryszkami.

- Nie wiem, z kim się biłeś.

Czekają na ciebie w chemicznym.

Na dziedzińcu koło hydrantu Fienia zmagala się ze starterem swojej trzytonowej ciężarówce. - Spytałem: - Pomóc? - Podała mi bez słowa żelazną korbę.

Pokręciłem nią zajadle, nareszcie miałem na czym wyładować wściekłość. Zapaliło.

- Pojedziemy? - zaproponowała dziewczyna. - Jadę po surowiec dla twojego oddziału.

- Już nie mój.

- Czemu to?

- Wywaliła.

Fienia zeskoczyła na ziemię.

- I ty, bratku, od razu oswiałeś? Ta niech ją... Przepadniesz, czy co? Ręk do pracy nie masz? Popatrz na mnie: jak myślisz, ile ważę? Pięć pudów! Podniesiesz mnie?

- Podniosę.

- Watpię.

- Mogę spróbować.

- No to już.

Chwyciłem ją wpół i uniosłem do góry piszczącą i poczerwieniałą na twarzy. Omal

się nie zachwiałem pod masywnym ciałem. Ciepło od niej biło z zapachem potu, który coś mi przypominał, coś domowego, przytulnego, tak, jasnowłosa ciotkę o obfitej piersi. - Ciężko? - szepnęła. - Trzymam - odpowiedziałem z uśmiechem. Podrzutem ramion wypchnąłem dziewczynę do góry i wrzuciłem do szoferki. Jęknęły sprężyny siedziska. Fienia przez chwilę łowiła powietrze rozchyłonymi ustami. Potem wyszczerzyła zęby w szczęśliwym uśmiechu:

- Zziajałeś się!

- Nic podobnego!

- Zziajany - upierała się. -

Pięć pudów, wstydu nie ma. Nie pojedziesz ze mną? Szkoda.

Opowiedziałbyś o polskich pannach, jaki to on jest ten

warszawski fason.

- Stare dzieje! Teraz tam fason inny, wojenny.

Fienia wciąż jeszcze nie ruszała.

- Bożek, powiedz... jak przyjaciel. O Pawliku - co myślisz?

- O jednorękim? - upewniłem się.

- Tak, strażnik. Chodzi za mną jak utrapienie i oczy wybałusza. Aż mi niezręcznie.

Żal mi jej było dla Pawlika.

- Niech wybałusza - powiedziałem. - Od tego i jesteśmy my, chłopcy, żeby się na ciebie gapić, nie ma w tym nic osobliwego.

- Gadasz.

- Sam z ciebie oczu nie spuszczam.

- Breszysz, breszysz. Myślisz, że nie widziałam twojej Polki? Z Pawlikiem jak - poradź...

- Nie spiesz się...

- Dziękuję za takie rady.

Dosyć się naczekałam.

- Należy ci się, Fieńka, jakiś

fajny chłopak.

- A skąd ich brać, tych fajnych? - Myślałem, że parsknie śmiechem, ale nie, mówiła serio i jej oczy ocienione długimi rzęsami spochmurniały. - Ech, dola moja dziewicza z takimi doradcami!

Trzeba ostrożniej, pomyślałem.

- Co do mnie, wiem tylko, że z Pawlika porządny chłop. Z mojego punktu widzenia. Nie mam z nim kłopotów...

- Ach, z twojego punktu widzenia. - Teraz się zaśmiała. - Ja mam całkiem inny punkt widzenia i na co innego spoglądam. Ale póki co na Pawlika możesz liczyć, ręczę. - Zawołała: - Z drogi! Naprzód za ojczyznę!

Zaczęła się robota w oddziale chemicznym. Wraz z trzema besarabskimi Żydami, wytrwałymi pracusiemi, dźwigałem kotły z kwasem siarkowym i nosiłem worki

z których, gdy były suche, ulatniał się zatykający nozdrza pył kamienia winnego lub sody kustycznej, a gdy materiał był wilgotny, ściekała maź. Buty taplały się w liliowych kałużach żrącego kwasu mlekowego i do rozpaczy doprowadzała mnie myśl, że niszczeją. Dręczyłem się tym, że spalę jedyne spodnie. Mowy nie było o odzieży ochronnej - wojna! Nie będę miał nawet w czym na randkę pójść.

Kiedy przebrzmiała syrena i powlokłem się do kotłowni, gdzie palaczki pozwalały mi czasem korzystać z natrysku, zaszedł mi drogę dyrektor personalny. To ten, pomyślałem przyglądając się jego krępej postaci, to on mnie przerzuca z oddziału do oddziału, on to wszystko akceptuje i przypieczętowuje. Drań w jasnym garniturze, z krawacikiem. Tylko te jego

gęste, krzaczaste czarne brwi,
te brwi kogoś mi przypominały,
kogoś ze świata, który odszedł.

- Towarzysz Bergen? - spytał
dyrektor.

Nie krzyknąłem hardo: "Bo co?"
Byłem zbyt znużony.

- Ja...

- Macie trochę pieniędzy? -
spytał dyrektor.

Jakaś kara, przyszło mi na
myśl. Coś przeszkobałem, ale nie
wiem co. Co, u diaska? Zakłuło w
okolicy serca, zatrzepotała lewa
powieka. Rozkładałem się.

- Nadeszły materace -
powiedział dyrektor. -
Umieściłem was na liście.

Kłucie ustało. Powieka wciąż
trzepotała.

- Potrzebny wam materac? -
pytał dyrektor.

- O tak, tak. BARDZO potrzebny
- pośpieszyłem zapewnić, bo
bałem się, żeby się nie
rozmyślił.

- Kosztuje sto pięć rubli.
Będziecie mieć czy pożyczyć?

- Znajdę. Wygrzebię na pewno!
- zawołałem śpiesząc do

magazynu.

- Biegiem! - krzyknął za mną
dyrektor.

Materac - klękajcie narody!
Rozłożyłem go w izdebce na
pryczy i wpatrywałem się w jego
biel uszczęśliwiony. Tę podarta
kołdrę, z której sypały się
strzępy ciemnej waty, zwinąłem w
wałek i zrobiła się z tego
poduszka jak w paryskich
hotelikach. Usiadłem na
materacu, potem rozciągnąłem się
na nim, potem znowu usiadłem -
nie, jak żyję czegoś tak
cudownego nie miałem!

Lena była tego samego
zdania: cudowny! Pogładziła go
nawet ręką. Powiedziała:

- Teraz masz już wszystko.

Nie miałem prześcieradła,

koca, piżamy i wielu innych rzeczy, ale o tym wcale nie pomyśleliśmy. Lena spytała:

- Jak Wiera Antonowna?

Opowiedziałem jej wszystko. Myślałem mówiąc: stało się, jak przewidywałaś. Zna lepiej świat niż ja. Zna kobiety. Powiedziałem jej, że tam jest kwasek, ale ja na to nie mogę liczyć, jestem obcy. Próbowała mnie pocieszyć: jakoś wyżyję i tak dalej.

- Nie o to chodzi - powiedziałem chmurny. - Chodzi o to, żebym się nie zmienił.

- Co ty wygadujesz?

- Boję się tego Bożka, który nie umiał cię kochać.

Przez jej twarz przebiegł cień. Powiedziałem:

- I chciałbym ci kupić spódnicę.

- Czy już ci się nie podobam w tych spodniach? Przyniosłam wszystko, coś zamówił. Tu masz resztę.

Wręczyła mi pieniądze i wyjęła z torby placki, ser i kartofle. Mianowałem ją od razu szefem zaopatrzenia. Siedząc obok siebie na materacu jedliśmy uzbeckie placki z serem.

- Pyszne, prawda? - chwaliła

Lena. - Jak wrócimy, będę w domu piec takie same.

- Na sprzedaż.

- MOże i na sprzedaż.

- Założysz czaj_chanę - mówiłem. - Zielona herbata z rodzynkami, placki, szaszłyk barani i pilaw z ryżu.

- I pieczony kurdiuk - przypomniała Lena.

- I prasowana morwa zamiast chałwy. Zbijesz majątek.

- O majątku nie ma mowy.

Zapominasz, że to będzie barek socjalistyczny! Wyobrażasz sobie, że poprowadzę inny?

- Nie wyobrażam sobie. Mam

nawet nazwę: "Czerwony Smakosz. Spółdzielnia imienia towarzysza Mikojana". On wygląda na takiego, co lubi dobrze zjeść.

- Nie jesteś dowcipny, Bożek.
- Jak materac? - spytałem.
- Udał się.
- Czy Nata wie, gdzie jesteś?
- Wie.
- Nie gorszy się?
- Nie, ona mi ufa. MNie

wszyscy ufają.

Całowałem jej włosy za uchem. Nie usuwała głowy. Poddawała się pocałunkom z przymkniętymi oczyma mruczając:

- Dobrze, że nie kupiłam cebuli, prawda?
- Dobrze, szefie.
- Strasznie gorące masz szoł. Strasznie rozpalone.
- Bo mam gorączkę. Zbliża się malaria.

Czułem przebiegające przez plecy dreszcze.

- Powinieneś zażyć chininy.
- Obejdzie się.
- MOgę się trochę położyć? -

spytała.

Gdyby nie ten cudowny materac, nie przyszłoby jej to na myśl. Leżała z głową opartą na zwiniętej kołdrze.

- Zmęczona? - spytałem.

Uśmiechnęła się do mnie tamtym uśmiechem spod framugi drzwi, a potem otworzyła objęcia. Wsunąłem się w nie delikatnie.

Kłęcząc na pryczy, otoczony jej ramionami, całowałem przykryte lokami oczy. Była to inna Lena, inne objęcia, inne pocałunki. Szepnąłem:

- To ty jesteś ta drewniana Lena?
- Nigdy nie byłam drewniana.
- Co się z tobą stało?
- Nic. Zmieniłam tylko uczesanie. To ciebie ktoś odmienił.
- Naprawdę?

- Nigdy nie zwracałeś na mnie uwagi.

- Przecież ci na tym nie zależało.

- Ale jednak. Byłeś niemożliwy.

Powiedziałem:

- Kocham cię.

Westchnęła. Nieśmiało wplotła palce w moje włosy. Usłyszałem skargę:

- Nigdy mi tego nie powiedziałeś.

- Co znowu! - obruszyłem się.

- Ależ tak, nigdy. Mówiłeś mi, że mi będzie dobrze. I jeszcze takie rzeczy. Ale nie, że kochasz.

Tak, to była prawda, teraz dopiero to sobie uświadomiłem.

Spytałem cichutko:

- Teraz wiesz?

- Teraz wiem.

Leżała wyprostowana, nieruchomo poddając twarz moim pocałunkom. W półmroku lśniły jej równe, białe zęby. Spytałem:

- Teraz ze mną zamieszkaasz?

- Nie, Bożek.

- Dlaczego? - Zerwałem się i usiadłem na pryczy. Pytałem wzburzony: - Na miłość boską, dlaczego? Wciąż czekasz na tamtego?

- Och nie, to nie takie ważne.

- Ale był jakiś tamten?

- Był, ale trochę przesadziłam. Specjalnie.

Całował ją w kark i ona to pamięta. Usłyszałem:

- Gdybym miała wyjść za męża, to oczywiście tylko za ciebie.

Ale nie mogę.

- Chcę, żebyś mi to wytłumaczyła.

Zaczęło się. Że przecież ona jest ze Lwowa. Że przecież rodzice będą tam. Że Związek Radziecki, że komsomoł, że to i tamto. Do diabła! Do diabła z tym wszystkim! Ukraińcy, Polacy,

Żydzi, Rosjanie, walka klas!
Niech to wszystko piekło
pochłonie! - rozwrzeszczałem
się. Ona chciała się podnieść,
ale ja trzymałem ją mocno za
ramiona.

- Gwiżdżę na te wszystkie
twoje wymysły! - krzyczałem. -
Słyszałaś? Kicham na to! Ty i ja
- to jest ważniejsze niż tamto
wszystko!

- Jeśli tak jest, Bożek, jeśli
to wszystko jedno, to zostań tu
ze mną. No proszę.

Mruknąłem:

- Jestem polskim aktorem.
Polskim - podkreśliłem.

Dotknęła mojego czoła chłodną
ręką.

- Masz malarię, synu -
powiedziała. - Nie wiem, co z
tobą robić. Przyniosę ci rano
chininy.

Dźwignęła się z pryczy.
Poprosiłem:

- Zostań.

Nie odpowiedziała. Objąłem ją
i zacząłem błagać:

- Nie odchodź, Lenka, nie
odchodź. Zostań ze mną. Nie chcę
być sam. Dziś nie chcę być sam.

Nie odpowiadała. Prosiłem:

- Śpij dzisiaj tutaj. Śpij na
moim materacu.

Pogładziła mnie po mokrych od
potu włosach.

- Ale nie mocz się ze mną -
powiedziała. - Tak się umawiamy.
Będę spała w spodniach.

Pocałowała mnie leciutko,
nieśmiało - pierwszy raz to ona
mnie pocałowała - i pogroziła
palcem:

- Pamiętaj.

Położyliśmy się i przywarłem
do niej całym ciałem. W głowie

mi się kręciło - od gorączki i
szczęścia. MOja dziewczyna. MOja
nareszcie. Jestem szczęściarzem.
Osioł. Dureń. Takiemu durniowi -
takie szczęście.

Prosiła:

- Pamiętaj, przyrzekłeś.

Błagam cię. Ja nie pozwalam. Ja nie chcę. MOże kiedyś, może to przyjdzie. Nie zrobisz tego. Nie zrobisz, prawda?

Szeptalem zachłystując się własnym gorącym oddechem:

- Będzie, jak ty chcesz. Jak ty zechcesz. Zawsze, jak zechcesz.

Krzyknąłem ze szczęścia i rozkoszy, a potem było milczenie, lekkie i puste, radosne i obezwładniające. Widziałem śnieżny step, a na nim jako daleki, czarny punkcik mój rozgdakany karabin maszynowy. Było gorąco i chciało mi się łyknąć trochę tego śniegu.

- Śpij - usłyszałem jej szept.

- Teraz już będziesz spał, prawda? Masz takie rozpalone czoło. Śpij.

Wtuliłem głowę w jej pierś i pomyślałem, że już wszystko wiem. Wszystko o szczęściu i nieszczęściu. I że nie wiem, czy jestem teraz szczęśliwy, czy nieszczęśliwy. Ale tak właśnie było dobrze.

Z rana powiedziała:

- Nie pójdziesz dziś do pracy.

- Muszę iść.

- Nie pójdziesz, masz gorączkę.

Nalała wody do puszki po konserwie i skropiła polepę. Potem uprzątnęła ją brzozową miotełką. Wyprostowała się, rozejrzała po izdebce i naraz zatrzymała wzrok na okienku. Widziałem popłoch w jej oczach.

- Bożek, ktoś tu zaglądał.

Wyjrzałem na dwór.

- To Nisso, córeczka gospodarzy.

Przywołałem dziewczynkę palcem. Weszła do nas niosąc

misę pełną białego owocu morwy.

- KUp - mówiła. - Pan, kup.
Dałem dziewczynce pomięty
pięciorublowy papierek, a ona
postawiła misę na pryczy. Lena
zaczerpnęła garść białego,
wilgotnego grona i podała mi do
ust. Nisso spytała:

- TY mordź~a?

- Tak - odpowiedziałem za
Lenę. "Mordź~a", czyli żona,
miała pełne usta soczystego
owocu.

- Dlaczego na kibitka nie
siedzi? - pytała śniadolica
dziewczynka. - MOrdź~a na
kibitka siedzi.

Mruknałem:

- Odpowiedz dziecku.

Lena tłumaczyła, że się uczy.
Nisso nie chciała zrozumieć.
Mordź~a na kibitka siedzi,
mamasza na kibitka siedzi -
wyliczała - mały_mały człowiek
na kibitka siedzi. Twoja też
siedź!

- Dobrze, Nisso_dżon -
powiedziała Lena - jeszcze
posiedzę.

A kiedy mała wyszła,
poskarżyła się:

- Wszyscy ci pomagają, wszyscy
są przeciw mnie.

Miała na sobie białą bluzkę z
krótkimi rękawami i szczupłe
ramiona pokryły się gęsią
skórką. Zaproponowałem jej swój
battle_dress. Kiedy go włożyła,
osunałem się na ziemię i
przycisnąłem twarz do jej kolan.
Z dłonią w moich włosach spytała
miętko:

- Synu, co ty wyprawiasz?

- Klęczę. Tam nie chciałem
klęknąć, przed tobą klęczę.

- Gdzie nie chciałeś? - nie
zrozumiała.

Nie odpowiedziałem na to.
Podniosłem głowę.

- Zatrzymaj dla siebie ten
dress!

- Głupstwa gadasz.

- Ale chciałbym ci coś dać.
Coś wartościowego. Jest taka
piosenka - o perłach i dukatach,

o sznurze koralu na szyję.
Chciałbym cię obsypać perłami.
Chciałbym cię obsypać
wspaniałościami.

Powiedziała łagodnie:

- Posiedzę trochę w tym
dressie. Jest przyjemny. - Zaraz
potem pochwaliła morwę: -
Świetne to było. Siadaj obok
mnie - rozkazała.

A kiedy usiadłem, przytuliła
twarz do mojego rozpalonego
policzka. Tak właśnie -
milczących i przytulonych do
siebie - zastała nas Wiera
Antonowna.

Nie zerwałem się z miejsca,
kiedy we drzwiach ukazała się
głowa kierowniczkii. Powoli
rozplatałem objęcia, powoli
dźwigałem się z pryczy. Wiera
Antonowna wyrzuciła z siebie
obrażone "przepraszam" i
wycofała się. Wtedy wyskoczyłem
za nią z izdebki.

Zamknąłem za sobą szczelnie
drzwi. Staliśmy nad szemrzącym
strumykiem, żeglowała po nim
skorupa od jajka, kołysała się
podmywana falą: to właśnie
widziałem w tej chwili z
bezsensowną wyrazistością.
Spytałem:

- Pani coś ode mnie chciała?

- O, nieważne. - Zaśmiała się
sztucznie. - Teraz już nieważne.

- Dlaczego?

- Myślałam, że jesteś chory.
Chciałam się dowiedzieć, co ci
jest.

Więc to miało się stać teraz.

- Jestem chory - powiedziałem.

- Ale niepotrzebnie się
niepokoiłam, opiekę masz.

To miało się stać teraz. Pełna
kieszon pieniędzy. Dreszcze
przybierały na sile.

- Zaraz będę miał atak -
powiedziałem.

Zmierzyła mnie surowym
spojrzeniem.

- Sądziłam, że jesteście
narzeczeństwem. Okazuje się, że
twoja panna wzorem moralności

nie jest. - Zacisnęła cienkie,

pokryte szminką wargi. - Nigdy nie widziałam podobnej demoralizacji! Radziecki człowiek na coś podobnego by sobie nie pozwolił. Oburzające! - Ponieważ milczałem, spytała: - Jutro będziesz zdrów?

- Chyba będę musiał pójść do szpitala.

- Trzęsiesz się jak galareta.

- To się zaczyna, Wiera Antonowna. Widzi pani sama.

- Ona cię doprowadzi do ruiny - mówiła kierowniczką. - Te młode nie znają miary.

Obsypię ją perłami.

Pantofelki, jakiegokolwiek, i spódnica.

- Jeśli do jutra mi nie przejdzie - powiedziałem - pójde do szpitala. - Zaczyna się atak, pani widzi.

- Widzę. Winszuję niańki.

Wróciłem do izdebki.

- Po co przyszła? - spytała Lena.

- Zobaczyć, co mi jest.

Wścieka się. - Szczekałem zębami. - To się zaczyna - Lenka. Już się zaczęło.

Podawała mi bez słowa battle_dress. Potem kazała mi się położyć. Usłuchałem, a ona otuliła mnie szczelnie płaszczem. Ale było nadal zimno. Pod górą płaszczy, byłoby tak samo. Szczekając zębami mówiłem, albo tylko myślałem, że mówię:

- Ogolą mi głowę. Oni zawsze tam gola głowy. Nie będziesz chciała na mnie spojrzeć. Potrzebna ci spódnica, najlepiej granatowa. Nic dla ciebie nie mam. Nic nie mogę ci dać. Czy smakowała ci morwa?

Usłyszałem:

- Bardzo.

I poczułem jej chłodną dłoń na moim czole.

W kilka dni po powrocie ze szpitala stanąłem przed sądem, oskarżony o opuszczenie dnia

pracy bez usprawiedliwienia. Leny nie było - jeszcze podczas mojego pobytu w szpitalu wyjechała z koleżankami do kołchozu na okopywanie kartofli.

Poszedłem do sądu z Zygmuntem, którego zgłosiłem na świadka. Ten sąd to był mały, ciemny pokój o odrapanych ścianach. Ławka, na której usiedliśmy, musiała pochodzić z jakiejś szkoły, bo była pokryta różnymi nazwiskami i kilkoma sercami przebitymi strzałą. Naprzeciw nas, pod ścianą, na której wisiały urzędowe portrety, stał długi nagi stół, a za nim cztery krzesła. - Trochę tu ascetycznie - szepnąłem do Zygmunta. - Ty byś chciał, żeby były kwiaty? - Więcej ciepła dla podsądnego - na to ja. - Chce ci się żartować - mruknął on. Denerwował się bardziej niż ja, tarł ręce i pochrząkiwał.

- Aleś mnie wplątał - mówił. - Po chorobęś mnie wplątał? Mało mam kłopotów? Powinienem leżeć w łóżku, gardło mnie boli. - Chrząknął. - Słyszysz? Nie mogę mówić.

- Wyleczę cię spirytusem - obiecałem.

- To co ja mam mówić?

- Prawdę. Poświadcz, że jestem malaryk. Przecież wiesz, że miałem w szkole malarię.

- No chyba. Aleś mnie wplątał...

Jednoręki woźny zawołał:

- Wstać! Sąd idzie!

Weszło troje. Zasiedli. Mogłem im się przyjrzeć: w środku tęgawy i łysy mężczyzna w aksamitnej bluzie, po jego prawej stronie młody, zezowaty

Uzbek z wąsikami, w tiubietejce na głowie, po lewej wystraszona kobiecina w chuście, spod której wyglądały kosmyki siwych włosów. Mężczyzna w aksamitnej bluzie przeglądał z surową miną papiery.

- Kto są ci po bokach? - spytał szeptem Zygmunt.

- Ławnicy.

- A gdzie jest prokurator?

- Sędzia wystarczy. Drobną sprawą.

- A obrońcy? - dopytywał się Zygmunt, który studiował prawo w Clermont_Ferrand.

- Sam się będę bronił. Sprawa jasna jak słońce. Ty mów tylko, że wiesz, że jestem malaryk.

Chodzi o jeden nie usprawiedliwiony dzień - szeptałem. - Na następne mam zaświadczenie ze szpitala.

- Cisza! - upomniał woźny.

Łysy w aksamitnej bluzie przystąpił do procedury. - Oskarżony Bergen! - Wstałem. Łysy sprawdził dane, a następnie powiedział:

- Fabryka win i wódek numer cztery wniosła przeciw wam skargę o samowolne opuszczenie dnia pracy w dniu siedemnastym maja tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku. Czy przyznajecie się do tego, że siedemnastego maja nie stawiliście się do pracy?

- Nie stawilem się, bo byłem chory.

Patrząc w dal, gdzieś ponad mną, łysy w aksamitnej bluzie mówił monotonnym głosem:

- Zgodnie z obowiązującym ustawodawstwem, powinniście mieć zwolnienie lekarskie.

- Złożyłem zwolnienie lekarskie w kancelarii fabryki. Oto odpis.

Wyszedłem z ławki, podałem aksamitnemu odpis i wróciłem na

miejsce. Ale nie miałem dobrych
przeczuć. Aksamitny zerknął na
papiererek i powiedział, wciąż tak
samo monotonnie, jak zepsuta
płyta:

- Zaświadczenie niniejsze
opiewa na dni od osiemnastego,
do dwudziestego trzeciego maja
włącznie. Oskarżenie zaś dotyczy
dnia siedemnastego maja.

Próbowałem tłumaczyć jak
człowiekowi:

- Zaświadczenie to potwierdza

jednak, że rzeczywiście
chorowałem w tym okresie na
malarię.

PUścił to mimo uszu.

- Czy siedemnastego
stawiliście się do pracy?

- Nie.

- Aleś mnie wplątał -
usłyszałem brzęczenie Zygmunta.

- Czy posiadacie
zaświadczenie, że siedemnastego
maja byliście chorzy?

- Przedstawiłem zaświadczenie,
z którego wynika, że następnego
dnia byłem tak chory, że
natychmiast wzięto mnie do
szpitala. Malaria ma swój okres
inkubacyjny i ataki febry
wzrastają stopniowo.

- Te szczegóły nie mają dla
sądu znaczenia.

Krzyknąłem:

- Proszę o powołanie biegłego
lekarza.

Łysy w aksamitnej bluzie
szepnął coś ławnikom. Kobieta w
chuście zatrzepotała powiekami,
zezowaty Uzbek łypnął okiem.
Oboje skinęli głowami. Aksamitny
wtedy ogłosił:

- Sąd po naradzie odrzuca
wniosek oskarżonego.

Zygmunt siedział blady, palce
mu się trzęsły. Powiedziałem:

- Świadkiem mojej choroby był
ten tu obywatel, a także
kierowniczka oddziału
winno_spirytusowego, obywatelka

Wiera Antonowna Popowa. Proszę o przesłuchanie tych świadków.

Niepotrzebnie z tym wyskoczyłem. Wiera Antonowna, jeśli ją zawezwą, wspomni, że zastała u mnie Lenę, będzie usiłowała udowodnić - i z tym aksamitnym jej się to uda - że nie przyszedłem do pracy dlatego, że miałem w domu dziewczynę. Aksamitny, odbywszy naradę z ławnikami podobną do poprzedniej, wyrecytował:

- Towarzyszka Popowa została już poprzednio zgłoszona jako świadek oskarżenia. Następnie jednak powództwo zrezygnowało z

zeznań świadków. Sąd nie widzi potrzeby ponownego powoływania obywatelki Popowej...

- Ten oto obywatel... - zacząłem i wskazałem na Zygmunta.

- Sąd staje na stanowisku, że sprawa nie wymaga przesłuchiwania świadków.

Wyciągnąłem do Zygmunta rękę:

- Możesz iść do domu.

- Adieu - powiedział. - Głupia historia. - Zygmunt podszedł do stołu sędziowskiego. - Proszę tu potwierdzić, że byłem w sądzie, bo jutro mnie będą się czepiać.

Aksamitny podpisał mu zaświadczenie. Po wyjściu Zygmunta zwrócił się do mnie nawet dość przyjaźnie:

- Czy oskarżony jest w stanie przedstawić odpowiedni dokument?

- Nie.

- Sąd udaje się na naradę.

Zostałem sam, nawet woźny wyszedł. Łysy wszedł raz, spojrzał na mnie jakby z odrobiną zrozumienia, spytał:

- No to jak z tym zaświadczeniem?

Odpowiedziałem z uśmiechem: nie mam. Potem oglądałem w zamyśleniu portrety na ścianach. Podczas ogłaszania

wyroku ławników już nie było.
Staliśmy naprzeciw siebie tylko
my dwaj - sędzia i ja. Jednoręki
woźny sterczał w drzwiach.

Usłyszałem sentencję:

- Oskarżony Bergen skazany
zostaje (paragraf... artykuł...)
na grzywnę przez potrącenie na
rzecz skarbu państwa dwudziestu
procent zarobków w ciągu pięciu
kolejnych miesięcy. - Kara
symboliczna, pomyślałem, nie ma
się czym przejmować. - W razie
powtórzenia się przestępstwa -
teraz wytężyłem słuch, nie
podał mi się ten dodatek,
zapowiadał coś groźnego - kara
zamieniona zostanie na półtora
roku więzienia.

Lekkie klucie w okolicy serca.
Nie przelewki, trzeba się mieć

na baczości. Pokonało mnie
babsko. Pchnąłem drzwi ciemnego
korytarza i znalazłem się w
oślepiającym świetle ulicy.
Dopiero po chwili wyłoniła się
ze światła Wiera Antonowna:
stała w cieniu morwy, w
przyzwoitym ciemnoszarym
kostiumie i rozmawiała z
wysokim, smukłym oficerem.
Skinęła na mnie ręką wołając:

- Jak ci poszło, Bergen?

Nakazałem sobie spokój.

- Wygrała pani - powiedziałem.

- Ja? Dlaczego ja? Proszę, nie
mieszaj mnie do tego. Z
oskarżeniem wystąpił zakład
pracy. - Zachowywała się, jakby
rzeczywiście jej to wszystko
było obojętne. - Więc jak?

- Pięć miesięcy po dwadzieścia
procent.

Uśmiech pełen lekceważenia.

- Co to dla ciebie znaczy,
takiego bogacza? - Podejrzenia
mnie o nie wiem jakie nadużycia,
pomyślałem bezradny. -

Powiedziała z nagłym ożywieniem:

- A wiesz, że od jutra wracasz
do naszego oddziału?

Ma amanta, pomyślałem,
przyglądając się smukłemu
oficerowi.

Nie podziękowałem. Ukłoniłem
się.

- Muszę już iść.

- Pamiętaj, jutro wprost do
nas. Pojedziesz do Soczaku po
surowiec!

Odchodząc, słyszałem, jak
mówiła do oficera:

- Nasz robotnik. Naruszył
dyscyplinę pracy.

Wracałem do izdebki bez
pośpiechu - nic mnie tam nie
ciągnęło. Ale była Lena! Kiedy
pchnąłem drzwi, zerwała się z
pryczy, z jej kolan stoczyła się
książka. Chwyciłem moja
dziewczynę w objęcia i tuląc do
siebie myślałem: zaraz się
rozplacę. Dopiero teraz
poczułem bolesne upokorzenie
sądu. Wróciła, wróciła do mnie -
i tylko to było w moim gorącym

szepcie.

- Spójrz, jakie mam ręce -
powiedziała.

Były czarne i pokaleczone.
Przycisnąłem je do ust.

- Gdzie się włóczysz? -
spytała z wymówką. - Czemu na
mnie nie czekasz?

- Włóczę się po sądach. -
Zdobyłem się na uśmiech. -
Miałem proces o tamten dzień.

- Znowu mnie objęła, tym razem
zarzuciwszy ręce na szyję.
Przyciskając twarz do jej
policzka oznajmiłem jej wyrok.
Jej ręce zacisnęły się mocniej.

- To przeze mnie -
powiedziała.

- Nie, przez nas.

Dodałem zażenowany:

- Ale Wiera Antonowna bierze
mnie z powrotem do siebie. Kręci
się koło niej jakiś przystojny
oficer.

Poczułem wilgotne usta na
moich ustach.

- Świetnie, synu, teraz będziesz miał spokój. ZObacz! - zawołała podniecona. - Zobacz, co ci kupiłam.

Zdjęła z gwoździa granatową płócienną bluzę. Ałajski bazar w Taszkencie, przypomniałem sobie, bluza, która pachniała smarem i cudzym potem.

- Nawet nie dziękujesz - bąknęła.

- To dlatego, że miałem kiedyś podobną. Tylko tamta była brudna i stara. Wyrzuciłem ją po komisji.

- Będziesz mógł oszczędzać dress.

Byłem wciąż tam, na bazarze, bosy i gniewny.

- Wyglądasz - powiedziała przypatrując mi się, jakbyś się bał mojej bluzy.

Odgadła, pomyślałem.

- Nie, nie boję się - uspokajałem ją i siebie. Ta jest nowa. I od ciebie, przyda się na pewno. - Wyjąłem z kieszeni placek i przełamałem go na pół. - Podjemy sobie. Zarobiłaś coś w

kołchozie? Zdaje się, że trochę przytyłaś. Ile kosztowała bluza?

Nie odpowiedziała. Wyjąłem pieniądze.

- Ile? - spytałem raz jeszcze.

Powiedziała zakłopotana:

- To miał być prezent.

- Dobrze - powiedziałem nie od razu. - Dziękuję ci.

Pomyślałem: zaraz będzie płacz.

Lena siedziała na materacu z podkulonymi nogami i zwieszoną głową. Kiedy nachyliłem się nad nią, odwróciła się i schowała twarz w kołdrze, której używaliśmy zamiast poduszki. Teraz byłem już pewny: zaraz będzie płacz. Wszystko według najbardziej wytartych schematów. Nawet ta poduszka: jak w paryskim

hoteliku.

Nadeszła Nisso, przyniosła gorące jeszcze placki pszenne i pachnące surowizną ogórki. Nie, to nie nędzny hotelik z filmów Marcela Carné, całe szczęście. Uśmiechnąłem się do małej Nisso dżon jak do zbawczynie. Lena nie podnosiła głowy z kołdry. Nisso taktownie nic nie zauważała, wyszła bezszelestnie, a ja podszedłem do podłużnego okienka. Za nim, niby figura w witrażu, dziewczynka płynęła ścieżką, krokiem tanecznym, kołysząc biodrami jak dorosła. Kozy pasły się w bujnej trawie. Obok pnia pierwszej topoli mrugało wschodzące słońce. To stało się po całej nocy snu, o świcie - próbowałem utrwalić w pamięci. Rozległo się wycie syreny fabrycznej. Szepnąłem:

- Lenka.

Siadła na pryczy, ale wciąż nie umiała mi spojrzeć w oczy.

- Spójrz na mnie - poprosiłem.

Spojrzała - i zaraz opuściła wzrok.

- Nie martw się - szepnąłem. - Kocham cię.

KIwnęła kilkakrotnie głową.

Tak_tak, tak_tak, kochasz.

- Pobierzemy się - mówiłem. - Jedz placki. Zobacz, młode ogórki.

Tak_tak tak_tak. Nagle odezwała się:

- Jak to się stało?

Odpowiedziałem zmieszany:

- Zdawało mi się, że chcesz.

- Myślałam, że będzie jak wtedy.

Stałem w poczuciu winy i zarazem pełen wątpliwości. Już lepiej, żeby płakała! Już lepiej, żeby wybuchnęła gniewem! Włożyłem placek do kieszeni: był gorący, parzył biodro.

Powtórzyłem:

- Zdawało mi się, że tego

chcesz.

Wargi jej drżały, z trudem powstrzymywała się od płaczu. Właściwie to mnie to wszystko obraża. Powiedziałem:

- Nie wiedziałem, że będziesz mieć aż taki żal.

Wstała i dotknęła leciutko mojego ramienia.

- Idź do pracy. Ja tu zostanę, posprzątam.

- Będę zaraz przejeżdżać ciężarówką.

Zawsze wybiegała z izdebki, ilekroć słyszała, jak nadjeżdżamy, i przesyłała mi promienny uśmiech.

- Jedziemy do bazy po wino - powiedziałem.

Milczenie. Milczenie. Wziąłem jej twarz w dłonie, uniosłem, ale ona odwróciła wzrok.

Pozwoliła się pocałować.

Milczenie. Milczenie. Znowu syrena wrzeszczy. Zobaczyłem siebie - nie wiem dlaczego, chyba przez tę syrenę - gaszącego pożar w szpitalu na Elektoralnej, obok Halina Grant, nad nami ciężki pomruk bombowców. Wyszedłem z izdebki. Niebo było czyste - jak wtedy. Moją dziewczyną jest nie Halina i nie Gina, tylko harda Ukrainka, komsomołka ze Lwowa. Spełniło się na wygnaniu, w czwartym roku wojny - moja

pierwsza kobieta, ja jej pierwszy mężczyzna - spełniło się i nie wiadomo, co z tym dalej robić. Tym bardziej, że zamiast hysterii i pieszczot, płaczu i czułości padło pytanie: "Jak to się stało?"

Ciężarówka była gotowa do drogi. Załadowaliśmy na nią sześć pustych beczek. Podałem Maszy przepustkę. Przy kierownicy zasiadła Fienia - była w nowych zielonych bryczesach wsuniętych w buty z

cholewami, na głowie miała
czerwoną chustę. Jak z plakatu,
pomyślałem, załamała się
dziewczyna.

- Znowu do nas? - spytała.

- Wedle rozkazu.

- Błado wyglądasz - zauważyła
z uśmiechem. - Po co rekordy
bijesz?

Czułem omdlałość w całym
ciele. Uśmiechnąłem się do
wspomnienia. Pochwaliłem się:

- Dźwignę cię jak zawsze.

- Nie dotykaj!

- Bo co?

- Bo tak. Za mąż wychodzę.

- Powinszować.

- I ciebie na wesele proszę.

Przyjdź, będzie wesele jak za
dawnych czasów. Wiera Antonowna
dwa wiadra samogonu ofiarowała.
I muzyka będzie: beznogi Wania
pośrodku stołu zasiądzie i na
bajanie nam zagra. Słyszałeś go
kiedy? Czarodziej! Niura z
gitara się obiecała. Zaśpiewamy
pieśni staromodne, długachne,
tęskne, na całe gardło.

Przyjdziesz?

- Bóg zapłać. Kto zaś ten
szczęśliwy?

- A kto jak nie Pawlik?

- Aha - powiedziałem.

Powtórzyłem: - aha. - I
pomyślałem z żalem: ten tępy
wyskrobek dla takiej wspaniałej
dziewczyny!

- Co ci się nie podoba? -
zachnęła się. - Mam czekać i
więdnać? Kto lepszy podleci? Na
froncie mężów nie hoduja, na

froncie im gałązki przycinają, a
to i cały pień podetną.

- Pawlik, spokojny chłopak -
odezwałem się. - Nie buszuje.

- Dałabym mu ja buszowanie! -
Dziewczyna zacisnęła olbrzymią
pięść.

- Co ci kupić? - spytałem. -
Parę talerzy?

- Obejdzie się. Przynies

trochę spirytusu, będę ci
wdzięczna.

- Zamówienie przyjęte.
- I gardło do picia.
- Obstaluję sobie.
- A teraz ładuj się do
szoferki. Tylko łapy przy sobie!

Nisupin i Biezzubow wspięli
się na platformę. Fienia
nacisnęła nogą starter.

- Przed twoją kibitką zwolnię
- obiecała.
- Nie trzeba.
- Twojej nie ma?
- Jest.
- Pewnie śpi utrudzona. Ech,
Boże mój!

- Nie śpi.
- To o co w końcu chodzi?
- Nie wyjrzy.
- Pokłóciliście się?
- Żebym to ja wiedział!
- Ja jednak zwolnię -
postanowiła Fienia.

Wyjechaliśmy na ulicę.
Ciężarówka podskakiwała na
wybojach.

- Nie widać jej - mruknęła
Fienia patrząc przed siebie.
- Nie widać - potwierdziłem.

Fienia zmieniła bieg, silnik
zagrał mocniej, nacisnęła
sygnał. Zbliżyliśmy się do mojej
lepianki, wprost pod uchylone
drzwi. Rozwarły się naraz i
ukazała się Lena - w spodniach i
moim battle_dressie.
Rozczesywała opadające na plecy
włosy przesyłając mi bezradny
uśmiech.

- Stój! - zawołałem.
Fienia szarpnęła hamulec, na
górze stuknęły puste beczki,
Nisupin i Biezzubow zaklęli.
Wyskoczyłem z szoferki i

pobiegłem do Leny.

- Z nami, panienko! -
zawołałem chwytając ją za rękę.
- Proszę!
Zawahała się. Poprosiłem:
- Jedź, Lenka, jedź z nami.

Zobaczysz, jak ładujemy beczki.
Nigdy tego nie widziałaś.

Pociągnąłem ją za sobą do
samochodu. Usiadła obok Fieni, a
ja wskoczyłem na platformę.

Stałem obok Nisupina i
Biezzubowa, opierając się dłońmi
o dach kabiny i poddając twarz
pędowi powietrza. Puste beczki
klekotały i biły po nogach. Nie
czułem nic, wyśpiewywałem arie,
monologi, melodie zapomniane,
strzępy wierszy wybuchały z
pamięci jak miny na donieckich
śniegach, a może wszystkie te
pieśni i słowa sam komponowałem,
może te rytmy były i nie były,
grały w mózgu i tętnicach,
rozbrzmiewając w świecie
nierzeczywistym, w świecie
maligny i fantasmagorii, w
którym drgają lśnienia złotych
pantofelków, czarują jedwabną
czernią cylindry, skowyczy
romans, szaleje blichtr i
głupota, pan prezes rzyga
szampanem, pan generał wybałusza
oczy na rozfalowane rzędy łydek
- nic nie wiedzieli, o wszystkim
zapomnieli, o wszystkim, co
miało nastąpić. Ciężarówka
pędziła, beczki podskakiwały,
silnik brzęczał, w szoferce
siedziała moja dziewczyna, moja
pierwsza kobieta.

Schyliłem się do okienka
kabiny i zobaczyłem Lenę w
beztroskiej pogawędce z Fenią.
Baby zawsze jakiś wspólny temat
znajdą. Ciekawe o czym tak
plotą. Jesteśmy.

Zajechaliśmy półkolem na plac
sowchozu_winnicy. Z baraku
sypnęli się robotnicy, Żydzi z
Polski. Zaraz mnie otoczono:

- To twoja dziewczyna?

- Uwaga - przestrzegłem - ona
jest z Polski. Niemiecki też
zna. - Nie mogłem się

powstrzymać, żeby jej nie
chwalić: - Zna sześć języków.

Usłyszała to i popatrzyła na mnie z wyrzutem. Jakiś zarośnięty szpakowatą szczecina mężczyzna w starym popielatym kapeluszu podszedł i cmoknął Lenę w dłoń.

- Pani pozwoli, magister Epsztajn. Mój ojciec miał kancelarię adwokacką na Akademickiej, może pani słyszała?

Nisupin zawołał:

- Bożek, do beczek!

Dałem teraz pokaz sprawności - dla niej. Sam wtaczałem beczki na górę, sam je na platformie rozstawiałem ciężko opuszczając z półsutorcu na podłogę ciężarówki, aż podwoziem kołysało. Pot mi wystąpił na czoło, grały mięśnie na barkach i w ramionach, i było w tym szczęście, że są takie silne, takie posłuszne i śmiałe.

Wieczorem, kiedy w mrocznej, pachnącej herbacianym naparem czaj_chanie jedliśmy szaszłyk z białymi plackami, Lena mówiła:

- Miała rację, ta Wiera Antonowna. Do twarzy ci z beczkami.

- Nie wiem, czy mi do twarzy. Wiem, że potrafię tyrać. Nie musisz się bać. Wszystko będzie dobrze.

- Jor_jor kiedy będzie? - spytał Karim podchodząc z czajnikiem zielonej herbaty. Był szczupły, wyrośnięty, miał lat siedemnaście i zdaje się, że nas wyróżniał.

- Czyj jor_jor? - spytała Lena.

- Siostry i Bożka.

- Po wojnie - burknęła Lena. - Jeszcze placek Karim_dżon.

Karim odszedł po placek, po chwili wrócił.

- Powrót męża Maszy słyszał? - zapytał z uśmiechem. - Dwa męża przyjechali urlop z front: mąż Maszy i mąż LIzy. Znasz LIza?

- Znam, jest miła -
odpowiedziałem. Pracowała w
chemicznym i kiedy rozerwały mi
się spodnie, wylatała je
kawałkiem worka.

- LIza i spokojna kobieta,
powiedział Karim. - Zakonnik
kobieta. A Masza bladź! Każdy
ispał. Saidow ispał, Bachtiejew
ispał.

- A ty? - spytałem.

- Ja też. Bladź, bez pieniędzy
z mężczyzna ispał. Dwa męża
wracają i co? Na LIzy dom wielki
awantura. Ty to, ty tamto, ty
mężczyzna ispał_ispał. LIza
płacze, boży się, mąż nie
wierzy, krzyk_krzyk: ja na front
z Nemyslar wojuję, ty
izdradzasz. Mocno LIza pobita. A
na Maszy dom ani jedno kwaśne
słowo, miłość, mąż bardzo
zadowolony, kocha. Taki iswiat.

- Jaki z tego morał? - spytała
Lena, kiedy Karim odszedł.

Nie miałem na poczekaniu
odpowiedzi.

- Chyba żaden - powiedziałem.

- Obrazek z życia, nic więcej.

- Który z nich kocha? Któremu
żona jest obojętna?

- Nie wiem. Jeden jest
sangwinik, drugi więcej filozof.

- Kobiety powinny sobie coś z
tego wynioskować.

- Nie - powiedziałem - to jest
opowiastka o mężczyznach, nie o
kobietach. Jeden ma gorącą
wyobraźnię, drugi senną i trochę
wygodnicką. Jednemu domysły nie
dają spokoju, drugi ich do
siebie nie dopuszcza. Powiem ci
więcej: mąż LIzy ten, który bił,
sam miał pod Stalingradem
frontową babę i uważa, że jest w
porządku: wojna, ołowiany
deszcz, zagrożone życie. LIza o
niej wie, mimo to była mu
wierna.

- On wróci do tamtej?

- Możliwe. Jeśli jednostka
będzie gdzieś niedaleko.

- I pobije tamtą też?

- Na pewno. On to ma w rękach.

- Chwilę jej się przypatrywałem.

- Kiedy się do mnie
przeprowadzisz?

- Dlaczego ci to przyszło do
głowy?

- Chyba to naturalne. -
Uśmiechnąłem się do niej
zwycięsko. - Teraz musisz.

- Wcale nie muszę.

- Ależ tak. Teraz jest
inaczej.

Odpowiedziała stanowczo:

- Wcale nie.

Milczałem urażony. Potem
powiedziałem:

- Myślałem, że to jakaś zmiana
w twoim życiu. Że to się liczy.

- Nie mówmy o tym. - Po chwili
mówiła z ożywieniem: - Niedługo
egzaminy. Potem zaczynają się
studia. Nic się nie zmieniło,
Bożek. Będę nadal do ciebie
przychodziła. Czy ci to nie
wystarcza?

Nadałem się:

- Nie.

- Powinno wystarczyć, synu.

Jadła z apetytem szaszłyk. Od
czasu do czasu podnosiła wzrok i
próbowała uśmiechem dodać mi
otuchy. Położyła swą poczerniała
i podrapaną od pracy w kolchozie
dłoń na mojej dłoni i poprosiła:

- Więcej o tym nie mówmy,
dobrze?

Część druga (c.d.)

W butach

8

Wiedziałem, że zastanę ją u
Zygmunta. Zygmunt wciąż jeszcze
był palaczem w kuchni szpitala
gruźliczego, skąd przynosił opał
i menażki z zupą, natomiast
Jula, jego żona, zmieniła pracę,
została wychowawczynią w
sierocińcu polskim i opuściła
mieszkanie braci oraz gorące
dysputy na temat odwyszalni
miejskiej. Słusznie uznała to za

awans towarzyski, szczególnie wśród społeczności uchodźców z Polski. Ruda Jula, chociaż musiała ciężko pracować, była

roztrzepana i niepraktyczna, pojęcia nie miała o sprawach kuchni, więc Zygmunt zaproponował Lenie, żeby jej czasem pomagała. Mieszkali również na Pendżikient_kuczasi, tylko bliżej rynku.

Z fabryki wyszedłem głodny. Nie dowieziono dziś chleba, piekarnia nawaliła. Jak na złość, przed bramą nie było ani jednego sprzedawcy placków. Jutro ceny podskoczą do góry (spadną za to ceny odzieży - tego zjawiska nie znali dotychczasowi ekonomiści: kiedy chleb szedł w górę, następowała zwiększona podaż odzieży na bazarze i spadek jej cen). Ściskając pieniądze w garści dotarłem do swojej kibitki, stałem chwilę przed drzwiami - oczywiście rzeźbione, nawet taki śmieć musi mieć ornament - nie wszedłem do siebie, pobiegłem w dół Pendżikient_kuczasi do mieszkania Zygmunta. Może ja zastanę...

KUcała przy saganku stojącym na ceglach. Mieszkała w nim zupełnie długą drewnianą chochlą. Nie odpowiedziałem na jej porozumiewawczy uśmiech. Spojrzałem ponuro na saganek.

- Gotujesz?

- Zupę na soczewicy. Zdaje się, że nie dosoliłam.

Zabrała się do krajania cebuli. Wycierała wierzchem dłoni załzawione oczy.

- Muszę pomyśleć sobie o czymś smutnym, żeby nie płakać na próżno - zażartowała. - Czemuś taki pochmurny?

- Gotujesz - powiedziałem cicho, ale ze złością.

- Widzisz przecież.

- Dla nich to gotujesz.
Obejrzała się: Jula była wewnątrz domu.
- Za kolację - zwierzyła się Lena.
- Psiakrew!
- Co cię ugryzło? - Sama się domyśliła. - Głodny jesteś?

- Wścikie - przyznałem. - Naharowałem się jak dziki osioł, a chleba nie przywieźli.
- Może Jula ma placki na sprzedaż.

Jula wyszła do nas na podwórze. Miała na sobie buraczkowy, wytarty szlafrok. Rudawe włosy skręcone były papierowymi papilotami. Kiedy Lena spytała ją, czy nie ma placka na sprzedaż, Jula zaczęła dyplomatyczną grę.

- Pieczywo skoczyło dziś w cenie - zaznaczyła.

- Sprzedaj placka Bożkowi.

Jula zniknęła w izbie.

- Mogłabyś o niego trochę zadbać - zrzędziła pojawivwszy się na ajwanie. - Trzydzieści rubli, Bożek. - Placek, który mi podała, był ciężki i ubity. - Widziałam dziś, jak brali po trzydzieści pięć. Mogłabyś o niego zadbać, chodzi głodny i obdarty.

Lena milcząc podsmażała cebulę. Pochłonałem błyskawicznie swój placek.

- Już dobrze? - spytała moja dziewczyna.

- Nie.

- Wciąż jeszcze głodny?

- Nie, głodny już nie jestem.

- Gotowe, Julciu - powiedziała Lena. - Spróbuj, czy ci to odpowiada. Wolałam nie dosolić.

Jula nachyliła się nad sagankiem. Szlafrok jej się rozwiązał i wyjrzały obwisłe, pokryte piegami piersi. Chłepnęła głośno zupę.

- Robisz cuda - powiedziała z

uznaniem.

Nadszedł Zygmunt, już na progu badawczo pociągnął nosem.

- O, soczewica. Ja się nie dziwię, że Ezaw oddał za nią pierworództwo. Mogę być zawsze tym młodszym, byleby mi nigdy nie brakło soczewicy. Moje gardło... - Dotknął palcami kośćcistego jabłka adamowego, odchrząknął ostentacyjnie. - Niedobrze...

Potem nachylił się nad wiadrem i powiedział, niby bez aluzji, jakby do nikogo:

- Nie ma wody.

Lena ujęła puste wiadro. Zrobili z niej służącą. Hipochondryk, psiakrew, gardło go boli, nie może sam skoczyć po wodę. Rozsiadł się na ajwanie i rozsznurowuje buty - to też aluzja, oczywiście.

Pobiegłem za moją dziewczyną. Przecieliśmy ulicę i wspięli na pagórek. Wąską ścieżyną szliśmy do obłożonego kamieniami hauzu. Tam odebrałem mojej dziewczynie wiadro i zanurzyłem je w hauzie. Napełniło się zieloną wodą, w której pływały glony. Na powierzchnię wiadra rzuciłem, człowiek doświadczony, szeroki liść łopianu, żeby woda nam się nie rozpluskała. Wracaliśmy w milczeniu - ja przodem, ona za mną. Słyszałem leciutkie stapanie jej bosych stóp. Mówiła śpiewnie:

- Biedny jesteś, synu. Wpadłeś ze mną.

Wściekłem się:

- Przestań!

Postawiłem wiadro na ścieżce i wybuchnąłem:

- On tą wodą umyje nogi!

- Przecież do tego jest woda.

- Ale ty ją dla niego nosisz!

- No to co?

- Ja nie chcę! - krzyknąłem. -

Zrozum. - Przekonywałem ją, ale zdaje się, że nie rozumiała, dlaczego się wściekłem, co mnie boli. - Ja nie chcę!

- "Chcę - nie chcę", Bożek, nie bądź dziecinny. Robię wszystko, co jest potrzebne w gospodarstwie.

- Ale po co? Po co ci to?

- Za kolację - przypomniała. - Już teraz wiesz? Czasem dostaję i obiad. Dzięki temu Natałka może jadać więcej, bo zostawiam dla niej obiad stołówkowy. Już teraz rozumiesz?

- Rozumiem, w porządku, ale po

co ci do tego oni? Możesz przecież gotować dla mnie.

- To by było co innego.

- Nie.

- Całkiem co innego.

Poczułem się bezsilny.

Spytałem:

- Przyjdiesz dziś do mnie?

- No pewnie, że przyjdę. Jakiś ty głupi. Skończę robotę, to przyjdę. Chodźmy, Mój pan czeka.

Dźwigając wiadro mamrotałem:

- No pewnie, pan czeka. Będzie zaraz mył nogi. Jak odchodziliśmy, zdejmował już buty.

- Czego się przejmować? Niech robi z tą wodą, co chce.

- Nosisz obcemu mężczyźNie wodę do nóg. MNie nie nosisz, tylko jemu. Wylewa tę wodę do miski i myje nią swoje brudne nogi.

- Mogę i tobie przynieść.

- Przestań, bo cię uderzę!

Wtedy moja dziewczyna powiedziała znużonym głosem:

- To uderz. Uderz mnie, Bożek, ale już nie męcz. Miej litość. JEst tak, jak musi być.

Tłumaczyła cierpliwie:

- Ja wiem, że oni mnie trochę wykorzystują. Ale ja tak wolę. Im bardziej mnie wykorzystują, tym lepiej. Wiem przynajmniej,

że nie jem za darmo.

Powtarzałem jak w malignie:

- Gotujesz im. Nosisz wodę.

Potem on nią myje nogi.

Chwyliła mnie kurczowo za ramię.

- No i co? No i co? Gwiżdż na to. Wieczorem przychodzę do ciebie. Wiesz, jaka lekka potem przychodzę do ciebie?

Przed ich drzwiami powiedziała:

- Daj wiadro, lepiej, żeby nie widzieli, że mi pomagasz.

Potem przyglądałem się, jak Lena, siedząc na progu izby wcina zupę z soczewicy.

Opierając talerz na podołku przebierała bosymi, pokrytymi kurzem stopami po kamiennym

chodniku.

- Nie mogę cię nawet poczęstować - mruknęła. - Pomyśleliby, że cię tu specjalnie sprowadzam, żebyś się najadł.

- Czy to dobre? - spytałem.

- Im smakuje.

Ale ona była nazbyt zmęczona przygotowaniem tego, żeby odczuć smak. Powiedziałem:

- Nie myśl, że ja się na to godzę. Nie, nie godzę się na to. Nie mogłem patrzeć, jak pakował te swoje owłosione łydy do wody, którą ty przyniosłaś. Od razu zrobiła się brudna. Woda, którą ty przyniosłaś.

9

Zbliżała się zima. Od kilku nocy czułem już jej podpełzanie. Chłód wkradał się pod płaszcz i ziębił nasze ciała. Płaszcz, który latem tak miękko, szczerze nas przykrywał, stawał się z każdą nocą mniej przytulny. Spytałem:

- Dlaczego nie śpisz? Rozmyślasz?

- Nie. Tak, trochę. Chyba nie chce mi się spać.

- Nie masz gorączki?

- Nie.

- Marzniesz - domyśliłem się.

Świtało. Przez okienko nie zakradały się różowe promienie słoneczne. Widać było szare niebo, a w nim widlastą koronę morwy. Wysunąłem się z ramion Leny i otuliłem ją szczelnie płaszczem.

- Teraz lepiej? - spytałem.

Uśmiechnęła się blado. Siadłem na brzegu pryczy i zwiesiwszy głowę oglądałem plamistą mapę polepy.

- Co ty tam robisz? - usłyszałem.

- Myślę - odpowiedziałem. Ale nie była to zupełna prawda.

- Chodź do mnie.

- Nie, nie, daj pomyśleć.

Naprawdę powtarzałem sobie

tylko, że jest zimno i że trzeba coś z tym zrobić. Ale potem odezwałem się:

- Ta noc nie była dobra. - Ona nie zrozumiała. Wyjaśniłem: - Wiem, że marzłaś.

- Nie myśl o mnie - mówiła. - Przyjdę do bursy, to zagrzeję się pod kołdrą. Ale co będzie z tobą?

- Pójdę do pracy. Golnę sobie koniaku.

- Znowu?

- Trzeba. Włazimy bosy do pokrytej szronem prasy. Koniak i robota, to dosyć na rozgrzewkę.

- A potem co? - pytała.

- Wrócę z pracy.

- Będzie już ciemno.

- Zapalę kopciłkę. Poczytam Czechowa. Ty przyjdziesz.

- Może nie przyjdę. Muszę dopilnować Naty - jest zniechęcona do nauki.

- Więc nie przyjdiesz.

Przeczytam po raz czwarty "W parowie" Czechowa, potem golnę

sobie wódki i pójdę spać.

- Będziesz marzył.

- Tego się boję. Że nie zasnę.
Że będę kłął.

- Tylko nie mnie.

- Tego się boję: że będę kłął
wszystkich i wszystko.

Lena siedząc na pryczy otuliła
płaszczem ramiona.

- Świta, synu. Która to może
być godzina?

- Nie wiem. Bez słońca nie
orientuję się.

- Co to będzie, Bożek? Nie
możesz spędzić zimy w tej
kibitce.

- Mógłbym. Gdybym miał piecyk.
Piecyk by nas uratował.
Przebiłbym dziurę w dachu i
oblepił gliną.

- A jeśli nie dostaniesz
piecyka?

- Dostanę. Sierioża Kulas może
mi zrobić. Dawałem mu nieraz
spirytus. Powinien.

- Wolałabym, żebyś spędził
zimę w jakimś ciepłym, widnym
pokoju - powiedziała.

- Och, gadanie.

Rozmarzyła się:

- A po pracy, żebyś miał
gorącą zupę na stole.

- Czasem mam. Czasem
przychodzisz i gotujesz.

- Ale ja nie zawsze mogę
przyjść.

- Mówiłem: zamieszkać u mnie.
Wezmę się za tę izbę, doprowadzę
ją do lepszego stanu.

- Nie mogę, Bożek, nie mogę
synu, Nie mogę, nie mogę.

Usiłowałem sobie przypomnieć,
dlaczego ona nie może, ale w
ogóle to mi nie szło. Były
jakieś powody. Jakiś wstyd.
Jakieś wahanie. Jakieś
zależności. Ten ktoś, który raz
istniał, raz nie istniał, czasem
nawet miał jakieś imię, czasem
je tracił, ale może jednak
gdzieś tam był na stepach, wśród

ognia, może bez ręki,
stęskniony, wyczekujący Nikt.
Jakieś młodzieńcze plany.
Rodzice. Komsomoł. Lwów. Duma.
Zresztą wszystko jedno: tak musi
zostać. Już mi to kiedyś
powiedziała. Piecyk by może
wszystko rozwiązał.

- Postaraj się, Bożek.

Nie, tego było już za wiele,
wybuchnąłem:

- Przecież się staram! Staram!
Nic tylko się staram! I co z
tego wychodzi? Nie mogę cię ani
ubrać, ani porządnie wyżywić.
Gdybyś ze mną zamieszkała,
byłoby inaczej. Nie
głodowałabyś. - Nie odzywała
się. Dodałem chmurnie: - I mnie
byłoby lepiej...

Bąknęła coś o tym, że przecież
ja wiem. Naturalnie, wiem! Ale
ona też powinna wiedzieć.

Zarobiełm mnóstwo pieniędzy -
nie prowadziliśmy gospodarstwa,
przepuściliśmy je nie wiedzieć
kiedy - pieniądze, pieniądze,
kupa tego i nic nie zostało. Po
chwili milczenia powiedziała:

- Masz rację, to ja jestem
wszystkiemu winna. - Żałowałem
teraz swojego wybuchu, ale już

się nic nie dało cofnąć. - Ale
ja cię uprzedzałam. Mówiłam, że
nie będziesz miał ze mnie
pociechy.

Przypadłem jej do kolan, ale
ona mnie odepchnęła.

- Zostaw - powiedziała surowo.

- Nie zgrywaj się.

Nie zgrywałem się. Wstałem
obrażony.

- Nie kochasz mnie - mówiła
twardym głosem. - Kiedyś
kochałeś, ale to się skończyło.
Już mnie nie kochasz.

Wstała, podeszła do okienka.

- Podaj mi grzebień -
powiedziała nie odwracając
głowy.

Podaliśmy jej drewniany uzbecki

grzebień, przeglądając się w ciemnej szybie rozczesywała długie ciemnobrązowe włosy. Słodkawy zapach nafty, którą je zwykła myć, nappełnił izdebkę. Mówiła:

- Spójrz, jak szaro. Wkrótce włożę tamto stare, połatane palto. Znow będziesz miał do czynienia z tą Leną, na którą nigdy nie zwracałeś uwagi. Ta - jak ty mówiłeś - drewnianą.

Zaprotestowałem:

- Nie, tamto już nie wróci. Nigdy.

Odwróciła się ku mnie. Widziałem teraz jej oczy - były mądre, zbolące, śliczne w tym japońskim wykroju - i powtórzyłem w myśli: nie, tamto nigdy nie wróci. Usłyszałem jej niepewne słowa:

- Ja nie wiem.

- Nie wróci.

- W każdym razie - mówiła - dobrze by było, gdybyś znalazł jakiś ciepły kat. Przetrzeć zimę.

- Niura proponowała, żebym się do nich przeniósł - przypomniałem sobie.

Ręka z grzebieniem znieruchomiała we włosach.

- Jaka Niura?

- Kukuruzewa. Pracuje przy aparacie rektyfikacyjnym.

Mieszka z matką i synkiem. -

Dodałem: - Tęgawa blondynka.

Znowu rozczesywała włosy.

- Zastanów się nad tym - powiedziała.

- Nie ma się co zastanawiać! - złościłem się. - Dlaczego mi to proponujesz? Masz mnie dość?

Uśmiechnęła się, na policzki jej wystąpił lekki rumieniec.

- Nie chcę tylko, żebyś marzył.

- Chcę cię widywać!

- Nie złość się. Przecież się nie upieram. - Westchnęła. - Drzwi są absolutnie nieuszczelne.

Te uzbeckie zamknięcia! Nie wiem, czy piecyk tu coś pomoże. Ale nie złość się już. Ile razy rozpamiętuję twoją twarz - najczęściej przypominasz mi się, jak przygotowuję się z fizyki, to zawsze widzę cię chmurnym. Wciąż się na mnie złośćCisz.

- Przepraszam. - Próbowałem się uśmiechnąć.

- Nie szkodzi, synu. Ja się już przyzwyczaiłam. Ja cię nawet takim lubię.

Nie, tamto nigdy nie wróci. Lałem jej z kubka wodę na ręce.

- Pogadam dziś z Sieriożą - obiecałem. - Piecyk mógłby nas uratować. - Poczekaj miesiąc, to usłyszałem od Sierioży. Pokuśtykał do ciemnego kąta blacharni. Wrócił stamtąd z lśniącym płatem i spytał: - taka blacha by ci odpowiadała?

- Jakakolwiek.

- Ale musisz poczekać miesiąc.

- Nie mogę. - Sierioża trząśł jasną czupryną, ja rozpaczliwie tłumaczyłem: - Nie mogę czekać cały miesiąc. Dziewczyna mi marznie.

- Nic nie poradzę. Nie mam ani kawałka wolnej blachy.

- A ta?

- Z tej nie da rady - wyliczona. Może by mi się udało skombinować kawałek na bańkę.

- Niepotrzebna mi bańka, potrzebny mi piecyk. Dziewczyna mi marznie. Już dobrze, zamknij

dziób, wiem, że nie możesz. Tylko ci powiadam...

- Nie ciągnij jej do siebie.

- Sam w kubitce nie wytrzymam.

- Przenieś się dokądś na zimę.

- To jest myśl: ona też tak radzi. Ale nie, zaczekam chyba ten miesiąc.

Przyrzekł, że za miesiąc bierze się dla mnie do roboty. Poszedłem po swój koszyk: od

pewnego czasu wynosiłem w nim z fabryki drewniane szczapy dla mojej Aczil_Apa. Przechodząc przez wartownię zetknąłem się z Niurą. Też dźwigała koszyk ze szczapami.

- Masz piecyk? - spytała, kiedyśmy się znaleźli na ulicy.

- Kupię. Przebiję sufit i będzie dymić.

- Jakże ty tam żyjesz, w tej swojej jaskini - użalała się nade mną. - Jak niedźwiedź w jamie.

- Ano trudno.

- Ani opierunku, ani poczęstunku.

- Ano cóż. - Słuchałem tego i zrobiło mi się żal samego siebie. A zarazem przykro, że się nade mną litują i że to wszystko obraca się przeciw Lenie.

- Kto cię tam teraz czeka? - dopytywała się Niura. - Twoja panna?

- Dziś ma naukę.

- Ech, uczona! A chusteczki uprać nie ma komu.

- Sam mogę.

- Wstap do mnie, Bożek, zapraszam na naleśniki. Posiedzimy trochę, wypijemy, pogwarzymy.

- Można - zgodziłem się.

Pomyślałem: Nie zjem za darmo. - Zostawię te szczapy - odezwałem się.

Mieszkała w parterowych pawilonach naprzeciw fabryki. Kiedy otworzyła drzwi, buchnęło mi w twarz ciepłe powietrze przesycone zapachem oleju i świeżego ciasta. Na kafłowej

kuchni, w kącie bielonej izby, skwierczały na patelni platy naleśnikowe. Kobieta, która je smażyła, odwróciła się i ukazała twarz dobrotliwą, pomarszczoną. Podała mi zgrabiałą dłoń wprzód wytarłszy ją o fartuch.

- Andrejewna - przedstawiła się. Jakby jej imię nie było ważne, tylko imię ojca, z niego była cała. - Ciebie - spytała - jak wołają?

Niura śmiejąc się odpowiedziała za mnie:

-- Jego wszyscy tak samo: Bożek i Bożek.

- Posadź gościa - powiedziała Andrejewna. Wytarła ścierką taboret i podsunęła mi go. - Siadaj, nie pogardź. Po pracy pewnieś zmachany. Niura to wraca zupełnie zmordowana - mówiła. - Nie wiem, co wy jej tam każecie robić, pewno beczki na plecach za was chłopów taska, bo w domu palcem potem nie ruszy. Wszystko jej daj, podaj, a nałóż, a doleń.

- Zatrąkotała! - zaśmiała się Niura.

- Dużo ja u ciebie natrajkoczę? Z gościem pogadać wypada, a nie jak u dzikusów. Ty już, gościu, wybac, jeśli coś nie tak. My, Sybiracy, naród szorstki, więcej milczący, ale dobry. Dooobry! - zapewniła śpiewnie.

Rozpiąłem płaszcz:

- Gorąco tu.

- A ty go zdejmij.

Powiesiłem płaszcz na drzwiach i siadłem do stołu.

- Na tym łóżku śpi mój Wienia - objaśniła Niura. - Zaraz wróci ze szkoły. - Przystąpiła wprost do rzeczy: - spodoba ci się u nas, to zostań. Wienia będzie spał z babką albo ze mną. Za kwaterunek nie będziesz płacił. Naniiesz szczap i tyle. Piędzy, ile na jedzenie dać trzeba, powie ci Andrejewna. Nas troje, ty jeden, znaczy się czwartą część.

- Ja za trzech zjeść potrafię - burknąłem.

- Nie stawiaj się. Mama, podaj

kubki.

Niura wyjęła spod łóżka dzban z bragą i nalała do kubków.

- Nasze - powiedziała - fabryczne. Ciach go, Bożek!

- Ciach.

- Wypij, Andrejewna - zachęcała Niura, a oczy jej zmatowiały. - Wypij, mamasza, ja nie żałuję.

Andrejewna wypila zdrowie gościa. Potem Niura - znowu moje zdrowie. Wtedy nadszedł Wienia, dziesięcioletni blondas z ogoloną głową i zadartym nosem. Jąkając się i powtarzając słowa, zaczął opowiadać wściekle o jakiejś bójce.

- Nieprawidłowo oni! Ja bym im wszystkim pokazał - sam jeden! Ale oni z tyłu, hitlery przeklęte! A prawidłowo, to inaczej by poszło!

Niura zniecierpliwiła się:

- Zagadał bez związku.

Andrejewna, pochwal się zupą.

Jadłem kartoflanę z jednej misy z Niurą i Wienią.

Andrejewna przycupnęła obok z talerzem na kolanach. Ten szczeniak chłepcząc zupę siąkał nosem i odpychał mnie łokciem od misy. Niura zauważyła.

- Wienia! Ty, bratku, jak świnia jesz. Tobie z ludźmi przy stole nie siedzieć, ino ze świniami. Marsz jeść z babką.

Spojrzeliśmy po sobie, najpierw zdumieni, a potem wszyscyśmy wybuchnęli śmiechem. Najdłużej nie mogła utulić śmiechu Andrejewna. Znaczy się, niby, ona świnia! Tak to wychodzi: babka świnia. Aleś zawałiła, Niura!

Niura, mocno podchmielona, lała bragę do kubków. Ciach, Bożek. Wienia też dodawał: Wujciu Bożek, ciach. Andrejewna: zdrowie gościa. Zaczęło mi się kręcić we łbie. Ten szczeniak spytał:

- Wujciu, a ty na arytmetyce się wznajesz?

- Owszem.

- A o Puszkynie słyszał?

- Sporo.

- Ty byś potrafił za mnie lekcje robić?

- Sam rób.

- Ale potrafiłbyś?

- Mam nadzieję.

- A który naród na świecie najbardziej mądry?

- Każdy po trochu.

- Kłamiesz. Bo rosyjski. A ja ci zagadkę zadam...

Niura pośpieszyła z pomocą:

- Precz, Wienia, wuj Bożek nie twój koleżka. On mój - znaczy się - towarzysz fabryczny. Ja nie mówię, Bożek, że zaraz tam co. Ale jak chcesz - zostań, żyj z nami. Andrejewna, a gdzie naleśniki?

- Już idą.

- No to nalewaj, mama, brażkę, bo mnie się ręka trzęsie.

- Wlałaś się, Niura - powiedziała Andrejewna.

- Nie bez tego. Gość jest, nasz drogi Bożek. A ty wiesz, mama, kim u nas w fabryce jest Bożek? U_lu_bie_niec. Samej Wierze Antonownie, tej dziwce naczelnikowi, drzwi znaczy pokazał. Zostań u nas, Bożek. Przy Andrejewnie dobrze ci będzie. No?

- Pomyślę.

- Nie ma co długo myśleć.

Ciach i już. Wypij, Andrejewna. Ty, Bożek, nie myśl, że ja na ciebie dybię. Ja nie takich mogę mieć. Lederkremer, powiedzmy. Oczy czarne jak u Gruzina. A ja nie! Nie żeby całkiem nie, ale co to to nie. Wierzysz?

- No pewnie.

- Ty sobie tu mieszkaj, spokojnie mieszkaj, i tyle. Za to kiedyś napiszesz mi z tej swojej Arszawy, że niby podziękować wam, Anno Iwanowno Kukuruzewa, za to, że wyście mnie, Bożkowi takimusiakiemu, w potrzebie pomogli. Napiszesz?

- Lotniczym poleconym.

- Ty spokojnie mieszkaj.

Spotykaj się z tą swoją panną -
mnie nic do tego - mnie się z
nią nie równać, kudyż tam, ona
uczona, młoda - daj wam Bóg
szczęścia. Szczapy, trochę
grosza na koryto, i mieszkaj
sobie, całkiem bezpłatnie
mieszkaj.

- Dobrze Niura mówi - wtrąciła
Andrejewna.

Wienia krzyknął:

- Ale ze mną zadanie musi
odrobić!

Niura rozzłościła się!

- Paszoł won!

Jedliśmy z apetytem pachnące,
syberyjskie naleśniki. Ciach i
ciach. Niura zdjęła ze ściany
gitare. Brzdąknęła i wszyscy się
uciszeli. Zaczęła śpiewać
gardłowym głosem cygańskie
pieśni. Śpiewała o Lenie. Wcale
o tym nie wiedziała, że śpiewa o
Lenie, dumnej dziewicy w
niedostępnym terenie. Gdybyż
ciemna noc! Gdybyż trójka
rącznych koni! Potem śpiewała
pieśń o dziewczynie, która leży
do rana w objęciach ukochanego
przy ognisku. Ognisko dotliło
się i zrobiło się zimno. Znowu o
Lenie! Wszystkie pieśni świata
są o niej. Wszystkie wiersze,
dramaty, powieści - o mojej
dziewczynie.

Niura zawołała "ech, życie!" i
brząknęła gitarą po raz ostatni.
Braga stygnie - przypomniała.
Podniosłem się.

- Na ostatnią nogę -
przypomniałem sobie tutejsze
powiedzenie.

Wypiwszy włożyłem płaszcz.

- Gorąco tu u was. - Była w
tych słowach pochwała.

Otwierając przede mną drzwi
Niura spytała:

- Przeprowadzisz się do nas?

- Jeszcze nie wiem.

- A kiedy będziesz wiedział?

Kiedy, kiedy? - usiłowałem
zebrać myśli. Przesunąłem
palcami po swoim czole: było

spoczone.

- Jak wytrzeźwieję -
powiedziałem.

Niura krzyknęła za mną:

- Bożek, koszyk!

Machnąłem ręką. Zimny wiatr
siekł mnie po rozognionych
policzkach.

10

Czekałem na nią w mrocznej,
pustej czaj_kanie, po której
bezszelestnie krążył Karim. W
ciemnej niszy posapywał samowar.
Karim zbliżył się i poprawiając
zatłuszczonymi palcami
tiubietejkę na głowie spytał:

- Czajnik?

- Zaczekaj, Karim.

- Siostra przychodzi?

- Tak. Zrobisz nam dwa
szaszłyki.

Karim przyniósł od razu
talerze.

- Placki? - spytał.

- Dużo placków. Cztery, pięć.

- Brat smutny.

- Co tu jest wesołego?

- Siostra przychodzi, zjada
szaszłyk, dużo śmiech, dużo
mówić, twoja wesoły.

Przymknąłem oczy. Zaraz Lena
zjawi się we drzwiach. Będzie
miała na sobie granatową
spódnicę i białą bluzkę; opalona
twarz, uśmiechnięte skośne oczy;
łagodny owal ruchliwego
podbródka; smukła szyja; pod
białą bluzką śniade, szczupłe
ramiona.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem
Lenę w drzwiach. Była w
spodniach i szarej kurteczce z
wytartym króliczym kołnierzem.
Kiedy usiadła przy mnie,
widziałem, że jej twarz
zszarzała z zimna. Ściągnęła z

dłoni brezentowe rękawice. Palce miała lodowate.

- Karim! - zawołałem. -
Herbata, szybko!

Karim zbliżył się z tacą i przywitał Lenę.

- Szaszłyk dawać? - spytał.

- Przynieś.

- Już niosę. Brzuch całkiem przepadł.

Piła małymi łykami gorącą herbatę zagryzając pojedynczymi rodzynekami.

- No jak? - spytałem.

- Dobrze. W tym roku w bursie jest lepiej. Palą w piecach. A co z twoim piecykiem?

- Za miesiąc.

- Nie możesz tak długo czekać.

- Będę czekał.

Niedobrze jej w tej kurteczce, pomyślałem. Spytałem, skąd ją ma. Katia oddała jej za bezcen. Była winna trochę pieniędzy i wolała uiścić się kurtką. Przypomniałem sobie:

- Widziałem cię w myślach w białej bluzce.

Zaśmiała się cicho.

- Miałam przyjść w tamtym starym palcie. Ale później postanowiłam go już nigdy nie wkładać.

- Jedz szaszłyk. Jedz placki.

- Boże, ile tego!

- Weź jeden placek dla Naty.

- Natałka przytyła, wyobraź sobie! Mama by się zdumiała, gdyby ją mogła zobaczyć. Mogę jeść cebulę?

- Możesz.

- To wygląda na ucztę pożegnalną - powiedziała nagle ona.

- Co ty wygadujesz. Karim, jeszcze porcję szaszłyka na dwa talerze.

- Już nie zimno? - pytał Karim.

- Brzuch nie przepadł.

- Brzuch dobry - odpowiedziała Lena. Potem spytała mnie:- BYłeś

u Niury?

Zdawałem jej sprawę z tamtego możliwie obojętnie. Widno, ciepło, przyjemna i serdeczna matka, Andrejewna, Sybiraczka.

- Jadałbym z nimi kolację.

- Och, świetnie, synu.

- Nie tak świetnie: nie mogłabyś do mnie przychodzić na noc.

Pomyślałem: Niedobrze ci w tym

futerku; wyglądasz jak wtedy, na tej wspólnej sali sypialnej, kiedy nic nas nie łączyło.

- Trudno - bąknęła. - Zrobimy przerwę zimową.

Nie chce mi się jej całować - pomyślałem nagle. - Wcale mi się nie chce. Powiedziałem rozdrażniony:

- Nie zgadzam się na żadne przerwy!

- A jednak... - perswadowała.

- Ja muszę zabrać się do nauki. Ty musisz zamieszkać w ciepłe. - Milczałem. Więc ona namawiała: - Bądź rozsądny. - Ja wciąż milczałem. - Spytała: - Jak wygląda ta Niura?

Starąłem się jakoś osłabić wrażenie, jakie Niura na mnie zrobiła. Lena zrozumiała, że to nic groźnego. Powtórzyła:

- Bądź rozsądny.

Nie, pomyślałem, to ty powinnaś być rozsądna. Nie popychaj mnie tam, myślałem, każ mi przecierpieć ten miesiąc. Spytałem:

- A nie boisz się, że ona mnie uwiedzie?

Podniosła na mnie zdziwione oczy.

- Dlaczego? Dlaczego mam się bać? Chyba że ty ją wolisz.

- Nie.

- To po co o tym mówić?

Siedziała zasępią. Karim zbliżył się z tacką.

- Siostra smutny? Złe wiadomości?

Potrząsnęła głową.

- Jeszcze herbaty, Karim -
powiedziałem. A jednak jest
niedoświadczona. Zwróciłem się
do niej: - Nigdzie się nie
przeprowadzę. Za miesiąc KULas
zacznie mi robić piecyk.

Zażądała gniewnie, żebym nie
mówił takich rzeczy. Żyję jak
pies i to ciąży na jej sumieniu.
Dodała: - Bądź rozsądny.
Rozchyliła prosząco usta, słaby
miałsz warg różowiał ciepłutko.
Pomyślałem z lękiem, że nie
jestem pewny, czy ją jeszcze

kocham.

- Napisałam do Kijowa -
powiedziała Lena. - Mam tam
koleżankę, która może coś
wiedzieć o moich rodzicach.
Gdyby wiedziała... - Uśmiechnęła
się. - Posłałabym im wiadomość o
tobie.

- Wyklną cię.

- Może nie, pewnie się
zmienili. Wojna dużo mogła
zmienić.

Teraz była moja kolej na
refleksje:

- Nie uważasz, że dosyć się
pętałem na tyłach?

- Przecież to nie z twojej
winy.

- Teraz już zaczyna być z mojej.
Powinienem się starać o
przyjęcie do polskiej dywizji.

- Nie ukrywasz się przecież.
Nie biorą cię.

- Ale powinienem się starać!

Poruszyła w zamyśleniu
pobladłą wargą.

- Zaczekaj z tym, Bożek.

- Kiedyś zapytają: Czegoś się
namyślał?

- Nie masz powodów, żeby się
namyślać?

- Mam - odpowiedziałem. - Nie
ja jeden. Ale ludzie się bija.

- Zaczekaj, Bożek, aż ja
dostanę list.

Przeczytałem hasło wypisane

białymi literami na czerwonym
transparencie:

- NEMYS FASZYSLARGA ULIM...

Wiesz, co to znaczy?

- Śmierć niemieckim faszystom
- przetłumaczyła Lena.

- Piątka. Karim, jeszcze
rodzyneków!

- Bożek - mitygowała mnie.

- Jak nie piecyk, to szaszłyki
- powiedziałem z udaną

beztroską.

- Potrzebne ci nowe buty.

- Tak, zdzierają się. Nie
kupię piecyka.

- U Niury będziesz dobrze
jadał.

- Oni tam robią bliny i
pierogi, i zupę kartoflaną.

- Och, synu! - jej oczy
zaślniły. - Nareszcie będziesz
żył jak człowiek.

- Ale nie będę miał ciebie.

- Aby do wiosny. A tymczasem
nadejdzie list od rodziców. To
może wiele zmienić.

Nie wiem, czy to coś zmieni -
pomyślałem. Nie wiem, czy cię
jeszcze kocham. Czułem do siebie
wstręt i nienawiść.

Powiedziałem:

- Chciałbym ci dać trochę
pieniędzy.

- Zamilcz.

Zamilkłem.

- Zresztą - podjęła - mnie
teraz będzie lepiej. Dostaniemy
od polskiego komitetu płaszcz i
pantofle.

- WY?

- Pochodzę z Polski -
przypomniała patrząc na mnie
figlarnie. - Biorę, bo daje
komitet lewicowy, nie ci wasi
nadęci burzuje.

- Klawo jest. Nemys
faszyslarga ulim.

Przez chwilę siedziałem bez
słowa: Strasznie dużo nas
dzieliło. Myślałem: Dlaczego, do
diabła, nie chce mi się jej

całować? Spytałem:

- Nie masz przy sobie tamtego zdjęcia?

- Tego z balu? Nie.

- Chciałbym popatrzeć.

Uśmiechnęła się.

- No to patrz. Masz mnie żywą.

- Ale szkoda, żeśmy się nie sfotografowali. Mielibyśmy pamiątkę.

Przyglądała mi się w zamyśleniu - właśnie jakby chciała utrwalić mnie sobie zamiast fotografii. Zawołałem:

- Karim, płacić!

Chłopiec przyjął pieniądze.

- Halo, brat. - Nauczył się słowa "halo" od andersiaków.

Halo siostra. Jutro będą?

- Nie wiem - odpowiedziałem za nas oboje. - Pamiętaj, Karim: Nemys faszyslarga ulim. Halo!

Krocząc obok Leny powziąłem

postanowienie: Jutro przenoszę się do Niury. Wyobraziłem sobie ciepły, widny pokój przesycony zapachem podsmażanego oleju i świeżego ciasta.

11

Wiera Antonowna szła tak szybko, że z trudem za nią nadażalem. Stanęła przed wejściem do lochu, zerwała pieczęć i otworzyła drzwi. Znowu ją napadło - pomyślałem niespokojnie. Zstępowałem za nią ostrożnie w dół do piwnicy.

Ale na nic takiego się nie zanosilo. Wiera Antonowna wskazała zatkaną byle jak beczkę i wydała polecenie:

- Zmień szpunt!

Wybiłem korek i zajrzałem do środka.

- Spirytus?

- Zamknij się.

Zmieniłem korek i zameldowałem:

- W porządku.

- Wtocz beczkę na wagę.
Wtoczyłem. Przesuwała nerwowo ciężarek po podziałce wagi.
- Dwieście pięćdziesiąt trzy.
WYtocz na górę.
- Ćwierć tony, Wiero Antonowno.
- Ja ci pomogę.
Popatrzyłem z politowaniem na jej wychudłe ręce. Zrozumiała.
- Dobrze, zawołam Fienię.
Fienia podjechała samochodem.
WE troje wytoczyliśmy beczkę z piwnicy i załadowaliśmy na ciężarówkę.
- Jak w małżeńskim stanie? - zwróciła się do Fieni kierowniczką.
Fienia roześmiała się:
- Zawsze jakieś urozmaicenie.
- Nie mogłam być na weselu, ale od ludzi słyszałam, że było huczne.
- Wedle dzisiejszych czasów - owszem, przyzwoite. Żal, naczelniku, że nie mogłaś być.
- A ty, Bergen, byłeś?

- Był - odpowiedziała za mnie Fienia - i z panną młodą w tango poszedł.
- Sam byłeś? - dopytywała się kierowniczką.
- Niura mnie zaprowadziła.
- Aha.
To "aha" było zagadkowe.
Fienia próbowała ratować sytuację:
- A ty, Wiera Antonowna, od swojego partyzanta masz nowinki?
- Nie.
- Krasnodar, wydaje się, już w sowieckich rękach.
- W sowieckich, ale wiadomości nie ma.
- Biezzubow dostał dziś list - przypomniała sobie Fienia. - Markotny po nim chodzi.
- O którym synu mowa?
- Nie wiem. Unika rozmowy.
Fienia przejechała przez bramę, mnie Wiera Antonowna

kazała iść za sobą do kancelarii. Otworzyła szafkę i podała mi butelkę spirytusu.

- Dla ciebie, Bergen.

Schowałem butelkę i obliczyłem w myśli: kupa forsy, sprzedam przez Zygmunta. Podziękowałem. Ona grzebiąc w szufladzie spytała:

- Czy to prawda, że przeniosłeś się do Niury?

- Tak, prawda.

- A co z twoją dziewczyną? - nie odpowiedziałem. Ona nalegała: - Rzuciłeś swoją dziewczynę?

- Nie. To jest - jakoś tak wyszło. Mieszkam u Niury.

- "Mieszkam". U Niury się nie mieszka.

- Ale ja...

- Nie kłam! - wrzasnęła.

Nie odpowiedziałem. Nie było co odpowiedzieć: Wiera Antonowna miała rację. U Niury nie można było po prostu mieszkać. W jednej izbie - z ładną kobietą o dojrzałych kształtach, świadoma swoich zachceń, wyrafinowaną w rozbudzaniu pożądania, wynalazczą w pieszczotach,

głupią, nienasyconą, bezwstydną. I z nią ja, początkujący na tej drodze, ciekaw kobiet, stęskniony do nich, do ich słodkich i zadręczających tajemnic. Dobrze jest być mężczyzną, pomyślałem, dobrze kiedy tak ciągnie do ciała i pościeli.

- Ty bydlaku - usłyszałem.

Bij, przebiegło mi przez myśl, bij, masz rację - rzuciłeś swoją dziewczynę - mówiła Wiera Antonowna. - Poszedłeś do Niury. Do tej zapijacznej dziewczyny Niury.

Wąskie nozdrza Wiery Antonowny z trudem chwytały powietrze, jej ciemnoniebieskie podczernione oczy lśniły w gorączce.

- Oddaj spirytus!

Zwróciłem jej posłusznie butelkę. Zaraz szkło rozprysnęło mi się na łbie. Czekałem na to. Ale Wiera Antonowna już się uspokoiła - butelka powędrowała do szafeczki zamkniętej na klucz.

- Wracaj do roboty - rozkazała.

Wyszedłem. W hali powitał mnie Biezzubow. Stracił syna, przypomniało mi się, ale milczy, nic po nim nie znać.

- Podobno dostałeś list - odezwałem się unikając spojrzenia jego zdrowego oka.

- Dostałem.

- Od którego?

- Od dowództwa.

- Mów - namawiałem. - Mów, stary, po co dusić w sobie.

- O młodszym. Spłonął w czołgu.

Mogłem powiedzieć: "To okropne", albo: "Niech to diabli". A właściwie nic nie mogłem powiedzieć i obaj o tym wiedzieliśmy. Biezzubow wykrztusił:

- Ach, Boże mój, jak go to musiało piec...

- Może wpierw dostał kulkę - bąknąłem. - Dałby Bóg. No, zginął za ojczyznę - co zrobić,

nie można bezkarnie mieć dwadzieścia lat. Ale czy musiał się upiec?

- Na pewno już nic nie czuł - przekonywałem go.

- Bóg miłosierny - westchnął Biezzubow. - A tobie za dobre słowo dzięki serdeczne.

Trochę pomilczeliśmy i Biezzubow się odezwał:

- A z tobą co? Wyglądasz, jakbyś oberwał po głowie.

- Nic takiego.

- Nie dała butelki? - dopytywał się.

- Nie.

- Dlaczego?
- Dlatego, że jestem
bydlakiem. Tak powiedziała.
- Ona naczelnik, jej prawo.
- Miała rację.
- Jak powiadasz?
- Mówię, że bieda w tym, że
miała rację.

Biezzubow odszedł w głąb hali,
stał przy elektrycznej pompie.
Znowu zepsuta, a ja nie umiem
naprawić.

- Napij się na frasunek -
powiedział.

- Ty wypijeś? - spytałem.

- Wypiłem.

- Może i racja: napiję się.

Odkorkowałem beczkę, wpuściłem
gumową rurkę, wyciągnąłem z niej
powietrze ustami i przechyliłem
rurkę do kubka. Czerwone wino
pociekło równym strumieniem.

- Co robisz?

To był głos kierowniczkii.
Zrobiło mi się gorąco, jak
wtedy, pierwszego dnia pracy,
przy beczce z rodzynkami.
Podniosłem kubek, gumowa rurka
spłynęła do beczki.

- Co to ma znaczyć? - pytała
kierowniczka sępiąc brwi.

Przyczepi się do tego,
zrozumiałem. Bąknąłem:

- Chciałem się napić.

- A dlaczegoś się
zaczerwienił?

Stałem wciąż z kwartą w ręku.
Krzyknęła:

- Wylej to do beczki!

Robiłem to ostrożnie, jakoś
zapanowałem nad drżeniem ręki.
Ona srożyła się:

- Wiesz przecież, że w
godzinach pracy nie wolno pić!

- Wiem. Ale bardzo mi się
chciało. Po tej rozmowie z
panią.

- Jakiej rozmowie? - zaperzyła
się kierowniczka. - Co ma
piernik do wiatraka. W godzinach
pracy nie wolno pić!

Zamilkłem. Miałem nadzieję, że odezwie się Biezzubow, ale i on milczał. Wiera Antonowna odeszła szybkim krokiem do drzwi. Zatrzymała się przy nich i powiedziała:

- Od jutra pracujesz w oddziale chemicznym.

- Psiakrew - poskarżyłem się po jej odejściu - zgubiłem gumkę.

Biezzubow podał mi swoją:

- Masz, nalej sobie.

Wypiłem łąpczywie szklanekę chłodnego, cierpkiego wina, ale ulgi mi to nie przyniosło.

- Straciłem głowę - odezwał się. - Trzeba było jej powiedzieć, że biorę próbkę na alkoholomierz.

- Teraz jesteś mądry.

- Straciłem głowę - powtórzyłem.

Biezzubow zauważył:

- Zaczerwieniłeś się jak burak. Ona też to widziała. Nie myślałem, że jeszcze umiesz się czerwienić.

12

- Przychodzi tu prawie codziennie - opowiadała Jula.

Pod nagimi drzewami bawiły się dzieci z polskiego sierocińca. Pomyślałem sobie, że wyglądają dosyć szaro. Ale miały opiekę i uczyły się po polsku i to było najważniejsze. Jula naraz zrobiła się groźna, klasnęła w dłonie i wtedy najstarsza dziewczynka zawołała: - cicho! Jula opowiadała:

- Czasem pomaga mi w gospodarstwie. Ale najczęściej ucieka przed kolacją. Podobno ma dużo nauki, tak mówi. Ale Nata mi szepnęła, że jest na odwrót, Lena uczy się ostatnio od niechcienia. Przesiaduje u nas i milczy.

- Nie pytałaś ją o mnie?
- Urywa rozmowę. Czasem bawi się z dziećmi. Ślicznie się z nimi bawi. Ma dużo cierpliwości.
- Nie wiedziałem, że umie bawić się z dziećmi.
- Co między wami zaszło? - Julia umierała z ciekawości - dlaczego nas nie odwiedzasz?

Nie mogłem jej tego powiedzieć. Dzieci ustawiły się parami. Najstarsza dziewczynka dała znak ręką - i rozległ się śpiew: "Pójdziemy w pole w ranny czas"... Jak w powszechniaku, pomyślałem, moja pani w pierwszej klasie uczyła nas tej samej piosenki. Ale im to idzie gorzej niż nam...

- Jestem pewna, że ona liczy na to, że cię u nas spotka - powiedziała Julia.

- Zdaje ci się.
- Wszyscy mężczyźni są idioci! - wykrzyknęła.

Wtedy właśnie zobaczyłem stojącą w bramie Lenę. Miała na sobie niebieskie paletko i taką samą czapczkę. Na nogach brązowe pantofle na indyjskiej gumie. Widziałem, że spostrzegłszy mnie poblądła i oparła się ręką o drzewo. Potem powiedziała możliwie naturalnie:

- Serwus.
Odpowiedziałem:
- Serwus.

Podeszła do swojego kochanka, który ją był porzucił, i podała mu dłoń. Uścisnąłem ją tak mocno, że wydała cichy okrzyk. Bładość powoli ustępowała z jej twarzy. Moja była kochanka wyglądała prześlicznie i musiałem jej o tym powiedzieć. Zarumieniła się.

- Skąd to masz? - spytałem.

- Z pomocy. Czapczkę uszyłam sobie sama - mówiła. - Wycięłam ze spodu kawałek materiału.

- Nie zimno ci w tym?

Nie miałem prawa się o nią
troszczyć, ja, który ją
porzuciłem, i ona mi o tym
przypomniała:

- Od kiedy cię to ciekawi?

Powinienem był powiedzieć: nigdy
cię nie porzuciłem, nigdy - ale
nie śmiałem, najprostsze słowa i
najoczywistsze prawdy rzadko
spotykają się z wiarą. Więc
milczałem w rozterce, w poczuciu
winy i bezsily. Julia odeszła do
dzieci i po chwili zaczęły
śpiewać inną piosenkę, bardziej
patriotyczną.

- Nie jesteś rozmowny -
odezwała się Lena.

- Rozmowa nic nie zmieni.

- Myślałam, że coś powiesz.

- Co mam powiedzieć?

- Usprawiedliwić się.

- Nie wiem jak - wyznałem po
prostu.

Potem powiedziałem raz
jeszcze:

- Ślicznie ci w tym paletku.

Zakręciła się w miejscu.

- Naprawdę, Bożek? Naprawdę? -
spytała: - Co się z tobą działo?

Czy mam wyjaśniać? Szepnąłem:

- Chyba się domyśliłaś.

Kiwnęła głową.

- No to widzisz - mówiłem. -
Sama widzisz.

Chciałem coś jeszcze dodać,
ale ona przerwała mi:

- Zaczekaj.

Pobiegła za Julą na koniec
ogródka. W niebieskim paletku
wyglądała jak warszawska
gimnazistka, jak te dziewczyny,
czyściutkie, smukłe, zręczne,
które przychodziły na siatkówkę
do Żass_u na Lesznie. Pędziła ku
mnie zdyszana. Jej oczy
poczerniały jeszcze bardziej,
wargi spulchniły się i napełniły
krwistą czerwienią.

- Możemy spokojnie pomówić -
powiedziała. - Julia dała klucz.

Do kibitki Juli szliśmy w

milczeniu. Na miejscu, w dużej, mrocznej izbie, Lena usiadła na łóżku i rozpięła palto.

Zobaczyłem białą, świeżo odprasowaną bluzkę i tę samą granatową spódnicę, którą w swoim czasie pozwoliła sobie ofiarować.

- Aleś elegancka - podziwiałem stojąc sztywno obok łóżka. Przyglądałem jej się nachmurzony. Znowu trochę inna dziewczyna. I raczej obca.

Pochwaliła się innymi jeszcze zdobyczami odzieżowymi. Będą miały do spółki jeszcze białą sukienkę, ona dostała materiał i oddała woźnej do szycia. A kurteczkę z futerkiem - tę, którą nosiła w czaj_chanie podczas naszej pożegnalnej kolacji - zwróciła Katii. Opowiadała mi to jak komuś bliskiemu, chociaż to nie mogło być prawdą, straciłem ją, wiedziałem o tym, porzuciłem ją i straciłem na zawsze.

Usłyszałem swoje imię wymówione dosyć ciepło, bardziej niż na to zasługiwałem, a potem pytanie:

- O czym myślisz?

Siedziała przygarbiona grzebiąc pantofelkiem w polepie. Były to dobre angielskie pantofle, solidnie wyprawiona skóra, płaski obcas z indyjskiej gumy. Przypomniałem sobie, jak szurała w podobny sposób bosymi, zakurzonymi stopami, z dwoma palcami lekko zrośniętymi pośrodku.

- Pozwolisz się pocałować? - spytałem.

Wciąż szurała pantofelkami po ziemi. Powiedziała cicho:

- Nie musisz się silić. -

Chciałem zaprzeczyć, krzyknąć, że nie, że chcę, ale nagle olśniło mnie, że słowa są niepotrzebne, że trzeba po prostu całować, nachyliłem się i przycisnąłem wargi do jej warg. Poczuję, jak jej dłonie zaciskają się boleśnie na moich uszach i w skroniach mi

zaszumiało. Padła plecami na łóżko pociągając mnie za sobą i obsypując mi twarz pocałunkami. Słyszałem swoje imię powtarzane przez szum wodospadów. Tonałem i nie było powrotu z tej przepaści, w którą zlatywałem owiewany zapachem owocu morwy i nocnej rosy. To była ona - moja dziewczyna - ta sama dziewczyna, zawsze tak powściągliwa i nieporadna w pieszczotach - teraz powtarzała przez zaciśnięte zęby moje imię i słowo "kocham".

Usłyszałem kroki, ciężkie buciory człapiące po kamiennym ajwanie. Zerwałem się, Lena usiadła i poprawiła włosy.

Wszedł Zygmunt. Osioł, nie miał kiedy się zjawić! KIwnął nam głową i zajrzał do wiadra.

- Nie ma wody - zachrypiał. Spojrzał spod oka na Lenę, potem dotknął ręką gardła, chrząknął, ale chyba odgadł, że nie wykazujemy zainteresowania, bo nic nie powiedział. Pociągnąłem Lenę.

- Chodźmy, późNo się robi.

Zygmunt sarkał:

- Cholera, drzewo muszę porąbać. Tu rąb, tam rąb, zrąbane życie. - Widząc, że się ulatniamy, bez słowa, rzucił za nami: - Para wariatów.

Na ulicy Lena uśmiechnęła się do mnie, jakby odniosła wielkie zwycięstwo, wspólne zwycięstwo, i ścisnęła moją rękę. Spytałem:

- Dokąd pójdziemy?

Westchnęła:

- Żeby to już wiosna... Może do czaj_chany?

Pieniądze mi się wyczerpywały. Przeliczyłem w myśli, ile mam w kieszeni płaszczka i zgodziłem się:

- Dobrze, posiedzimy przy herbacie.

Przed progiem czaj_chany stary wychudły Uzbek kucał na zakurzonym dywaniku.

- Wygląda jak fakir -
powiedziałem. - Może zaklina

węże?

- Nie widziałam tu zaklinaczy
węży. To wróżbita. On wróży z
kamyków. Z ich układu odczytuje
przyszłość.

- Gdyby potrafił coś więcej! -
rozmarzyłem się.

- A ty czego byś się chciał
dowiedzieć? - spytała kpiąco.

- Dokąd idę. Co będzie z nami.

- Myślisz, że warto wiedzieć?

- Czasami warto.

- Chcesz spróbować?

Powiedziała to pobłaźliwie,
ale już bez kpiny. Była gotowa
pozwolić mi na to niewinne
odchylenie w stronę metafizyki.

- Nie, on nie potrafi nic
przewidzieć - powiedziałem.

Uzbek milczał z godnością. On
wie, przemknęło mi przez myśl.
Chytry Azjata, tajemniczy
samarkandczyk, znawca legend
Wschodu. Oni tu wiedzą więcej
niż my, którzyśmy stracili węch
i intuicję, pożarci
racjonalizmem, techniką,
wysterylizowani przez
cywilizację.

- Ile kosztuje wróżba? -
spytałem.

Uzbek poruszył ustami, sztywny
jak marionetka:

- Besz sum.

Sięgnąłem po pięćiorublowy
banknot. Lena szepnęła:

- Za tanio, Bożek.

- Nie szkodzi. Za to starczy
na herbatę.

Położyłem banknot na
zakurzonym dywaniku. Powieka
zatrzepotała. Wyglupiam się,
tak, wiem o tym, ale może
błyśnie nieoczekiwane światło,
ten Uzbek wie - starość,
tajemnice Wschodu, koran, kult
szejtana, chaldejska matematyka -
on powie.

Uzbek podał mi siedem małych

kamyków.

- Rzucaj - powiedział.
 - Gdzie?
 - Dywanik rzucaj. Lekko_lekko,
- o tak.
Pokazał, jak się rzuca. Kamyki

utworzyły gwiazdozbiór podobny
do Oriona. Spytałem:

- Ak~a, co ci wywróżyło?
 - Nic. Moja nie wróżył.
- Pusty rzut, zrozumiałem. Stary
oszust. Nie szkodzi, ze mną może
być inaczej. Ścisnąłem kamyki w
dłoni. Serce mi bije, idiocie.
Szukam ratunku w cudowności, w
niepojętym, w nieodgadnionym.
Otworzyłem dłoń i kamyki
potoczyły się tworząc wzór
zbliżony do Wielkiej
Niedźwiedzicy. Uzbek klasnął w
dłonie.

- Jachsz~y! - krzyknął. -
Dobry! Dobry! Dżud~a jachsz~y!
BARRDZO dobry!

- Co jest jachsz~y? - spytałem
gorączkowo.

- Wszystko. Wszystko jachsz~y!
- Ale co?
- Nie trzeba gadać! Nie trzeba
dużo słowa! - wykrzykiwał Uzbek
klaszcząc w dłonie. - Wszystko
jachsz~y!

- Słyszysz? - zwróciłem się do
Leny. - On we mnie wierzy. Ale
co dobry, ak~a? Co jachsz~y?

- Pismo będzie! Pismo z
państwowego domu. Przychodzi
pismo - potem wszystko dobry.

- Kiedy pismo? - domagałem się
odpowiedzi.

- Kiedy? - Uzbek zawahał się,
ale tylko przez chwilę krótką
jak mrugnięcie powieki. -
Dwadzieścia dni.

Niedługo. Skąd pismo -
zastanawiałem się pośpiesznie.
Ze Związku Patriotów Polskich? Z
komendy wojskowej? A może od
Mirki? A może od Maćka?

Nalegałem:

- I co w piśmie?

- Nie pytać! - zakrzyknął wróżbita i zamachał rękami. - Ty szczęśliwy człowiek. Po co dużo słowa? odejdź, drugi człowiek idzie. Besz sum, dobry wróżba - zwrócił się Uzbek do kogoś za moimi plecami.

- Stary cap - powiedziałem do Leny. - Oszukał mnie, on nic nie wie. To jest jego stały numer, z

tym urzędowym pismem, jestem pewny. Nie chce nawet myśleć, leń przeklęty.

- Za pięć rubli dosyć powiedział - odezwała się rozsądnie.

- Skąd nagle pismo? Nie, niemożliwe! - Zdobyłem się na uśmiech. - Zobaczymy za dwadzieścia dni.

- Będziesz rozczarowany, jeśli nic nie znajdzie?

- Trochę - przyznałem.

Karim przywitał nas delikatnym przyciśnięciem dłoni do piersi.

- Siostra przyszedł! - ucieszył się. - Szaszłyk? Herbata? Placek?

- Tylko herbata - powiedziałem.

- Rodzynki?

- Pięć deko. - Zwróciłem się do Leny: - Moglibyśmy wziąć więcej, ale wolę dwa czajniki herbaty.

- Siostra wesoły, brat smutny - zauważył Karim stawiając herbatę.

- Siostra wesoły, brat wesoły - odpowiedziałem. - Nie smutny! Nemys faszyslarga ulim.

- NEMys sobaka! - zawołał Karim. - Herbata zielony. Na pusty kursak (klepnął się po brzuchu) zielony herbata w sam raz.

Sącyliśmy w milczeniu herbatę. Ja odezwałem się pierwszy:

- Myślałem, że nie zechcesz na mnie patrzeć.

- Ja też tak myślałam.
- Jula mówiła, że bywasz u nich codziennie.
- Wcale z nią o tobie nie mówiłam - zastrzegła się szybko.
- Za to w bursie! - przyznała po chwili. - Wybuchałam płaczem nad podręcznikiem. One myślały, że mnie fizyka tak wzrusza.
- A może? - spytałem.
- Na pewno fizyka. -
Roześmiała się. - To dziwne, synu, ja od lat przecież nie płakałam. Musiałeś mnie bardzo

urazić. Chyba moją próżność. Jednak jestem próżna.

- Nie wierzę.
- Jestem. Dziewczęta myślały, że to przez list. - Przez list płakałam zresztą też. Wszystko razem.
- Dostałaś list stamtąd? - domyśliłem się.
Czekałem, co ona powie, ale już wiedziałem, że stało się coś okropnego. Usłyszałem:
- Teraz oprócz Natałki nie mam już nikogo.
Nie odważyłem się powiedzieć: "Masz mnie".
- Wszystkich ich wymordowano. Od razu po wkroczeniu Niemców. Przeze mnie. Przez to, że ja byłam komsomołką. - Zagryzła wargi. - Tak chciałam im napisać o tobie...

Karim zmienił czajniki.
- Siostra znowu smutny?
Usiłowała uśmiechnąć się do chłopca. Potem powiedziała:
- Ja wciąż troszeczkę jeszcze nie wierzę. List był od znajomej nauczycielki z Kijowa - może ona nie wszystko wie. Czasem myślę, że kiedy wrócę, to ich jednak zastanę.
- Ja też tak myślę - zwierzyłem się. - Też wyobrażam sobie, że wracam i wszystkich zastaję. Ale nie zastanę nikogo. Wszystkich posłali do gazu.

Nawet domy wysadzili w powietrze.

- Bożek, to tylko takie plotki. To przecież niemożliwe, nie!

Nie odpowiadałem. W prasie rzeczywiście prawie tego nie poruszano. Pisano o zwycięstwach - nie o pogromach. My też między sobą prawie o tym nie rozmawialiśmy. Odpędzaliśmy to od siebie. Chcieliśmy się ludzi, że we wszystkich tych wieściach jest dużo przesady. Ale ja wiedziałem, do czego ci szaleńcy są zdolni.

- Nie będzie nawet komu o tym wszystkim opowiedzieć - użalałem

się. - Komu cię pokazać. Często myślałem o tym, że przedstawiam cię rodzicom. Bzdury, prawda? Nie mamy nikogo na świecie, ty i ja.

Zapadł wieczór. Karim zapalił światło.

- Pójdziemy? - odezwała się Lena.

- Ale dokąd? Nie ma dokąd iść.

- Pospacerujemy.

- Pewnie ci się jeść chce?

- Nie. Zresztą Natałka zostawi mi chleb.

- Pamiętasz nasze szaszłyki?

- Byliśmy trochę rozrzutni.

- Dobrze robiliśmy -

powiedziałem z przekonaniem.

- Chodźmy.

- Ale dokąd?

- Odprowadzisz mnie do bursy.

- Postoimy przed bramą.

- Tak jak na początku.

- Wszystko mogło być inaczej - powiedziałem z żalem.

- Chyba nie mogło.

- Mogło. Całkiem inaczej. Nie wiem, czy nie jest za późno...

- Niech tylko skończy się zima, zobaczysz. - To ona była pełna optymizmu. - Karim, idziemy!

Podaliśmy Karimowi dwa papierki.

Lena spytała:

- To wszystkie?

- Z kieszonkowych wszystkie. Kilkaset rubli leży u Andrejewny w skrzyni. Na wyżywienie.

- Nie będziesz przynajmniej głodny.

Przyjąłem te słowa bez sprzeciwu, chociaż wiele dałoby się powiedzieć. Potem szliśmy ciemnym, wąskim labiryntem uliczek, ślizgając się po przymarzłym błocie. Zналиśmy je na pamięć. I wreszcie brama jej bursy, ta, przed którą stoczyliśmy walkę z bandą chuliganów. Lena zarzuciła mi ręce na szyję i przytuliwszy zimny policzek do mojego policzka szepnęła:

- Myślałeś, że pozwolę, żeby mi cię wydarto?

Przymknąłem oczy. W głowie mi się kręciło ze szczęścia. Ty, myślałem. Teraz wiem, że tylko ty. Zapytała:

- Jak do tego doszło, Bożek?

- Och, nie pytaj. To twoja wina! - wybuchnąłem. Była to prawda, w której zawierało się i kłamstwo. - Potem, kiedy to się już stało, było właściwie wszystko jedno. Myślałem, że straciłem cię na zawsze.

Całowała mnie zziębniętymi wargami, a ja myślałem: kłamię, to nie całkiem tak było, ciągnęło mnie do tamtej, do jej gorącego ciała i babskiego bezwstydu, a potem dreszcz minął, wszystko stało się obowiązkiem, przyszła pustka i tęsknota, i żal zmarnowanego uczucia, żal miłosnego opętania. Poddawałem twarz lekkim i szybkim pocałunkom Leny, słuchałem jej słów szemrzących sennie jak daleki potok:

- Widzisz, ja ci wybaczam. Ja ci tyle wybaczam. Ale to się już nie powtórzy, prawda?

- Nie powtórzy się -
powiedziałem, bo co innego
mogłem powiedzieć, i uwolniłem
się z jej objęć. - Posłuchaj, co
się stało. Wszystko się
cholernie powikłało. Wylano mnie
znów do oddziału chemicznego.
Nie można tam zarobić. Żeby
chociaż tyle, co na dodatkowy
chleb! A robota ciężka. Jeden
Besarab dostał u nas ruptury.
Ubranie się niszczy, kwas
mlekowy zżera buty. Nie mogę się
wyprowadzić od Niury, w tej
fabryce najważniejszy jest
spirytus, a ona go pędzi.

- To nie wyprowadzaj się od
niej.

- Ludzie będą myśleli, że
wszystko jest po dawnemu.

- Niech myślą - zgodziła się,
choć nie od razu. - Nie o to
chodzi. Mnie wystarczy, że
przrzekniesz...

Nic nie rozumie, pomyślałem,
nie widziała nagich ramion

Niury, nie słyszała jej
zapamiętałego szeptu. Próbowałem
ją na to naprowadzić:

- To nie jest takie proste. W
jednej izbie - nie wszystko
można przewidzieć. Będę musiał
być przykry. Znosi się na
piekło.

- Przecież ona ma jakąś
ambicję...

Boże, jaka dziecinna!

- Lepiej będzie, jeśli się
jednak od niej wyprowadzę. Tylko
że...

- Że co?

- Musiałbym jednocześnie
zmienić pracę. Albo zdecydować
się na przymieranie głodem. Nie
będę cię wtedy kochał. Głodny
nie będę cię kochał.

- Mógłbyś zapisać się na
studia.

- Dyrekcja musiałaby się
zgodzić. - Zaciałem zęby. -
Jeśli się nie zgodzi, pójdę na

skargę do prokuratora.

- Przekonasz się - powiedziała
- znajdziesz sprawiedliwość.

PrzyPomniał mi się wuj "Iwan".
Odwiedziłem go w
Dniepropietrowsku, tę legendę
naszej rodziny. Był już nikim.
Ale powiedział: "W życiu, Bożek,
trzeba tylko prawdą". Podobni są
do siebie, pomyślałem, Lena i
mój wuj z Dniepropietrowska.

- Dyrektor ma na mnie oko -
powiedziałem. - Nie pozwoli mi
się wymknąć.

- Czy ona będzie bardzo zła,
jak się wyprowadzisz?

- Niura? Dostanie szału. Już
mi coś na ten temat napomknęła.
Że jak się wyprowadzę, to ją
wszyscy wyśmiejają, że mieszkałem
u niej dla spirytusu.

Lena zastanowiła się.

- O tobie też tak pomyśla.

- Że polowałem na spirytus?

- Tak. Tak powiedzą.

- Może - zgodziłem się. - Ale
to nie jest takie ważne. Idzie o
nią. Ja sobie pojedę, mówi, a
ona tu musi z ludźmi zostać.
Poczujecie się dotknięta na honorze

- i napuści na mnie strażników.

- Na razie musisz więc zostać.

- Muszę zwolnić się z fabryki!
Poszukać innej pracy! Boże, mój
Boże! Dlaczego byłaś taka
naiwna? Dlaczegoś mi nie
powiedziała: marznij i nie
odchodź.

Gdyby z nami był ktoś dorosły,
myślałem, ktoś, kto umiałby
poradzić: dzieci, nie róbcie
tego, oparzycie się o ogień,
dzieci, róbcie tak, a tak.

Usłyszałem:

- Teraz bym też nie chciała,
żebyś marznął.

- Może uda mi się dostać do
polskiego wojska. Nie myślisz,
że moje miejsce jest właśnie
tam? Nie wiem, co się za tym
kryje, rząd w Londynie ich nie

uznaje, nie slyszalem nigdy o tych ludziach, jakies nowe twarze, ale zawsze to przeciez polskie wojsko.

Powiedziala:

- Zaczekaj z tym do wiosny.

Tak, ja tez chcialem troche zaczekać. Chcialem, zeby to jeszcze wrócilo: Chociaz na jedna noc miec ja znowu przy sobie. Przytulila sie do mnie drzaca.

- Marzniesz? - spytalem.

- Nie, nie, dobrze. - Mowila:

- Nie pozwolę, zeby mi cie znowu zabrano. Ja tez umiem walczyć.

- Lenka, a jak nic sie nie uda?

- Zobaczysz, znajdziesz sprawiedliwosc.

- A jak sie to wszystko nie uda?

- Zaczekaj z przenosinami do wiosny, synu. Mozemy sie spotykac jak teraz. Daj jej tylko do zrozumienia, ze nie mozesz z nia sypiac. Chyba ma jakis honor.

- Moze i ma.

- Ja nie chce, zebyś marzł i chodzil glodny. - Wybuchnela: - Ja tego nie chce!

- A wiosna?

- Schowasz sie w jakimś

kolchozie.

- Jak mnie odkryja, dostane niezly wyrok. Wojna sie skonczy, a ja...

Zalamala dlonie.

- Dlaczego mnie męczysz? Coś zrobimy. Coś poradzimy.

- Wywacham, czy uda sie coś załatwić z wojskiem. Moze jest szansa. Co ty na to?

- Jeśli trzeba... - zgodzila sie wreszcie.

- Wtedy wyjadę - wbrew dyrektorowi. Ale ja wyjadę od ciebie, nie od niej.

Powiedzialem to i ogarnelo mnie szczesliwe zdumienie, ze

jednak jestem znowu z nią.
Całowałem jej zziębniętą twarz i
czułem, że sam mam policzki
mokre od łez. Wytarła mi je
zgrabiałymi palcami. Gdzieś tam,
na końcu Pendżikient_kuczasi
czekała rzeczywistość: Niura i
łóżko z moim materacem.

- Muszę już iść - odezwałem
się.

- Zaczekaj. - OPierając się
plecami o gliniane ogrodzenie, z
głową odchylną do tyłu i z na
współ przymkniętymi oczyma
mówiła: - Jak tu cicho, synu,
prawda? Wszyscy już śpią, nikt
nas nie widzi, nikt nam nie
przeszkadza. Widzisz, nie jest
tak źle.

Powtórzyłem:

- Muszę iść.

Znów mnie objęła.

- Jeszcze trochę. - Spytała: -
Co jej powiesz, jak wrócisz?

- Że miałem naradę w Komitecie
polskim. - Zbuduję całą fikcję:
jestem członkiem komitetu (w
którym nikogo nie znam),
odbywamy narady, zastanawiamy
się nad przyszłą Polską, ja
współpracuję z polskim
teatrzykiem - wszystko tak, jak
powinno być, ale nie jest.

- A potem jak będzie? -
dopytywała się. Czekiła teraz z
napięciem, co powiem.

- Poskarżę się na zmęczenie.
Serce. Zwalę się na moje łóżko i

dobranoc. A w dzień, przy pracy,
postaram się jakoś ułożyć.

- Jak się umówimy?

- Jeśli wszystko się ułoży,
zajdę za dwa dni do Juli. Jeśli
nie przyjdę...

- Przyjdziesz!

- Przyjdę. - Ona się
uśmiechnęła, ja rozejrzałem się.
- Popatrz, świta.

- Całą noc przegadaliśmy... -
zdumiała się.

- Otrzepię ci trochę plecy.

Śmiała się, kiedy otrzępywałem jej płaszcz z okruchów białej gliny. - Nie bój się, Bożek - zachęcała, bij mocniej, nic mi się nie stanie.

Powiedziałem zakłopotany:

- Wydajesz mi się czasem taka krucha. Jak się teraz dostaniesz do szkoły?

- Przez drewnutnię. Tu jest okienko.

Weszliśmy w boczny zaułek.

- Podsadź mnie, Bożek.

Splotłem silnie dłonie.

Stała na nich jedną nogą, drugą postawiła mi na ramieniu. Sprężyła się i skokiem znalazła się w okienku drewnutni.

Rozsiadła się tam i spoglądała na mnie z uśmiechem.

Powiedziałem:

- Ślicznie ci w tym paletku.

Pocałowała koniuszki swoich palców i machnęła nimi ku mnie. Potem zeskoczyła do środka. W pamięci zostały mi rozfurkotane niebieskie poły jej płaszcz.

13

Chciało mi się pić. Cały dzień rozładowywaliśmy węgiel na nasypie kolejowym, łączącym stare i nowe miasto. Wyrzucałem go przez wąskie drzwi z głębi bydlęcego wagonu. Czarny pył pokrył mnie całego, wypełnił krtań i podniebienie, zatkał nozdrza, osiadł na wargach i powiekach. W pobliżu nie było ani kropli wody. Słońce piekło, wiosna tego roku przyszła

wczesna i pogodna.

Z łopata na ramieniu wracaliśmy do azjatyckiej części miasta, ja i Lederkremer.

Zbliżał się wieczór, ale wciąż jeszcze było gorąco, pokryte kurzem ciało łaknęło powietrza. Gliniaste wadoły wokół nasypu rozeschły się i popękały.

Powietrze było suche, czułem na skórze twarzy pokłady czarnego pyłu - oczy musiały świecić niesamowicie - dobrze, że mnie Lena nie zobaczy.

Nie widzieliśmy się od tamtego świtu, kiedy rozstaliśmy się pod bramą szkoły. Nie przyszedłem w dwa dni później do Juli, nie wykonałem umowy. Ona wyobrażała sobie, że to będzie taka prosta sprawa. Siedzi sobie w tej szkole, odrabia lekcje, zdaje egzaminy, wszystko jest proste. A ja wpakowałem się w taką plataninę. Wężowisko, z którego nie sposób się wydrzeć. Ścisnąłem drzewce łopaty. Znowu zostało mi to: Łopata.

Lederkremer trącił mnie łokciem:

- Pożłopałbyś trochę pilznera?
- Ty masz dowcipy... Kiedy da się coś zarobić?
- Może jutro. Spójrz, to nie twoja dziewczyna?

Szła ku nam Lena. W białej sukience, olśniewająco białej! Szła rozmawiając z Simą Tatarką - tym pękatym potworkiem, który przysiągł sobie kiedyś, a Lena z nią, że nie wyjdzie za męża. Biała panienka, pomyślałem bliski nienawiści. Opuściłem wzrok. Zaraz się miniemy.

- Bożek - usłyszałem.

Ukloniłem się w milczeniu i minałem ją z boleśnie tłukącym sercem. Słyszałem, że przystanęła. I usłyszałem jej wołanie:

- Bożek!

Szedłem myśląc: Zaraz ją rąbnę. Niech się nie zbliża, bo trzasnę łopata. Usłyszałem tupotanie jej stóp po belkach toru. Zatrzymałem się i

odwróciłem. Stała naprzeciw mnie nie mogąc wydusić słowa.

- Czego się gapisz? - spytałem.
- Nie podobam ci się?
- Zrobiła krok ku mnie. Zdjąłem

łopatę z ramienia i zagroziłem jej drogę.

- Nie podchodź - ostrzegłem.

Potem widząc, że poblinęła, dodałem już bardziej obojętnie:

- Zabrudzisz się.

Opuściła bezradnie ręce. Ja się odwróciłem i pospieszyłem za Lederkremerem. Lederkremer spytał:

- Studentka?

- Tak.

- To widać.

- Wymyta - powiedziałem. -

Białe paluszki.

Nie chciałem pamiętać jej rąk poczerniałych od buraków cukrowych. Widziałem tylko jej białą suknię. Lederkremer zaśmiał się:

- Nie dla nas, czarnego luda.

To dyrektorski kasek.

W cieniu niebieskiego muru Registanu siedział na stołeczku barczysty brodacz w mycce. Przed nim leżała gruba księga.

- Wygląda jak Lew Tołstoj. -

Zauważył Lederkremer.

- To pielgrzym?

- Wróżbita.

- Namnożyło się tych oszustów, niech ich diabli porwą! Nic nie wiedzą, nic! Niedawno jeden Uzbek mi wyróżył, że za dwadzieścia dni dostanę list, który wszystko odmieni.

- Ile minęło?

- Dwa razy tyle. Pięć rubli wpakowałem w błoto. Wróżył z kamyków.

- Ten wróży z księgi.

Ciągnęło mnie, żeby zaryzykować. Oprawna w skórę księga i szeroka broda budziły zaufanie. Spytałem:

- Ile za wrózenie?

Brodacz spojrział spod ciężkich brwi.

- Dwadzieścia rubli.

- Drogo.

- Opowiadam przeszłość -

zaznaczył brodacz.

Uderzył mnie jego śpiewny,
miękki akcent.

- Nie jest pan muzułmaninem -
powiedziałem.

- Jestem Rosjaninem. - Brodacz
uśmiechnął się pobłaźliwie. -
Ale ta księga jest perska.
Studiowałem wiele lat.

- Gdzie?

Wróżbita znowu się uśmiechnął:

- Tego się nie mówi.

Zwróciłem się po polsku do
Lederkremera:

- Ciekaw jestem, co on powie o
przeszłości. Postawię
dwadzieścia rubli.

Zaraz pomyślałem, że
niepotrzebnie zdradziłem się
przed starym, że jestem
Polakiem. Kucnąłem, a on ujął
moją lewą dłoń i długo jej się
przyglądał. Mruknął nie
unosząc spojrzenia:

- Proszę się nie uśmiechać,
obywatele. To mi przeszkadza. To
nie są czary, tylko nauka.

Potem przewracał karty księgi
z wymalowanymi na nich dłońmi,
dużymi i płaskimi jak wiedeńskie
sznycele. Przy jednej z nich
zatrzymał się. Moja, pomyślałem.
Znalazł mnie. Brodacz coś liczył
na kartce papieru. Mnożył i
odejmował jakieś cyfry, wciąż
zerkając to na moją otwartą
dłoń, to na płaski sznycel w
księdze.

- Pochodzi pan z daleka -
zaczął wróżbita. Naturalnie,
pomyślałem, przecież mówię po
polsku. - Żył się panu nieźle.
(wszystkim żyło się kiedyś
lepiej). Umysł żywy, niezależny.
(Jasne: schlebia mi). Jest pan
utalentowany. (Przypływ
zaufania: więc on to odczytał,
moje aktorstwo!). Dokucz panu
samotność. I bieda. (Żałowałem
dwudziestu rubli). Wszystko się
odmieni. Siedemnastego lub
osiemnastego maja pojedzie pan w
daleką podróż, która odmieni
wszystko w pańskim życiu.

- Czyli za miesiąc? -
upewniłem się.
- Tak, za miesiąc.
Brodacz był zuchwalszy od
tamtego Uzbeka.
- A jeśli nie wyjadę?
- Trzeba wierzyć.
- Postaram się nie myśleć o
tym.
- Można i tak - zgodził się
brodacz.
- Ale co się zmieni? -
niecierpliwiłem się. - Co
właściwie?
- Zacznie pan robić to, o czym
pan zawsze marzył.
- Aha, to ładnie.
- Będzie pan żył lat...
- Nie chcę wiedzieć! -
krzyknąłem. - Czy zginę w tej
wojnie?
Brodacz uśmiechnął się.
- W tej na pewno nie. Będzie
pan żył długo. Będzie pan
bogaty. Ożeni się pan z tą,
którą kocha. - Po chwili dodał:
- Nie od razu.
- Zgadza się - mruknąłem do
Lederkremera.
- Wróci pan do domu i zastanie
swoją rodzinę.
- To niemożliwe - szepnąłem.
- A jednak... Tak mi wychodzi.
- Więc żyją.
- Żyją.
Położyłem dwadzieścia rubli na
księdze. Zasłużył sobie na nie,
naprawdę. Chciałem już odejść,
kiedy przyszło mi coś na myśl.
- Powiedział pan, że jestem
utalentowany. Czy może pan
określić, jakiego rodzaju to
jest talent?
Wróżbita zawahał się,
widziałem, jak zerknął na moją
łopatę, kombinezon, czarną od
pyłu węglowego twarz.
- Technika - zdecydował. -
Może pan być wynalazcą.
To też jest oszust - pomyślałem
rozczarowany.
- Nie, zaprzeczyłem ze
złością. - Myli się pan. Jestem
aktorem.

- Ach, tak - mruknął wróżbita.

- Jeśli mam jakiś talent, to aktorski.

Brodacz miał w dłoniach banknot.

- Przepraszam bardzo, to mnie zmyliło - powiedział wskazując na mój kombinezon. - Przyznaję, że próbowałem odgadnąć. W księdze tego nie odczytałem.

- A wszystko inne? - nalegałem.

- Wszystko inne - z księgi.

Nie, ten jest uczciwszy. Kiedyśmy odeszli, powiedziałem do Lederkremera:

- Zasunął z tą podróżą.

- Wszystkim śpiewa szczęśliwą piosenkę.

- Chyba tak - zgodziłem się, chociaż myślałem swoje.

- Ludzie potrzebują pociechy, a on jest cwaniak, rozumie to.

Odwrociłem się, żeby spojrzeć na brodacza: w skupieniu sklejał językiem machorkowego skręta. Pomachałem mu ręką, on odwzajemnił mi się gestem takim, jakim żegna się odjeżdżający pociąg. A może mi się tylko zdawało.

Nazajutrz ładowaliśmy węgiel na ciężarówkę pod tym samym nasypem. Robota wymagała większej siły, bo węgiel należało podrzucać wysoko, za to można było oddychać. Po załadowaniu dwóch ciężarówek porządnie osłabłem. Głodny byłem. Siedziałem na nasypie rozpamiętując raz jeszcze sposoby wyplątania się, kiedy usłyszałem głos Lederkremera:

- Znowu jest.

- Kto?

- Twoja.

Stała w szarej perkalowej i przykrótkiej sukieneczynie oparta o ścianę wagonu towarowego. Dźwignąłem się i ruszyłem ku

niej ociężałe. Milczałem
ściskając boleśnie jej szczupłe,
słabe dłonie. Na koniec
wyrzuciłem z siebie:

- Zmieniłaś sukienkę.

Nie odpowiedziała. Ja:

- Chciałbym coś zjeść.

Przyglądała mi się szeroko
rozwartymi oczyma. Szarpnąłem
się:

- Znów się gapisz. Czyś mnie
sobie jeszcze nie
obejrzała? Przynieś mi chleba!

Kiwnęła głową.

- Pójdiesz do Zygmunta -
mówiłem - i weźMiesz na kredyt.
Wieczorem będę miał pieniądze.
Śpiesz się!

Odchodziła posłusznie.

Krzyknąłem na nią:

- Bez chleba nie przychodź!

Przyśpieszyła kroku. Będę mógł
jej opowiedzieć o brodatym magu
i o jego perskiej księdze.
Głupstwa, lepiej zapomnieć.

Zdażyliśmy załadować
ciężarówkę, zanim wróciła.
Przyniosła kilo razowego,
ciężkiego jak rozmokła glina
chleba. Spytałem:

- Ile im się należy?

- Nic. Zapłacone.

Nie protestowałem. Oderwałem
kawał chleba i podałem jej.

- Weź.

Zmarszczyła podbródek - tak
jej się śmiesznie marszczył - i
powiedziała:

- Jedz sam, synu.

Synu, synu. Poczułem mrowie
pod czaszką. Powiedziałem:

- Jeśli chcesz, możesz już
odejść.

- Nie.

- Dlaczego przyszłaś?

Nie odpowiadała, chociaż
dopytywałem się natarczywie:

- No powiedz, dlaczego
przyszłaś? Całe tygodnie nie
dawałaś znaku życia - teraz to
ja przesiadywałem u Juli - w

ogóle się tam nie pojawiałaś - a po wczorajszym przypadkowym spotkaniu proszę, od razu jesteś? Dlaczego?

- Ja nie wiem - odpowiedziała żałośnie. - Chciałam cię zobaczyć.

- Nie, nie dlatego! Ja ci powiem, dlaczego przyszłaś. Bo

ci się zrobiło wstyd!
Zawstydziałaś się swojej białej sukienki. Zawstydziałaś się tego, że ty jesteś czysta, a ja brudny!

Uśmiechnęła się przekornie.

- No, nie myśl. Jak zobaczyłam cię wczoraj takiego usmolonego, to wiesz, co mi przyszło do głowy? Że ci z tym całkiem do twarzy.

Spytałem poirytowany:

- Dlaczegoś mnie unikała?

Zachmurzyła się:

- Możesz się domyślić.

- Nic nie wiesz - szarpnąłem się. - Myślisz, że teraz jest znowu tak jak przedtem? Właśnie, że nie. Nie masz czego mnie potępiać: Nie żyję z Niurą.

Zacięła usta. Nie wierzyła mi. Dobrze, trudno, to mi się należy.

- Powiadam ci - mówiłem - nie żyję z nią już. Po naszej rozmowie - coś było - chwila słabości - czy rozpacz - nie umiem dziś wytłumaczyć - dlatego nie przyszedłem do Juli - nie mogłem ci w oczy spojrzeć. Ale potem koniec. I teraz miotam się jak pies na uwięzi. Nie wiem, co z sobą robić. Jestem jej już winien za wyżywienie. Ale przecież pracuję - sama widzisz, jak ja pracuję. Andrejewna daje mi kolacje, a ja to sobie wszystko obliczam. W głowie mam jeden wielki notes: Wciąż liczę, ile im jestem winien. Kiedyś im zapłacę. Może jeszcze dzisiaj.

- MUsisz wyszukać sobie inną

pracę.

- Próbowałem. Wszędzie domagają się zwolnienia z fabryki. A oni nie chcą mi go dać. Oni twierdzą, że ja jestem niezbędny. Dobrze, zgoda, ale jak jestem niezbędny, to niech dadzą przynajmniej to, co dostają nasi buchalterzy, te gryzypiórki zakichane. Oni dostają w stołówce drugie danie, a ja mam prawo tylko do lury. W jednym tylko miejscu nie pytano

mnie o zwolnienie: w stacji przeciwmalarycznej. Chodziłbym z kadzią na plecach i opryskiwał aryki naftą chlorowaną. Może bym zaryzykował przerzut na tę robotę. Półtora roku więzienia już nade mną wisi, ale bym zaryzykował.

- Rozmyśliłeś się?

- Ale nie dlatego. Tam jest do wzięcia tylko nafta. A ta nafta jest na walkę z malarią. Rozumiesz sama. Ona ma zabijać komara roznoszącego malarię.

- Staraleś się o przyjęcie na studia?

- Tak. Od dziekanatu dostałem nawet list do dyrektora fabryki - z prośbą o zwolnienie. Podarł ten list przy mnie na drobne kawałki.

- A wojsko?

- Lederkremer był w komendzie. Powiedziano mu, że teraz bierze się tylko rasowych Polaków. Że może później. W paszporcie wypisano mi, kim jestem, żebyś na przyszłość nie miała wątpliwości.

Widziałem, że była przytłoczona. Spytała cicho:

- Co będzie, Bożek?

Włożyłem resztki chleba do kieszeni kombinezonu.

- Nie tracę nadziei - powiedziałem.

W jej oczach zaszklily się łzy.

Powtórzyłem:

- Nie tracę nadziei. -
- Objąłem ją ramieniem. -
- Zobaczysz, moja Lenny, będzie dobrze. Prysnę na wieś!
- Żeby cię nie znaleźLi...
- Mam plan - wyjawilem. - Ja przecież wiem, że zawsze trzeba mieć plan. Nic na siłę - wszystko na psychologię. Muszę tylko mieć w zapasie zwolnienie lekarskie na pewien okres.
- To będzie kosztowało.
- Sprzedam golf.
- Nie rób tego.
- Ale muszę. Ja też nie lubię sprzedawać ze siebie. Karim

obiecał dać za golf trzysta rubli i zwrócić go w każdej chwili. Zwolnienie będę miał za dziesięć dni: lekarz coś tam ma wymyślić o moim sercu. Pokażę zwolnienie w fabryce, więc nie będą mnie na razie niepokoić. I ulotnię się na wieś.

- A po dziesięciu dniach?
- Najważniejsze, że przyzwyczajają się do myśli, że fabryka może jakoś funkcjonować beze mnie. Dziś mamy zawieźć węgiel dyrektorowi do mieszkania i postaramy się połowę opylić po drodze. Zapłacę Andrejewnie i ulatniam się.

- Co potem?
- Nie wiem. Na wsi będę pracował za wyżywienie. W sowchozie, w kołchozie, u Uzbeka za parobka - wszystko mi jedno. Za kilka placków natyram im, ile zechcą. Przyjedziesz do mnie na wakacje?

Widziałem, że się nad czymś zastanawia.

- Bożek, coś się kroi. Zygmunt wspominał mi, że komitet polski zatrudniłby kogoś do pracy na roli. Szkoły dostały w tym roku wspólne gospodarstwa pomocnicze i każda ma wydelegować kogoś do pracy. Polacy woleliby nie

posyłać ucznia, tylko kogoś
najać.

Sam miałem być w tej szkole
uczniem: to by mnie było
uratowało. Jula poleciła mnie
nauczycielce polskiego.
Przyszedłem do niej do kibitki na
rozmowę. Postanowiłem ją olśnić.
Powoływałem się na Boya,
Irzykowskiego, Stendhala, Shawa,
Bertranda, Russella.
Deklamowałem Słowackiego i
skamandrytów. MUsiałem zgłupieć!
Ta bidula uczyła bez
podręczników i widok chłopca,
który zna poezję romantyczną na
pamięć, musiał ją przerazić.
Kiedy zgłosiłem się do dyrekcji
szkoły, powiedziano mi, że pani
Zofia stwierdziła, że absolutnie
się nie nadaję. Że brak mi

podstawowych wiadomości.
Przypomniałem sobie, że
powiedziała mi: "Macie talent,
który powinien okrzepnąć",
uśmiechnąłem się do dyrektorki i
wyszedłem bez słowa. Idioto,
będziesz miał nauczkę na całe
życie. Dobrze, mogę w szkole, do
której nie dorastam jako uczeń,
być parobkiem.

- Powiedz Zygmuntovi, że ja
pojadę.

Ucieszyła się:

- Dostaniesz dodatkową kartkę
na chleb!

- Świetnie. Zostawię tamta
tobie.

Patrzyliśmy na siebie z
uśmiechem. Uderzyłem się po
bicepsie:

- Widzisz, jeszcze się
trzymam!

Zajechała ciężarówka. Wsiadła
Fienia. Na widok Leny gwizdnęła
przeciągle:

- Ach, tak! Stara miłość nie
rdzewieje. Ładuj, Bożek, węgiel
dla dyrektorskiej piwnicy!

Chwyciłem szuflę i zagłębiłem
ją w węglu. Ale pomyślałem

sobie, że ona nie musi się temu przyglądać. Rzuciłem łopatę i podszedłem do Leny.

- Idź już, kochanie - powiedziałem. - Idź, córeńko.

Odwróciła się niechętnie i skierowała się w stronę europejskiej dzielnicy, w której znajdowała się nowa bursa.

14

W sowchozie nie powodziło mi się źle. Nie było tu wartowni, w której obmacywano by mi kieszenie. Nie trzeba było chować butelek pod bluzą. Jedzenie dostawałem za rzetelną robotę. Z rana dawano gorące kukurydziane placki. Na obiad i kolację - gęsta kasza. Pracowałem w polu z kietmeniem w ręku. Odwalałem nim ogromniaste skiby czarnej, lepkiej ziemi, biłem z rozmachem, aż w barkach

trzeszczało. Potem przeciągałem żelaźcem kietmenia po wygładzonej skibie i od tej pieszczoty rozsypywała się na grudki. I znów zataczałem kietmeniem półkole w powietrzu, kietmeń ciężko spadał, wrzynał się w grunt i odrywał zwalistą skibę.

Polubiłem ten rytm. Rano wszyscy zaczynaliśmy razem, ustawieni w szeregu do przeorywania kietmeniem pola, po godzinie byłem już daleko w przodzie. Samotnie szedłem naprzód. - Skiba po skibie, gońcie mnie, krasnoludki. Kiedyś, wgrzyzając się szczęką kietmenia w ziemię, przyłapałem się na śpiewaniu. Urwałem wtedy - czysty, chłodny wietrzyk unosił jeszcze przez chwilę cudaczną melodię, nieznany rytm - stałem i słuchałem dzwonienia wiatru. I wtedy usłyszałem wołanie za mną:

- Dalej, bracie! Zasuwasz swoją piosenkę!

Pracowałem śpiewając
niezmordowanie aż do końca
robotczego dnia. I say potatoes
and you say potatoes. Dlaczego
nie ma niebieskich róż. Bagnet
mnie ukłuje, śmierć mnie
pocałuje, ale nie ty. Śpiewają
nieszczęśliwi, mówiła Niura.
Nieprawda, nareszcie jest
dobrze. Robota i trochę żarcia,
dwadzieścia lat i kochająca
dziewczyna. Tego wieczora na
kolację było duszone mięso z
byczką, którego nad ranem
ubiliśmy. Najadłem się do syta i
położyłem się senny na posłaniu
w kącie szopy. Przywidziała mi
się Samarkanda, którą trzeba
będzie kiedyś zwiedzić, wszyst-
kie te mauzolea, i groby
spopielałych okrutników. Lena
wkuwa teraz pewnie metodykę
wykładania fizyki. Siedzi przy
oknie i korzysta z ostatnich
drgnień światła.

- Ile stąd jest do miasta? -
spytałem.

Przypuszczano, że około
dwudziestu pięciu kilometrów. W
cztery godziny zajdę,
pomyślałem. Była siódma.
Objaśniono mi z grubsza, jak
iść. Najpierw ścieżką do traktu.
Potem traktem obok sadu
morwowego. Potem do następnego
traktu, przeciąć linię kolejową
i wzdłuż toru do samej stacji.

Wstałem i wziąłem menażkę.

- Po co ci to? - pytano.

- Narwę morwy dla dziewczyny.

Szedłem szybko, żeby zdażyć do
toru kolejowego przed zmrokiem.
Ścieżka miała kilka rozwidleń, o
tym mnie nie uprzedzono i teraz
zastanawiałem się, które jest
właściwe. Topole i uriuki
odcinały mnie od otwartej
przeźreni. Wybiorę dróżkę
środkową. Prowadziła do

szerokiego ziemnego traktu. A więc dobrze. Teraz na lewo. Szedłem między sadami morwowymi, pnie drzew oblane były żółtym blaskiem chylącego się ku zachodowi słońca. Pytanie, czy napełnić menażkę już teraz, czy na razie chodzić z pustą. Usłyszałem głos z sadu:

- Ej, braciszku!

Rozejrzałem się: nikogo nie było widać.

- Braciszku! - usłyszałem znowu. - Ty, ty. Zadrzyj głowę.

Na drzewie siedział okrakiem na gałęzi żołnierz Armii Czerwonej i objadał się owocem morwy.

- Cześć! - krzyknął żołnierz.

- Cześć! - odpowiedziałem.

- Dokąd ganasz?

- Do miasta.

- Zdażysz - powiedział

żołnierz. - Wejdź tu do mnie.

- Po co?

- Pobajdurzymy. Morwy się najesz.

- Dobra tam u ciebie morwa? - spytałem.

- Czarna i słodka.

Z menażką uczeponą na guziku wspiałem się na drzewo. Żołnierz podał mi rękę i pomógł usadowić

na sąsiednim konarze. Nie bujał: morwa rosła tu czarna, słodka i soczysta. Jadłem i napełniałem menażkę.

- To dla kogo? - spytał żołnierz, młody blondas.

- Dla dziewczyny.

- Dobrze robisz. Pewnie głodem przymiera.

- Różnie bywa.

- Nie różnie, ale jednakowo.

Najlepiej w wojsku - pytlował chłopak. - O jedzenie cię głowa nie boli, niech się szef martwi. A jeszcze lepiej w szpitalu. Rabną cię, powiedzmy, w rękę. Bez ręki żyć można, bez nogi też się da. A co się w szpitalu

nawsuwasz, to twoje. Powiadają,
że nawet jajecznicą w proszku
bywa. Jeden koleżka mówił mi, że
sok pomarańczowy pił. Ale z tym
to już chyba zalał. To ty z tą
menażką myślisz do samej
Samarkandy dojść?

- A jakże.

- Rzucisz po drodze. W długim
marszu wszystko przeszkadza. Raz
czterdzieści kilometrów po
głębokim śniegu brnąłem. Ciężko
jak diabli. Odczepiłem manierkę
od pasa i buchnąłem w śnieg. Lżej.
Potem znowu coś mi ciąży. Myślę:
co to może być? Plecak już
dawno w furgonie... I nagle
zrozumiałem: igłę uważasz miałem
w klapie. Więc ja tę igłę...

- Teraz ty zalewasz -
przerwałem mu.

- No, przypuśćmy. Ja ci tak,
powiedzmy, dla przykładu.

- Nie trzeba, sam byłem
żołnierzem.

- Ja to poznałem. Chodzisz,
jakby ktoś obok komenderował:
lewa_prawa, lewa_prawa... Ty,
jak widzę, Polak?

- Tak.

- Tak sobie pomyślałem:
angielskie portki, czyli Polak.
Dlatego cię tu na drzewo
wezwałem, myślę, rozmowa może
być ciekawa. Mam ja, bracie,
kilka pytań.

- Odprowadź mnie do

Samarkandy, to pogadamy.

- Ja wolę na drzewie. Na ziemi
gadać nie lubię. Żle ci tutaj?

- Nie. Ale śpieszę się.

- Poczekaj, odpowiedz na
pytanko. - Żołnierz spoważniał
i zapytał: - Ty tego pana
Piłsudskiego widziałeś kiedy?

- Żywego nie. W trumnie go
widziałem.

- Jaki on był? Postawny?

- Owszem. Wąsy miał długie.
Żołnierz kiwnął głową.

- Toto. Znaczy się, że oni

Wszyscy na jeden krój. A ot,
burżuja widziałeś kiedyś?

Uśmiechnąłem się:

- Ja sam jestem burżuj.

Żołnierz wybuchnął śmiechem.
Trzepnął mnie nawet po kolanie
tak, że omal z drzewa nie
zleciałem. - No i burżuj! -
rechotał. - Ale burżuj!
Eksploatator klasy robotniczej!
Krwio pijca_ludożerca! - Trzymaj
mnie, bo zlecę! - wołał pękając
ze śmiechu.

- Z ziemi byś nie zleciał -
zauważyłem. - Masz rację, ja
burżujem nie byłem. No to cześć,
braciszku. Na mnie czas.

Żołnierz mnie przytrzymał.

- Poczekaj, słoweczko -
poprosił. Zapytał tajemniczo: -
A burdele... burdele to u was w
pańskiej Polsce były?

Spojrzałem na jego dziecianną
twarz i odpowiedziałem:

- Chyba były.

On westchnął:

- Dziewico Przepczysta! Z
tydzień bym nie wychodził!

Zsunąłem się na ziemię i
poszedłem sobie. Teraz kroczyłem
wolniej - trzeba było uważać,
żeby nie rozsypać morwy. Ale do
zmroku zostawało niewiele.
Odblask słońca na pniach drzew
purpurowiał. Żeby dotrzeć przed
zmierzchem do linii
kolejowej!... Wiedziałem, że
ciemno robi się nagle, niemal z
minuty na minutę.

Na pewno okaże się, że morwę
przyniosłem w samą porę. Lena

powie zmieszana: Z chlebem były
dziś kłopoty - dziękuję ci,
synu. Wyobraziłem sobie, jak
łapczywie je owoce. Sok oblewał
jej wargi i same wargi też
stawały się soczyste, spojrzenie
jej wilgotniało i oczy
połyskiwały jak czarna morwa.
Potem przypłynął ku mnie zapach
jej włosów, słodkawy zapach

nafty, która je przemywała, i owocowy zapach jej skóry. W cztery godziny zajdę, pomyślałem.

Stałem przed polami ryżowymi zalanymi wodą. Zielone miedze przecinały je wąskimi grobelkami. Dróżka, na którą miałem zboczyć z traktu, zataczała łuk wokół ryżowisk. Pójdę tymi miedzami, postanowiłem. Przetnę pole i wyjdę gdzieś tam na ścieżkę, będzie prędzej.

Przestępowałem chyżo z grobelki na grobelkę. Dokoła rozlegało się pochleptywanie i mlaskanie, jakieś poszepty i cmokania. Puścili wodę, zrozumiałem, trzeba się spieszyć.

Grobla niespodzianie się urwała i znalazłem się na grząskiej łące. Szedłem dalej przeskakując z kępy na kępę. Zobaczyłem w oddali wzniesienie. Wzdłuż pagórka rozciągało się coś purpurowego. Pomyślałem, że widzę źle, że może powinienem sobie sprawić okulary. Mam krótki wzrok inteligencika, nareszcie - pomyślałem i wydałem się sobie jeszcze bardziej żaloszny.

Łąka skończyła się tak samo nieoczekiwanie, jak się zaczęła. Stałem nad głęboką, czystą strugą. To ona tak błyszczała purpurą. Ten strumień to był złośliwy kawał, bolesny kopniak, woda w nim była lodowata i przezroczysta, poprzez rwący nurt falowały wygładzone kamienie. Nie zajdę w cztery godziny, zrozumiałem. Kiedy

zapukam do okna bursy, Lena będzie już spała. Ale jak się stąd wydostać? wrócić do traktu. Obejrzałem się, ale kępki, na której stałem ostatnio, już nie było: zatonała. Ja sam wcisnąłem

ja w trzęsawisko.

Wypatrzyłem obok inną kępę. Skoczyłem i od razu poczułem, że zagłębiam się wraz z kępą w grząskim gruncie. Ogarnięty paniką wyrwałem nogę i wróciłem na twardszy grunt nadbrzeżny. Jeszcze przez chwilę czułem mróz w plecach. Zrozumiałem, że odwrotu już nie ma. Zawołałem:

- LUdzie! Hej ludzie!

Potem znów:

- LUdzie! LUdzie!

Nikt nie odpowiadał. Słysząc było tylko bulgotanie ryżowisk i kłapanie wartkiego strumienia. Więc tak, puścili wodę: udało mi się przebrnąć przez na wpół wyschłe trzęsawisko, które teraz wracało do życia. To byłoby idiotyczne, skończyć tutaj, na tym odludziu, z ustami pełnymi obrzydliwego błota. Nikt nigdy się nie dowie, co się ze mną stało. Lena i mama, i ci wszyscy w Warszawie, do których trzeba wrócić. W dłoni ścisnąłem kurczowo menażkę z morwą dla Leny. Mruknałem:

- Nie dam się.

Drzewo rosło nad brzegiem strumienia i jego sękata gałąź sięgała aż na przeciwległy brzeg. Jakiś filmowy Robin Hood prześliznąłby się pod gałęziami na drugą stronę. Widziałem to z dziesięć razy. Ale ta gałąź się pode mną załamała. Powiedziałem na głos:

- Ładna historia.

Potem:

- Wpadłem.

Nie, wyjdę z tego. Zakląłem i znowu na głos:

- Zrobi się. Spokojnie, Bożek, wszystko się zrobi.

Ułamałem gałąź nadającą się na kij i wetknąłem ją do wody. Po wyciągnięciu przymierzyłem gałąź

do siebie: Mokry ślad sięgał do szyi. Więc dobrze, przejdę po

szyję w wodzie. W razie czego -
popłynę. Nawet w lodowatej
wodzie tych kilka metrów
przepłynę. Tylko że morwa
przepadnie...

Siadłem nad brzegiem i
zacząłem ściągać buty. Potem
ważyłem je w ręku - buty, mój
największy skarb, ciężkie,
angielskie, powinny lecieć jak
kula. Odetchnąłem głęboko i
stanąłem w rozkroku. A jak
nawalę? Nie nawalisz. Mogę nie
dorzucić, zawsze pchałem kulę
jak baran. Teraz jesteś
silniejszy. Ale zdenerwowany.
Nic to, skoncentruj się. Buty;
buty, które zdobyłem z takim
trudem! Zatoczyłem łuk ręką i
wyrzuciłem but w powietrze.
Przeleciał wysoko nad strugą i
opadł daleko za nią pod samym
pagórkem.

Dobry jestem, pomyślałem. Ale
forma! Złapałem drugi but i
cisnąłem w ślad za tamtym. Tym
razem pocisk poleciał
niebezpiecznie płasko, tuż nad
wodą, ale wylądował jednak dość
daleko za strugą. Teraz
ściągnąłem spodnie i owinałem je
wokół szyi. Z menażką trzymaną
wysoko w górze, jak karabin nad
głową podczas desantu, wszedłem
do wody. Lodowata obręcz
zaczisnęła się natychmiast wokół
piersi. Zatamowało oddech.
Uciekać!

Po chwili było po wszystkim.
Stałem na tamtym brzegu i
trząsałem się z zimna. Onucami
tarłem ciało do czerwoności.
Spodnie i bluza jednak
przemokły. Morwa ocalała. W
oddali widniały słupy linii
telegraficznej, która pewnie
wyznacza bieg kolejowego toru.
Prowadziła ku tym słupom
kamienista ścieżka. Moja
ścieżka. Idziemy drogą
kamienistą, twardą - przypomniał
mi się Staff - i bezsłoneczny
mamy strop nad głową... Było

lżej chodzić wspominając
wiersze, tajnie góry Synaj...

Słońce schowało się i słupy
poszarzały i oddaliły, a wkrótce
i zatarły w ciemnościach.

Zrobiło się chłodno, mokre
spodnie tarły kolana i uda. W
zaroślach wzdłuż drogi kwiliły
szakale, zmyślnie udawały
zawodzenie niemowląt.

Wsluchiwałem się w dudnienie
swoich ciężkich butów. Teraz
dojdę. Teraz już na pewno.

Upływały kilometry i godziny.
Odległość, którą podano mi w
sowchozie, miała najwidoczniej
spory "hak". Szedłem coraz
wolniej, menażka ciążyła -
żołnierz na drzewie miał rację -
ale najdotkliwsze było

zesztywnienie mięśni nóg. To
chodzenie po miedzach, przyszło
mi na myśl, a potem skoki z kępy
na kępę. Bez treningu i bez
rozgrzewki. Początek sezonu,
panie redaktorze, co zrobić,
pierwszy występ na boisku.

Przede mną platanina szyn,
gwiżdże lokomotywa. Nareszcie.
Nareszcie jesteś, Samarkando,
miasto moich upokorzeń i mojej
miłości. Za ciemnymi konarami
drzew - fosforyzująca kopuła
grobu okrutnika. Srebro księżycy
odpryskuje od niebieskiej
glazury jak wymyślny neon.

Cisza. Wlokę się, jakbym czołgał
się na kikutach nóg. Nie nadaję
się do Wielkich bulwarów, nie
mam modnego garnituru, ale mam
żołnierską krzepę, ujdę wśród
zasp śnieżnych - brnę, ale
ciągnę. Na bulwarze Abramowa
zobaczyłem wreszcie, schowane za
tkaniną gałęzi, wapienne plamy
ścian nowej parterowej bursy.

Oblewało je białe światło
kołyszącej się na drucie lampy.

Trzysta metrów, pomyślałem
leniwie, można je przebiec w
czterdzieści sekund - witaj,
Lenka. Pomyślałem tak i wtedy
właśnie ugięły się pode mną
kolana. Osunąłem się na chodnik,
na brzeg rynsztoka. Odpocznę.

Trzysta metrów. Z hakiem,
powiedzmy. Najpierw odpocząć.

Siedziałem odrętwiały,
powtarzając sobie w myśli, że
już niedaleko, ale lepiej
odpocząć, a potem dopiero
pokazać się dziewczynie.

- Śpisz? - usłyszałem.

Najpierw zobaczyłem brezentowe
sandały na stopach szerokich i
płaskich jak łopata, potem wzrok
powędrował wyżej, ku łątom na
płóciennych spodniach. Potem
ukazał mi się postrzępiony
waciak. I wreszcie twarz -
wychudła i zarośnięta. Stara
czapka z opuszczonymi
nausznikami. To mogłem być ja -
pomyślałem i nawet się tej myśli
specjalnie nie przeląkałem.

- Nie śpisz - powiedział
mężczyzna i przysiadł się do
mnie, nogi opuścił do wyschłego
aryka. Miał wypukłe, żółte
białka oczu, a jego broda
przetykana była siwymi
pasmami... - Odpoczywasz?

- Tak.

- Daleko masz?

- Niezbyt.

- Dokąd?

- Tam.

Wskazałem palcem budynek
bursy. Lampa na drucie
zakołysała się i dom Leny
schował się w mroku.

- Tam? - zdziwił się
nieznajomy.

- Tak, do tego domu.

Nieznajomy chwilę milczał.
Potem zapytał:

- Morwa na sprzedaż?

- Nie. - Czułem potrzebę
zwierzenia się. - To właśnie tam
ją niosę.

- Hm - mruknął nieznajomy.

- Dla dziewczyny.

- Za morwę - domyślał się
tamten. - Tania.

Nie myślałem się obrazić.
Przeciwnie, uśmiechnąłem się:

- Nie, to chyba jednak miłość.
Ten włóczęga cisnął kamieniem
w jezdnię. Kamień uderzył z
trzaskiem o brukowiec i

podskoczył do góry.

- Kłamiesz - powiedział
tamten. Ja wciąż się
uśmiechałem: miałem wiedzę,
która dla tamtego nie była
dostępna. Niech się wścieka,
filozof parszywy; myśli, że jak
chodzi w latach, to już wszystko
zrozumiał. - Nauczyłeś się
kłamać - upierał się tamten.

Znów rzucił kamień.

- Znaczy się - powiedział -
morwą nie poczęstujesz?

- Jeść ci się chce? -
spytałem.

- A jak? Co to - mandarynki
masz, żem na nie łasy? Jak się
napraszam na takie gówno, to
dlatego, że żryć chcę, jasne?

Chyba już mogę iść, pomyślałem
i podniosłem się. Powiedziałem
sucho:

- Jak jesteś głodny...

I wręczyłem nieznanemu garść
owocu morwy.

- Więcej nie mogę -
zastrzegłem się.

- Nic, bracie. Dobrze i to.

Uszedłem kilkanaście kroków i
obejrzałem się. Nieznajomy
siedział pochylony nad
rynsztokiem i wyjadał z
otwartych dłoni morwę.

- No i co? - krzyknąłem. -
Takie gówno?!

Tamten oblizywał już palce.

- Nie, całkiem dobre -
przyznał.

Przebrnąłem ten kawałek drogi
i stanąłem przed budynkiem
bursy. Odszukałem okno, przy
którym powinno było stać jej
łóżko. Za tą czarną szybą spała
w miękkiej pościeli, ciepła,
wypoczęta, pogrążona w innym
świecie. Do diabła, kiedy będę
mógł znów leżeć obok niej,

słyszeć jej równy oddech,
zatopić twarz w słodkawym
zapachu jej włosów. Wyrwę ją za
chwilę ze snu, wtrącę w noc,
głodną noc samarkandzką,
podzielę się z nią swoim
zmęczeniem, swoimi nędzarskimi
kłopotami. Zapukałem leciutko w

szybę. Usłyszałem poruszenie za
oknem. Usunąłem się na bok. Okno
otworzyło się i wyjrzała Lena.
Przycisnęła ostrzegawczo palec
do ust. Teraz miałem na nią
czekać. Usiadłem pod murem. Oczy
kleiły się do snu. Włożyłem do
ust jagodę morwy i zmiąłem ją
językiem. Trochę mnie to
otrzeźwiło.

Lena prześliznęła się przez
parapet okna. Miała na sobie
swoje stare treningowe spodnie i
brązowy sweter. Drżała z zimna.
Objąłem ją ramieniem i zanurzyłem
twarz we włosach. A więc tak,
spełniło się przynajmniej to,
jestem przy niej, słucham jej
oddechu, jakoś do niej dotarłem,
wcale to nie było takie trudne.
Spytała:

- Stało się coś, Bożek?

- Nic - odpowiedziałem

pogodnie.

- Nic? A po coś przyszedł?

- Tak sobie.

Popatrzyła na mnie z
uśmiechem, trochę nie
dowierzając, a ja powiedziałem:

- Zobacz, co ci przyniosłem.

Podąłem jej menażkę, nie bez
obawy, że pokiwa z politowaniem
głową. Ale ona zabrała się z
miejsca do pałaszowania morwy.
Przyglądałem się temu śmiejąc
się. Odstawiła menażkę
zawstydzona.

- Dla Natałki prawie nic nie
zostało. Dobra ze mnie siostra!
- wykrzyknęła. - A wiesz, żeś
miał niezły pomysł z tą morwą? Z
chlebem były dzisiaj kłopoty.

Wszystko przewidziane. Ona

spytała:

- Jak ci tam idzie?

- Jak na lotnisku. - Miałem jej opowiedzieć o swojej dzisiejszej przeprawie, o trzęsawisku, o brnięciu przez lodowatą strugę, ale pomyślałem, że nie musi o tym wcale wiedzieć, przynajmniej dzisiaj jeszcze nie. - A tu co? - spytałem.

- Zygmunt mówił, że cię

wkrótce stamtąd odwołają. Ale ma dla ciebie inną robotę.

- Jaka?

Wydawała mi się zmieszana.

- Nie wiem, czy się na nią zgodzisz. Jemu potrzebny jest dozorca w polskiej szkole.

Miałem w niej być uczniem, ale okazało się, że się nie nadaję. Nie szkodzi. Wojna wszystko spisze na straty.

- Zgodzę się - powiedziałem.

- Obiady są tam przyzwoite.

- To najważniejsze. Kiedy to się zacznie?

- Za kilka dni. On da ci znać.

Zaczynało szarzeć. Podniosłem się i otrzepałem spodnie.

- MUszę iść.

- Dokąd, Bożek?

- Z powrotem do sowchozu. Do ósmej chyba zajdę.

Pomyślałem, że nie wolno mi się spóźnić na rozdział placów. Spojrzałem na szarzejące niebo i powtórzyłem:

- Do ósmej zajdę.

15

Pracę w szkole zacząłem od posprzątania podwórza. Potem wziąłem się za koromysło z kołyszającymi się na nim wiadrami i naniósłem do kuchni wody. Durny Mychajło, przypomniałem sobie, tak nazywano nosiwodę w Dąbrownicy na Wołyniu, rudego, bełkotliwego niedojdę,

kłapiącego niezmordowanie bosymi nogami. Teraz ja. Nie szkodzi, miej to gdzieś, do śmierci przy tym nie będziesz. Durny Mychajło wciąż tkwił mi pod czaszką. Do szkoły zaczęli schodzić się uczniowie. Stałem w bramie pilnując, by nie prześliznął się nikt obcy i niepożądany. Mijali mnie obojętnie, bez zdziwienia, bez potępienia i aprobaty, jakby to było zupełnie naturalne, że u wrót stoję ja, Bogdan Bergen, a nie któryś z nich, co się tu uczą lub wykładają. Uczniowie byli w różnym wieku -

najmłodszy nie mieli jeszcze dziesięciu lat, najdojrzałszy byli grubo starsi ode mnie. Rozeszli się po klasach, w których rozdano im herbatę. Znowu posłano mnie po wodę. Durny Bożek. Krążyłem z koromysłem między szkołą a hauzem niezliczoną ilość razy - dopóki nie napełniły się dwa duże kotły, w których gotowano obiad.

Ostatnią lekcją była gimnastyka. Prowadził ją na dziedzińcu wysoki, szczupły i gibki jak trzcina młodzieniec o falistej czuprynie. Słyszałem o nim dużo od Zygmunta. Młodzieniec podobał się leciwym paniom, które zawładnęły stanowiskami w komitecie.

Uczniowie uformowali czworobok. Nauczyciel stanął pośrodku i dyrygował: - rozkrok - skłon w prawo - skłon w lewo - skłon w przód. Raz - dwa - trzy - cztery. Raz - dwa - trzy - cztery. Potem słychać już było tylko rytmiczne pogwizdywanie: raz - dwa - trzy - cztery, raz - dwa - trzy - cztery.

Podziwiałem młodzieńca z falistą czupryną. Jakże to wszystko proste! Nigdy nie wpadło mi na myśl, że można by

było zostać na przykład nauczycielem gimnastyki. Albo angielskiego. Zawsze moje myśli krążyły wokół łopaty. Zawsze wybierałem ostateczność. Ten młodzieniec lepiej się umiał zakrzatnać. Miał na sobie czysty battle_dress, spod którego wyzierał biały kołnierzyk koszuli.

Uczniowie ustawili się w rzędzie i ćwiczyli rzucanie piłką do kosza. Robili to niezręcznie, krzywo, prawe ramię wypychając do przodu. Nauczyciel jednak nie korygował. Nie umie - czy nie chce mu się? Takie patałachy! Robiłem to o niebo lepiej. I dziewczyny przyglądały się temu ładniejsze. Miały w

sobie coś niebieskiego.

Nauczyciel powtarzał monotonie:
- Następny! I potem gwizdał. Możliwe, że cała tajemnica jego posady była w tym gwizdku. Mądry chłopak.

Zawezwano mnie do kuchni i podano miskę gęstej zupy. Jedz, durny Mychajło. Powiniennem zabełkotać coś w podzięce. Tamtemu sople zwisały z nosa, kiedy siorbał gorącą zupę. Poczekaj, dojdiesz i do tego - myślałem niosąc miskę do jadalni. Przynajmniej w tym nie ma oszustwa, zupy dali dużo i z mięsem. Za oknem uczniowie maszerowali czwórkami. - Trzy, cztery! - komenderował ten mądry młodzieniec. Uczniowie śpiewali:

Myśmy przyszłością narodu,
pierś nasza pełna jest sił,
pełna sił...@

Nauczyciel dyrygował jedną ręką. Patrz, durny Bożku, patrz i ucz się, jak trzeba żyć.

Na progu jadalni stanęła Lena. Zerwałem się z miejsca.

- Do mnie?

- Dostałam kartkę na obiad -

powiedziała. - Należy mi się, przepisuję dla komitetu rejestr nazwisk. Co dzisiaj dają?

- Grochówkę. Z angielskiego koncentratu.

Spytała:

- Jak ci się tu podoba?

Przez chwilę namyślałem się, co jej odpowiedzieć. Wybrałem to:

- W porządku. Jest wszystko, czego trzeba. - Dodałem: - O to chodziło, tak czy nie?

Pomyślałem sobie jednak, że może przeliczyłem się z siłami. Spodziewałem się, że mam więcej odporności. Ale nie powiedziałem jej tego. Za oknem tamci wciąż zapewniali, że są przyszłością narodu.

- Nie uśmiechniesz się do mnie? - usłyszałem jej głos. Była trochę rozczarowana.

- Zrobię to - zapewniłem ją. -

Ale nie od razu. - Wskazałem na śpiewających za oknem. - To mi działa na nerwy.

- Co?

- Te piosenki.

- Zamknij okno.

- Och, nie o to chodzi. One za dużo znaczą. Za bardzo zbliżają. Tutaj jest prawie Polska, na tym podwórku. I to jest dla mnie najgorsze. - Milczała, a ja znowu pomyślałem: przeliczyłem się z siłami, nie wytrzymam tego. Powiedziałem: - To prawie jak powrót... a ja wyobrażałem sobie to trochę inaczej.

- Nie, to chyba jeszcze nie to - próbowała mnie pocieszać.

- Może masz rację.

Z kuchni zawołano:

- Bergen!

Zrobiło mi się gorąco.

Powiedziałem:

- Muszę iść po wodę.

Z koromysłem na ramieniu przeszedłem obok okna, za którym Lena w białej sukience siedziała

pochylona nad miską.

Po obiedzie szkoła opustoszała. Zamknąłem bramę na zasuwkę. Lena rozglądała się po dziedzińcu, ja szedłem za jej spojrzeniem: Parkan, dwa kosze do gry, brama. KOło bramy ławeczka, obok oparta o ścianę miotła. Ławeczka zainteresowała Lenę.

- Tutaj urzędujesz?

- Właściwie tak. W nocy mam na niej spać.

Zdaje się, że to zrobiło na niej wrażenie. Miała zdławiony głos, kiedy się odezwała:

- Bożek, mnie się to nie podoba.

Oboje przeliczyliśmy się z siłami, pomyślałem.

- Lenny, wiem, co ci jest: duma cię zżera. Jesteś piekielnie ambitna Ukrainka, harda czornobriwa, to_to. Rusińskie królewiatko z polskimi przesadami.

- Jesteś wart lepszego losu, synu.

Usiłowałem wszystko obrócić w żart.

- Może, ale to jest nasza tajemnica, twoja i moja - i niech zostanie między nami. Zresztą mam to, co lepsze. - KONiec z żartami, w krtani zbierały łzy. - Mam ciebie. Oni mają stanowiska i konserwy, piłkę do koszykówki i gwizdek, ale nie mają ciebie.

Nie odpowiadała, więc uznałem, że trzeba mówić dalej:

- Nie takie rzeczy już robiliśmy, ty i ja, prawda? Aktor jest zresztą na wszystko przygotowany. Dziś zagra władcę, jutro najnędniejszego błazna. Najważniejsze to grać dobrze. - Uśmiechnąłem się. - MNie się ta rola dosyć podoba, można się wygrać. Ktoś to musi robić - czemu nie ja? to nawet zabawne -

obserwować, jak oni wszyscy mnie nie zauważają. Myśla, że sama natura to tak urządziła: żeby oni z książkami, a ja z koromysłem.

- Byleby cię to nie przestało bawić.

- Tak, tego się trochę boję. Tutaj jest taka mikro_Polska, a ja wciąż poza nawiasem. To już może tak zostanie? - Słuchała w milczeniu, ja mówiłem: - Między Rosjanami wszystko byłoby łatwiejsze. Wiadomo - obczyzna, wojna, tymczasowość, byle przeżyć. Poza tym oni to dobrze znają - wiedzą, że życie jest huśtawką. I nie mają naszej pychy. A tu, na tym głupim podwórku, już czuje się podział na panów i parobków, na tych z towarzystwa i na tych spoza. I ja jestem tym parobkiem. Dobrze, mogę nim być, mogę być wszystkim. Ale ta gimnastyka. Nie mogę na to patrzeć. Koszykówka! Ja bym im pokazał, tym ofermom, jak się gra w kosza! Patałachy! Cymbały! Pchają jednym ramieniem; jak wpada do kosza, to już tylko fuks. Nasz gimnastyk by ich z boiska

przepędził!

Milcząc spoglądała, jak się miotam w bezsilnej złości. Dobrze, pokażę ci! Pobiegłem do komórki i zdjawszy kłódkę wyjąłem z niej piłkę. Rzuciłem ją Lence.

- Łap! - zawołałem. - I podaj mi na for.

Stanąłem pośrodku boiska lekko pochylony, gotów do startu.

- Rzucaj!

Rzuciła za blisko. Wybuchnąłem śmiechem.

- Ach, ty ofiaro. Jak ty rzucasz? Rzuć ją na dobieg!

Drugi raz Lenie poszło lepiej. Dopadłem do piłki, pacnąłem ją dłonią, piłka zakozłowała,

podprowadziłem ją tak pod sam
kosz, chwyciłem i z wyskoku
wrzuciłem do kosza. Stałem przez
chwilę jak zaczarowany,
wpatrując się w żelazną obręcz,
przez którą dopiero co
prześliznęła się piłka.

- KOsZ, nie do wiary! -
zawołałem. - Jeszcze bym się
nadał!

Nadałbyś się, usłyszałem
piejący głos Rajskiego.
Jasnowłose dziewczyny klaskały w
dłonie. Nadałbym się. Wytarłem
łzę, która pojawiła się w kącie
oka.

- Bożek, ktoś dobija się do
bramy.

Był to jakiś niecierpliwiec,
bo dobijał się ostro. Podbiegłem
do wyjścia. Odciągnąwszy
zasuwkę, zobaczyłem drobnego
blondyna, w nowiutkim
angielskim mundurze bez oznak.

- Co za porządki! -
rozwrzeszczał się blondynek. -
Na co pan sobie pozwala? Mam tu
czekać godzinami!

Zerknąłem na pobladłą Lenę.
Ten blondynek, pomyślałem, ten
cholerny elegancik, ma o wiele
więcej krwi od niej, mógłby
trochę oddać Lenie albo na
Czerwony Krzyż. Spytałem go
siląc się na spokój:

- Pan do kogo?

- Do kierownictwa kuchni.

Chciał wejść, ale ja, durny
Bożek, zagroziłem mu drogę.

- Chwileczkę, kto pan jest? -
spytałem.

Usłyszałem:

- Inżynier Zajkind. -

Powiedział to odpowiednio
wyniośle.

Ach tak, magazynier,
przypomniałem sobie. Potęga!
Szafarz łask. Paniom daje
najlepsze przydziały, parobkom
bez protekcji szmaty.

- Ten mundur to pan dostał pod

El Alamein?

- ŻE co?

Nieźle nim wstrząsnęło, jak usłyszał to, co powiedziałem. Słyszałem za sobą niespokojny oddech Leny. Już wiedziałem, co zrobię.

- W tył zwrot - powiedziałem i pokazałem panu Zajkindowi gestem ulicę.

- Jak pan śmie!

- Jestem tu dozorcą - mówiłem starając się opanować drżenie głosu. - Nie wiem, czy pan inżynier to rozumie.

Odpowiedzialne stanowisko: pilnuję mienia społecznego.

- Ale ja...

- Postawiono mnie, żebym nie wpuszczał złodziejów.

- Łobuzie!

- Dam w mordę - ostrzegłem.

- Ja wyciągnę konsekwencję!

- Wyciągaj sobie. Ale złodziejem jesteś. Dlatego masz nowiutki mundur. Paszoł won!

Zamknąłem inżynierowi drzwi przed nosem. Odwróciłem się do poblądłej Leny i ścisnąłem ją mocno w ramionach.

- No co, czornobriwa? - Zadawalona jesteś?

Moja dziewczyna wybuchnęła płaczem.

- Cicho, Lenka, cicho. -

Obsypywałem ją pocałunkami. -

Cicho, kochanie. Już się nie gnęb. Już jest w porządku.

Wycierając łzy poskarżyła się:

- Teraz i to przepadło.

- Nie martw się. Wiem, co mam robić.

Ale nie powiedziałem co. Wyprowadziłem ją na ulicę i przekazałem klucze od szkoły.

- Oddaj je Zygmuntowi - powiedziałem. - Niech sobie poszuka kogoś innego - jakiegoś inwalidę albo emeryta. A potem idź do Karima i czekaj tam na mnie. Dziś musi się udać. - Na

odchodnym powiedziałem jeszcze:

- Zamów sobie coś edobrego.

Rzuciła na mnie smutne
spojrzenie.

- Zamów sobie szaszłyk,
Leniątko. Będę miał pieniądze!
Śmiało, dziewczyno, zamawiaj
sobie, co chcesz.

16

Udało się. Wracalem z
wojenkomatu z papierkiem w
kieszoni. Na początku wszystko
było jak zwykle: wracajcie do
domu i czekajcie, będziecie
potrzebni, to was znajdziemy.
Słyszałem to dziesiątki razy.
Ale tym razem Lena czekała na
mnie w czaj_chanie!

Zaprotestowałem: Nie, nie
możecie mi tego zrobić, ja
jestem stary wojak, byłem na
froncie, odbyłem kampanię
zimową, moje miejsce jest w
polskim wojsku. Rozkrzyczałem
się. Na to jeden z tamtych,
major, który najmniej się
dotychczas mną interesował,
wtrącił: - A ty w której armii
na froncie byłeś? - W dwunastej.
- Gdzież to ona się biła?

Wyliczam. - Zgadza się, powiada
major, słuchajcie - zwraca się
do pozostałych - z jednej armii
jesteśmy, trzeba jakoś urządzić
krajana, co? Pękły wszystkie
przeszkody. Miałem w kieszeni
ten papierek, jak cudowne
zaklęcie, stoliczku, nakryj się.

Przed czaj_chaną wychudły Uzbek
wróżbita bawił się swoimi
czarodziejskimi kamykami.

- Halo, Polak! - zawołał. -

Powróżyc.

- Nie trzeba, już wiem wszyst-
ko - odpowiedziałem. I
przypomniałem mu: - A pismo nie
przyszło.

- Jakie pismo? - zdziwił się
Uzbek.

- Z państwowego domu.
- Przyjdzie, przyjdzie. Daj
besz sum, będzie lepszy wróżba,
dobry pismo.
Niech diabli porwą wszystkich
wróżbitów! Który to dziś?
Szesnasty, cholera, szesnasty,
dziwne. Zapomnijmy czym prędzej.
Zastałem Lenę pogrążoną w
zadumie nad filiżanką herbaty.
- Halo, brat - powitał mnie
Karim. Miał na sobie błękitny
golf, który niedawno mu
sprzedałem.
- Halo.
- Siostra nic nie je.
- Siostra zje. Zrób dużo
szaszłyka, podaj placki,
rodzynki. - Lena podniosła na
mnie oczy, ja siadłem i
wyjaśniłem: - Tym razem to
naprawdę pożegnalna uczta. Jutro
wyjeżdżam do polskiego wojska.
Siedziała nieporuszona. Karim
przyniósł placki i rodzynki.
Zwróciłem się do niego:
- Karim_dżon, kupisz mój
płaszcz?
Chłopiec koniuszkami palców
dotknął materiału.
- Dobry - orzekł. - Dlaczego
sprzedajesz?
- Jadę daleko_daleko.
- Front?
- Front. Nemys faszyslarga
ulim! Daj osiemset rubli.
- Siedemset - powiedział
Karim.
- Dorzuć coś.
- Placki i rodzynki nie liczę.
- Kupiłeś.
Zdjąłem płaszcz z ramion i
oddałem go Karimowi, który
natychmiast poszedł z nim na
zaplecze. Zwróciłem się do Leny:
- Nie za tanio sprzedałem?
- Nosiłeś go dosyć długo.
- Tak, wysłużył się. Ale ile

mnie kosztował! Bardziej
dramatyczny niż płaszcz
Gogola... Lubiłaś się nim

przykrywać...

Uśmiechnęła się. Ja ciągnąłem:

- I lojalnie zasłaniał

butelki.

Dostrzegłem nagły przestrach w jej spojrzeniu. Szepnęła:

- Może lepiej, że wyjeżdżasz.

Te butelki, Boże! Przecież to się mogło skończyć katastrofą.

W tej chwili dopiero sobie to uświadomiłem. Poczułem i ja lęk, aż żołądek ścisnęło.

- Strach mnie obleciał od samych twoich słów - wyznałem.

- Na co się narażałeś!

- Dobrze, że mamy to za sobą.

Boże miłosierny, pozwól mi żyć z pracy rąk! Boże zlituj się. Pokazałem jej swój czerwony papierek.

- Rozkaz wyjazdu na Ukrainę.

Sumy, miasto nad Pszołą. Dostanę jutro talony prowiantowe na szesnaście dni. Szesnaście dni jazdy!

- Och, synu. Trzeba, żebyś miał masę pieniędzy.

- Wszystko będzie dobrze.

Słyszałaś: będę bogaty i co tam jeszcze. Ten stary czarownik wszystko wyczytał w swojej perskiej księdze. To proste: każdego Polaka ciągnie do kraju, Niemcy się cofają, ja jestem w wieku poborowym. Czy wiesz, że zaczynam karierę w wojsku polskim od roli dowódcy? Jestem "starszym grupy". Jak ci się to podoba?

- A ilu masz podkomendnych?

- Jednego - powiedziałem.

Oboje roześmieliśmy się. - Ten gość to spory dryblas, bosy, w brezentowych portkach i podartej bluzie. KOszulę ma zupełnie czarną. Nawiał z Kokandu czy Bucharu jak stał. Szczęście miał, że mnie dziś przyjęli. Dopisano go do mojego rozkazu wyjazdu, żebym nie jechał sam tylko z "grupą". Nazywa się Ignac. I jest bez gronia.

- Co by było, gdyby cię znowu odesłali z niczym?

- Próbowali. Alem się zaparł. Musiało się nareszcie udać, nie było odwrotu.

Karim przyniósł pieniądze. Przeliczyłem je i schowałem.

- Jutro wyjeżdżam - przypomniałem Lenie.

- Ja pamiętam.

Zapytałem nieśmiało:

- To jak dzisiaj?... Ostatnia noc...

Kiwnęła głową. Dotknąłem jej dłoni i był to znak, żeby podnieść się z ławy. Przywołałem Karima.

- Słucham, brat.

- Żona zostaje sama - powiedziałem. "Żona", po raz pierwszy użyłem tego słowa. - Sama w Samarkandzie.

- Przychodź pić czaj, siostra - powiedział Karim. Ukłonił się nisko przed Leną i przycisnął rękę do piersi. - Zawsze dobry czaj dajemy. Rubel jest, rubel nie ma - twoja przychodź.

- Dziękuję, Karim - powiedziałem za Lenę.

Uścisnęliśmy sobie z Tadżykiem dłonie.

- Do widzenia, Karim.

- Halo, brat. Przyjedź kiedyś w odwiedziny.

Przyjadę, pomyślałem. Tak, przyjadę tu syty i beztroski, to będzie mój rewanż. Z prezentami dla wszystkich. Wyszliśmy z Leną na ulicę.

- Dokąd, Bożek? - spytała.

- Do mojej starej kibitki. - Wsunęła mi rękę pod ramię - materac jest u Niury - mówiłem, płaszcz sprzedany. Nie będzie luksusowo.

- Nieważne.

- Może Aczil_apa coś pożyczy.

- Nieważne - powtórzyła. Tak, ważne jest coś innego. Lena przystanęła i odbiła się na palcach od ziemi. Zerwała z drzewa morwę i włożyła ją do ust.

Szła teraz podskakując i

zrywając z przydrożnych morw
owoce.

- Koza - roześmiałem się. -
Nie wiedziałem, że jesteś taka
kozą.

Wepchnęła mi do ust jagodę
morwy.

- No widzisz - mówiła ze
śmiechem - nie wiedziałeś. Co ty
o mnie wiesz?

Jeśli to prawda, że nic nie
wiem - pomyślałem - to może nie
powinienem odjeżdżać. Staliśmy
przed moją dawną kibitką. W
aryku jakiś rudowłosy brzdąc
płukał w mulistej wodzie nogi.
Pchnąłem furtkę i uchyliłem
drzwi izdebki. Od razu się
cofnałem.

- Co się stało? - spytała
Lena. - Nie można?

Wróciliśmy na ulicę.

- Tam ktoś mieszka -
powiedziałem. - Cały tłum
dzieciaków.

Szliśmy w dół do miasta,
jeszcze nie wiedząc po co.

- MUsi im być na tej pryczy
strasznie ciasno - zauważyła
Lena.

- Nie wiem, dokąd iść.

- Kiedyś nocowałam na dachu.
Szkoda tylko, że nie masz
płaszcz.

- Noce są zimne - zauważyłem -
nie można na dachu. - Spojrzałem
na nią bezradny: - Leniátko, co
z nami będzie? Ja chcę cię mieć.
Przed wyjazdem - chyba się to
nam należy?

Stała z opuszczonymi powiekami
opierając się o gliniane
ogrodzenie. Myślałem: Jutro już
jej nie zobaczę. Może nigdy
więcej jej nie zobaczę.
Postanowiłem skończyć z tym po
męsku:

- Trudno, odprowadzę cię do
bursy.

- Nie - powiedziała.

Tego chciałem: żeby ona
przejęła inicjatywę. Powiedziała

unikając mojego spojrzenia:
- Pójdziemy do Juli.
Szedłem obok niej myśląc:

Jutro tego wszystkiego nie będzie. Gliniastych ogrodzeń, morw, kibitek.

U Juli zastaliśmy Natę. Siedziała okrakiem na krześle i zaplatała długie warkocze.

- Bożek! - zawołała na mój widok. - Kupę lat. Na długo?

Jula skręcała włosy papierowymi papilotami. Zygmunt krzywił się na to z politowaniem. Sami wariaci. Chrząknął i namacał palcami gardło, ale nikt nie zwrócił uwagi. Nata zasługiwała na moja odpowiedź:

- Jutro wyjeżdżam. Do polskiego wojska.

Zdaje się, że to zrobiło wrażenie. Nata przynajmniej zerwała się z krzesła.

Krzyknęła:

- Nie rób tego, Bożek!

Zygmunt pochwalił:

- Nareszcie jakiś mądry krok. Nie słuchaj smarkuli.

- Nie, Bożek, nie rób tego... Nie zostawiaj nas samych.

Tłumaczyłem jej dobrotliwie, że wszystko przemawia za wojskiem, sytuacja, mój wiek - zawsze przybierałem wobec niej ton starszego wujaszka.

- No to przyjm moje pożegnalne łzy - powiedziała Nata. - Już się więcej nie zobaczymy.

Zerknąłem na Lenę: nie odzywała się. Oglądała z uwagą słomianą matę rozłożoną na polepie.

- To koniec, Bożek - zapewniała mnie Nata. - Ja ci to mówię. Ty będziesz po jednej stronie granicy, my po drugiej, a w środku pogranicznik z psem.

Nie myślałem się poddawać.

- Jak się wojna skończy - mówiłem - to ludzie będą jeździć

w te i wewte, jak zechcą.

- Jak się wojna skończy -
odpowiedziała Leny siostra - to
zacznie się co innego. Jak nie
urok, to pypeć na języku. Ja tam
wolę się pożegnać. Przyślij mi
czasem jakiś drobiazg ze swojego

burżujskiego kraju.

- Natka! - zgorszyła się Lena.

- Co jest, o widokówkę nie
wolno prosić? Z Krynicy, jeśli
łaska.

- Wracaj do bursy - rozkazała
Lena. - Już późno.

- A ty? - spytała siostra
zaczepnie.

Lena podniosła głowę.

- Ja nocuję tutaj.

Nata oszołomiona zakładała
płaszcz. To samo niebieskie
paletko, które kiedyś nosiła
Lena. Podeszła do Bożka z
wyciągniętą ręką.

- Zobaczymy się jeszcze jutro?

- Nie wiem.

- No to pożegnajmy się. - Wes-
tchnęła. - Byłeś fajny chłop,
Bożek i... Ech, my to mamy takie
pieskie szczęście!

- Nie gadaj głupstw.

Nata gryząc warkocz sunęła ku
drzwiom. Nagle zawróciła i
podeszła do siostry.

- Łena - szepnęła. - Łena -
powtórzyła. - Jeszcze raz
powiedziała "Łena" i z płaczem
przytuliła się do siostry.

Po wyjściu Naty Zygmunt nie
miał już wątpliwości:

- WYrasta na histeryczkę.

Jula spytała:

- Mam nadzieję, że jesteście
po kolacji? Mam tylko buraki
cukrowe.

- Nie kłopotczcie się o to -
powiedziała Lena. Chowając się w
cieniu mówiła: - Mamy do was
prośbę, Bożek nie ma dziś gdzie
się podziać. Żebyście nas
przenocowali.

Jula odpowiedziała

zafrasowana:

- Coś się zrobi. Ty będziesz spała ze mną w łóżku, a mężczyznom pościelimy na podłodze.

Lena wyszła z cienia izby w blask naftowej lampy.

- Nie - powiedziała. - Ja z Bożkiem na podłodze.

Jula zamrugła powiekami:
Oszołomiło ją, nie ma co. Potem

potoczyła się jak kula i zaczęła w milczeniu przygotowywać pościel. Rozesłała nam na słomianej macie koc i starą postrzępioną kołdrę.

- Mamy tylko jeden mały jasiek - mówiła nieswoim głosem.

- Wystarczy - na to Lena.

Ja w ogóle się Nie odzywałem.

Lena przyklękła i wygładziła starannie kołdrę. Potem spulchniła jasiek. Spytała:

- DAsz coś na przykrycie?

- Są palta.

- Wspaniale.

Lena pierwsza się rozebrała i wsunęła pod palta. Zaraz po niej położyli się do swojego łóżka Jula i Zygmunt. Wtedy ja zgasilem lampę. Rozbierałem się w ciemnościach powoli, niezręcznie, palce mi drżały. Czekałem tyle miesięcy na tę chwilę. Inaczej to miało być, nie wiem, jak, ale jakoś inaczej. Zygmunt chrząka usiłując oczyścić krtań. Wszystko inaczej. Ale jest ona, moja Heloiza, jest właśnie ona i wyjazd na front będzie wyjazdem od niej. Leży na podłodze, na starej kołdrze i czeka na mnie, cichutka, nawet oddechu nie słyhać. Wsunąłem się pod szorstkie palta, wprost w ciepło jej ramion i piersi. Objęliśmy się i zastygli w bezruchu.

Z tamtego łóżka nie dochodził najmniejszy szmer.

- Słyszysz coś? - szepnąłem.

- Nic.
- Oni nie chcą nam
przeszkadzać.
- Ale nie śpia - szepnęła.
- Nie.
Szepnąłem jej do ucha:
- Poczekamy, aż zasną.
Jej ciepły oddech przyniósł mi
słowa śpiewne, jak do wtóru
melodii:
- Nie, synu. Nie trzeba.
Poczułem, że jej palce
wplatają mi się w czuprynę
znajomą pieszczotą. Mrok
łagodnie się zakołysał.

17

Wszystko po raz ostatni.
Staliśmy przed wejściem do
fabryki trzymając się za ręce.
Bachtiejew wcisnął dłonie pod
strażacki pas i uśmiechał się
spod obwisłych wąsów. Po raz
ostatni, powtórzyłem w myśli
dziwiąc się swojemu żalowi.
Ulicą przejeżdżała na osiołku
zakwefiona stara Uzbeczka. Nie
widziałem jej twarzy, ale
wiedziałem, że była Uzbeczką i
że była stara. Siedziała
okrakiem na człapiącym niemrawo
osle, szare i żylaste bosc stopy
opuszczone nisko nad ziemią
zagarniały kurz. Słyszałem
skrzypiący głos kobiety,
popędzała osła charkotliwym
słowem - kchyrk, kchyrk -
warczała.

Po raz ostatni. Odtąd nie
będzie pocharkiwanie na osły,
będzie wio i wišta - jeśli tam
dotrę. Zwróciłem się do Leny:
- Wejdziemy, dobrze? Trzeba się
pożegnać.

Bachtiejew nas opuścił, ale
radził nie wałęsać się
niepotrzebnie. Nie mieliśmy
szczęścia, od razu
napatoczyliśmy się na dyrektora
personalnego.

- Wróciliście do roboty,

Bergen? - spytał. Był w swoim jasnym, dobrze skrojonym garniturze. Przystojny, stwierdziłem raz jeszcze.

- Przyszedłem się pożegnać.

- A co ze zwolnieniem?

Byłem góra, wiedziałem o tym i mogłem sobie pozwolić na zwycięski uśmiech.

- Obejdzie się - powiedziałem.

- Tak? Wymyśliliście coś nowego? - spytał personalnik. - Ciekaw jestem co.

- To - odpowiedziałem i podałem dyrektorowi czerwoną kartkę ze skierowaniem do wojska.

Zdaje się, że go trafiłem. Stał przyglądając się kartce,

zastanawiał się nad sytuacją, bezsilny, cholera, a ja wygrałem, zrobiłem cię, tej kartki już nie podrzesz. Odezwał się:

- Należy wam się odprawa.

- Nie, dziękuję.

- Nie skorzystacie?

- Nie. Jadę.

- Możecie zostawić upoważnienie.

Zerknąłem na Lenę. Odeszła na bok, nie chciała brać udziału w moich ostatnich potyczkach. Schowałem kartkę.

- Wolałbym się nie rozliczać - powiedziałem. - Postawmy na wszystkim krzyżyk.

- Jeśli tak... - Dyrektor nagle wyciągnął rękę. - Szczęśliwego wojowania.

Podałem mu rękę. Miałem mu powiedzieć, co o nim myślę, po to przyszedłem - żeby triumfować - a on trzymał moją dłoń i potrząsał nią.

- MUsicie się śpieszyć - mówił - bo wyzwolimy waszą Polskę bez was. Szturmują Krym, słyszeliście?

Wróć tu kiedyś, postanowiłem sobie. W całych portkach i w

mocnych butach. Z neseserkiem w rękę. Jako turysta. Z Leną, moja żoną - marzyłem. Z walizką pełną podarunków. O słodka zemsto! Popatrzcie, to ten Bożek, który u nas beczki toczył! Ma całe portki i jest komicznie uczciwy. Popatrzcie: a to jego dziewczyna, z którą boso po parku i do kina chodzili! Ech, ty świecie - będą zawodzić. - Ech, życie_życie. Poczułem tęsknotę za dalekim krajobrazem, którego jeszcze nie opuściłem, poczułem ciężar lat, które dopiero upłyną. Ścisnąłem dłoń mojej dziewczyny. Za kilka godzin wszystko się skończy. Zostaną marzenia i bolesny świat tęsknot. Zawsze coś tracę, myślałem, zawsze coś porzucam i z czymś się rozstaję. Przyglądałem się Lenie, jej

oczom, cerze, falistym włosom, odszedłem trochę, żeby ogarnąć wysmukłą postać dziewczyny, która zostanie mi zabrana. Zostań taka, modliłem się w duchu, zostań, nie chcę, żeby mi cię zabrał Czas. Próbowałem powtarzać swoje wytarte prawdy, ale to niczego nie zmieniało, dotkliwe uczucie rozdarcia w piersi nie ustępowało. Tęsknię, pomyślałem, jeszcze ona jest przy mnie, a ja już tęsknię.

Nisupin i Biezzubow wytoczyli z piwnicy ogromniastą beczkę, ciężką jak czołg. Przystanęli na chwilę, żeby oswoić oczy z oślepiającą jasnością dnia i wtedy z ławeczki zerwał się barczysty, błyszczący szlifami pułkownik.

- Pomogę - zaofiarował się kładąc dłoń na beczce.

- Zostaw, co ty - mitygował go Biezzubow.

Pułkownik rzucił Biezzubowowi swoją czapkę.

- Lewa wolna! - krzyknął

zabierając się do pchania. Na czoło opadł mu kosmyk jasnych, miękkich włosów. - Na bok, obywatelu! Ja sam.

Stęknął i pchnął beczkę, która potoczyła się ciężko po kamiennych kocich łbach. Biezzubow biegł za pułkownikiem wymachując oficerską czapką.

- Zostaw, Waniusza - mamrotał przez zęby - co ty teraz? Ty pułkownik. Ty swoją godność znaj. No i jak to wygląda?

Pułkownik przystanął zasapany. Roześmiał się:

- Zadyszałem się, taki los. Papasza, ty zdrowszy ode mnie jesteś.

Biezzubow wciąż nie mógł rzyjść do siebie:

- Nie wolno tak, Waniusza. Trzeba godność swoją szanować. Pułkownikowi za beczkami się nie uganiać, obowiązek inny. Poznajcie się: to Bożek, Polak. A to Waniusza, mój starszy, pułkownik - dodał Biezzubow,

jakby się obawiał, że mogę na chwilę zapomnieć o randze syna.

- Co, ojciec, zapalimy? - spytał pułkownik.

- Można i zapalić.

Pułkownik wyjął tekturowe pudełko i częstował papierosami z ustnikiem.

- Kazbieki - odczytał nazwę Biezzubow - oto jakie papierosy się pali w pułkownikowskim stanie. Jak ci się ten syn podoba, Bożek? Sprytny, nie? Drugi u mnie był prostoduszny, usmażył się w czołgu. Co byś nie powiedział - bohater. A jakże, pieniądze i order za niego dostałem. Nie przez chciwość ja o tym, ale żeby uczcić bohatera. Każdemu wedle zasług. A ty, Bożek, pewnie myślałeś, że ja ci synem pułkownikiem oczy mydlę? No to popatrz, na epoletach się znasz? Bez oszukaństwa.

Pułkownik - a przecież nie
wzgardził, przyszedł tu do
fabryki i rękę o ojcowską beczką
pobrudził.

Syn pułkownik śmiał się:

- OJciec, po co te monologi?

- Zwyczajnie, człowiek

stworzenie rozmowne, na to i
język, żeby się ludzie
porozumiewali. Nie smakuje mi
ten twój kazbiek, kwaśny jakiś,
zapalę skręta, a ty się
pułkownikowi nie obrażaj.

Zacząłem się żegnać. Cieszę
się, że poznałem. On też. A wy
dokąd? Do Sum, do polskiego
wojska. Nisupin szepnął mi na
ucho: "A do Niury na jednego nie
wstąpimy?" "Gdzie ona?" "W domu,
miała nocną zmianę, przy
spirytusie". Lena dosłyszała:
"Idź, musisz się pożegnać".

U Niury smażyły się bliny.
Ona, posępna, błędnooka
rozlewała wino do szklanek.
Andrejewna zapewniała: - My też
stąd wyjedziemy, jeszcze rok,
dwa i wrócimy na Syberię.
Spróbowałem wina: xeres z
Soczaku, jeszcze rozróżniam

nieomylnie, pomyślałem, za kilka
lat zapomnę. Tamten rok był
dobry dla wina, mówili
miejscowi, najlepszy w ostatniej
dekadzie. Ze szklanką w dłoni
spozierałem przez okno.
Widziałem Lenę spacerującą w
głębi dziedzińca między
grządkami ogródków działkowych.
Doszła do działki Niury, z
której sterczały już zielone
pasma cebuli. Ja tę ziemię
skopałem, uprzytomniłem sobie,
skopałem, zanim ukryłem się w
sowchozie. Kietmeniem - żeby mieć
prawo do kartoflanki.

- Długo się nie pokazywałeś -
mówiła Niura. - Gdzieżeś się
podziewał? Jak ci niewygoda
odpowiadać, to nie musisz.

- Żadna tajemnica. Byłem w sowchozie, potem w polskiej szkole.

- Po materac przyszedłeś?

- Nie, korzysaj z niego.

- Bóg zapłać. Nie wspominasz źle? - spytała.

- Nie - odpowiedziałem, a wzruszenie ścisnęło mi gardło. Świat jest cholernie popłatany, myślałem głupio, cały system zależności, wdzięczności i wzruszeń, i zawsze ktoś musi być skrzywdzony, chyba że to ty sam jesteś ten niikommu niepotrzebny, i ty sam jesteś ten skrzywdzony. Za oknem Lena przesuwiała końcem bucika kamyk. Widziałem białą plamę sukienki wśród zieleni kartofliska i opalone, smukłe nogi.

- Pij, Bożek - częstowała Niura. - Pij i jedz bliny.

Zapach blinów kojarzył się z rozgrzaną pościelą Niury.

Pomyślałem: niczego nie żałuję.

Uśmiechnąłem się do Fieni, błysnęła zdrowymi zębami i jej dziecinne oczy rozjaśniły się.

Podniosła do góry szklankę:

Zdrowie żołnierzyka. ZImny wytrawny xeres gasił pragnienie.

Andrejewna znowu zagadała o Syberii. Tam chce umrzeć, nie w tym nieludzkim skwarze. ŻE też

ktoś może tęsknić do Syberii!

Pojechałbym tam - ale jako turysta. W kieszeni miałem czerwoną kartę powołania. Mogę zginać, ale teraz nie myślę o tym. Tutaj czuję się już turystą. I może cały czas nim byłem. Pracowałem z nimi, służyłem, kochałem się - i oddzielała nas ściana, szklane przepierzenie, bo świadomością byłem zawsze tam, w Warszawie, w mieszkaniu na trzecim piętrze, którego teraz nie ma. Latem - słyszałem Andrejewną - tajga jest niebieska od jagód. To jak

Warszawa, pomyślałem, też
niebieska, od moich wspomnień.

- Nie wspominaj źle - mówiła
Andrejewna. Stuknęliśmy się
szklankami. - Byłeś mi jak
rodzony.

- Zdjęcie mi zostawisz? -
spytała Niura. Wyjęła z szuflady
miękką, zwiniętą karteluszek. -
A może zwrócić?

- Nie. Będę się cieszył, jeśli
zatrzymasz.

Chciała mieć moje zdjęcie.
Jakiś ślad tu po mnie zostanie,
dziwne. A Biezzubow mi szepnął,
że Sierioża Kulas chce się z nią
żenić. Bardzo rozsądnie.
Zapomniałem już, że nie chciał
mi zrobić piecyka. Tak, tu życie
będzie się jakoś toczyć beze
mnie - bardzo dobrze - ale w
szufladzie będzie leżeć moje
zdjęcie w angielskim mundurze i
z pilotką zawadiacko założoną na
bakier. Ślad...

- Napiszesz? - spytała.

Nie, chyba nie napiszę.

- Napisz, jeśli zatęsknisz -
powiedziała. Zdjęła ze ściany
gitare. - Brzdąknę chyba czy co?

Odpowiedziałem bezradnym
uśmiechem. Za oknem
niecierpliwiała się Lena.
Widziałem brąz jej łydek i biel
perkalowej sukienki.

- Śpieszysz się - domyśliła
się Niura. Nie wypuszczała
gitary z ręki. - Mamasza, daj mu
ćwiartkę spirytusu. Przyda się

na drogę. Opylisz, czy
przepijesz - zawsze korzyść
będzie.

Andrejewna wytarła fartuchem
poczerwieniałe oczy.

- Nie wspominaj źle -
powtórzyła.

- Przyjedź tu kiedy - odezwała
się Fienia.

- Na co mu przyjeżdżać -
powiedziała Niura. - Tam inny
świat, porządki inne, on będzie

pan, zapomni o nas w tej swojej
Araszawie.

- Nie, brat, musisz
przyjechać. Obowiązkowo -
upierała się Fienia. - Przyjedź,
Bożek, jak tu już dobrze będzie.
Skrzynki z winem będą stać na
ulicy i nikt ich nie ruszy. W
czaj_chanie zjesz placków z
rodzynkami na kredyt, ile
zechcesz, prześpisz się na
dywanach, a z rana zapłacisz.
Czego się gapisz? Świat jest dla
ludzi. A ty myślałeś, że jak, na
odwrot?

Nie odpowiedziałem. Andrejewna
podała mi buteleczkę spirytusu.
Ostatnia, pomyślałem. Jak
dojedziemy z Ignacem do
Saratowa, to ją tam wysuszymy.
Podniosłem do góry szklanę.

- Ostatnie słowo oskarżonego -
odezwała się Niura. - Zasuważ.

- Tak, Bożek, przemówienie -
domagał się Nisupin. - Wypada.

- Dajcie mu spokój - broniła
mnie Fienia. - Nie czas na
przemówienia. Zdrowie
żołnierzyka.

Ścisnąłem palcami szklanę.
Tyle miałem do powiedzenia! Ale
nie układało mi się to w zdania.
Odchodzę, myślałem, zostawiam
was. I pewno zapomnę.

- Ostatnie słowo oskarżonego -
powtórzyłem za Niurą. - Chyba to
tak. Nie darmo tu z wami beczki
pchałem. - Z tamtej strony
zbliżała się ku oknu Lena. -
Mówią: pud soli trzeba wspólnie
przejeść. Jak dobrze obliczymy,
to chyba pud będzie. A wypociłem
może więcej. Trochę w tym

wszystkim, co dokoła jest, i
mojej pracy... Przypomniał mi
się teraz mój nauczyciel,
historyk, nazywaliśmy go Swój
Chłop; przepowiadał, że
najgorsze, co zostawi wojna, to
będzie nienawiść. Polacy, Rusczy,
Niemcy, Żydzi, Ukraińcy, czarni,

zółci - wszyscy wszystkim będą wypominać, oskarżać i wszyscy wszystkich nienawidzić. Chyba tak nie musi być. Ale zawsze znajdą się tacy, którym zależeć będzie na tym, żeby narody się nienawidziły. Widzicie - powtórzyłem raz jeszcze, czując, że mówię nieudolnie - nie musi tak być. No to wasze zdrowie.

18

Słońce piekło, więc powiedziałem:

- Przejdźmy na tamtą stronę.

Po drugiej stronie ulicy była rozrosła morwa i w jej cieniu skryliśmy się. Pomyślałem: Za godzinę nie będzie już słońca. Wszystkiego tego nie będzie.

Dopytywała się:

- Gdzie masz plecak?

- Ignac pilnuje.

- Nie zwędzi?

- Skąd mogę wiedzieć. - Był bosy, jak kiedyś ja, ale wydawało mi się, że u niego to bardziej widać, bo stopy miał ogromne. - Może to łajdak, a może wielki człowiek - powiedziałem. - Nic się teraz nie liczy, wszystko jest tymczasowe. - Poczulem nerwowy tik w lewym oku. Urządziłem się, cholera. - Byle dojechać - powiedziałem. - We dwóch jakoś dobrniemy.

Zawsze było dwóch, pomyślałem. Boże, wszystko zaczyna się od nowa. Tylko teraz kierunek jest odwrotny, teraz może będzie inaczej.

- Będzie ci brakowało płaszczka - powiedziała.

Nie. Jest inaczej: tym razem jest ona. Odprowadza mnie do

pociągu. Tego nigdy nie było.

- Za to mam pieniądze.

- Pieniędzy też nie za wiele.

- Starczyłoby, ale on nie ma

ani kopiejki. Do Saratowa starczy, a w Saratowie sprzedam buty.

Powiedziała cicho:

- Nie rób tego, Bożek.

- W wojsku dadzą nowe. - Przez chwilę jednak poczułem lęk. Staralem się mówić o czymś innym: - Z Ilecka przyślę ci kartkę. Potem z Saratowa.

- Pamiętaj, że cała bursa będzie czytać. Hamuj pióro.

Przyrzekłem jej to.

- I nie tęsknij zanadto - dodała nieśmiało.

Dlaczego tak mówi? - pomyślałem z niepokojem. Czy coś ma się zmienić? Czy pojawił się ten człowiek, którego istnienie oddaliliśmy? Całował w kark...

- Już tęsknię - powiedziałem. I poskarżyłem się: - Strasznie tu sucho.

Oddychałem z trudem. Czulem się tak, jakbym nosił w sobie ciężki gniotący kamień. Jakies listy przychodziły ostatnio do niej - jeden z Kaukazu, jeden znad Wołgi... Co z nami będzie? Ująłem jej dłoń i pogładziłem czule. Szepnąłem:

- Boję się o ciebie.

- Nie martw się, dam sobie świetnie radę.

Przycisnąłem jej palce do ust. Spytałem:

- Jesteś moją żoną, tak?

Trwało chwilę - tak, to trochę ciągnęło się - zanim odpowiedziała:

- Tak.

Obejrzałem się, jakbym szukał świadków. Nikogo nie było na tej białej od słońca ulicy. Tylko po przeciwnej stronie przechadzał się wzdłuż budynku stacyjnego milicjant. Ścisnąłem jej dłoń.

- Widzisz? On jest świadkiem. Pamiętaj!

Uśmiechnęła się blado.

- Niełatwo nam się będzie

połączyć.

Milczała.

- Natałka uważa, że to koniec.

Wzruszyła ramionami.

- Nie masz teraz nikogo na świecie prócz mnie.

- No pewnie, synu - odezwała się wreszcie. - Przecież ci już mówiłam.

Jej spokój dodał mi otuchy.

Powtórzyłem więc tylko:

- Pamiętaj.

Powiedziała:

- Słuchaj, Bożek, ja chcę ci coś powiedzieć.

Nastroszyłem się. Teraz to nastąpi. Teraz ona powie. Powie, że ma inne obowiązki. Ktoś pocałował kark. KONIEC.

- Nie miej mi tego za złe - mówiła. - Sama pogardzam sobą za takie myśli. Właściwie powinnam cię zachęcać do czegoś odwrotnego, ale...

- Ale co? - spytałem niecierpliwie.

- Ty tam, na tym froncie, jednym słowem - nie musisz być pierwszym bohaterem.

Roześmiałem się. Boże, jak mi się zrobiło wesoło! Powiedziała dotknięta:

- Nie śmiej się ze mnie. Jesteś czasem taki lekkomyślny.

Milicjant wszedł do budynku. Pewno ma nadjechać pociąg. Pomyślałem: niedługo tego wszystkiego już nie będzie. Spytałem:

- Ty też myślisz tak jak Nata?

Milczała.

- Dlaczego nie powiesz prawdy?

- nalegałem. Powieka mi zadrgała.

- Kiedy ja nie wiem.

- Kto ma wiedzieć? Rany boskie, kto? Psiakrew - zakląłem - teraz i tak za późno.

- Na co?

- I tak nie mógłbym już zostać. Mam ten czerwony papierek...

- Chodźmy na peron - powiedziała.

- Nie, tu się pożegnamy. Nie

trzeba, żebyś tam szła.

Rozległ się dzwonek dla podróżnych. Powiedziałem:

- No więc. Wzywają mnie. To już wszystko.

- Tak.

- Wszystko za nami.

Staliśmy milcząc.

Powiedziałem:

- Pocałujmy się.

Cofnęła się o krok.

- Co ty? - spytałem rozdrażniony. - Chyba nam wolno się pocałować?

- On patrzy - powiedziała.

I ukryła się za pniem morwy. Tutaj objąłem ją i przytuliłem do siebie. Pomyślałem z wargami na jej wargach: Może po raz ostatni. Potem już tylko to: Zaraz tego nie będzie. Niczego nie będzie. Już za chwilę. Szepnąłem wypuszczając ją z objęć:

- No to już.

- Już.

- Idź, kochanie.

Nie ruszała się z miejsca, więc pchnąłem ją delikatnie. Poszła. Ale wciąż przystawała i oglądała się za siebie. Chciałem biec za nią, porwać ją w ramiona, krzyknąć coś rozpaczliwego. Przywarłem spojrzeniem do jej oddalającej się postaci - lekkiej i wysmukłej - do owalu bioder, za którymi już teraz tęskniłem.

Jeszcze raz odwróciła głowę. Wtedy zawołałem:

- Pamiętaj!

Pocałowała swoim zwyczajem koniuszki palców i przesłała mi powietrzny pocałunek. Odpowiedziałem jej tym samym gestem i zdecydowanym krokiem ruszyłem w stronę dworca.

Stanałem potem przy oknie pędzącego pociągu. Przyglądałem się mijanym sadom - drzewom, których już nigdy nie zobaczę - uriuk, pigwa, morwa, brzoskwinie - i myślałem jak automat: nie

będzie, nie będzie, tego już nie
będzie. W nozdrzach czułem wciąż

jeszcze zapach jej włosów, na
wargach czułem wilgotny smak jej
pocałunku.

Tamten stał obok, kołysząc się
na bosych nogach. Był wysokim
mężczyzną, obdartym i
zarośniętym.

- Może wrąbiemy coś w krzyże?
- zaproponował.
- Jedz sam.
- A ty?
- Ja późNiej.
- To ja też późNiej.

Zaczynało się: wszystko pół na
pół, skrupulatne dzielenie,
jeden czeka na drugiego.

- W Aralu sprzedają świetne
ryby - powiedział tamten. -
Przynoszą wędzone, ze złotą
skórką.

- Kupimy.
- Jestem na zero.
- Ja trochę mam. Nie bój się.
- Aha - mruknął tamten. -
Zapalisz? - zapytał.

Jakoś udało mi się dotychczas
uchronić od palenia. Teraz
powiedziałem:

- Daj.

Ignac pomógł mi skręcić
papierosa, potem poszedł
ustrzelić ogień. Wrócił z
żarzącym się skrętem.

- Cholera - powiedział - chyba
mnie łapie malaria.

Poczułem dreszcze.

- MNie też.

Miałem rozpalone czoło. W
Taszkientie pójdziemy do punktu
sanitarnego po chininę. Jak nie
ma, to dają krople piołunu - też
gorzkie.

- Szesnaście dni jazdy -
przypomniałem.

- Jakoś dojedziemy.

Ale nie myślałem o tym, co
będzie. Myślałem o tym, co za
mną zostało. On odgadł chyba, bo
spytał:

- Masz z nią ślub?
- Nie.
- Obiecaliście sobie?
- Tak.
- To trochę potrwa - zauważył tamten.

- Co robić, jest wojna.
- Ona ma na ciebie czekać?
- Tak się umówiliśmy.
Zdawało mi się, że się zaśmiał, ale może on tylko odchrząknął. Powiedział:
- Ciekawe, jak nas tam przywitają, co?
- Wszystko mi jedno.
- Bądź spokojny, tam już rój panieś się koło tego zakrzętał, wszystkie miejsca zajęte, urzadzą nas, jak zechcą.
Powtórzyłem:
- Wszystko mi jedno.
- Małoś w dupę dostał.
- Spokojnie, każdy wziął swoje.
- To Polka? - spytał nagle Ignac.
- Moja dziewczyna? Niezupełnie. Ukrainka... ze Lwowa...
- I ma być twoją żoną?
- Tak. Tak się umówiliśmy.
Tamten zaśmiał się, tym razem na pewno. Wszystko mi jedno - pomyślałem machinalnie. Przycisnąłem rozpalone czoło do szyby. Za oknem uciekały sady. Uciekały na zawsze.
1957, Obory